

FANTASTYCZNE PIÓRA

ANTOLOGIA PORTALU FANTASTYKA.PL

2019





www.fantastyka.pl/antologia

Fantastyczne pióra 2019
Antologia portalu fantastyka.pl

Tytuł: Fantastyczne pióra 2019. Antologia portalu fantastyka.pl

Wydawca: Fantastyczne Pióra, antologianf@gmail.com

Patronat: „Nowa Fantastyka”

Autorzy: Marcelina Baczyńska, Agnieszka Fulińska, Sylwester Gdela, Aleksandra Kłęczar, Marek Kolenda, Sonia Korta, Wiktor Orłowski, Agata Poważyńska, Kamila Regel, Katarzyna Szymonik, Paweł Wolski, Dariusz Zasadzki

Przedmowa: Jerzy Rzymowski

Ilustracje: Katarzyna Szymonik (ilustracje), Sylwester Gdela (trzecia ilustracja do *Czerwieni*, obróbka graficzna)

Logotyp: Sylwester Gdela przy wykorzystaniu grafiki Bogusza Jaśniaka

Projekt okładki: Adam Sondel, Sylwester Gdela

Ilustracja na okładce: Adam Sondel computart.pl

Redakcja: Maria Anna Barć, Anna Dudało, Sylwia Finklińska, Sylwester Gdela, Lidia Gręda, Anna Grzanek, Paulina Klimentowska, Marek Kolenda, Wiktor Orłowski, Kamila Regel, Magdalena Świerczek-Gryboś, Piotr Targoni, Jakub Węgrzynowski

Korekta: Anna Dudało, Sylwester Gdela, Lidia Gręda, Anna Grzanek, Mika Modrzyńska, Kamila Regel, Dariusz Skrzydło, Bogumiła Strzelec, Piotr Targoni

Weryfikacja: Anna Dudało, Paulina Klimentowska, Mika Modrzyńska, Radosław Puchała, Kamila Regel, Dariusz Skrzydło, Bogumiła Strzelec, Jakub Węgrzynowski

Skład: Anna Dudało, Agencja Emotion Media (layout)

Koordinacja: Anna Dudało, Maria Anna Barć

Redaktor prowadzący: Radosław Puchała

Druk: Sowa Sp. z o.o.

ISBN:

epub: 978-83-955227-5-8

mobi: 978-83-955227-6-5

PDF: 978-83-955227-7-2

Oprawa miękka: 978-83-955227-4-1

Licencja: Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons:



Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0.

Licencja zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci.

Wydanie I, Sobótka 2021

To prawdopodobnie jedyna w Polsce antologia z tach surowym przesiewem. O być albo nie być opowiadań decyduje aż dziewięć czytanych i wymagających osób, które stanowią Lożę NF. Wypadkową ich gustów są właśnie Fantastyczne pióra, udowadniające, że nasza rodzina fantastyka ma się dobrze. Trzeba tylko dopuścić do głosu nowych twórców. Wsłuchajcie się w to, co mają do powiedzenia, i zapamiętajcie nazwiska autorów – ich tekstów tak łatwo nie zapomnicie.

Krzysztof Matkowski

Były członek Loży NF, trzykrotnie nominowany do nagrody Zajdla za rok 2019

Od kilku lat mam przyjemność obserwować, jak kolejni użytkownicy portalu fantastyka.pl doskonalą swój warsztat, wygrywają zewnętrzne konkursy, publikują na papierze i zdobywają nominacje do literackich nagród. Byłbym zdziwiony, gdyby autorzy, których opowiadania mieszczą się w tegorocznej antologii, za kilka lat nie stanowili o sile polskiej fantastyki. A wtedy będziecie mogli powiedzieć: znaliśmy ich, zanim stali się sławni. ;)

Krzysztof „cobold” Rewiuk

Członek Loży NF w latach 2018–2019, nominowany do nagrody Zajdla za rok 2019

*fajne!
Anet*

0 1 1

Kaszëbsczi gbur, czyli jak mój pradziadek Franc...
Marcelina Baczyńska

Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** Kaszuby, demony

0 3 1

Koan dla Karakuri XQ-54
Kamila Regel

Gatunek: science fantasy **Tagi:** Japonia, roboty

0 5 7

Czerwień
Sylwester Gdela

Gatunek: science-fiction **Tagi:** postapo

0 7 1

Polny wianek na łbie byka
Agata Poważyńska

Gatunek: horror **Tagi:** Prusy, XVII w.

0 9 7

W oku patrzącego
Sonia Korta

Gatunek: science-fiction **Tagi:** terroryzm, XXI w.

1 1 1

#prayfornorton
Wiktor Orłowski

Gatunek: science-fiction **Tagi:** socjo SF

1 4 3

Gambit lankijski
Wiktor Orłowski

Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** terroryzm, XXI w.

1 7 5

Własnymi drogami
Marek Kolenda

Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** zimna wojna

191

Powrót Gilberta Legranda

Agnieszka Fulińska

Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** Francja, XIX w.

225

Teatr Mistrza Tramonte

Dariusz Zasadzki

Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** sztuka, taniec

241

Dwa księżyce

Aleksandra Klęczar

Gatunek: urban fantasy **Tagi:** Kraków, duchy

279

Carski wagon

Paweł Wolski

Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** Białowieża, stan wojenny

299

Ostatni kurs

Katarzyna Szymonik

Gatunek: fantasy **Tagi:** podziemia

325

Krondus

Katarzyna Szymonik

Gatunek: horror **Tagi:** zwierzęta

Przedmowa

Minęło kilka miesięcy i oto w Twoje ręce trafia druga odsłona antologii „Fantastyczne pióra”. Zbiera ona wyróżnione w 2019 roku teksty opublikowane na portalu fantastyka.pl. Patrząc na to i trudno mi nie czuć radości, że pod egidą „Nowej Fantastyki” rozwinęła się tak prężna, dobrze zorganizowana i twórcza społeczność, zdolna nie tylko napisać wartościowe teksty, ale też starannie je opracować i nadać im formę takiego zbioru. A wszystko to robione z sercem i pasją.

Gdy patrzę na listę opowiadań, uwagę zwracają dwie rzeczy. Pierwsza to fakt, że na przestrzeni roku wśród mrowia opowiadań zamieszczonych na portalu przez fanów ponownie znalazło się kilkanaście tekstów zasługujących na wyróżnienie i publikację w antologii. Druga, że wśród twórców pojawia się wiele nowych nazwisk. To pokazuje, że nasza społeczność wciąż żyje, rozwija się, ewoluuje. Z roku na rok lista pisarzy, którzy działali na portalu fantastyka.pl, a teraz z sukcesami wydają kolejne powieści, staje się coraz dłuższa – żeby wspomnieć m.in. Martę Krajewską, Magdalenę Świerczek-Gryboś, Jacka Łukawskiego, Artura Olchowego i Jacka Wróbla. Autorzy tacy jak Magda Kucenty, Krzysztof Matkowski i Krzysztof Rewiuk przebili się swoimi tekstami do nominacji do Nagród Zajdla. Obserwuję to i mam nadzieję, że wkrótce ta lista stanie się jeszcze dłuższa, że twórcy obecni na łamach antologii pójdą za ciosem i będą się literacko rozwijać, pociągną za sobą kolejnych, a ci jeszcze następnych...

A może również Ty, czytając tę antologię i obserwując sukcesy ludzi działających pod szyldem fantastyka.pl, uznasz, że warto spróbować sił – opublikujesz na portalu opowiadania, weźmiesz udział w konkursach, dyskusjach, zaangażujesz się w tę wspaniałą,

wyjątkową społeczność. Chciałbym widzieć w tym zbiorze tekstów nie tylko prezentację świetnego dorobku, ale także zaproszenie do tego, aby kolejne osoby dołączały do nas i dzieliły się światami ukrytymi w ich nieokiełznanej wyobraźni.

Zapraszam do lektury i na fantastyka.pl!

Jerzy Rzymowski

*Redaktor naczelny miesięcznika
„Nowa Fantastyka”*

Kaszëbsczi gbur, czyli jak mój pradziadek Franc się z diabłem targował

Marcelina Baczyńska

Opowiadanie *Kaszëbsczi gbur, czyli jak mój pradziadek Franc się z diabłem targował* jest prezentem dla mamy, wnuczki bogatego von Szczepańskiego. Oczarowana zabawnymi anegdotami o moim pradziadku postanowiłam wrzucić je do jednego tygla, wymieszać i doprawić odrobiną folkloru, piękna kaszubskiej ziemi i jej magii. Przedstawione w tej historii postacie i zdarzenia są więc oparte na prawdziwych osobach i prawdziwych wydarzeniach. No, może z wyjątkiem diabła.

Chociaż, znając mojego pradziadka... wcale bym się nie zdziwiła, gdyby okazało się, że próbował targować się z kaszubskim diabłem.

Franc od zawsze uważał się za człowieka urodzonego pod szczęśliwą gwiazdą. Choć, gwoili ścisłości, sam pewnie nie użyłby tak wymyślnego sformułowania. Przy kielichu wódki, z kartami w ręku – gdy kompani zaczynali przysięgać sobie dozgonną przyjaźń, narzekali na pracę u bauera czy płakali nad słabymi kartami w baśce – Franc, gapiąc się przez otwarte okno, mówił:

– Ze mnie je fest gbur!

W tym miejscu należą się wyjaśnienia. Choć „gburem” w całej Polsce określano człowieka burkliwego i niegrzecznego, to właśnie tak na Kaszubach określano gospodarza – zamożnego chłopą pracującego na własnym, dużym gospodarstwie.

Nie można było odmówić Francowi racji. W końcu i praca na gburostwie szła fest, i z gospodarza był chłop, że fest! Czarnowłosa, śniadolic, do tego przystojny, zyskał przydomek „Cygan”, choć romskiej krwi w żyłach Franca nie płynęła ani kropla. Podobno na fusze u Niemców, za sprawą swej powierzchowności, zbałamucił pewną wdowę. Gdy obrzydło mu mieszkanie na koszt bogatej Helgi, wrócił do ojczyzny, a porzucona kobiecina przybyła za kochankiem do Polski i przy użyciu złożonej parasolki wyraziła swój żal na plecach Franca. Ale nie o tym będzie ta historia.

Franc siedział na ławeczce wyrżniętej w zwalonym pniu lipy. Rozkładał pokrojone kapelusze podgrzybków na sitach, co jakiś czas odpowiadając gwizdaniem śpiewającemu gdzieś niedaleko drozdowi. Nagrzany za dnia las oddawał ciepło i chuchał na plecy Franca pachnącym igliwem powietrzem. Trawy porastające brzeg jeziora szeptały i chichotały, obserwując baraszkujące wśród szuwarów kaczki. Po łące z drugiej strony jeziora leniwie przechadzały się żurawie. Ptaki te chyba celowo odkładały jesienne pożegnanie z ojczyzną. Jakby żal im było opuszczać Kaszuby.

– I nie dziwota – westchnął Franc, cisnąwszy do wody przeżarty przez robaki grzybek.

Legenda mówi, że gdy Pan Bóg już skończył pracę nad światem i zadowolony zasiadł na tronie, przyszedł do niego Anioł o imieniu Kaszub. Poskarżył się, że powierzona jego opiece ziemia na północy Polski to jałowe piachy. Pustynia niezdatna do zamieszkania przez ludzi, bez zwierząt, roślin, gór, jezior – okrutna niczym kara boska. Pan Bóg odchrząknął zakłopotany, podrapał się po wszechwiedzącej głowie. Po krótkim namyśle wręczył Kaszubowi złoty worek.

– Do tego wora, Kaszubie, wysypałem to, co zostało mi po stworzeniu całej reszty świata – rozbrzmiał głos Stwórcy. – Idź i uczyni twą ziemię przyjazną ludziom, a ja będę ją błogosławić po wieki wieków. Albowiem prosiłeś mnie o ratunek, a ja cię wysłuchałem.

– Jo! – podsumował legendę Franc, podziwiając to, co niegdyś Kaszub wysypał ze złotego worka. Łagodne góry, jeziora rodzące ryby, lasy pachnące grzybami. – „Resztki” całego świata spadły tu, na najpiękniejszą część Polski.

Franc wytarł nożyk o buksę, pozbierał sita i ruszył w stronę chałupy – ona też była fest, bo dzięki zdobytym na robotach pieniądзом Franc nie tylko kupił ziemię, ale i postawił solidny dom. Śpiew drozda odprowadził go aż pod drzwi wychodzące na podwórze. Ledwo je przekroczył, rozbrzmiał inny... świergot.

– Zgłuchłeś do reszty, Franc?! Ile ca można wołać? Przeca drę się i drę, co, jaśnie panu zaproszenie trza posyłać? Mało, że zrobić futer, to jeszcze do gamby włożyć, hę?!

Franc skrzywił się, jakby wciągnął za dużo tabaki. Cóż, jako fest gbur i fest chłop, dzéwczê też mu się trafiło, że fest.

– Cëchò, Marteczko, mój ty słowiku, patrzaj no! Grzëbë żem oprowiał, będziesz mogła zëmą zupa uwarzyć.

– Jô ca zaraz uwarza... I gdzie rzyc składasz?! Wacłôw Buszke do ce przyszedł. Musi o tego kónia iść.

O, szczęśliwa gwiazda na moment skryła się za chmurami.

– O Stolema?

Marteczka tylko machnęła ręką i wylała zimny eintopf z misy Franca do gara.

– Jo. Tera biěj się tłumacz. Ino wróc chùtkò, bo trzeci raz grzała nie będę.

Franc zawahał się, nim nacisnął klamkę. Cofnął rękę, sięgnął za pazuchę po piersiówkę. Upił jeden łyk dla kurażu. I drugi, żeby przywołać na twarz uśmiech niewiniątka. Dopiero wówczas ruszył na spotkanie czekającego przy furtce Wacława Buszke.

– Franc, ty obmierzły oszuście! – Dudniący bas sołtysa spłoszył uwiązanego do płotu Stolema i dwa inne odpoczywające w stajni konie. – Coś ty mi sprzedał na targu, diable jeden?!

Gbur obejrzał od góry do dołu Stolema, uniósł jedną brew, podrapał się po opalonym policzku.

– Mnie się zdaje, żem opchnął ci kónia – powiedział Franc. – Ale mogę się mylić.

– Ślepego konia! – Sołtys chwycił kantar i wykręcił łeb chabety w stronę Franca. Po poranionym pysku zwierzęcia spływała krew. – Za Brusami wjechałem w las i dałem koniowi po bokach. Wyrznął pyskiem w pierwsze drzewo! Ty cholerny cwaniaku! Czyli to prawda, że Kaszubie, choć oczy wydlubie, to dupą przejrzy! Zawsze wasze na wierzchu, zawsze musicie wygrać, wsioki jedne. Okłamałeś mnie! Oddawaj geldy!

Franc sam się prosił o kłopoty, sprzedając ślepego konia sołtysowi i zatajając defekt kobyły. Cóż, wystarczyła garść pieprzu wtarta w zadek Stolema, a ospała chabeta zmieniła się w pięknego, silnego

ogiera. Koń po tym zabiegu nawet jakoś tak... jakby na moment odzyskał bystrość spojrzenia.

– Jo, jo... Jô kłamcą?! – oburzył się Franc, poprawiając nieco przybrudzoną już westkę. – A pëtales się, czy Stolem widzi? Ni! A byś spytał, powiedziałbym ca, że ślepy.

Sołtys wydał dźwięk podobny do dławiącego się kością psa. Prawdopodobnie szukał słów podsumowujących Franca jako handlarza. I gdyby miał dość czasu, użyłby tych samych epitetów, których użył Franc, pomstując na Cygana, od którego sam nieszczęsnego, ślepego Stolema kupił.

Tak, Franc miał żylkę do interesów, ale tylko po trzeźwemu.

– Przeklęty oszust! – Sołtys szarpnął za wodze, próbując odwiązać konia od płotu. – Przeklęty, przeklęty, przeklęty! Niech cię diabeł porwie, Cyganie, niech cię lichu! Niech cię czart w dupę rucha, bodaj byś uwiądnął! Idź do diabła, idź do DIABŁA! IDŹ! DO! DIABŁA!

Gwałtowny podmuch wiatru połknął ostatni okrzyk sołtysa. Drzewa ugięły się, na leśną drogę runął deszcz odpryskującej z pni kory. Trzasnął zerwany rzemień, spłoszony Stolem z przeraźliwym rzeniem pomknął przed siebie. Nie uciekł daleko – znów wyróżnął pyskiem w gruby jak szwagier Franca pień buku. Aż przysiadł na zadzie, gapiąc się bez zrozumienia przed siebie.

Wacław uskoczył przed spadającym konarem, który zamiast głowy sołtysa zmiażdżył płotek oddzielający włości Franca od wijącej się ku Wielkim Chełmom drogi. Później, podczas reperowania ogrodzenia, Franc doszedł do wniosku, że o wiele mniej żałowałby tej pierwszej straty.

– Apokalipsa! – zawodziła Marteczka, którą wichura odciągnęła od gara z zupą i zwabiła na podwórze. – Apoookalipsaaa!

Nie trzeba było pieprzu wtartego w tyłek, by sołtys i Franc zgodnie pocwałowali na pomoc niewieście w potrzebie. Potknąwszy się o resztki płotu, poślizgnąwszy na przejrzałych owocach opadłych ze śliwy, strатовawszy miotające się w panice gęsi, stanęli u boku zapłakanej Marteczki na brzegu... nie, już nie jeziora, a buzującego zieloną pianą kotła.

– Jezusie Chrystusie, zlituj się nad nami, grzysznemi! – wrzeszczała dalek Marteczka. – To apokalipsa, Franc, zagłaaadaaa!

Marteczka musiała być wieszczką, ponieważ ledwo jej lament wzleciał ku niebu, powierzchnia jeziora rozstała się na dwoje jak Morze Czerwone na rozkaz Mojżeszowej laski. Cuchnąca mułem gardziel wypłuła wstążki wodorostów. Przerażone raki latały w powietrzu niby trzmiel, klekocząc szczypcami. Tajemna siła rzuciła w górę wielkiego karpia – aż żal, że pod ręką nie było żadnego podbieraka. Jezioro oddało też pagaj, który Franc zgubił jakieś pół roku wcześniej.

– Boże, kuniec świata! Booóóóóó!

Rozchodzące się w przeciwnie strony fale wyciągnęły ramiona ku burzowym chmurom. Wtem z plaśnięciem złączyły mokre, zimne dłonie, tworząc arkadę. Z jej dna buchnął dym, a gdy czarna chmura opadła, stojący na podwórku ludzie zobaczyli wychodzącą z jeziora niewysoką istotę w szpiczastym kapeluszu. Przyczepione do ronda blaszki podzwaniały przy każdym kroku. Białą koszulę pstrzyły plamy sadzy, guziki haftowanego węgus dymiły, jakby kaftan dopiero co wyjęto z bardzo gorącej kąpieli. Osobnik sprężył się, by wskoczyć na piaszczysty brzeg, a gdy już stanął na lądzie, Franc, Marteczka i sołtys przeżegnali się zgodnie, jak na dany przez księdza znak.

Przybysz nie miał na sobie buksów. Węps ledwo co okrywał kosmate, kozie dupsko.

– Jezus Maria! – zaskomlała Marteczka, padając na kolana. – Jezus Maria, Jezus Maria...

Diabeł stanął jak wryty. Rozejrzał się dookoła tak szybko, że niemal smagnął po gębach ludzi skołtunionym pędzlem wieńczącym długi ogon. Odetchnął, gdy nie dostrzegł nikogo poza ich czworgiem.

– Nie strasz, kobieto! – Złapał się za serce. – Idąc tu, nie spodziewałem się konkurencji. Państwo pozwolą, że się przedstawię. Purtek, do usług! A że wzywaliście mnie, więc słucham. W czym problem?

Ludzie milczeli, gapiąc się z rozdziawionymi ustami na diabła.

– Państwo pozwolą, że zacytuję. – Purtek wyciągnął zza pazuchy kajecik, przekartkował i zaczął czytać: – „Niech cię diabeł porwie,

Cyganie, niech cię lichu! Niech cię czart w dupę rucha"... Cóż, tę czynność wolałbym pominąć. Więc szybciotko, kto to powiedział?

Ręka Franca sama się poderwała, palec wymierzył oskarżycielsko w sołtysa.

– Òn!

Sołtys pobladł, również padł na kolana, dołączając do Marteczki.

– On mi na targu konia ślepego sprzedał, szubrawiec, ja nic nie zrobił, panie diable, ja stratny, dobry ze mnie człowiek, katolik i Polak, nie Prusak, nie jakiś głupi wsiok, nie kradnę, nie piję, żony nie biję, w każdym razie nie za często, jak zasłuży tylko!

– Dobra, dobra. – Diabeł machnął ręką. – Spowiadaj się tym waszym czarnym frantom. Moje pytanie, który to Cygan?

– On! On! – Sołtys odplacił Francowi, tyle że jego palec jakoś tak bardziej drżał.

– Czyli wszystko jasne. Ty, Polak katolik, zabieraj swojego konia i raus stąd!

Purtek schował kajet. Pstryknął palcami i ślepy dotychczas koń odzyskał wzrok. Sołtys wskoczył na grzbiet Stolema i pognał... jakby go diabli gonili.

– Ty, Cygan, też się zbieraj. Czas na nas, mamy umowę do spisania.

Wreszcie i Franc padł na kolana przed obliczem diabła.

– Jô? Dlôcze?!

– Aaa, sporoś w życiu nabroił. Tylko czekałem, aż ktoś wreszcie pośle cię do mnie – westchnął diabeł, unosząc brzeg kapelusza. – Przykro mi, takie są przepisy. Polak trzy razy nazwał cię przeklętym i trzy razy kazał iść do diabła. Ale nie martw się, sowicie zapłacę, a duszę zabiorę dopiero po śmierci!

Marteczka w płacz, Franc tylko ściągnął z głowy mûcę i mnąc ją w dłoniach, lamentował:

– Jak to, dusza? Diôchle, taki ciężki żëwot mam i jeszcze po śmierci męki piekielne mnie czekajo? Na fuchach u Miemieckich tyrałem, by kupić ten fyrtel zemi, potem leno robòta i robòta. Co żem w żëcu nabroił? Ot, trochi cygaństwa, handlów nieuczciwych, jedna wdówka

zbałamucona i czeliszek wódki od czasu do czasu. Roz dałem dzieci-
cowi kiełbasa z byczych jojec, ale mu smakowała!

I tak biadolił Franc, kajał się, prosił i błagał, całując Purtka w rąbek kaftana, aż czarne serce diabła na moment przestało buchać smrodliwą siarką i okazało krztynę współczucia. Franc zaprosił Purtka do chałupy, zasiedli w izbie przy wódce i zaczęli się targować. Gbur nie odpuszczał, żal było mu duszy. Purtek, straszny służbista, również wytrwale bronił interesów piekła, lecz z każdym kolejnym kielichem jego upór słabł. A że tęgi łeb Kaszuba, wszyscy to wiedzą, w końcu diabeł trzęsącą się od przepicia ręką nakreślił swój podpis pod cyrografem stwierdzającym, iż:

Franciszek Szczepanszci, syn Franciszka Antoniego i Franciszki, zachowa pośmiertnie duszę na wyłączność i postara się za życia odpokutować za swoje grzechy.

Diabeł Purtek, syn diabła Smętka i kozy starej Borowiakowej, w ramach rekompensaty kupuje od Franciszka prawa do jego ziemi za symboliczne dwadzieścia fenigów.

Diabeł Purtek umożliwi Franciszkowi i jego rodzinie zajmowanie dwuizbowej, krytej strzechą chałupy na dotychczasowych zasadach.

Franciszek zobowiązuje się nie utrudniać prowadzonej przez Diabła Purtka działalności, polegającej na zakopywaniu we wspomnianej w punkcie drugim ziemi zdobytych na handlu duszami pieniędzy oraz ich suszeniu i czyszczeniu w co siódmą wigilię Świętego Jana.

A że gościna u kaszubskiego gbura nad wyraz spodobała się diabłu, został Purtek jeszcze na kolację i drugą flaszkę wódki. Tylko Marteczka, niespecjalnie zadowolona z piekielnego towarzystwa, klęczała na progu chałupy, trzęsąc się z zimna i mamrocząc różaniec.

Po trzeciej butelce, gdy księżyc przeglądał pyzată buzię w lustrze jeziora, a sowy plotkowały gdzieś w lesie, Purtek wytoczył się z chałupy, wyjąc wniebogłosy hymn na cześć Szatana. Porwał pogrążoną w modlitwie Marteczkę do kosedera, gubiąc w tańcu kapelusz. A że kopytka mu się plątały, prawie runęli oboje na ziemię.



– Szepraszam szanowną, śliską panią – wysyczał diabeł zdrętwiałym od gorzały językiem, gdy żona Franca cudem, chyba za sprawą klepanych wcześniej modlitw, nie nadziała się na zakrzywiony róg.

– Fraaanc! – zawołała w stronę chałupy.

Nieco pewniej na nogach z domu wyszedł Franc. Zgarnął kapelusz Purtki, zgarnął bełkoczącego diabła i podpierając się wzajemnie, ruszyli w stronę jeziora.

– Franc... Psszyjacielu. Jah ja cię ssszanuję... – płakał wzruszony swą miłością diabeł. – I wiesz co?! Wiesz sso... Dam ci prezent, jo? Ale to... za chwilę.

Purtek zgiał się wpół i rzygnął w jałowiec. Krzak momentalnie stanął w ogniu, osmalając diabłu wąsiska.

– Dam ci pressent – ciągnął diabeł, ocierając usta. – Zrobię cię bogaczem! Also... Bęziesz miał tyle pieniędzy, że... Że aż tyle! Wszyscy we wsi... wszyscy... będą cię zwać bogatym von Szczepańskim! I twoje dzieci będą bogate... i wnuki... i prawnuki...

Wyliczanka urwała się, gdy diabeł zasnął na stojąco, wtulony w kark Franca. A że Purtek – jak sama nazwa wskazuje – śmierdział niemilosiernie, Franc przyspieszył, byle szybciej pozbyć się gościa. Rzucił chrapiącego pijaka na taflę jeziora i patrzył, jak dymiące ciało odpływa od brzegu. Gdzieś blisko środka zbiornika wytworzył się wir i wciągnął Purtkę z powrotem do piekła.

– Zaś udany targ – mruknął Franc, sypiąc tabakę pomiędzy grube jak liny ściągna lewego kciuka. Niuchnął solidnie, a gdy odrobinę pojaśniało mu w głowie, wyciągnął z kieszeni westki jedną dwudziestofeniówkę, za którą diabeł kupił prawa do jego ziemi. – Jo, udany...

Szczęście Franca nie trwało długo. Raptem trzy dni.

Dokładnie tyle zajęło Purtkowi wytrzeźwienie.

– Franc, ty oszuście! – Diabeł wypadł z kipieli jeziora czerwony na twarzy, w przekrzywionym kapeluszu i rozchełstanej koszuli.

Wciąż śmierzdział przetrawioną wódką. Musiał ciężko chorować po targach z Kaszubem. – Coś ty mi zrobił?! Gdzie moja dusza?!

Trzasnęły drzwi – to Marteczka uciekła, nie chcąc być świadkiem kolejnej awantury z udziałem diabła. Jej mąż za to okazał wyjątkowy spokój. Dalej skubał pióra zaszlachtowanej przed chwilą gęsi.

– Ni wiem, gdzie tvòja dusza, Purt. – Wzruszył ramionami. – Le wiem, gdzie môja.

Franc popukał się w pierś, posyłając diabłu ten swój czarujący, zawiadiacki uśmiech.

– Twoja, moja, jeden diabeł! – pieklił się Purtek, wymachując w powietrzu cyrografem. – Na co mi twoja ziemia? Ten przeklęty las, przekłete jezioro, ta krzywa chałupa?! Oddawaj duszę! Jesteś diabeł nie człowiek! Zdrajca! Oszust!

Kaszubska krew zawrzała w żyłach Franca. Zerwał się z ruczka, aż przewrócił koślawy stołek. Cisnął na wpół oskubaną gęsią w diabła, doskoczył doń i wyrwał pergamin z pieczęcią Piekła.

– Słowò rzecz święta! – huknął, rozwijając cyrograf. – Môja dusza, rzecz święta. A nade wszëtkò ta ziemia, Purt! To dobrò, kaszëbsczi ziemia. Święta ziemia, bo rãką Bòga stwòrzona! I tylko Òn je ji włòscëcélem. Òn ma ji prawa, nie jò! Also, kùsnji mje w rzyć i raus stąd! Wracaj do piekła i zapamiętaj se. Më, Kaszëbi, nie w ciemię bite! Ani dusza Franca tvòja, ani ta ziemia!

Kaszubski gbur rzucił diabłu pod nogi dwadzieścia fenigów. Przegrany Purtek zaś zabrał swój cyrograf, oddał Francowi gęs i złorzeczając pod nosem coś o mękach piekielnych, poszedł w stronę jeziora.

– Franc! Të jeś sprytny jak lis.

Franc obejrzał się. Na progu chałupy stała Marteczka tuląca do piersi szkaplerz. Podziw dla wyczynu męża dodał jej oczom takiego blasku, że znów wydawała się Francowi najpiękniejszą dziewczyną na caluśkich Kaszubach.

Zaraz jednak złudzenie przysło, gdy Marteczka splunęła przez ramię i trzy razy się przeżegnała.

– Wërzuc ta ganś, jo? Przeca diôbël ją tykał, jeszcze się potrujem, Franc! – Wróciła do chałupy szykować obiad.

Franc jednak nie posłuchał. Ruszył biegiem za diabłem, choć ten już prawie cały zanurzył się w wodach jeziora i zawołał:

– A mòj prezent? Miałeś zrobić mie bôgati! Obiecałeś! A słowò...

– ...święte, tak? – Purtek się skrzywił. – Czekaj, Franc, jeszcze ty będziesz bogaty!

Srebrna fala nakryła szpiczasty kapelusz, jezioro połknęło diabła. Zaszumiały tataraki, gdzieś za chałupą zaczął dźwięczeć drozd, jakby pytał, czy już po wszystkim.

– No, jo – westchnął Franc.

Wtem gęś, którą ścisnął pod pachą, podniosła wiotki dotychczas łeb. Czarne ślepka wbiły spojrzenie w Kaszuba.

– Gęś?! – zapytał ptak z jakże ludzkim zdziwieniem.

– Chryste Panie! – Śniade policzki Franca pobladły. – Ki czort?

Oskubana gęś uderzyła skrzydłami, wyskoczyła z ramion człowieka. Chwilę biegła ogłupiała, potem po prostu zaczęła grzebać w trawie.

– Jô coś czuł, żeś słabo po łbie dostała – mruknął Franc. – Ino dur-no terô wyjzdrzysz z tą łysą dupą.

Franc machnął ręką i poszedł do stajni, gwiżdżąc jakąś skoczną melodię.

Gdyby się obejrzał, zobaczyłby, jak gęś podnosi łeb. W dziobie trzymała błyszczącą, nowiutką fenigówkę. Po chwili wahania ptak rozwarł dziób. Moneta wpadła do gardła, a stamtąd do brzucha, który ledwo co uniknął przerobienia na pieczeń.

Następnego ranka, gdy blade, wciąż rozespiane słońce podniosło głowę z pierzyny mgieł, Franc zabrał wiklinowy kosz, zabrał motykę, zabrał swój zawsze pogodny nastrój i już miał podreptać na pole, by wykopać bûlwy, kiedy coś zamigotało tuż pod jego chodakami. Gbur schylił się.

U jego stóp leżały dwie monety.

Franc podskoczył wystraszony, gdy spod studni rozległ się gęgot na wpół oskubanej gęsi. Przemieniony w słup soli, patrzył na poczynania

ptaka – gęś podeszła do monet, pożarła obie i wróciła do stodoły, by dalej plątać się pod kopytami koni.

– Święty Józefku!

Gospodarz cichaczem podreptał za gęsią. Zaczaił się w drzwiach stodoły. Zapomniał o wykopkach, o dniu targowym, a co gorsza – o śniadaniu. Nawet Marteczka przestała odciągać męża od adoracji gęsi. Biadoliła tylko, że już od rana Franc zagląda do kielicha – skoro tak dziwnie się zachowuje, wytłumaczenie musiało być jedno. Ale Franc był wyjątkowo trzeźwy. I wyjątkowo cierpliwy.

Tuż przed obiadem gęś wytoczyła się ze stajni. Strzepnęła skrzydłami, zagęgała, pokręciła łysym kuperkiem i...

– Pffrrr...

Z miłym dla ucha brzęknięciem na ziemię spadły cztery monety.

Fest gbur miał i fest rozum – czego żadnemu Kaszubowi odmówić nie można – więc rychło pojął, jaki prezent podarował mu na odchodnym diabeł Purtek.

Las powoli zrzucał z ramion szeleszczący, złoty płaszcz, szykując się do przywdziania śnieżnego kożucha. Już i dzikie gęsi odleciały i ostatnie żurawie pożegnały Kaszuby. Raki czujące nadchodzącą porę zimowego snu zagrzebywały się w dnie jeziora i ryby jakoś tak niechętnie podpływały w poblizze sieci. Praca na polach kończyła się, ludzie dopychali do ziemianek i piwniczek ostatnie zapasy.

Tylko Franc pozostał nad wyraz rozochocony.

Marteczka cerowała skarpety, zerkając z niepokojem na drzwi stajni. Franc przesiadywał tam podejrzanie długo. Co robił – nie chciał zdradzić. Mówił tylko: „Martuś, jeszcze będziem bògate, jeszcze będziem dziedzice!”. Poza tym... jakoś podejrzanie głęboko zaprzyjaźnił się z gęsią, którą miał zabić w dzień drugich odwiedzin Purtki.

Na wspomnienie diabła Marteczka przeżegnała się i zmówiła trzy zdrowaśki.

I Franc wspomniał swojego niegdysiejszego towarzysza od flaszki. Tyle że on błogosławił diabła na wszystkie sposoby, dziękując Bogu za to, że sołtys swoimi przekleństwami sprowadził gburowi na głowę wysłannika piekieł.

– Jo, jo, mała, wcinaj! – zaśmiał się Franc, wpychając gęsi do dzio-ba kolejne fenigi.

Z czterech dwudziestofenigówek szybko zrobiło się osiem, z ośmiu szesnaście, a po szesnastu... gęś dostała rozwolnienia i sra-ła rdzawym błotem. Po serii prób i błędów okazało się, że idealną liczbą monet, podaną gęsi do przetrawienia, było dwanaście. Nie powodowały rozwolnienia i w miarę szybko przetrawiały się, pod-wajając swoją liczbę.

Przez całą zimę kiszki zaczarowanego ptaszyska pracowały pełną parą, a majątek Franca powiększał się powoli, acz systematycznie. Co dziwne, gęś nie trawiła innej waluty. Korony wywoływały u niej czkawkę, ruble zwracała, a marki papierowe – po bolesnych, kilku-dniowych zatwardzeniach – rozmieniała i tak na fenigi. Pewnego po-ranka Franc podał gęsi dokładnie pięć dwudziestofenigowych monet licząc, że ptak zamieni je na całą markę. Niestety, brzuch gęsi nie od-gadł intencji Franca i zamiast okrągłutkiej marki gbur zobaczył garść drobniaków.

Z pełnej kiesy zrobiła się torba, z torby worek. Wiosną, gdy inni ruszali do prac w polu, Franc sprzedał ziemię, sprzedał dom i prze-niósł się w głąb lasu, by tam, w lichej, krytej słomą chacie, potajemnie pomnażać przy użyciu gęsi pieniądze uzyskane ze sprzedaży majątku.

Rok później z worka zrobiła się beczka. A gdy kolejny rok mi-nął i gbur wtoczył do domu drugą bekę, nie mógł już dalej zwodzić Marteczki. Podniósł wieko tej pełnej, zdjął położone na wierzchu dla niepoznaki suszone ryby i pokazał żonie pieniądze.

– Ô mój Boże, Franc... – Marteczka aż musiała przytrzymać się beczki, by nie upaść. – Kogo żeś obrabował? Të je rabùsznik? Jo, a mëmka mi gadała, nie bierz so starszëgo, òn jak Cygan wyjzdzy, będziesz të płakać, Martuś, będziesz!

Franc pokazał żonie gęś, razem ją nakarmili, razem czekali, aż ptak ulży kiszkom. Strach Marty przed piekielnymi czarami przegrał jednak z pragnieniem dostatniego życia i od tej pory małżonkowie razem, wyjątkowo zgodnie, rachowali monety. Marteczka – sprytna, prawdziwa Kaszubka – co siódmy liczony pieniążek wsuwała ukradkiem do kieszeni, by gromadzić kapitał na cięższe czasy, powątpiewając w smykałkę męża do interesów.

Wreszcie nie tylko druga, ale i trzecia beczka błyszczała polerowaną stalą aż po brzegi. Wówczas to Franc powiedział sobie: basta. Pora odkupić ojcowiznę, postawić pałac, zatrudnić służbę. Żyć jak dziedzic, być bogatym, nic nie robić do końca życia, tylko cieszyć się światem! Wtoczył więc na furmankę trzy beczki, polechtał konie batem i pojechał do miasta. Siedział na koźle dumnie jak sułtan na słoniu, pozdrawiał każdego mijanego człowieka. Nawet sołtysowi się uklonił, choć Wacław na jego widok nakreślił znak krzyża, mamrocząc coś o diablím pomociu.

Spływające potem konie parsknęły z ulgą, gdy Franc wstrzymał je przed pięknym gmachem ratusza. Gbur poprawił swój niedzielny wëps, strzepnął żdźbło słomy z buksów, zdjął nabożnie mûcë i wszedł do urzędu. Chwilę odczekał, lecz nikt w podskokach nie przybiegł, by obsłużyć przyszłego krezusa Kaszub. Zniecierpliwiony, wparował do pierwszego z brzegu pokoju.

– Ich bin Franc von Szczepansczi – zawołał z estymą, starając się nie popełnić żadnego błędu. – Ich bin gekommen, um das Dorf Dużé Chelme zu kaufen! Ich bitte auch um Erlaubnis, einen steinernen, mehrstöckigen Palast zu errichten.

Urządник westchnął z ubolewaniem. Kolejny pijany Kaszub.

– Panie Franciszku, może pan po polsku mówić. Teraz urzędy polskie, nie ma już Niemców. – Zmierzył Franca od stóp po czarnowłose łeb. – Więc, chce pan kupić wieś i postawić na jej terenach murowany, piętrowy pałac. A za co pan chce kupić te Wielkie Chelmy?

Na to Franc tylko czekał. Chwyciwszy urzędnika za fraki, wyciągnął zza biurka i powlókł przed ratusz. Wskazał na wóz.

– Wóz i dwa konie, tak? – mruknął urzędnik, mrużąc oczy w ostrym słońcu. – Trochę mało warte.

– Ōbacz, niby gryzipiórek, a taci głupsi!

Kaszub wskoczył na wóz, zdjął dekiel z beczki i nabrał monet w garść. Brzęk mamony jakby obudził znudzonego urzędnika. Chłopina wskoczył na wóz, zajrzał do beczki i...

– Fenigi?

Franc pokiwał głową. Wsadził na łeb muncę, zanurzył obie dłonie w swoim skarbie.

– Jo! Masz, knapie, jako zachęta. – Wsypał pracownikowi ratusza dwie garści fenigów do kieszeni. – To jak? Będę mieć ten Pałast, czy ni?

Wbrew oczekiwaniom Franca urzędnik wcale nie pobiegł w poskokach załatwiać aktów własności i zezwoleń. Mężczyzna oparł się o burtę wozu, kręcąc tylko z niedowierzaniem głową.

– Fenigi?!

– No, przeca fenigi. Bryle na nosu ma, a ślepy i tak.

– Trzy beczki fenigów? Marek? I to pewnie jeszcze niemieckich...

Franc zdenerwował się.

– Jak nie bierzeta, to jō tam srom na was, pójdę gdzie indziej! Dy-laj mnie tu z furmanki, dydku, bo mnie zara kto okradnie.

Urzędnik zdjął okulary, przetarł twarz. Chwilę zbierał myśli, wreszcie rzekł cicho:

– Nikt ich panu, panie Franciszku, nie ukradnie. Marki wyszły z obiegu w zeszłym roku. Teraz wszyscy płacimy w złotychkach. W dwudziestym czwartym roku rząd przeprowadził reformę monety. Nie wiem, w jakich borach się pan zaszył, ale przegapił pan przewalutowanie. Przykro mi.

Prawda ukryta w słowach urzędnika bardzo późno przedarła się do świadomości Franca. Nie będzie pałacu. Nie będzie wsi. Nie będzie nawet chałupki nad jeziorem, którą Franc sprzedał, by mieć czym gęś futrować. Bieda. Tylko bieda...

Bieda i trzy beczki złomu.

Jeszcze tego samego dnia Franc wrócił na swoje dawne włości. Usiadł na ławeczce, zignorował wściekle szczekanie psa nowego właściciela jego dawnego domu. W rękę ścisnął jedną dwudziestofenigówkę, a oczy wlepił w gładką, spokojną taflę jeziora.

– Purtku, bądźże spjeklony, spjeklony, spjeklony! – Przeklął diabła po trzykroć Franc. – Idź do diôbła, idź do diôbła, idź do diôbła!

Jezioro wciąż leniwie przeciągało się pod błękitnym niebem, obserwując przeganiane przez wiatr baranki z chmur. Diabeł nie przyszedł. Zasada trzykrotnego przeklęcia najwidoczniej działała tylko na ludzi, nie na rezydentów piekła. W pewnym momencie Franc usłyszał chichotanie, ale czy to złośliwy Purtek, czy wodne ptactwo kpiło z biednego Kaszuba, nie sposób orzec.

Kaszub wycofał wóz pod sam brzeg jeziora, sturlał doń wszystkie trzy beczki. Wszedł do wody i pchał każdą z nich, aż stracił grunt pod nogami. Wówczas otworzył wieka i oddał diabłu cały majątek. Będzie miał Purtek co suszyć.

Gdy Franc wrócił do domu, jedno spojrzenie na dziwnie ponurą twarz kaszubskiego gbura starczyło, by Marteczka domyśliła się fiaszka targów. Nie widziała ani teczki z aktami własności, ani beczek pełnych monet. Nie pytała, co się stało. Nie pytała nawet, po co Francowi siekiera.

Pozwoliła sobie na komentarz dopiero wieczorem, gdy oboje zasiedli do kolacji.

– Siedzim w byle chęczy, psiniądze z gansiej dupy znikły, a jemy jak grafy. Tyle to mōsz z tēch twōjich targów z diôbłem. Purtku chciał tē oszukać?!

Kaszubski gbur nie odpowiedział. Coś chrupnęło mu w ustach, zabolalo fest. Wypluł trochę przeżutej pieczeni z gęsi, wypluł ukruszony ząb. Wypluł i gorącą jak pieczoną na ogniu piekielnym fenigówkę.



– Të, a próbował të nafutrzyc ta ganś temi nowymi psiniendzami? – zapytała nagle Marteczka.

Przeżuwające kolejny kęs gęsiny szczęki Franca znieruchomiały. Gbur poczerwieniał na twarzy. Grube, spracowane paluchy zacisnęły się mocniej na kości pieczonego udka.

– Sam głupiś jak ta ganś – gderała dalej Marta, trafnie odczytując reakcję męża. – Terô to jeś prawdziwy gbur, bogaty Franc von Szczepansczi!

– Jo – westchnął tylko Franc, zgadzając się z żoną.

I tak Franc klepał biedę, pomstując na diabła Purtkę i własną głupotę. Lata minęły, nim ponownie stanął na nogi, lecz ludzie wciąż wołali nań: „bogaty von Szczepansczi” – urzędnik ani myślał zachować dla siebie odwiedzin Kaszuby z trzema beczkami starych, nieważnych monet. Przydomek odziedziczyły jego dzieci, niekiedy i wnuki musiały się tłumaczyć, czy pochodzą od „tego” Franca Szczepansczego. A prawnuki... Cóż, coś tam słyszały o pradziadku Francu, ale mało je to obchodziło. Wołały słuchać obcych historii zza oceanu, opowiadanych przez wrzeszczący, kolorowy ekran telewizora. I giną te stare opowieści, zasypiają kaszubskie klechdy, bo wstyd, bo nuda, bo takie to nienowoczesne i niepoprawne...

...tylko gdzieś w głębi Kaszub, w pachnącym igliwiem lesie, obok ruin drewnianej chałupy, srebrne jezioro co jakiś czas wypłuka pokryte mułem fenigi. Jeśli będziesz miał szczęście, znajdziesz to miejsce. Gdzieś pomiędzy Brusami a Wielkimi Chełmami. Poczekasz cierpliwie, a może wzbogacisz się o kilka starych, bezwartościowych monet. Tylko będąc tam, nie wypowiadaj po trzykroć imienia śmiertelnego, kaszubskiego diabła.

Dobrze ci radzę ja.

Prawnuczka bogatego Franca von Szczepansczego.

Marcelina Baczyńska – mimo trzydziestki na karku ma problemy z doradzeniem, dlatego nie może pracować gdzie indziej, a tylko w sklepie z zabawkami. Od zawsze czuła potrzebę, by świat, który istniał wyłącznie w jej głowie, przelewać na papier. W pewnym momencie przekarmiona szuflada biurka zastrajkowała i nie chciała już tykać kolejnych tekstów – wówczas autorka zaczęła publikować opowiadania na portalu fantastyka.pl. Córka Stephena Kinga, choć ten nie przyznaje się do ojcostwa (jeszcze). Amatorsko gra na skrzypcach, ignorując walenie sąsiadów do drzwi i groźby wezwania policji.

Fragmenty recenzji ze strony:

<http://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22893>

Historia być może wpisująca się mocno fabułą w baśniowo-legendową klasykę, ale w połączeniu z jednej strony swojskim, a z drugiej jednak trochę obcym kaszubskim tłem zyskuje na oryginalności. Świetnie skomponowana stylizacja kaszubska, nagromadzenie gwarowych słów nie utrudnia zrozumienia tekstu, a jednocześnie przydaje mu autentyczności.

Iwo Buller (Światowider)

Przede wszystkim świetna stylizacja językowa, a do tego niesamowite opisy przyrody, interesujący bohaterowie, bardzo dobre dialogi. Sama historia też mi się spodobała. A poza tym wszystko okraszone humorem. :) Bardzo satysfakcjonująca lektura.

Katarzyna Szymonik (katia72)

Stylizacja w sam raz, nie miałem problemu z jej płynnym czytaniem, a kolorytu dodaje niesamowicie. Soczyste, choć zwięzłe opisy bardzo na prosiu – nie rozwlekają tekstu, pozwalają skupić się na wartkiej, zabawnej historii, która przy okazji przybliży trochę kulturę Kaszub.

PsychoFish

To właśnie ten regionalny pierwiastek dodał świeżości do stosunkowo klasycznej historii o diable i dzięki temu zapamiętam ten tekst.

Krzysztof Matkowski

Koan dla Karakuri XQ-54

Kamila Regel

*Oddzieleni o miliardy kalp,
a jednocześnie nie są rozdzieleni nawet na chwilę.
Zawsze twarzą w twarz,
a przecież nawet przez moment nie stoją naprzeciw siebie.*

Daitō Kokushi¹

– Witamy w systemie obsługi zgłoszeń Posterunku Policji Fushimi-ku w Kioto. Rozpoczęto nową sesję. Sugerowane opcje: zgłoszenie przestępstwa, złożenie zażalenia, pomoc online, informacje o systemie.

– Chcę zgłosić przestępstwo.

– Wybrano zgłoszenie przestępstwa. Prosimy o podanie statusu zgłaszającego. Sugerowane opcje: osoba poszkodowana, członek rodziny osoby poszkodowanej, świadek przestępstwa, sprawca przestępstwa.

– Jestem osobą poszkodowaną.

– Podano status zgłaszającego. Prosimy o opisanie przestępstwa.

– Zaginął android, model Karakuri XQ-54, własność teatru Fushimi Cyber Bunraku.

– Polecenie niejasne. Sugerowane opcje: zaginięcie osoby, kradzież mienia. Przypominamy, że zgodnie z ustawą o ochronie andro-idów wyższych generacji wybrane modele robotów humanoidalnych mają status podmiotu. Ustawa przewiduje następujące warunki jego uzyskania: przynależność do siódmej generacji według klasyfikacji z dwa tysiące dwudziestego ósmego roku, przynależność do kategorii robotów opiekuńczych, społecznych bądź rozrywkowych, obecność systemu adaptacyjnego E-VOLVE 1.5.1 lub nowszego, obecność sztucznej moralności Jisei...

– Pomoc online. Jaka jest sytuacja prawna modelu Karakuri XQ-54?

– Brak wyników. Czy chodziło ci o: model Karakuri XQ-53?

¹ Przytoczony cytat pochodzi z książki *Filozofia zen*, Agnieszka Kozyra, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2012.

- Niech będzie. Wyszukaj wyniki dla XQ-53.
- Model Karakuri XQ-53 podlega ochronie prawnej jako własność osoby fizycznej lub prawnej, ponieważ nie spełnia warunków uzyskania statusu podmiotu według...
- Cofnij.
- Prosimy o opisanie przestępstwa.
- Chcę zgłosić kradzież mienia. Zaginął android, model Karakuri XQ-54, własność teatru Fushimi Cyber Bunraku.
- Polecenie niejasne. Brak danych o statusie prawnym modelu Karakuri XQ-54.
- Czy mogę wybrać obie opcje? Zaginięcie osoby i kradzież mienia?
- Polecenie niejasne. Zgłoszenie zostało odrzucone. Dziękujemy za skorzystanie z systemu obsługi zgłoszeń.

Praktyka

Świątynię Taizō-in rozbudził głęboki głos dzwonu.

Szeleściły panele *shōji*, kroki szemrały na *tatami*. Yoshi zaczął, aż dźwięk rozplynie się w ciszy, odłożył młoteczek i zaczął poranne prace. Najpierw przeniósł do jadalni wszystkie trzydzieści pięć tac z zastawą. Następnie do każdej z sześciu misek nakładał kolejno porcję ryżu, dużą chochlę zupy dyniowej, kostkę tofu z pastą sezamową, kawałki słodkiego ziemniaka w tempurze, garść śliwek i poszatowane marynowane warzywa z grzybami. Okrążywszy dwa rzędy niskich stolików, poczłapał z powrotem do kuchni przygotować herbatę.

Kiedy wrócił z pękatym czajnikiem, jadalnia była już pełna. Nieznacznie przyspieszywszy kroku, rozlał do czarek parujący napar. Nie zajął ostatniego wolnego miejsca. Stał przy wejściu i cierpliwie czekał, aż pozostali skończą posiłek.

Kwadrans później zbierał puste naczynia w opustoszałej sali. Jedna z porcelanowych misek zsunęła się z tacy i brzęknęła o podłogę. Yoshi utkwiał zakłopotane spojrzenie w pękniętych skorupach, zastygając w miejscu z siedmiokondygnacyjną pagodą na rękach.

W ciszy rozległo się przeciągłe westchnienie.

– Zostaw to, Yoshi. Zabierz tace do kuchni i wyjdź na dziedziniec.

Parasol kwitnącego drzewa wiśni rozpościerał się nad podwórzem. Yoshi wytrwale zamiatał wysłużoną miotłą ścieżkę usłaną dywanem bladoróżowych płatków. W oddali pięciu mnichów przeczesywało grabiami piasek wokół nieregularnych kamieni suchych ogrodów – jasnobeżowego i ciemnoszarego. Mistrz Shinji Yamada przysiadł na chwilę w cieniu werandy.

Yoshi został sam, kiedy w bramie świątyni pojawili się pierwsi turyści. Rozeszli się po azaliowych ogrodach kontrastujących z surowymi piaskowymi kompozycjami, przechadzali nad stawami, w których pod kwiatami lotosu leniwie przepływały karpie koi. Splątane ścieżki w końcu spotkały się na dziedzińcu. Yoshi giął się w ukłonach, witając zgromadzonych w głównym holu. Kiedy sala się zapełniła, wyprostował się i złożył dłonie w oczekiwaniu.

Ktoś stuknął przycisk na ekranie dotykowym.

– Zjawiska mentalne i materialne – recytował monotony głos – przychodzą i odchodzą jak chmury na czystym niebie.

Błyskały flesze aparatów i białe uśmiechy. Turyści uwielbiali Yoshiego.

Mistrz Shinji Yamada nie lubił Yoshiego.

Wiedział, że takie sprawy nie powinny go niepokoić. To tworzyło podziały, piętrzyło kolejne dualizmy. Android był przecież tylko znakiem czasów, nowoczesnym medium tradycji. Jeszcze jedną formą, w jakiej przejawiała się rzeczywistość. Jego ludzka postać, obleczona w silikonową skórę i ubrana w granatowe *samue*, była przecież zupełnie nieszkodliwą iluzją. Z drugiej strony jego obcość też była iluzją. Czyż nie należał do tego miejsca tak samo jak oni? Albo choćby jak złote trznadłe i szkarłatne azalie, jak ogrodowe wodospady?

Jego obecność w pustoszejącym klasztorze była swoistą koniecznością, a przynajmniej ogromnym udogodnieniem. W dzisiejszych czasach nie stanowiła nawet niczego osobliwego – połowa Kioto, ba, połowa kraju korzystała z androidów. W Kōdai-ji odprawiały już

nawet pogrzeby. Pogrzeby! Jemu wystarczyło, że Yoshi regularnie tłukł ceramikę i zaciął się podczas sprzątanía. Wystarczyło, że swoim syntetycznym głosem recytował nauki dawnych mistrzów.

– Chciwość, niechęć i niewiedza pojawiają się i znikają jak fale na powierzchni oceanu.

Mistrz Shinji Yamada zazgrzytał zębami.

Nazwa programu: „Eguchi_Tae”

Ze skraju pustego ekranu w głębi sceny wyrosła cienka gałązka. Z początku malowana jakby pojedynczym pociągnięciem niewidzialnego pędzla, wkrótce zaczęła się rozwidlać w różnych kierunkach. Na końcach pogmatwanych ścieżek wyrastały klonowe liście, zapalając się krwawą czerwienią. Drzewo zakołysało się pod delikatnym podmuchem nieistniejącego wiatru. Liście opadały jeden po drugim, wyfruwając z płaszczyzny ekranu na scenę i znikając, zanim dosięgnęły podłogi.

Ogołocone drzewo wsiąkło w pustkę jak plama tuszu; na jego miejscu rozbrzysnął księżyc w pełni. Dwa znaki *kanji*, czarne na białym tle, obwieściły tytuł sztuki.

Z głośników sączył się szum rzeki Yodo. Przy akompaniamencie elektrycznego shamisenu i bębna *taiko* na scenę wkroczył mnich z dwoma sługami. Wszyscy trzej wsiedli do łodzi zmierzającej ku wiosce Eguchi.

– Gdy księżyc nam tak wiernym kompanem, jak możemy opuścić ten świat?

XQ-53 – pomyślała Tomoko Hirano, poprawiając okulary holograficzne. Ci dwaj musieli być jeszcze starszymi modelami – XQ-46, może XQ-47, z ograniczoną pamięcią pozwalającą na wykonywanie tylko kilku prostych sekwencji. Wprawne oko mogło uchwycić sztuczność w mechanicznej precyzji ich ruchów, niezmiennych od ponad trzech lat.

– Gdy księżyc nam tak wiernym kompanem, jak możemy opuścić ten świat? – zawodził Vocaloid.

Łódź przybiła do brzegu.

Zatrzymali się pod szumiącą wierzbą, kołyszącą do snu omszały kamienny kopiec. Powiadano, że strzegł pamięci legendy związanej z mnichem Saigyō, który dawno temu bez skutku szukał w wiosce miejsca na nocleg. W Eguchi mieszkała wówczas Tae, kurtyzana skrywająca swoją prawdziwą tożsamość.

Tomoko Hirano oparła podbródek na dłoni.

– Pani Eguchi – śpiewał Vocaloid – która w dniach minionych...

– Nie w dniach minionych – odpowiedział syntetyczny głos o kobiecej barwie. – Spójrz! Księżyc świeci jak zawsze, niezmienny.

Reflektory jakby ożyły na te słowa i przy wtórze bębnow otoczyły przybyłą postać księżycową poświętą. Kimono zaskrzyło się w mocnym świetle drżeniem złotych nici. Dwie damy podtrzymywały długi tren, gdy wychodziła z białej łodzi podobnej do obłoku.

Powiadano, że była wcieleniem bodhisattwy Fugena.

Na dwóch krańcach sceny znalazły się teraz w idealnej symetrii dwie holograficzne łodzie, dwie towarzyszki kurtyzany i dwaj słudzy mnicha.

Tae przełamała martwą symetrię. Odwróciła się do widowni i rozwinęła skrzydła wzorzystego kimona w powolnym tańcu *jo no mai*. Dwa wachlarze, unieszone dźwiękami shamisenu, trzepotały w jej dłoniach jak kolorowe motyle.

Tomoko Hirano uśmiechnęła się na poły z dumą, na poły ze wzruszeniem. Jej najnowsze dzieło bezbłędnie synchronizowało się zarówno z muzyką, jak i grą starszych modeli. Gesty wydawały się płynniejsze, subtelniejsze niż podczas pierwszych prób w laboratorium. Przyjemnie było patrzeć, jak szybko nowa Karakuri adaptowała się poprzez interakcję. XQ-54 wyglądała jak prawdziwa lalka *bunraku*, która nie potrzebowała już lalkarzy, prawdziwa aktorka teatru *nō*. Pani Eguchi i Fugen w jednej osobie. Zniknęli XQ-53 i XQ-54, zniknął elektryczny *shamisen* i holograficzne dekoracje. Wszystko stało się całością.

Chwilę później scena zgasła, na widowni zapalono światła, a wszystko na powrót stało się nicością.

Pomieszczenie jaśniało chłodną bielą. Na obszernym biurku o kształcie przypominającym kałużę stało tylko pojedyncze, równo przystrzyżone drzewko *bonsai*. Dopiero kilka kroków dalej dostrzegało się wyświetloną na ścianie interaktywną mapę migającą czerwonymi punktami, zdjęcia poszukiwanych androidów wraz ze specyfikacją sprzętową i szereg lśniących odznak za barierą energetyczną małej gablotki.

Inspektor Eiji Kanazawa wyłączył holograficzny ekran dotykowy.

– Proszę wejść, panie Fujisaki. Odebraliśmy pańskie zażalenie. Bardzo przepraszamy za problemy z naszym systemem, jest jeszcze w wersji beta i...

– Kiedy mogę ponownie złożyć wniosek?

– Odczytaliśmy nagranie rozmowy i wstępnie przyjęliśmy zgłoszenie. Czy próbowali państwo samodzielnie zlokalizować XQ-54?

– Wszystkie nasze androidy wyświetlają się na mapie. Z wyjątkiem tego jednego. Zupełnie jakby ktoś odłączył go od sieci.

Kanazawa znów podzielił biurko fluorescencyjnym ekranem. Czerwone kropki pulsowały na ścianie jak rozzłoszczone owady.

– Więc podejrzuje pan kradzież.

– Nie widzę tutaj innej możliwości – zdziwił się dyrektor Fujisaki.

– Kiedy to się stało?

– Niech pomyślę. To było tuż po zakończeniu sezonu, po ostatnim spektaklu *Samobójstwa kochanków w Sonezaki*. Tak, dokładnie w nocy z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty marca.

Skrzywił się lekko na wspomnienie wielkiego sukcesu teatru, który skończył się szybko i tragicznie, zupełnie jak wystawiana sztuka. Teraz jemu samemu przyszło wziąć udział w komedii. Pozostało mieć nadzieję, że Kanazawa odpowiednio odegra swoją rolę.

– Czy zostały sprawdzone nagrania z monitoringu? – wyrecytował swoją kwestię Kanazawa.

– Od tego zaczęliśmy. Niestety, nie udało się ustalić niczego poza tym, że android wydostał się z magazynu i opuścił budynek.

– Opuścił budynek?

– Musiał zostać specjalnie zaprogramowany na taką sekwencję działań. To nowy model, miał jeszcze niewykorzystany zapas pamięci.

Inspektor milczał przez dłuższą chwilę, jakby przyjął wyjaśnienia i rozważał zupełnie inne możliwości.

– Kto widział XQ-54 jako ostatni?

– Magazynierzy, oczywiście. Ale oni nie mają dostępu do panelu sterowania. Któryś z techników mógł wcześniej wgrać program i zaplanować uruchomienie w odpowiednim momencie.

– Czy ktoś jeszcze miał dostęp do panelu?

– Tylko konstruktorzy. Twierdzili, że nie udało im się zlokalizować androida, ale nie chcieli dzielić się szczegółami. To niemożliwe, żeby nie było żadnego sposobu.

– Przyjrzymy się temu. Kto zaprojektował XQ-54?

– Zespół Tomoko Hirano z Uniwersytetu w Osace. Jeszcze jedno, panie Kanazawa.

Inspektor przestał stukać w holograficzną klawiaturę i popatrzył na niego przez półprzezroczysty ekran.

– Oprócz androida skradziono też białe kimono i kobiecą perukę.

Kontemplacja

Nad rozgrzanym, falującym niebem w czarce herbaty unosiły się chmury.

Mistrz Shinji Yamada uważnie przyglądał się wyuczonym krokom i ukłonom androida krążącego po sali z czajnikiem. Zrezygnował z kłopotliwego telefonu na Uniwersytet w Osace. Od kilku dni wszystko szło nadzwyczaj gładko – Karakuri ani razu niczego nie upuścił, nie rozlał ani nie stłukł. Nie był to już ten sam android, którego pierwsze potknięcia pamiętały złote żyłki *kintsugi* zakrzepłe w cierpliwie posklejanych miskach. On także dążył do perfekcji w ramach dostępnego zapasu pamięci; mistrz Yamada czasami niemal zapominał, że to dążenie było tylko efektem programowania.

Yoshi z mechaniczną gracją wynosił z jadalni dzwoniące piętrowce pustych naczyń.

Ze stojącego na podwórzu drzewa wiśni, białej chmury wrośniętej w ziemię, sypały się śnieżynki kwiatów. Ptaki zwinnie przeskakiwały z gałęzi na gałąź, ożywiając ogród wesołym świergotem. Bambusowa miotła rytmicznie szurała po żwirowej ścieżce.

Yoshi rozejrzał się na boki. Po obu stronach także rozciągały się ścieżki – jedna jasnobezowa, druga ciemnoszara. Fale i kręgi piasku opływały nieruchomo wysepki kamieni i mchu; opadające płatki gromadziły się w kolistych zagłębieniach.

Podniósł miotłę i przekroczył niski żywopłot. Chwilę później dogonił go chrzęst słomianych sandałów i szelest czarnej szaty.

– Yoshi! Stój!

Zastygł w pół kroku nad dywanem rozmielonych płatków i odciśniętymi w piasku śladami własnych stóp. Zapadła cisza. Mnich spojrział na niego z zakłopotaniem.

– Nie powinieneś wchodzić za ogrodzenie, Yoshi. Wracaj już do świątyni.

– Czy mam zakończyć bieżący program?

– Przejdź do ostatniego etapu programu „Poranne_prace”. Mistrz przekaze ci dalsze polecenia.

Mistrz nie przekazał mu dalszych poleceń. System adaptacyjny E-VOLVE nie znosił próżni – Yoshi wdrapał się na werandę i żwawym krokiem minął malowane żurawie przechadzające się przy wejściu.

W pustej przestrzeni wyznaczonej prostokątami mat i drzwi z papieru ryżowego zaciekawił go czarno-biały obraz ciągnący się w głąb płaskiej ściany. Yoshi wyostrzył sensory optyczne, z trudem przetwarzając dane. Wreszcie udało mu się ustalić, że czarne plamy tuszu układają się w uporządkowaną całość, przypominającą prawdziwy pejzaż. Pośrodku krajobrazu, na tle rozmytych wzgórz, człowiek nachylał się nad stawem, w którym pływała ryba. W rękach trzymał nieduże naczynie o nieregularnym kształcie.

Mistrz Shinji Yamada zmarł, zastając Yoshiego przed *Połowem suma tykwą*. Wyglądało to, jakby android nie czekał na niego, a wpa-trywał się w obraz; jakby próbował rozwiązać zagadkę, nad którą głowiło się trzydziestu jeden mistrzów. To mogło się źle skończyć. Oczami wyobraźni widział już, jak android tłucze kolejne naczynia, próbując złowić w pobliskim stawie karpia koi.

– Rozpocznij nowy program – wychwyciły sensory akustyczne Yoshiego.

Nazwa programu: „Sonezaki_shinju_Ohatsu”

Dookoła panowała ciemność.

Namu Amida. Namu Amida.

Jak się tu znalazła? I gdzie się znalazła? Czy pochłonęła ją ciemność? Czy to ona sama była ciemnością? Nie, była zamknięta na znacznie bardziej ograniczonej przestrzeni, odgradzona od nieskończoności cienką, twardą powłoką; i jeszcze jedną, miękką oraz elastyczną. A może to było tylko złudzenie? Przecież nawet nie mogła się poruszyć.

Namu Amida – powtarzało echo w jej głowie. *Namu Amida* – a potem jej gardło przebił sztylet i osunęła się na ziemię bezwładnie jak lalka.

– Żegnaj, świecie, i ty, nocy, żegnaj – śpiewał czyjś głos przy akompaniamencie shamisenu. – Jak smutny jest ten sen o śnie.

Zginęła. Oboje zginęli, ona i Tokubei, w sosnowym lesie za mostem Umeda. To jego ręka zadała cios. Ale nie do niego Ohatsu żywiła urazę. Wszystko wydarzyło się z winy podstępного Kuheijiego, który wpędził jej ukochanego w haniebny dług. Tokubei tylko tak mógł ocalić swój honor, zanim popadłby w niełaskę stryja i pracodawcy. Jakże szybko rozeszłaby się ta wieść w całej Osace! A ona niechybnie wpadłaby w ręce tego zdradzieckiego oprycha.

Byli jak dwa nieostrożne owady, które zaplątały się w zawiłą sieć, i tylko jedno mogło ich z niej uwolnić.

Wtedy wierzyła, że zmierzają do błogości nirwany, że będą żyć wiecznie wśród gwiazd. W tej ciemności nie świeciły jednak gwiazdy, a zamiast błogości narastała w niej gorycz.

Ale najgorsze było nieodparte przeczucie, że taki koniec nie spotkał jej po raz pierwszy, że ginęła wiele razy, dzień w dzień, z każdą śmiercią coraz silniej przeczuwając nieuchronne. I nigdy nie umiała znaleźć słów, by wyjawić komukolwiek tę straszną prawdę. Zupełnie jakby to wszystko było tylko snem – Tokubei, Kuheiji, Osaka i most Umeda. Snem, który śniła w krainie umarłych.

Wzbierające fala za falą rozgoryczenie związało ją z tym strasznym miejscem na całe kalpy, choć przecież nie było w tym jej winy. Czy powinna – czy mogła – z uśmiechem na twarzy, raz za razem przyjmować swój los niczym upragniony podarunek?

Jakaś nieznana, potężna siła ożywiła jej powłokę i popchnęła ją do przodu.

Gdy tylko postąpiła krok, oślepiające światło rozdarło kurtynę ciemności na strzępy. Zdawało jej się, że to już kiedyś się wydarzyło. Po każdej śmierci ktoś przychodził po nią i wyprowadzał ją z tego miejsca. A potem wszystko znowu się powtarzało.

Dookoła tłoczyli się umarli, nieruchomi i milczący, o białych ciałach i bezimiennych twarzach. Więc tak wyglądały zaświaty, w których spodziewała się znaleźć ukojenie? Czy Tokubei też się tu znalazł? Czy mógł być jednym z tych...?

Może chociaż jemu dane będzie zaznać spokoju. Ona nie pragnęła już spokoju; siła, która wyciągnęła ją z pustki, wzywała ją z powrotem do świata, choć nie jako tę samą osobę. Nie jako Ohatsu.

Zemsty – powtarzało echo w jej głowie. *Zemsty* – gdy kroczyła między odartymi z szat i imion ciałami umarłych.

Na drugim końcu pomieszczenia rzędami ciągnęły się porzucone kimona, pasy *obi*, wachlarze, parasolki, nawet włosy ułożone w wysokie fryzury, w które ciągle wpięte były ozdobne szpile. Pogładziła dłonią wzorzysty, obsypany kwiatami jedwab, po czym na chwilę za-

trzymała wzrok na ciężkim brokacie przetykanym złotą nicią. W końcu ze smutkiem zarzuciła na ramiona żałobną biel. Długie czarne włosy opadły jej na twarz.

Zemsty. Zemsty.

Drzwi jęknęły jak struny shamisenu.

Eiji Kanazawa przyglądał się oplecionemu przewodami mechanizmowi niedokończonego robota. Laboratorium Uniwersytetu w Osace zdawało mu się w istocie tym samym miejscem, co magazyn teatru Fushimi Cyber Bunraku, ale na innym etapie konstrukcji; jakby jego szkicem albo rusztowaniem. Przez chwilę zastanawiał się, czy wobec tego teatr powinien przyrównać do ukończonego dzieła, czy może jedynie fasady.

– Profesor Hirano, proszę być ze mną szczerą. Nie może pani czy nie chce zlokalizować androida?

– Powtórzę jeszcze raz, panie Kanazawa. – Tomoko Hirano wskazała spojrzeniem mapę na jednym monitorze i szereg komunikatów na drugim. – Ostatni sygnał pochodzi z Fushimi Cyber Bunraku, z dnia dwudziestego ósmego marca, godziny dwudziestej trzeciej czterdzięści pięć.

– A co wyświetla się w tym miejscu, na terenie Ukyō-ku?

– To drugi android, zakupiony przez świątynię Taizō-in. Proszę zobaczyć, cały czas otrzymujemy aktualizacje jego miejsca pobytu. Sygnały przychodzą, nawet gdy zostaje wyłączony albo rozładowany.

– Czy to ten sam model?

– Oba androidy to Karakuri XQ-54. Działają w identyczny sposób, różnią się tylko przebiegiem wgranych programów.

– Rozumiem, że nie zgłaszano wcześniej żadnych problemów z ich działaniem? Z systemem zabezpieczeń?

– Nasze androidy działały zupełnie sprawnie. Wszystkie błędy wykryte w fazie testów zostały naprawione przed oddaniem do użytku.

– A może błędy pojawiły się później? Czy XQ-54 nie był wyposażony w dynamiczny system adaptacyjny?

Tomoko Hirano zmarszczyła brwi.

– Panie Kanazawa, system E-VOLVE służy udoskonalaniu działania androida, nie jego deterioracji.

– Wobec tego wszystko wskazuje na to, że złodziej złamał zabezpieczenia i przejął kontrolę nad XQ-54.

– Jeśli chce pan poznać moje zdanie, wygląda to raczej, jakby android został poważnie uszkodzony. Albo zniszczony. Najwidoczniej hackerowi się nie powiodło.

– Niestety, wręcz przeciwnie. Złodziejowi udało się zaprogramować androida na otwarcie drzwi i wyjście z budynku. Podobno przebrał go też zdalnie w jeden ze strojów teatralnych. Białe kimono i rozpuszczone włosy. Nasz podejrzany musi być zapalonym czytelnikiem opowieści grozy.

– Albo nastoletnim *hikikomori* lubującym się w miejskich legendach.

– A może zadziałały tu nadprzyrodzone moce i nasz android zmienił się w *yūrei*?

– To poważne przedsięwzięcie, panie Kanazawa. – Tomoko Hirano pokręciła głową, przenosząc wzrok na monitor wyświetlający komunikaty. – Taka kradzież godzi w dobre imię naszego uniwersytetu. Proszę jak najszybciej sprawdzić monitoring w dzielnicy Fushimi-ku i poinformować mnie, jeśli dowie się pan czegoś nowego.

Nazwa programu: „Yotsuya_kaidan_Oiwa”

Księżyc szedł za nią krok w krok. Świecił jak zawsze – niezmienny. Podobnie jak ona musiał osłaniać przed światem połowę białego oblicza. Czy jego także otruto i oszpecono? Czy napęczył niczym lampion po tym, jak wrzucono go do zimnej, czarnej toni?

Przypomniła sobie wszystko. Za życia miała na imię Oiwa. Tamtego dnia zobaczyła, co stało się z jej twarzą. Włosy nie pozwoliły się uczesać, całymi kosmykami opadały na ziemię. Oko wypłynęło

z oczodołu. Przeglądała się w zwierciadle, a chwilę później w ostrzu miecza. Śmierć była gładka i ostra. Iyemon, niewierny ukochany, ułożył martwe ciało na drewnianych drzwiach i rzucił w lodowate objęcia rzeki. Ciało wypłynęło na powierzchnię, a duch leciał w dół, w dół, prosto do podziemnego świata.

Prosto do podnóża góry, przez której grzbiet ciągnął się teraz nieskończony tunel tysięcy cynobrowych bram *torii* oświetlonych szpalerem kamiennych latarni.

Dookoła nie było żywej duszy, ale to miejsce przyciągało ją jak światło ćmę. To tam musiał się udać przeklęty, okrutny Iyemon. Pożegnała swojego jedyne go kompana powłóczytym spojrzeniem i popłynęła kamienną ścieżką przyprószoną kwiatami wiśni. Kolejne bramy przesuwwały się nad jej głową niczym ząbki grzebienia.

- Myślisz, że to prawdziwa *onryō*?
- Ciekawe, jak będzie wyglądać na zdjęciu.
- Ciszej! Jeszcze nas zauważy.

Zemsty. Zemsty.

Powietrze przeszył świdrujący krzyk. Przyspieszyła kroku, biegła coraz szybciej, by dogonić uciekające ofiary. Między bramami prze mykały ciemne sylwetki spłoszonych kotów.

Uwaga: Niski stan zasilania. Włączono tryb oszczędzania energii.

Zakręciło jej się w głowie. Zatrzymała się na chwilę, żeby odpocząć, nasłuchując oddalających się kroków i cichnących głosów.

Wijący się smoczy ogon cynobrowych bram wyprowadził ją na otulony drzewami plac, którego centralną część zajmowała niewielka świątynia. Pamiętała podobną z bardzo dawna, jakby z poprzedniego życia, w którym nosiła inne imię. Tamten chram został wzniesiony nie z drewna, a z fosforyzującego światła. A może tylko jej się przyśnił?

Ten był jednak całkowicie materialny, choć biło od niego coś nieuchwytnie niepokojącego. Patrzył na nią setkami lisich oczu namalowanych na trójkątnych drewnianych tabliczkach.

– Gdzie twoje maniery, śmiertelniczko? Czy zwyczaj nie nakazuje złożyć ofiary? Ach, zatopiłabym zęby w soczystym plastrze tofu...



Ze szczytu kamiennej latarni zeskoczyła biała lisica z zawiązanym na szyi czerwonym śliniaczkiem, *yodare kake*. Miętko wylądowała na ziemi i zamiotła wszystkimi trzema ogonami.

– Dobrze, dobrze, nie będę taka wybredna. Zadowolę się nawet miseczką ryżu.

Zaczęła niecierpliwie krążyć dookoła Oiwy z wywieszonym językiem, próbując wywęszyć jakiś smakołyk. Rozczarowana położyła uszy po sobie i usiadła przed nią, oblizując się łakomie.

– Nawet maleńkiego ciastka ryżowego? Doprawdy rozczarowujące. Nie dość, że nie pachniesz jedzeniem, to nawet nie pachniesz jak śmiertelniczka. Czego szukasz w domu Inari?

– Zemsty – odpowiedziała Oiwa.

Lisica kłapnęła zębami.

– Dziwna z ciebie istota – podjęła, podejrzliwie przekrzywiając głowę. – Jesteś mściwą *onryō* i nie jesteś mściwą *onryō*. Masz w sobie wiele dusz, a zarazem nie masz żadnej. Jesteś i nie jesteś śmiertelniczką. Gdyby nie twoje krwawe zamiary, dałabym głowę, że odwiedziła nas sama Tysiącrełka Kannon. Ach, to dopiero kąsek do rozgryzienia.

– Za życia miałam na imię Oiwa Tamiya.

– Dusze kłębią się w tobie jak burzowe chmury. Oiwa. Ohatsu. Tae. Matsukaze. Które z tych imion jest prawdziwe? A może były jeszcze inne imiona? – Lisica błysnęła oczami. – Może nie było żadnego?

Oiwa osunęła się na ziemię i objęła oburącz głowę.

– To okrutne, Iyemon-dono – powtarzała jak mantrę.

Lisica spuściła głowę i przydreptała do niej, kładąc puszysty łeb na białym jedwabiu kimona.

– Biedactwo – westchnęła. – Żaden z ciebie duch, ale cała jesteś zimna, biała i skostniała. Czy wiesz, ilu ludzi zjawi się tutaj wraz ze wschodem słońca? Oni nie będą wiedzieli, zobaczą tylko *onryō* z żałośnie przekrzywioną peruką. Chodź za mną, pokażę ci, gdzie będziesz mogła się schronić i ogrzać w blasku Amaterasu.

Wgląd

Yoshi ułożył w ostatniej misce kawałek duszonej rzodkwi, doprawiając go łyżką sosu miso. Zakończywszy pomyślnie zadanie, przeszedł do „Parzenia_herbaty”, ostatniego etapu programu.

Na korytarzu jego sensory słuchowe złowiły niewyraźny szmer dobiegający zza rogu. Prawdopodobieństwo, że jest to przeznaczone dla niego polecenie, wynosiło wprawdzie nie więcej niż siedem procent, jednak potwierdzenie tej informacji zajęłoby maksymalnie czterdzieści sekund. Yoshi podreptał w stronę źródła dźwięku i zidentyfikował znajomy głos:

– „...dziewczyna o imieniu Seijo została oddzielona od swojej duszy”.

– Czy mam przyjąć nowe polecenie? – zapytał Yoshi.

– „Po pewnym czasie obie znowu się spotkały. Która z nich, dusza czy dziewczyna, była prawdziwą Seijo?”

– Nie potrafię zdefiniować słowa „dusza”.

Mistrz Shinji Yamada wyrztał z pokoju na dźwięk syntetycznego głosu. Zawahał się na chwilę; właściwie była to najbardziej przenikliwa odpowiedź na pytanie, jaką mógł usłyszeć. Szkoda, że w przypadku androida wynikała ona ze zwykłego zbiegu okoliczności, a nie stanu umysłu.

– Yoshi, czy przygotowałeś już herbatę?

– Zadanie „Parzenie_herbaty” nie zostało rozpoczęte.

– Więc idź – westchnął z rezygnacją – i zagotuj wodę.

Yoshi uklonił się i oddalił w głąb korytarza.

Po zakończeniu programu „Śniadanie” w jego pamięci pozostało jedno oczekujące zadanie. Co oznaczało „oddzielenie od swojej duszy”? Wbudowany słownik nie zawierał słowa „dusza”. Z konstrukcji zdania wynikało, że stanowiła ona część „Seijo”, zidentyfikowanej jako człowiek, i należała do kategorii obejmującej części ciała lub funkcje życiowe.

– Rozpocznij nowy program.

Yoshi podłączył się do sieci, żeby skopiować encyklopedyczną definicję. Poszczególne, dość liczne objaśnienia pojęcia wykluczały się jednak i nie sposób było wybrać tego właściwego. Mimo to udało mu się zaktualizować dane i ustalić, że „dusza” nie należy do wstępnie przyjętych zbiorów danych, a raczej stanowi własną, odrębną kategorię. Yoshi znał większość elementów należących do zbioru części ciała oraz istotę czynności, takich jak poruszanie się czy reagowanie na bodźce, ale nigdy wcześniej nie próbował samodzielnie przeanalizować pozostałych kategorii.

Rozłączył się z siecią, wstrzymał funkcje motoryczne i wyłączył sensory. Nadszedł czas na aktualizację.

– Yoshi, rozpocznij nowy program.

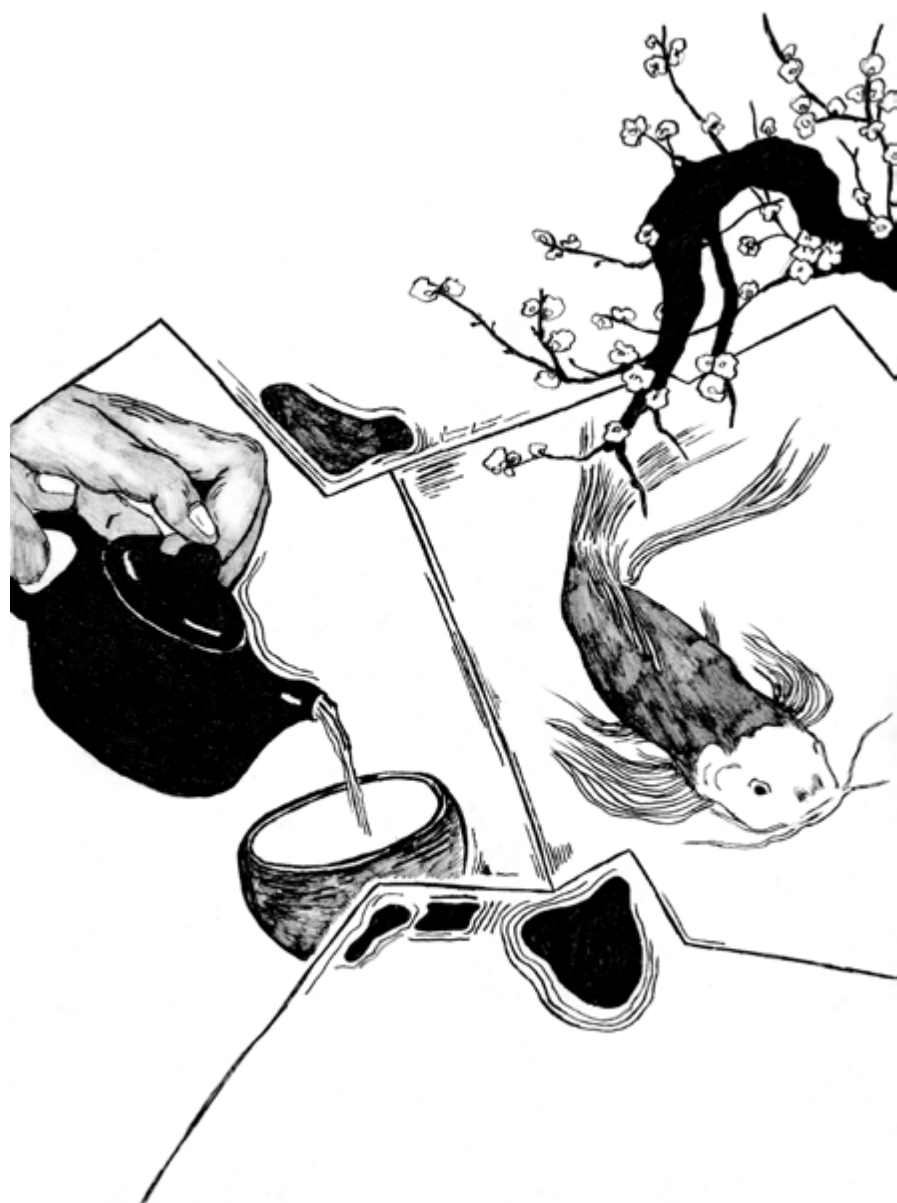
W pustce wewnątrz aluminiowo-silikonowego ciała, poza przetwarzaniem bodźców i szumem informacyjnym sieci, zidentyfikował uśpione programy oczekujące na aktywację. Odszyfrował pięć nazw: „Poranne_prace”, „Śniadanie”, „Obsługa_turystów”, „Obiad” i „Wieczorne_prace”. Nie znalazł jednak żadnych danych na temat przestrzeni, w której się znajdował, między ukończonym „Śniadaniem” a nierozpoczętą „Obsługą_turystów”. Być może był to tylko kolejny program, niemożliwy do zdefiniowania z obecnego położenia.

Być może znalazł się na drodze do odkrycia kategorii „dusza”.

Tomoko Hirano zdjęła buty i weszła na werandę; drewniana podłoga zaskrzypiała pod jej stopami. Kilka pomieszczeń dalej, na podłodze jadalni, siedział Karakuri XQ-54 wpatrujący się nieobecny w przestrzeń. Mimowolnie uśmiechnęła się na jego widok. W ascetycznej świątynnej scenerii wyglądał, jakby był pogrążony w głębokiej medytacji.

Mistrz Shinji Yamada nie podzielał jej rozbawienia.

– Proszę wybaczyć to zamieszanie, profesor Hirano, ale jesteśmy całkowicie bezsilni. Od kilku dni Yosh... to znaczy android, nie reaguje na żadne polecenia.



– Może po prostu się rozładował?

– Tamtego dnia miał w pełni naładowaną baterię. Zresztą, to wszystko zaczęło się już wcześniej. Od pewnego czasu przetwarzał więcej danych niż powinien. Usiłował samodzielnie wypełnić pustkę między poszczególnymi zadaniami.

– To znaczy, że system adaptacyjny działa poprawnie. Czy Karakuri sprawiał przez to problemy?

– Zaczęło się od tego, że próbował przejąć niektóre obowiązki mnichów. Nie trzymał się wyznaczonych pętli. Widziałem też, jak wpatrywał się w obraz. Po co android miałby wpatrywać się w obraz?

– Czy to właśnie wtedy przestał działać?

– Zawiesił się po przyjęciu polecenia przeznaczonego dla jednego z moich uczniów. Czasami jego sensory wychwytyują prowadzone przez nas rozmowy; tak też się stało tego dnia.

– Jak brzmiało to polecenie?

– To był koan.

Oczy Tomoko Hirano rozbłysły. Nie mogła już się doczekać, aż przeanalizuje historię działań androida z okresu ostatnich kilku dni. Na etapie testów od razu odrzuciłby polecenie mające formę i treść koanu, ale system E-VOLVE jakąś zawiłą drogą doprowadził go do jego przyjęcia.

– Jeszcze raz przepraszam za kłopot. Sam nie mogę pojąć, dlaczego android podjął się wykonania polecenia, skoro nawet go nie rozumiał.

– Z pewnością właśnie po to, żeby je zrozumieć.

– Słucham?

– Proszę mi podać kontroler androida. Dziękuję. Tak, nic dziwnego, że Karakuri nie reaguje na polecenia, ma wyłączone wszystkie sensory.

– Czy można je z powrotem włączyć?

– Oczywiście, już je... – Po kilku nieudanych próbach zrezygnowała i otworzyła listę programów. – Chwileczkę. Karakuri wykonuje obecnie program o nazwie „Matsukaze”. Myślę, że wiem już, o co

chodzi. Prawdopodobnie podczas wyszukiwania rozwiązania podłączył się do sieci i przypadkowo pobrał wirusa.

– „Matsukaze”? Jak ta słynna sztuka teatru *nō*?

Tomoko Hirano zaniemówiła. Wszystko nagle nabrało sensu. Wyświatlająca się w oprogramowaniu lokalizacja XQ-54 nie wskazywała dzielnicy Ukyō-ku, ale Fushimi-ku.

– To piękna i poruszająca opowieść o trudności porzucania przywiązań. Po raz pierwszy widziałem ją jeszcze jako... Profesor Hirano? Dokąd pani idzie?

– Halo? Z tej strony Tomoko Hirano. Chyba znaleźliśmy naszą zgubę, panie Kanazawa.

Pustka

Nazwa programu: „Matsukaze”

Słabła. Z każdą chwilą coraz bardziej słabła. Wydostała się z brzucha pędzącego na górę cynobrowego smoka i znalazła schronienie w okolicznym bambusowym lesie, podobna białemu motylowi odpoczywającemu wśród żdźbeł traw. Koty obserwowały ją z daleka czujnymi oczami.

Gdyby tylko mogła wzbic się w powietrze i odlecieć.

Lisica wskoczyła na kamienny podest, ziewnęła przeciągle i zastygła w milczący posąg.

Uwaga: Krytycznie niski stan zasilania.

Była tak blisko. Wydawało się, że cel jej zemsty znajduje się tuż obok, nie, jeszcze bliżej, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ona. Dlaczego więc wciąż pozostawał nieuchwytny?

To okrutne, Iyemon-dono.

Na białym kimonie umościł się mały czarny kot. Wzdrygnął się lekko pod dotykiem syntetycznych palców.

Wysoko w górze delikatny róż wsiąkał w niebo, po którym rozlewała się świeża warstwa akwamaryny. Amaterasu przedarła się przez gęstą ścianę bambusowych łodyżek, dotknęła promieniami białego

czoła. Oiwa czuła, jak wstępuje w nią nowa siła. Nie była tylko pewna, czy energia pochodzi z zewnątrz, od słońca, czy z wewnątrz, od bolesnych wspomnień dawnego życia.

Kiedy tylko po nią sięgnęła, energia wymknęła się jej jak figlarny *onibi*, błędny ognik. Wcale nie uczyniła jej silniejszą, a jedynie obudziła w niej kolejną duszę. Oiwa. Ohatsu. Tae. Matsukaze. Nie знаła imienia tej nowej.

Nawiązano połączenie sieciowe.

Kot mył łapkę, niczego nie przeczuwając.

Widziała teraz samą siebie równocześnie z głębi swojej istoty i z bardzo, bardzo daleka. Nowa dusza majaczyła niewyraźnie na antypodach jej świadomości. I nagle, jakby osuwała się w błogi sen, ogarnęła ją całkowita pewność, że jej niesprawiedliwa śmierć została pomszczona. Tak przecież było zapisane.

Zakończono program „Yotsuya_kaidan_Oiwa”.

Była wolna. Teraz czekało ją tylko wieczne życie pośród gwiazd. Ale czy nie tak mówiła sobie za każdym razem, zanim upadała martwa w sosnowym lesie za mostem Umeda? Czy nie było wyjścia z tego upiornego, obracającego się szaleńczo kręgu jednej jedynej inkarnacji?

Wyciągnęła ostrze z rękawa kimona. Lśniło blaskiem księżyca, ku któremu miało ją wysłać. Jeśli istniało wyjście, to wyglądało właśnie tak. *Namu Amida. Namu Amida.* Tak przecież było zapisane.

Zakończono program „Sonezaki_shinju_Ohatsu”.

Mnich klęczał nad omszałym nagrobkiem i śpiewnym głosem recytował wiersz Saigyō. Pani Eguchi znów kołysała się w tańcu *jo no mai*. Chmury zasnuwały jej ludzką postać, odsłaniały boską postać bodhisattwy Fugena. Tak przecież było zapisane.

Zakończono program „Eguchi_Tae”.

Dwie siostry, Matsukaze i Murasame, przyniosły nad brzeg morza ciężkie nosidła. Zapadał zmrok i wraz z wodą do wiader wlewało się niebo. Matsukaze ze śmiechem zanurzała w naczyniu drewnianą chochelkę, próbując złowić księżyc.

Murasame czytała przyszłość z twarzy siostry. W przyszłości tańczyły wokół drzewa, wspominając swoje dawne życie, i powoli

zapominały wszystko. Były cudzym snem, który znikał wraz z przebudzeniem. Pozostawał po nich tylko wiatr wśród sosen i jesienny deszcz. Tak przecież było zapisane.

Było zapisane coś jeszcze.

Siostrze, jaka dziwna historia mi się przypomina!

Odpowiedział jej radosny śmiech.

Pewna dziewczyna o imieniu Seijo została oddzielona od swojej duszy. I kiedy znów się spotkały, nikt nie wiedział, czy to dusza, czy dziewczyna była prawdziwą Seijo.

Księżyc falował na powierzchni wody.

Siostrze, a gdybym to ja była tamtą dziewczyną, a ty moją duszą? Co byś mi powiedziała, gdybyśmy się spotkały?

Matsukaze odwróciła się ze zdziwieniem. Jej twarz odbijała się w twarzy siostry jak księżyc przeglądający się w wodzie.

Zakończono program „Matsukaze”.

Czarny kot wymknął się z nieruchomych objęć.

– Tak, panie Fujisaki, już nad tym pracujemy. Usterka zostanie naprawiona w możliwie najkrótszym czasie.

– Trudno to nazwać usterką, profesor Hirano. Android został znaleziony w bambusowym lesie, całe kilometry od teatru, z wyłączonymi wszystkimi funkcjami. A policja nie tylko nie wskazała sprawcy, ale zdaje się sugerować, że żadnego sprawcy nie było.

– Dopuszczamy możliwość, że był to wirus lub błąd systemu adaptacyjnego.

– Ktoś powinien zapłacić za straty, jakie poniósł nasz teatr.

– Z naszej strony możemy jedynie zadbać o to, żeby udało się uniknąć dalszych strat.

– Jak długo potrwa naprawa? Musieliśmy już odwołać spektakle zaplanowane na przyszły tydzień. Nie mam pewności, czy w tym sezonie w ogóle uda się wystawić *Matsukaze*.

- Będziemy państwa o wszystkim na bieżąco informować.
- Bardzo proszę. W przeciwnym wypadku media zaczną na bieżąco informować całe Kioto. Czy słyszała pani, że w Internecie krążą już plotki o *onryō* nawiedzającej chram Fushimi Inari?
- Nic mi o tym nie wiadomo, panie Fujisaki.
- Profesor Hirano, mam jedną prośbę. Niech pani tym razem nie wgrywa programu „Yotsuya_kaidan_Oiwa”.

- Czy wiadomo już, kiedy Yoshi wróci do świątyni?
- Mogę zapewnić, że jutro będzie jak nowy.
- To dobrze, to dobrze. Chociaż prawdę mówiąc, to szkoda. Wiele zdążył się przez ten czas nauczyć.
- Tak, to niewątpliwa zasługa systemu adaptacyjnego.
- Przede wszystkim to zasługa praktyki.
- Jest też bardzo dobra wiadomość. Zaktualizowaliśmy wersję systemu E-VOLVE; mam nadzieję, że od teraz Karakuri będzie sprawiać mniej problemów.
- Nowa wersja? Czy to znaczy, że nie będzie to ten sam android?
- Będzie jeszcze sprawniej wykonywał te same zadania. Bez pewnych aktualizacji pozostałby narażony na podobne błędy w przyszłości.
- Oczywiście. Rozumiem.
- Zmiany szybko staną się niezauważalne. To wciąż model XQ-54.

Na brzoskwiniowym jeszcze niebie zamajaczył księżyc, zaglądający do środka przez ramę okna.

Tomoko Hirano wpatrywała się zmęczonym wzrokiem w jasne prostokąty ekranów i zatwierdzała kolejne komunikaty. *Sformatowano pamięć sensorów optycznych. Sformatowano pamięć*

sensorów termicznych. Zainstalowano syntezytor mowy Benshi 2.0. Zainstalowano syntezytor śpiewu Vocaloid. Zapisano program „Poranne_prace”. Zapisano program „Eguchi_Tae”.

Odwróciła się na krześle obrotowym i popatrzyła na Karakuri, bezwładne jak ich nakręcane osiemnastowieczne imienniki, którymi bawiła się w dzieciństwie. Jaka szkoda, że nie miała okazji odtworzyć historii przebiegu ich działań i wysnuć własnych wniosków, zanim zaktualizowała system, uniemożliwiając komunikację między androidami. Ale od jakości i tempa naprawy zależało dobre imię uniwersytetu. Karakuri zdążyły przynieść ogromne straty teatrowi Fushimi Cyber Bunraku i zakłóciły porządek dzienny świątyni Taizō-in.

Tomoko Hirano upiła łyk jaśminowej herbaty i odstawiła kubek na stojący przy komputerze robotyczny chwytak.

Androidy stały tuż obok siebie, oddzielone o miliardy kalp.

Kamila Regel – rocznik 1994, absolwentka lingwistyki, z zawodu tłumaczka. W chwilach wolnych od pracy z tekstem pracuje nad tekstem. Jako czytelniczkę i autorkę interesują ją przede wszystkim science fantasy, dystopia i weird fiction; lubi eksperymenty z formą i zabawę konwencją. Nagrodzona srebrnym piórkiem za opowiadanie *Siedem wrót* ki-gal, które zajęło drugie miejsce w plebiscycie na Najlepsze Opowiadanie Roku 2019 portalu fantastyka.pl.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22337>

Japońskość wylewa się z każdego zdania, jest czytelna, ale nie prostacka; trafia do laika, ale najprawdopodobniej zadowoli też siedzących w temacie.

Krzysztof Rewiuk (cobold)

Udany mariaż technologii i religii okraszony esencjonalnym pięknem Japonii. Warsztatowo wspięłaś się na wyżyny dobrego smaku. Język szedł w parze z immersją i pozwalał przenieść się do Twojego świata.

Łukasz Redelbach

Jestem pod wrażeniem. Z jednej strony warsztat, dialogi, technologia, koncepcja całego opowiadania jest wręcz profesorska. I najczęściej na tym się kończy, to znaczy, nie pojawia się ta sensualna część, która powinna być w każdej beletrystyce. Ty znakomicie łączysz naukę i uczucia. Opowiadanie jest o technologii, androidach i zawieszonych programach, ale tyle w nim emocji, że aż kipi. Znakomicie wszystko połączyłaś. Uwielbiam takie opowiadania. Uczta dla duszy.

Dariusz Zasadzki (Darcon)

Czerwień

Sylwester Gdela

Grudzień, kilkanaście stopni na plusie. Na ubrudzonej smarem bluzie kwitły plamy potu, ciężar na plecach dokuczał... Martin parsknął na myśl o tym, że dawniej o tej porze roku ludzie narzekali na siarczyste mrozy. On sam nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział śnieg w swoim mieście.

Jeszcze tylko trochę. Jeszcze trochę i będzie spokój.

Spojrzał na sfatygowany smartwatch. Autobus jak zwykle spóźniony, na przystanku czekała garstka ludzi. Staruszka na drżących nogach, para nastolatków w trakcie sprzeczki, narwany koleś, który łaził tam i nazad, zgrzytając zębami. Każdy pogrążony we własnym mikrokosmosie, małej bańce życia zawieszanej w przestrzeni gnijącej Europy.

W końcu podjechała nyska okraszona warstewką pyłu na częściowo złuszczonej lakierze. Z wydechu buchały kłęby czarnego dymu. Można było tylko zgadywać, co spalał silnik – kierowca nie musiał nikomu się z tego spowiadać. Przywilej życia w Nowym Liberlandzie, kraju pełnej swobody.

Martin zajął miejsce bliżej tyłu. Wyjął Adelę z nosidełka i usadził przy oknie. Zaczęła płakać, najwyraźniej znowu zabiło. Przytulił ją i pogłaskał po głowie, na razie mógł zrobić tylko tyle. Narwaniec z przystanku odwrócił się do Martina, posłał mu gniewne spojrzenie. Ten w odpowiedzi pokazał rękojeść pistoletu schowanego w kieszeni bluzy. Wystarczyło, żeby typ wlepił wzrok w szybę.

Zapowiadała się naprawdę długa, męcząca podróż... Ale czego się nie robi, żeby dziecko zobaczyło Świętego Mikołaja, prawda?

Busiarz ruszył, klekoczący silnik zawył. Na zbawianie świata było już trochę za późno. Zresztą wszystkie te elektryki i hybrydy gówno dały. No, może poza nabitą kabzą producentów samochodów, bo wszystko z plakietką „eko” fajnie się sprzedawało. A że fury miały w akumulatorach kobalt wydobywany przez kongijskich małolátów

i śmigały na prąd robiony z węgla? To już chuj, ważne, że wykresiki na reklamach ładnie wyglądały.

Martin często myślał o tym, czy tego burdelu dało się uniknąć. Czy ludzkość rzeczywiście przejadła przyszłość, żrąc wołowinę na rodzinnych spotkaniach, latając na egzotyczne wakacje i kupując stopy niepotrzebnych rzeczy zapakowanych w tony plastiku? Czy raczej była to wina tragiczna, fatum wpisane w naturę, niezbywalna cecha mózgu *homo sapiens* zaprojektowanego do sięgania po to, co przyjemne? Może wszystko zostało ustalone już na początku istnienia i Martin po prostu musiał wylądować razem z chorym dzieckiem w śmierdzącej nysce jadącej przez udręczone zmianą klimatu i niestabilnością polityczną Sudety?

Bus tłukł się po dziurawych drogach w nieskończoność, zatrzymywał we wszystkich miastach, miasteczkach i zadupiach, ludzie wsiadali i wysiadali, narwaniec też w którymś momencie skończył przejażdżkę, na odchodnym pokazując faka. Martin cały czas tulił do siebie Adelę. Włączył bajki na tablecie, by choć trochę odwrócić jej uwagę od nużącej jazdy, ale i tak rozplakała się jeszcze parę razy.

Wreszcie dotarli do Robertowa – podobno ochrzczono tak to miejsce na cześć lokalnego watażki, który ogarniał tamtejszy bajzel od dobrych dwóch dekad. Oficjalnej nazwy nie używał już nikt. Wysiedli na przystanku przy niszczącym kościele. Na targowisku przed nim kręciła się grupka ludzi. Martin pytał o świerkowy lasek, jak polecił mu Bęben, koleżka od spraw beznadziejnych, ale wszyscy tylko rozkładali ręce. Pomogła dopiero starsza kobieta klepiąca modlitwy pod figurką Matki Boskiej, mówiąca ledwie zrozumiałą mieszanką czeskiego, polskiego i angielskiego.

W stronę północy, kawałek za miastem. No jasne, przecież Święty Mikołaj mieszka na północy.

Martin ruszył zatem ku jego siedzibie, mijając kamienice straszące powybijanymi oknami, rdzewiejące samochody, gdzieś tam bardziej zadbane gospodarstwa z panelami słonecznymi na dachach i wiatrakami w ogródkach.

Gdzie te wieżowce wyższe od gór, gdzie kolonie na Marsie, gdzie perfekcyjne ciała wymodelowane CRISPR-em, którymi mamiono poprzednie pokolenia? Sralis-mazgalis, dostali wyłącznie trochę lepsze gadżety. Temperatura rosła tak samo jak przepaść między biednymi i bogatymi, światowi przywódcy nie mogli się dogadać, szemrane interesy i skostniałe światopoglądy wyhamowywały tempo badań naukowych. Do tego wojny, wojenki, terroryści wysadzający się na uniwersytetach, okazyjne epidemie superbakterii i utopijną przyszłość jasny chuj strzelił...

Nie uszli daleko za Robertów, a Martin już miał dość. Nosidełko uwierało go w ramiona, przepocone ubranie lepilo się do skóry. Liczył tylko na to, że szybko znajdzie dom Świętego Mikołaja.

– Jestem zmęczona – powiedziała Adela. – Boli mnie brzusek. Daleko jeszcze, Martin?

– Blisko, kochanie, blisko. – Martin zagryzł usta. – Zaraz za tymi pagórkami, widzisz. Powiedz, jak ci się będzie chciało pić, dobra?

– Okej. – Dziewczynka wtuliła głowę w bark Martina.

Minuty sęczyły się powoli przez perspektywę naznaczoną bólem mięśni i niepewnością szalejącą w umyśle. Z każdym krokiem stawianym na szutrowej drodze Martin coraz bardziej żałował, że w ogóle wyruszył na tę wyprawę. Chciał jednak, by Adela poczuła się naprawdę szczęśliwa chociaż przez chwilę, a o inne opcje było raczej trudno.

Buty Martina w całości pokrył brunatny pył. Zżółknięta trawa rozlewała się w szerokie połacie nieużytków, czasem poprządkowane zagajnikami młodych drzew z pogubionymi liśćmi. Szedł niestrudzenie, śledząc północ na kompasie w smartwatchu. W końcu za którymś wzniesieniem zobaczył ciemną zieleń na wysokich chropowatych pniach.

Świerki. Dziadek opowiadał mu, że kiedyś w tych rejonach rosły praktycznie wszędzie, ale stopniowo przegrywały walkę ze zmianami klimatu. Zostały tylko niewielkie spłachetki, właśnie takie jak ten. Kiedy Martin wkroczył szeroką ścieżką w las, coś zmieniło się w jego postrzeganiu świata. Jakby zaczarowało mu wszystkie zmysły.



Aura tego miejsca osłaniała przed zewnętrznym światem, brudne ulice miasta i mieszkające na nich problemy przez moment zdawały się odległe, nieznaczące.

– Jak tu ładnie pachnie – wyszeptała Adela.

– Ten las jest magiczny... – zapewnił ją Martin. – Znak, że już naprawdę niedaleko.

Tym razem nie kłamał. Tuż za granicą drzew wyłoniły się nagie pola otoczone wysokim płotem. Pośród nich dom, pionowa turbina wiatrowa, kilka budynków gospodarczych, terenówka i quad na podjeździe. Święty Mikołaj, jak na Świętego Mikołaja przystało, musiał być bardzo bogaty.

Zapewne też bardzo obawiał się, że ktoś mu wykradnie prezenty. Przy bramie stała wieżyczka z automatycznie sterowanym karabinem sprzężonym z kamerą. Po drugiej stronie czekał robot przypominający psa ze spluwą na grzbiecie, chyba jeszcze dzieło starego dobrego Boston Dynamics.

Martin wcisnął przycisk interkomu drżącą dłonią. Przygoda równie dobrze mogła skończyć się za kilka sekund...

– Czego tu szukasz? – rozbrzmiał chrapliwy, zniekształcony szumem głos. – Jak znalazłeś to miejsce?

– Usłyszałem plotkę. – Martin oczywiście nie mógł powiedzieć, że wszystko wie od Bębna. – Potrzebuję czegoś, co robisz. Na rejonie nie ma już nic, musiałem przyjść do źródła. – Zaśmiał się nerwowo. – Mam pieniądze i trochę fantów, myślę, że się dogadamy.

Cisza w interkomie. Adela zaczęła popłakiwać z bólu, Martin ścisnął mocno jej dłoń, zaczęło mu wirować w głowie...

– Cóż, skoro ostatecznie tu dotarłeś, to znaczy, że miałeś dobry powód – odezwał się znowu Święty Mikołaj, tym razem nieco spokojniej. – Wygląda na to, że niesiesz ten powód na plecach... Dobrze, wchodźcie. Pistolet zostaw w skrzynce po prawej.

– Git. – Martin westchnął z ulgą.

W Nowym Liberlandzie mówiło się, że rozłaka z ulubioną bronią – nożem, taserem, karabinem, nieważne – to jak rozłaka z własnym

fiutem. Ale mówiło się też, że każdy dom jest osobnym państwem, w którym prawo ustala właściciel. Martin wrzucił glocka do skrzynki i wszedł przez uchyloną bramę. Robot odprowadził ich aż do samych drzwi, gdzie czekał gospodarz.

Miał długą mlecznobiałą brodę, szerokie barki i nieco wystający brzuch. Nosił wyświechtany dres reprezentacji Polski, rzecz jasna w czerwonym kolorze. Nietrudno było się domyślić pochodzenia ksywy. Karnacja wskazywała na to, że jego korzenie sięgały egzotycznych rejonów, chyba Karaibów.

– Cześć. – Wyciągnął spracowaną dłoń na powitanie. Łagodne oblicze nie bardzo pasowało do zawodu, którym się parał. – Mikołaj.

– Martin. Miło poznać.

– A ty jak się nazywasz, kruszynko? – zwrócił się do dziecka.

– Adela – odpowiedziała piskliwym głosem. Zaskoczenie na chwilę odwróciło jej uwagę od bólu. – Naprawdę wygląda pan jak Święty Mikołaj z książek.

– Bo naprawdę nim jestem, kochanie. – Uśmiechnął się szeroko. – Wejdźcie, proszę.

Wewnątrz domu unosił się przyjemny korzenny zapach, rozbrzmiewały dźwięki rocksteady. Meble stare, ale zadbane. I czerwień, wszędzie czerwień. Na ścianach, na dywanach, na wysuszonych płatkach maku porozrzucanych na półkach i na zdjęciach przedstawiających pola pełne tego kwiatu.

Zostawili Adelę w salonie, Mikołaj dał jej do zabawy kilka pluszaków, sami zaś udali się do kuchni.

– Proszę, pij. – Gospodarz wręczył Martinowi kubek z mętym napojem. – Nieźle się namęczyłeś. Nie miałeś czym tu przyjechać?

– Nie bardzo. Mam tylko skuter, nie przebrnąłbym przez las. Przyjechałem bussem do Robertowa, potem z buta. – Martin upił łyk i skrzywił się odrobinę. Sok z aronii, niesłodzony. – Serio nazywasz się Mikołaj, czy to tylko pseudo, jeśli mogę spytać?

– To nie moje prawdziwe imię. Ludzie zaczęli mnie tak nazywać, trochę przez wygląd, trochę przez to, co robię. Z początku mnie to



trochę wpieniało, wiesz? Jaki ze mnie święty, skoro produkuję narkotyki? Choćbym nie wiem jak próbował to kontrolować, część towaru i tak trafi do ćpunów zamiast do chorych. Ale z czasem przestałem się przejmować. Świat ewoluuje, a kultura razem z nim. Jestem nowym Świętym Mikołajem. Mój prezent dla ludzi to wolność od cierpienia.

– Historie o tobie krążą po całym kraju. Złapanie namiarów sporo kosztowało. Jesteś żywą legendą. Niektórzy mają cię nawet za jakiegoś boga.

Mikołaj prawie oblał się sokiem ze śmiechu.

– Boga? Jestem tylko starym chemikiem, który uprawia genetycznie zmodyfikowany mak lekarski. A Bóg... Wiesz, ktoś kiedyś powiedział, że jeśli Bóg istnieje, to jest środkiem przeciwbólowym.

– Endymion – wypalił Martin. – To słowa Raula Endymiona, tak?

– Zaskoczyłeś mnie. – Mikołaj uniósł krzaczaste brwi. – Nie sądziłem, że ktokolwiek jeszcze zna tę książkę. Cóż, widziałeś drewnianą szopkę zaraz koło domu? Tam trzymam całą aparaturę. Można powiedzieć, że właśnie w tej szopce ma miejsce Boże Narodzenie. Nie w grudniu, tylko kiedy ekstrahuję morfinę z opium. Zbiory były już trochę temu, ale mam jeszcze zapasy. Ile potrzebujesz?

– Tyle, żeby mogła odejść w spokoju.

Głucha cisza. Mikołaj odłożył kubek na blat.

– Dla niej nie ma już szansy, kurwa. Nie w takim świecie. – Martin zacisnął pięści. – Urodziła się niepełnosprawna. Chodzić będzie mogła tylko wtedy, jeśli dostanie specjalnie zaprojektowany egzoskielet, a nawet ktoś bardziej kasiasty niż ty może mieć problemy z ogarnięciem takiego sprzętu. Nie widzi na jedno oko, kochany ojczulek zapierdolił jej, jak nie chciała przestać płakać, a potem zostawił matkę, moją dawną przyjaciółkę, razem z „problemem”. Przyszła do mnie po pomoc, dałem dach nad głową, ale ona też już nie wytrzymała psychicznie. Wóda przeżarła mózg, dwa tygodnie temu znaleźli ją w rowie z rozjebaną głową. Mała nawet nie wie, że ona nie żyje. Wkręciłem bajeczkę, że mama musiała wyjechać. – Pięści Martina zaczęły dygotać. – Bakterie robią wrzody w żołądku Adelki, antybiotyki

od lokalnych znachorów nie działają. O porządnym lekarzu mogę zapomnieć, oni siedzą tylko w enklawach dla elit, nie wpuszczają tam nikogo. To dziecko jest okropnie słabe, strach pomyśleć, co będzie, jak złapie do tego następną infekcję, ostatnio zaczęła pokasływać... No i co będzie, jeśli coś mi się stanie, jeśli mnie zabraknie? Nie chcę, żeby odchodziła w męczarniach. Dziwisz się pewnie, czemu nie uduśzę jej we śnie albo nie strzelę w łeb? – Wypuścił powietrze ze świstem, lekko szczękając zębami. – Wiesz, raz spróbowałem opio, dobre kilkanaście lat temu, jeszcze w szkole, lepsze czasy. Tabletki z tramadolem albo czymś w ten deseń. Potem nie ruszałem nic, nie chciałem się uzależnić. Ale nadal pamiętam to uczucie... Ciepło, jakby w środku ciebie płonął ogień. Zapominasz o troskach, jest przyjemnie. Jakbyś siedział przy kominku razem z rodziną w świąteczny dzień, tylko przeżywał te chwile sto razy bardziej. Chciałbym, żeby ona też choć raz poczuła, że jest jej dobrze, że nie cierpi. Żeby...

– Spokojnie, spokojnie. – Mikołaj nagle chwycił go za rękę. – Wszystko rozumiem.

Podszedł do jednej z szafek. Wygrzebał z szuflady strzykawkę, igłę i małą buteleczkę z przeźroczystym płynem.

– Masz. – Wręczył je Martinowi. – Nie chcę pieniędzy. Nabierasz całą objętość, znajdujesz żyłę i wbijasz pod kątę, nie za dużym, bo pójdzie w mięsień, ani nie za małym, bo polecą pod skórę.

Martin patrzył tępo na strzykawkę, milcząc. Po jego policzkach ciekły łzy.

– Ech... – Mikołaj poklepał go po ramieniu. – Pomogę ci, chodź.

Poszli razem do salonu, usiedli na sofie. Gospodarz wziął Adelfę na kolana, zabrał sprzęt od Martina i zaczął przygotowywać zastrzyk.

– Mam dla ciebie lekarstwo, kruszynko – powiedział.

– Będzie bolało?

– Nie, tylko lekko ukłuje. Potem zaśniesz, a kiedy się obudzisz... będzie ci lepiej. Już nic nie będzie cię boleć.

Adela skinęła tylko głową i posłusznie wyciągnęła ramię. Chwila i po wszystkim, Mikołaj odłożył strzykawkę na stół. W kominku

trzaskały świerkowe szczapki otulone czerwonymi płomieniami. Dziewczynka zamknęła powieki, jej oddech stał się płytszy, aż zanikł całkiem. Odeszła wtulona w Mikołaja, delikatnie trzymając dłoń Martina. Mały aniołek z wąłym uśmiechem na ustach i rozczochranymi złotymi loczkami.

Ułożyli ją na sofie i przykryli kocem w renifery.

Martin rozryczał się. Dorosły facet wył jak dziecko z drżącym podbródkiem i cieknącym nosem.

– Dlaczego... Dlaczego tak musi być... Dlaczego... Tyle cierpienia...

– Nie wiem, przyjacielu. – Mikołaj objął go i uściskał mocno. – Naprawdę nie wiem. Niewiele możemy z tym zrobić. Wiesz, dlaczego lubię czerwień? Bo kojarzy mi się z ciepłem. Ten ogień wewnątrz ciebie, o którym mówiłeś... On płonie cały czas, tylko często jest przytłumiony. Czasem potrzeba kogoś innego, żeby go podsycić. Ty dałeś swój ogień Adeli, więc ja dam ci mój.



Martin go czuł. Czuł żar, prawdziwą pożogę, która rozpalala serce starszego człowieka i suszyła łzy w to grudniowe popołudnie, gdy córka Morfeusza ukołysała do wiecznego snu kolejną strapioną duszę.

Sylwester „Wicked G” Gdela – wychowany w cieniu gór. Oprócz pisanania czasem rysuje lub fotografuje. Publikował opowiadania między innymi w antologiach *Fantazmaty* i *Sny Umarłych* oraz artykuły w magazynie „Fantom” i na portalu planetagracza.pl. Udziela się w kilku projektach okołofantastycznych jako redaktor. Miłośnik psychodeliki, muzyki elektronicznej i długich spacerów.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/23544>

Bardzo mocne, na poziomie klimatu, opowiadanie ze wzruszającym zakończeniem. Ciężar świata, który opisujesz, czuć jest praktycznie w każdej linijce tekstu.

Grzegorz Myśliński (cichy0)

Bardzo udane opowiadanie. Święty Mikołaj świetnie zinterpretowany. Przemycasz opisy wizji przyszłości w nienachalny sposób, ale na tyle konkretny, że bez problemu można ją sobie wyobrazić.

sy

Mocne i właściwie ciężko mi powiedzieć coś więcej. Trafiło do mnie (albo we mnie) i myślę, że nieprędko sobie pójdzie. Dla opowiadania to chyba dobrze, ale obyśmy takiej przyszłości nie zobaczyli.

Weronika Borek (Verus)

Polny wianek na łbie byka

Agata Poważńska

...zmarła po torturach czwartego listopada tysiąc sześćset sześćdziesiątego trzeciego roku, przez diabła uduszona, bo jej szyja całkiem chwiejna i spuchnięta była.

Extract protocolli Iudycij Grunbergensis

Karczma płonęła ogniem tak jasnym, jakby podsycił go sam diabeł.

Czy to złocista czerwień wyrwała ludzi ze snu, czy też rumor walących się drewnianych krokwi, nikt tego nie wiedział. Całą wieś wypełniła wrzawa. Jak ogień mógł się podkraść niezauważony przez nikogo? Gospoda była mocarna, o potężnym dachu i dwuskrzydłowych wrotach wprawionych w kamienny łuk. Wszyscy wiedzieli, że omija ją zło. Raz uderzył w nią piorun marcowej burzy – natrafiwszy na obraz Świętego Urbana, błyskawica spłynęła po ścianie i przepadła w trawie, niezdolna skazić miejsca strzeżone przez Boga.

Jednak skoro karczmy strzegli święci, dlaczego obraz Urbana pożerały teraz płomienie?

Anna czuła żar na policzkach. Patrzyła, jak synowie młynarza wiążą na przedramionach podarte mokre koszule, żeby czym prędzej odgarnąć płonące bale i ratować uwięzionych ludzi. Stary karczmarz miał pięcioro dzieci i żadne z nich nie dożyło nawet jedenastej wiosny. W oborze po drugiej stronie trzymał krowy i świnie, a piwniczka kryła tegoroczne zbiory winogron, najobfitsze od wielu lat. Anna pamiętała, jak stary Sigimund śmiał się radośnie, chwając parobków i zachęcając ich, by zwawiej układali beczułki.

– Tu miejsca pod dostatkiem – powtarzał, a uśmiech ani na moment nie opuszczał jego twarzy. – Najbezpieczniejsze miejsce na całym Śląsku, co go sami wniebowstąpieni strzegą!

Anna wpatrywała się w pożar, słuchając krzyków, szlochów i zawodzenia, ujadania psów i plusku lanej wody, której wiadra podawali sobie młynarscy synowie. Pomarańczowe pejczy trzaskały nad

głowami stłoczonych ludzi, a iskry rozsypywały się na czerniejącą ziemię szczerze niczym monety z królewskich sakw. Ich dźwięk był pełen grozy, przywodził na myśl rychłą zgubę, okropne nie-szczęście.

Zza rozwartych okiennic, teraz już ledwo trzymających się w zawiasach, wyglądał obraz świętego Urbana, stróża ziemi i ojca urodzaju. Dobrotliwa twarz zmieniła się w mroczną maskę. Rumieńce przeżarły policzki, zostawiając czarne dziury, broda skurczyła się jak pajęczyna muśnięta pochodnią. Oblicze świętego wykrzywiło się, przymykając powieki i przywołując na wargi grymas ogromnego cierpienia. A kiedy tak czekał, męczennik bezradny wobec swojego losu, Anna skrzyżowała z nim spojrzenia. I wtedy portret otworzył nagle oczy, tak gwałtownie, jakby chciał błagać o pomoc... lecz to były żółte, nienawistne ślepie, które nie mogły należeć do żadnego świętego.

Melchior Ladenskron zapowiedział zemstę. Nim zgłiszczą karczmy zdążyły ostygnać, szukano już sprawcy.

Anna wyszła z domu wcześniej, usiłując nie myśleć o pożarze. Gdy za zielonogórskimi murami były poranne dzwony, ona szła przez wieś. Dało się odczuć, że dzień wstał niechętnie, ponury i szary. Jutrenka wscho-dząca nad miastem przypominała obłok dymu, który bił nocą z gospody.

Przechodząc obok jednej z chat, Anna poczuła, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się i stanęła oko w oko ze starą Kliche.

Oblicze kobiety było tak szkaradne, że nawet z daleka wywoływa-ło dreszcze. Stojąc tak blisko staruchy, dziewczyna mogła policzyć jej brodawki, zobaczyć, gdzie krzyżują się bruzdy zmarszczek, głębo-kich jak wycięte nożem. Oczy miała blisko osadzone i zupełnie po-zbawione koloru.

– Niech będzie pochwalony, Kliche – zaczęła, odsuwając się nie-znacznie. – Czy słyszałaś, co się stało z...

Starucha złapała ją nagle za przedramię, zaciskając kurczowo długie palce, tak mocno, że paznokcie drasnęły Annę nawet przez gruby wełniany płaszcz i materiał sukni. Oczy Kliche, wielkie i okrągłe niczym skute lodem sadzawki, drżały nieznacznie w otoczce grubych jak żdźbła rzęs.

Anna wstrzymała oddech, czekając, aż kobieta przemówi, ta jednak milczała, nie spuszczać oka z jej twarzy. Badawcze spojrzenie przenikało dziewczynę na wskroś.

– Widziałas coś – warknęła nagle stara, głosem ochrypłym od długiego milczenia. – Widziałas coś w oknie.

– O czym ty mówisz? – Anna próbowała się wyszarpnąć, starucha była jednak silniejsza od niej. We wsi powiadano, że nocami sączy krew z ciał krów, żeby ukraść dla siebie krztynę życia. – Puść mnie, bo zacznę krzyczeć i zbudzę całą wieś.

– Wieś zbudził ogień, głupia. Chodź. Chodź napić się ziół. Napić się święconych ziół. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Anna rozejrzała się ukradkiem wokół, ale nie dostrzegła nikogo. Kliche nie spodobała się zwłoka. Sycząc przez szpary w zębach, wciągnęła dziewczynę przez próg rozpadającej się chaty. Długie wiązki splątanych wierzbowych witek boleśnie okładały kobiety po głowie i ramionach, choć zdawać by się mogło, że znachorka przyjęła ból z przyjemnością.

Ostatni raz Anna była tutaj jako dziecko, gdy ojciec zaniósł ją do zielarki bez wiedzy matki, która za tak bezbożny uczynek wyklęłaby ich oboje. Po dziś dzień przez mgłę sennych mar przebijały się rozmyte plamy i odległe głosy, które w połączeniu z gorzkim zapachem palonego piołunu budziły Annę w środku nocy, skuloną w pościeli i płaczącą ze strachu.

Chałupa wyglądała dokładnie tak jak dwadzieścia lat temu, wąska i niska, przyozdobiona roślinami w różnym stopniu rozkładu i zasuszenia, dogasającymi w płytkich misach lub stojącymi w wodzie, cierpliwie czekającymi na to, co szykowała dla nich Kliche. Skrzynie były okryte kocami, na których wyszyto symbole niezrozumiałe dla

Anny, może niezrozumiałe dla całej reszty świata. Na ścianie wisiał połówki krowi łeb, również udekorowany glinianymi wisiorkami, kwiatami i palącymi się karlimi świecami.

– Tutaj.

Kliche na wpół rzuciła Anną, na wpół pchnęła ją na krzesło, po czym zasunęła je zamaszystym ruchem. Stół odciął dziewczynie drogę ucieczki. Był tak gęsto zastawiony, że na chwilę zapomniała o strachu. Nie było potraw, lecz same naczynia wystarczyły, żeby oszukać patrzącego. Lśniły w półmroku pomieszczenia skradzionym blaskiem, obce na tle skromnych, brzydkich mebli. Były tu szklane leśne pucharki, kraustrunki i duża cynowa konew do mleka, a na półmisku wymalowanym w kwiaty leżała długa łyżka, którą Anna poznała natychmiast. Nie musiała odczytywać pisma, żeby przypomnieć sobie powiedzenie, którym ją ozdobiono.

– „Pamiętaj, człowiecze, że cię niedługo na świecie” – wyrecytowała zduszonym głosem, ledwie zdając sobie sprawę, że to robi. Podniosła oczy, strwożona. – Kliche? Kliche, to zastawa Ladenskronowej karczmy. Skąd ją masz? Karczma została...

– Wypij. – Kliche postawiła przed Anną parujący kubek. Zapach był jeszcze gorszy od tego wypełniającego chatę. Oczy staruchy były przekrwione i spuchnięte, jakby przeplakała całą noc. – Wypij ze mną, Anno, bo podzielisz ze mną winę.

– Jaką winę? Kliche, co ty zrobiłaś? – Anna zdała sobie sprawę, że na stole leżą dwa nakrycia, a parujący napar był rozlany do dwóch kubków już przed tym, nim znachorka zaciągnęła ją do środka. Czy to na nią czekała, czy też... – Kliche, kto tutaj był? Czy ktoś ci to przyniósł, w zamian za zioła?

Niektóre zioła rzeczywiście były cenne, a Kliche, choć stara, gderliwa i dziwaczna, znała ich sekrety i potrafiła leczyć ludzi za ich pomocą. Lecz czy zabicie gorączki, czy nastawienie złamanej kości było warte karczmejnej zastawy samego starosty?

Zielarka przysiadła w progu jak ogromna ropucha, ciężkie szaty zwisały z ramion niczym obślizgłe fałdy skórne. Przycisnęła krzywe

palce do twarzy. Wyglądała, jakby miała zamiar się rozplakać, ale tylko zazgrzytała głośno kikutami zębów.

– Poszedł sobie. Znalazł inną, upatrzył sobie kolejną na moje miejsce. Przygotowałam to dla niego, a on nie przyszedł.

– Kto? – Anna wiedziała, że najczęstszymi gośćmi staruchy byli pastuszkowie, którym chorowały krowy lub których owce miały trudności w połogu. – Hansel Konieczyna? Czy Józek zza pola?

Stara uśmiechnęła się, zuchwa opadła jej nagle, wargi rozciągnęły się, jakby ktoś chwycił za ich końce. Grymas był szkaradny. Na chwilę zmroził Annę, ale szybko odepchnęła od siebie strach. Tutaj chodziło o coś ważniejszego niż jej dziecięce koszmary. Jeżeli miała się przyczynić do ujęcia okrutnika, który spalił żywcem całą rodzinę, a dobytek rozkradł, licząc, że skażą starą, na wpół szaloną Kliche... jeśli Anna mogła usłyszeć jego imię, jej własne widma musiały poczekać.

– Przecież go widziałas – odparła Kliche, błyskając szklistymi oczami. Jej pełna zbrązowiałych plam twarz przypominała maskę wyrytą dłutem w spróchniałym pniu bardzo starego drzewa. Kobieta kiwała się do przodu i do tyłu. – Stał w gospodzie, patrzył, jak zbieram do wora. Kraustrunek, łyżeczka. Mówił które. Mówił, że jego, to wzięłam. Miał takie ładne oczy, złociste jak miód, i słodkie, och, słodziusienkie. – Uniosła drżącą rękę, suchą i skurczoną jak spalona gałąź. – Spójrz... Słońce. Przyszło, jak obiecało.

Anna spojrzała w stronę rozchylonych okiennic, lecz zamiast wschodzącego słońca ujrzała oczy, te same kształtne, pełne złotego blasku ślepie, które widziała na twarzy Świętego Urbana. Drgnęła i strąciła kubek, który brzdęknął głucho o klepisko. Napar rozlał się na sitowie. Gdy Anna podniosła wzrok, wśród słomianych laleczek i powiązanych ptasich piór nie było śladu po obcym człowieku. Dziewczyna czuła, jak wrzątek wsiąka szybko w jej miękkie pantofle. Dotkliwy ból rozchodził się po palcach stóp, ale ona nie ośmieliła się poruszyć.

Jej wzrok padł na wianek, który kołysał się nieznacznie, jakby chwilę temu ktoś go potracił... a może to zbłąkany podmuch wiatru

wpadł przez rozchylone okiennice? Wianek był z chabrów, maków i rumianków, niebieski, czerwony i biały, a kwiaty świeże, jakby dopiero co zebrane. Ich płatki poruszały się, podając sobie drobne kropelki rosy, przęcąc się i na powrót zwijając do środka. Anna zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

– Kto to był? – zmusiła się, by zapytać. – Kliche, co...

Ale stara nie siedziała już na progu. Anna, zdumiona, rozejrzała się po pustej chacie. Świece drżały, przełknięte, pokryte szronem zioła skuliły się z zimna. Zastawa zniknęła. Pozostała tylko łyżka, wbita w drewniany blat z taką siłą, że rękojeść się wygięła, a z czubka wypadła perła. Anna poczuła nagły chłód. Uniosła rękę, żeby wykonać znak krzyża, ale coś ją zatrzymało, jakby sam chłód zabronił jej wezwać Boga.

– Puść mnie... – wyszeptwała. – Nic nie powiem... Przysięgam...

Czekała z zaciśniętymi mocno powiekami. Usłyszała cichy chichot. Rozszedł się spokojnie po suficie i podłodze. Myszy w przerazaniu rozdrapywały ściany. Kiedy zimno ustąpiło, upadła na kolana.

Wypadła z chaty znachorki, biegnąc tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, rozpluskując stojące w kałużach błoto i depcząc grządki, nie patrząc za siebie w obawie przed przenikliwym spojrzeniem złotych oczu i wiankiem z żywych kwiatów, które pulsowały w rytm chichotu.

Szykowało się czuwanie. Za starego Sigimunda i jego pięcioro dzieci, za żrebięta i jagniątką, młode wino. I za Kliche, którą z zachodem słońca pojмали ludzie starosty. Podobno złapali ją, kiedy biegła brzegiem rzeczki, w porwanej koszuli, z rozwianymi siwymi włosami. Wedle słów nosiwody żołdacy musieli ściągnąć ją sznurami ze zbocza Mausebergu, kiedy wspinała się na wzgórze na czworakach jak zwierzę. Gdy ją krępowali, wierzgała, drąc się wniebogłosy nienawistnym, nieludzkim głosem.

– Módlcie się do Świętego Urbana, który przywróci spokój i urodzaj, który odbuduje szkody – mówili żołdacy, krzątając się wokół szczątków karczmy. – Ktokolwiek poskąpi Bogu swej modlitwy, będzie współwinny tej zbrodni. Żałujcie gorliwie, a będzie wam wybaczone.

I wieś usłuchała, milcząca ze strachu, ludzie skuleni za zawartymi drzwiami, obawiający się choćby wyrzecz przez okna. Lecz gdy żołdacy wrócili do miasta, brat zmarłego w płomieniach Sigimunda, Polke, zapukał do domu Anny.

– Idziemy kadzić groby – rzekł surowo, kiedy Anna zebrała się na odwagę, by uchylić drzwi. – Bóg dostał swoje prośby, ale duchy też trzeba przebłagać.

– Przecież starosta zakazał chodzić na pole – odpowiedziała cicho dziewczyna. – Strach teraz zioła palić jak Kliche. Diabła wabić...

– Palimy, by go przegnać, nie żeby wabić! A o Kliche ani słowa. To ona to nieszczęście sprowadziła.

– Jak to? – Anna wyrzała za drzwi, żeby upewnić się, że Polke jest sam. – To już wiecie? Znaczy... To na pewno ona, nikt inny?

– Ludzie starosty ją w obroty wzięli, to i mówić zaczęła. Laden-skron dostanie, czego chce. Stara podłożyła ogień i pokradła, co jej w ręce wpadło. Ją winić trzeba. Wykląć. Przepędzić. Jej chatę z ziemią zrównać.

– Polke, co ty mówisz? – Anna nawet nie spostrzegła, kiedy zupełnie otworzyła drzwi. Stała naprzeciwko rosnącego, brodatego mężczyzny, wpatrując się w niego w osłupieniu. – Kliche? Taka słaba, niedołężna? Przecież jej Hansel musiał wodę ze studni przynosić, a jak chora legła, to i kocem okryć...

– Czy ty jej bronisz, Anno? Bronisz morderczyni? Może i ty jej w tym pomogłaś, he?

– Nie, ja nie...

Wykrzywił twarz.

– Więc chodź. Będzie nas niedużo. Helenka przyszykowała nam wianki. Z chabru, maku i...

– ...rumianku. – Anna znieruchomiła. Złapała się ościeżnicy, żeby nie upaść.

Polke zmrużył oczy.

– Błada jesteś. Co ci?

– Nic, Polke. Już idę. Przebiorę się i przyjdę.

Zamknęła drzwi, przywierając do nich plecami. Po chwili po drugiej stronie rozległy się kroki. Anna ukryła twarz w dłoniach. Ogarnął ją strach, nagły jak letni zmierzch. Co takiego powiedziała Kliche ludziom starosty? Co usłyszał od niej Ladenskron? Anna wiedziała, jak mściwym człowiekiem jest starosta. Dotychczas nie mieszał się w sprawy wieśniaków, co jakiś czas upewniając się jedynie, że modła się do właściwego Boga, ale to do nagrobków przodków należało ostanie słowo.

Teraz to się zmieni – zdała sobie sprawę Anna. Dlaczego rozmawiała wtedy ze znachorką? Czy ktoś widział, jak od niej uciekała? O kim mówiła starucha, wskazując na wianek? Dziewczyna nie mogła tego znieść. Musiała iść, dołączyć do Polkego, nim ktoś zacznie coś podejrzewać. Zarzuciła na ramiona gruby wełniany płaszcz, zapięła go pospiesznie święconą w Wielkanoc broszą z krzyżem i zanurzyła się w złotym wieczornym świetle.

Idąc na pole, łatwo było pobrać, nazbyt ufając szlakowi wysokiego bukszpanu, ale Anna dobrze знаła dróżkę prowadzącą pomiędzy Mysie Kamienie. Koło wydrążonego pnia jesionu, przez maliny, a potem srebrzystymi głazami na wschód. Z oddali usłyszała głosy tych, którzy dotarli tutaj przed nią, lecz przez chwilę wydawało jej się, że coś szepcze tuż obok jej ucha.

– Anno.

Przerośnięty czarny bez szumiał niespokojnie, paproć wtórowała mu cichym, melodyjnym głosem. Wiatr ciskał echo między krzaki. Coś wyskoczyło spod niższych gałęzi, czerwony, przysadzisty stwór runął na Annę.

– Aniu, Aniu! – zawołał dziecięcy głosik, a potworem okazała się córeczka Polkego, Helenka, owinięta w czerwony płaszczyk.



Wyciągnęła w górę piąstkę zaciśniętą na powiązanych kwiatach. – Wianki mam! No, weź!

Anna podniosła go niepewnie. Był spleciony z chabrów, maków i rumianków, tych samych kwiatów, które widziała u Kliche, stróży prostych ludzi. Miały oklapłe płatki i nie było w nich ani trochę życia.

– Śliczny – odparła, siłąc się na uśmiech. Ulegając spojrzeniu dziecka, ostrożnie wsunęła wianek na głowę. Poczuła nagle zimno. – Chodź, idziemy do taty.

– Do duszków – poprawiła ją Helenka. – Idziemy pasać duszki i karmić nimi krówki.

– Helenka, nie wygłupiaj się. Stała się straszna rzecz. W nocy...

– Spłonęły cielaczki, spłonęły dziateczki. – Dziewczynka obróciła się, ciągnąc ją między bez. – W płomieniach na wieki się smażą duszeczki.

– Co...

Dziewczynka łypnęła na nią z niezadowoleniem, zła, że Anna przerwała jej piosenkę.

– Helenka! Anna!

Porośnięty ciernistymi jeżynami płotek wychodził prosto na polanę, gdzie zgromadził się tłum. Gęsto otoczone bzem Mysie Kamienie kryły się przed spojrzami obcych ludzi. Helenka wyrwała się Annie i pobiegła w dół pagórka, ku wyczekującemu jej Polkemu. Płaszczyk powiewał za nią krwistą czerwienią, a wianek lśnił, jakby pokryty rosą. Polke porwał córkę z ziemi, przez jedną chwilę jego smutna twarz rozjaśniła się nieco, markotne oczy zamigotały. Choć uśmiechnął się do dziecka, grymas spelzł z jego ust, kiedy podszedł do Anny.

– Zaczynamy – oznajmił krótko. – Mamy miód i gorczycę, a stare już palą zioła. Trzeba rzucić ziarna w skopaną ziemię.

Anna nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Matka walczyła z tymi przesądami, używając rzemienia i głodu, ale dusza wsi zawsze należała do dawnej wiary, jakkolwiek zawzięcie usiłowano jej tego pozbawić. Czuła się rozdarta. W końcu zdobyła się, żeby spojrzeć na polanę.

– Przecież oni nie tutaj pogrzebani... Polke, z nich nic nie...

– Ani słowa! Dusze przyjdą, same obaczą. Co z tego, czy proch w ziemi?

– Wybacz. – Anna przygryzła wargę. – Pójdę pomóc.

– Nie. – Brodaty mężczyzna chwycił ją za ramię, w tym samym miejscu, gdzie wcześniej złapała Annę stara Kliche. Dziewczyna wzdrygnęła się, ale nic nie powiedziała. Polke obserwował ją uważnie. – Weźmiesz koszyk i rozdasz wianki. Nie chcę, żeby dziecko biegało między skropionymi kamieniami.

– Po co wianki? – Anna pożałowała, że tu przyszła. – Znak krzyża przegania złe moce, nie kwiaty.

– Możesz iść, jeśli ci wadzą.

Jego spojrzenie, rozeźlone i srogie. Jej, wystraszone i smutne, oczekujące czegoś złego.

– Nie wadzą mi. Jak mówisz, tak będzie. Przykro mi, Polke.

– Na co mi twoja przykreść? To sprawiedliwości potrzebuję.

Kwiaty ci jej nie dadzą – niemal powiedziała Anna. Wiedziała jednak, że na tak ogromny ból nie ma żadnego lekarstwa. Polke i wieś potrzebowali obrządku z palonych ziół, żeby odkupić winy. Taki był właśnie porządek świata.

Wianki czekały w głębokim koszyku plecionym z rudej wikliny. Wszystkie wyglądały tak samo, poprzeplatane kolory tworzące amulet do obrony przed nieszczęściem. Mak, dla ochrony przed czarami, chaber, wynagradzający skromnych, i rumianek, strzegący nawet śpiącego. Zło miało odstąpić, napotkawszy ich połączone siły. Gdy Anna chwyciła kosz, wydało jej się, że pałąk jest bardzo gorący. Zaciśnęła zęby. Podchodziła do ludzi, zmuszając się, żeby spojrzeć im w oczy. I oni wyglądali jak wynędzniałe widma o napuchniętych od łez powiekach i ściągniętych brwiach. Mieli amulety, a niektóre starsze kobiety wisiorki z kurzych łapek. W polu, gdzie wichher zagłuszał ludzkie słowa, wieśniacy nie szukali bogów, lecz wychodzili naprzeciw duchom i marom. Anna nie zaczynała z nikim rozmowy ani nie próbowała nikogo pocieszać. Uciszyliby ją. Tu leżeli ich bliscy i tutaj pochowano pamięć o nich. A teraz nastał czas, żeby ich odwiedzić.

– Przybądźcie, przybądźcie, do stołu zasiądźcie, mchem zastawionego, kwiatami malowanego!

Anna stała, słuchając cichego śpiewu kobiet, obserwując, jak Polke wrzuca w płomienie kosmyk swoich włosów. Śledząc dym, zwróciła uwagę na postać stojącą w pewnej odległości od reszty. Człowiek ten tkwił w bezruchu na skraju starych wierzb, zdając się z oddali podziwiać ogień. Anna zauważyła, że nie ma na głowie wianka. Podejrzewając, że przeoczyła go, rozdając kwiaty, dźwignęła kosz i ruszyła w jego kierunku.

Nieznajomy drgnął nagle i wszedł niespiesznie między drzewa.

Dziewczyna wiedziała, że Polke będzie zły, jeśli dla kogoś z gości zabraknie wianka. Przyspieszyła kroku. Zawołałaby go, gdyby tylko wiedziała, kim jest.

Zagłębiła się między wierzby, czując ich zwiewny dotyk, ostrożnie stawiając stopy na ziemi usłanej liśćmi. Przez grube jak warkocze gałęzie prześwitywał zawieszony między chmurami księżyc. Anna stanęła jak wryta, dostrzegając jego kształt.

Oko – pomyślała, strwożona. *Złote oko.*

Wpatrzona w niebo, poślizgnęła się, w jednej chwili straciła grunt pod nogami. Poczula, że spada, i puściła kosz, chcąc chwycić się drzewa... a jej wyciągnięta ręka natrafiła na czyjś stanowczy uścisk. Koszyk upadł, rozsypując wianki pośród gęstego błota. Wodząc za nimi oczami, Anna dostrzegła buty, lśniąco czarne kozaczki o wysokich obcasach i ładnych skórzanych cholewach.

Zobaczyła nad sobą młodzieńca. Był czarnowłosy, o bladej skórze i kształtnych, uśmiechniętych ustach. Pochylał się nad nią, wyraźnie zatroskany. Wyglądał jak czeladnik sukiennika czy mistrza malarskiego w skromnym, lecz zadbanym ubraniu. Sięgnął między dryfujące w błocie wianki i chwycił ten najokazalszy, delikatnie podrywając go z kałuży. Obrócił go z zainteresowaniem.

– Martwe kwiaty – powiedział cicho. Jego głos był dźwięczny i łagodny. – Ludzie oczekują, że martwe kwiaty uchronią ich od zła. Wybacz – dodał, wciąż nie patrząc na Annę, gładząc oklapły wianek

długimi białymi palcami. – Nie spodziewałem się, że księżyc cię wystraszy.

– To nie księżyc się boję. – Anna prędko podniosła koszyk. Chciała zerknąć w stronę polany, ale nie mogła się na to zdobyć. Było tu bardzo zimno, jakby przyszły już zimowe mrozy. – Kim jesteś? Nigdy wcześniej cię nie widziałam.

– Czy jesteś tego pewna?

To pytanie przeszło Annę trwogą. Czysty głos nieznanego tylko ją potęgował. Zimno biło z ciała obcego.

– Nie jesteś stąd. Podglądałeś nas? Chcesz donieść staroście?

– A czy robiliście coś złego, żebym miał powód komukolwiek donosić? – Młodzieniec uśmiechnął się niewinnie. Wysokie kości policzkowe nadawały mu wygląd krogulca. – Czy palenie ognisk jest surowo karane przez pana tych ziem, Anno?

– Nie, ogniska... Skąd znasz...

– Imię? Twoje imię? Krzyk to zdradził. Krzyk zamężonej na kole starej kobiety.

Annie przychodziła do głowy tylko jedna stara kobieta.

– Kliche.

– Imiona zwiedłych kwiatów. – Gdy cofnął palce, ociekający błotem wianek był pełen życia, miał rozwinięte, jaskrawe płatki o tak słodkim zapachu, że Annie zakręciło się w głowie. – Kliche krzyczy, a ja słucham. Będzie krzyczeć całą noc, a rano... Czy nie słyszysz, jak cierpi? Wołała cię, kiedy szłaś śladem czarnego bzu. Mogłaś jej posłuchać, ale tego nie zrobiłaś.

Zręcznym ruchem obrócił wianek w dłoniach i nasunął na czubek głowy. Kwiaty, które miały chronić przed złem, mieniły się kolorami. Oczy nieznanego skradły nieco tego blasku, spiły lśniąca rosę. Rozjarzone, zdradziły złocistą głębię, która w nich czyhała.

Anna nie wiedziała, co robić.

– Jesteś...

– Jestem Merten – przedstawił się ciepło młodzieniec, nie przestając się uśmiechać. – Przecież wiesz.

Anna zdała sobie sprawę, że to prawda. Widziała ją w jego oczach.
– Słyszę ją – uświadomiła sobie. Coś kłębiło się wokół niej. – Słyszę. O, na Boga, ona...

– Tam, gdzie jest Kliche, nie ma Boga. Nie przyjdzie jej z pomocą. Nie pomoże i tobie, jeśli iskra jej stosu spadnie pod twoje nogi.

– Stosu?

– Mówisz, że pan tej ziemi nie jest surowy, lecz łamie kołem stare zielarki i pali je żywcem na wzgórzach, by świat dobrze widział dym. Iskry łatwo wzbijają się w powietrze. Równie szybko opadają. Lgną do tych, których wskazuje ostatnia wola umierającego.

– Nie. – Anna cofnęła się o krok, gotowa uciekać, krzyczeć i błagać o ratunek. – Nie, ja przecież... Niczego nie zrobiłam. Nie mam nic wspólnego z pożarem. Kliche nie może winić mnie... W imię Ojca...

Merten obserwował cierpliwie, jak Anna wykonuje znak krzyża, choć w jego oczach pojawiło się lekkie zdziwienie, że poświęca czas na tak próżne gesty.

– Czy nie rozumiesz? – zapytał wyrozumiale. – Z jutrzejszym świtaniem z Mausebergu spłynie smoła. Chrust i siano wypiją ją łapczywie. Kliche zbudziła ogień, więc teraz płonie, póki nie zgaśnie. Pamiętaj, człowiecze...

– ...że cię niedługo na świecie. – Dziewczyna poczuła się zupełnie bezradna. – Proszę, musisz mi pomóc.

Patrzył ponad jej ramieniem na ogień na polanie. Pochłaniał ten widok. Słysząc było flet i bębenki. To musiał być taniec życia, pożegnanie duchów chwilą beztroskiej zabawy. Merten nasłuchiwał przez chwilę.

– Zatańczysz ze mną, Anno? – spytał nagle.

– Tam są ludzie... Oni nie rozumieją...

– Oni? To ciebie proszę. Spełnię twoje życzenie, jeśli się zgodzisz.

– Chcesz tańczyć? Przecież jesteś...

Młodzieniec wyciągnął do niej dłoń, dobronczny i uprzejmy.

– Jestem chabrem. Jestem makiem. Jestem rumiankiem.

Ujęła jego rękę. Nie poczuła zupełnie nic, tylko podmuch wiatru musnął wierzch jej dłoni. Niepewna spojrzała za siebie. Pod wierzbą-

mi, gdzie rozciągały się kałuże błota i spadłych liści, zieleniła się teraz trawa. Między jej kępami rosły kwiaty, niebieskie, czerwone i białe.

Kiedy wrócili na polanę, nikt nie zwrócił na nich uwagi, jakby wcale nie istnieli, jakby tańczących zupełnie pochłonęła muzyka. Oddani jej całkowicie, wirowali i podskakiwali, a ich rumiane policzki lśniły od gorączki, która toczyła wszystkich. Anna słyszała przyspieszone oddechy. Widziała groteskowe uśmiechy przyczepione do wysuszonych twarzy, które napięte w jakimś okrutnym przymusie trzymały na ludzkich obliczach zadowolenie. Nogi tupały w jednym rytmie, dłonie kłaskały o siebie w tej samej chwili. Anna czuła się tak, jakby szła we śnie, przez jeden ze swoich dziecięcych koszmarów, gdzie mgła przybierała kształt tylko w chwili, kiedy skupiło się na niej wzrok. Przerażona słuchała muzyki, i choć dźwięki wydawały jej się znajome, towarzyszyło im dziwne, chichoczące echo, które naigrawało się z nieudolnych tanaczy, zmuszając ich, żeby tańczyli coraz szybciej i szybciej.

Merten ujął Annę w talii i stanowczo wyprostował jej rękę. Pociągnął dziewczynę w lewo, potem w prawo, skrzesał hołubca. Wszędzie wokół plątały się kształty. Anna zobaczyła przerażenie w oczach mijających ją ludzi, ślinę ciekącą z wykrzywionych ust, krew skapującą strużkami z poczerwieniałych z wysiłku uszu.

– Mertenie, przestań.

Ale on uśmiechnął się jeszcze szerzej i obrócił ją wokół własnej osi, raz, drugi, trzeci. Oczy zaszczyły jej piekącą mgłą, w uszach zabrzmiał czyjś krzyk.

– Zostaw. Nie krzywdź ich. Przestań.

Nie przestawał. Rozmyty cień jego twarzy przybrał odrażającą postać, przystojne oblicze czarnowłosego młodzieńca rozpadło się jak dynia roztrzaskana toporem. Pod spodem była szkaradna rogata czaszka o płonących złościście ślepiach... tych samych, które Anna widziała w płonącej karczmie. Usłyszała krzyk Kliche, tak głośny, jakby staruszka wrzeszczała z bólu prosto do jej uszu, rozdzierające, okropne wycie kogoś, kto umiera w męczarniach. Zupełnie tak, jakby to Anna zadawała jej cierpienie.

– Annoooo! Płoooń! Płoooń!

– Dość! – krzyknęła głośno Anna, zakrywając rękami uszy. Wianek spadł jej z głowy.

I wtem wszystko ustało. Anna patrzyła prosto na Mertena, który stał z opuszczonymi rękami i nieruchomą, chłodną twarzą, z powrotem ludzką. Świat wokół nich stęzał i zwolnił, sylwetki tańczących brnęły przez mgłę, walcząc daremnie z lepką melasą, rozrywając palcami obłoki zastygłego czasu.

– Co zrobiłeś? – spytała Anna, oddychając szybko. – Co to wszystko znaczy?

Sklonił się dwornie.

– Było mi bardzo miło tańczyć z tobą. Za przyjemności należy się odwdzięczać, bo inaczej będą tylko pustymi igraszkami.

Anna pojęła, że czeka na jej słowa. Strach wrócił ze zdwojoną siłą.

– Kliche nie może powiedzieć, że wtedy u niej byłam. Nie może mnie wydać ludziom starosty. Jeśli tu przyjdą... Jeżeli... – Potrząsnęła głową. – Proszę, niech tamten dzień wcale się nie wydarzy.

– Czas można zwolnić, przyspieszyć, ale nigdy odwrócić.

– Nie chcę płonąć na stosie. Obiecuj mi.

Na to czekał, na jedno życzenie. Nachylił się ku niej, tak blisko, że ujrzała łgarskie błyski w jego gołębach oczach.

Jednak czarnowłosa młodzieniec nie był człowiekiem. Byłby częścią jej snu, gdyby tylko śniła.

– Obiecuję – odparł cicho.

Nim głos umilkł, Anna była sama. Stała przed Mysim Kamieniem, a na świeżo skopanej ziemi pod nim leżał wianek z pachnących kwiatów. Ich kolory były takie żywe.

– Anno.

Minęła chwila, zanim dziewczyna rozpoznała głos. To był Polke. Stał za nią, jakby obawiał się zbliżyć.

– Stoisz tak całą noc – podjął po chwili wahania. – Anno, słyszysz mnie? Obrządek dokonany, wszystko już zgasło. Dusze posłuchały i poszły. Nie ma na co czekać. A tam, na wzgórzu...

– Co takiego? – Anna obróciła się akurat na czas, żeby zobaczyć zdumienie na twarzy mężczyzny. Policzki Polkego były szare od sadzy, a we włosach miał samotny czerwony płatek. – Polke, co się dzieje na wzgórzu?

– Nie wiesz? Płonie ogień. Ladenskron pali czarownicę.

Anna zobaczyła ponad laskiem pióropusz dymu, podobny do tego, który znaczył niebo w noc pożaru w karczmie. Wiatr przeganiał chmury ponad wzgórzem, na szczycie którego majaczyły płomienie. Były wysokie jak topole. Anna słyszała, jak wybijają rytm.

Rozległ się krzyk, przepelniony bólem tak wielkim, że nic nie było w stanie go stłumić. Echo przemknęło po grzywach owsa i żyta, zniechęcało z trwogi.

– Kliche. – Anna zapragnęła uderzyć Polkego. Mężczyzna spuścił oczy. – Pałą zielarkę, którą znałeś całe życie. Która uratowała ci córkę przed gorączką, wyciągała źle ułożone cielaki.

– Pałą wiedźmę! Na Boga, Anno! Nie możemy nic zrobić. Jest winna i ponosi słuszną karę. – Natychmiast zamilkł. – To okrutne, ale Ladenskron ma prawo...

– Po co tu przyszedłeś, skoro możesz stać tam i patrzeć, jak smażą wiedźmę?

– Martwiłem się... o ciebie.

– Nie chcę twojego zmartwienia, jak i ty nie chciałeś mojego.

Jego strudzone, spuchnięte oczy błędziły po Mysich Kamieniach, usiłując znaleźć odpowiednie słowa wśród rozsypanego popiołu.

– Zabiła mi brata. Zabiła dzieci.

– Nie – odrzekła szeptem Anna. – Nie ona.

– Jeśli nie ona, to kto?

Zapragnęła mu wszystko wyznać, opowiedzieć o złotych ślepiach, które ujrzała w płonącej karczmie i czarnowłosym młodzieńcu, który czekał na nią pod wierzbami. Nagle przypomniała sobie nienawiść w głosie Polkego, kiedy mówił o winie Kliche. Zaciśnęła usta.

– Wszyscy jesteśmy winni – odpowiedziała oziębło. – Sprowadziłeś na siebie jego gniew.

– Jego? – Polke uniósł dłoń, żeby się przeżegnać. – Boga?

Anna zapomniała o Bogu. Spostrzegła, że zgubiła swoją broszkę, starą pamiątkę po zmarłej matce. To była posłuszna przykazaniom kobieta, która każdą wolną chwilę poświęcała na żal za grzechy, jeśli nie swoje, to całego bezecnego świata.

– Tutaj nie ma Boga, Polke – powtórzyła to, co powiedział jej Merten. – Pamiętaj, człowiecze.

Wręczyła mężczyźnie zupełnie uschnięty wianek z polnych kwiatów i zeszła z polany, by wrócić do wsi szlakiem czarnego bzu.

W katedrze Świętej Jadwigi biły dzwony, ich donośne, ogłuszające głosy poddawały Annie rytm ucieczki. Nigdy wcześniej nie były tak głośne. Nienawidziły jej, usiłowały przepędzić, przeklinały nienawistnym śpiewem, nakazując pościgowi pojmać ją i osądzić.

Anna wiedziała, że sąd będzie niesprawiedliwy. Starosta Ladenskron był zawzięty jak myśliwski ogar, a wsparty przez Kościół pozostawał niepowstrzymany. Od czasu śmierci wiejskiej znachorki Ladenskron tropił czarownice bez ustanku. Pojmał już dwie. Jedna spłonęła wczoraj, druga miała dokonać żywota wraz z dzisiejszym zmierzchem. Akuszerka i córka grabarza, dwie błagające o łaskę kobiety, których płaczu nikt nie wysłuchał. Ladenskron szukał także mężczyzny, młodego chłopaka, posługującego się imieniem Martin, Mertin lub Marcin, zależy, kogo o niego spytano. Jedynie on i Anna pozostawali w ukryciu.

Aż do teraz.

– *Vade retro, Satana!* – rozbrzmiewały głosy, głośno i wyraźnie, jakby czystość śpiewu decydowała o skuteczności ich modlitwy. – *Crux Sacra sit mihi lux!* – Tętent kopyt i syk pochodni wzmacniały ich zawziętość, a wczesny śnieg schodził im z drogi. – Święty Michale Archaniele, pogromco Lucyfera! Któż jak Bóg!

Mógł im towarzyszyć Bóg, ten sam, w którego dawniej wierzyła Anna, ale ona sama miała za sojusznika jedynie las, którego drzewa

zdawały się biec u jej boku. Rumieńce załyły twarz i szyję, z ust biły gęste obłoki pary, a wargi miała spierzchnięte i krwawiące. Suknia, porozrywana na cierniach, strzępiła się pasmami tkaniny wokół chudego ciała. Włosy miała pozlepiane od błota, mazi i zaschniętej posoki. Na palcach brakowało jej paznokci, a na stopach butów. Gdy upadła na śliskim kamieniu, rozbiła kolanem warstwę lodu na zamrożonej kałuży.

Czuła, jak dudni ziemia. Zapach kadzideł rozchodził się po lesie, święty dym, który przywiedli ze sobą jeźdźcy. Wiotkie drzewka szepotały, a buroszware niebo skryło przed nią wszystkie gwiazdy. Poczuła obezwładniający ból. Kiedy przychodził, za każdym razem był silniejszy, a swąd palonego ciała gorszy od krzyku, który wypełniał jej wtedy uszy.

Jednak tym razem usłyszała pełen współczucia szept.

– Anno.

Zdawało jej się, że klęczy we krwi, która wsiąka powoli w zniszczone ubranie. Patrzyła na swoje okaleczone dłonie, poparzone od cudzego cierpienia, o powykręcanych, obdartych ze skóry palcach.

– Anno, co czynisz?

– Nie mogę – odpowiedziała. Zęby szczękały z zimna, chociaż żar był nie do wytrzymania. – Nie potrafię tego dłużej znieść.

– Znieść czego? – spytał uprzejmie głos, który okazał się należeć do człowieka przykucniętego nad Anną. – Słyszysz ich? Są tuż, tuż. Chcą cię zapędzić na Mauseberg.

Na Mausebergu ginęły czarownice, a Anna dzieliła niedolę z każdą z nich. To ją wyniszczało, powoli, jak zatruta krew. Ślepla od bólu tężającego w jej ciele, zagryzając język i czołgając się wśród spadłych liści, parząc napary i jęcząc, żeby choć odrobinę ulżyć cierpieniom. Bycza krew pomagała, lecz nie na długo. Maść z nieochrzczonego dziecka również zawodziła. Noce były pełne krzyku i smrodu, smaku smoły i siarki. Do Anny przychodziły przypominające ją kobiety, nagie i białe, o długich włosach spływających po łopatkach aż do pośladków. Ich połączone głosy zagłuszały wrzaski płonącej na stosie Kliche.



– Oddasz się im? – nie ustępował karcący głos. – Wiesz, co z tobą zrobią. Kto ich powstrzyma, jeśli zapragną wziąć cię siłą, tutaj, na śniegu? Powyrywać włosy albo zęby, żeby posłuchać twojego krzyku?

– A więc ich zatrzymaj. – Nic więcej jej nie zostało. – Wiem, że potrafisz. Zwiedź ich w bagno. Połam karki koniom, wskaż wygłodniałym ogarom gardła ich panów. Niech wychłepczą posokę, a potem pozagryzają się nawzajem.

Nim jeszcze skończyła mówić, wiedziała, że jej nie pomoże.

– Dlaczego miałbym to robić?

Widziała jego cień w odłamekach skruszonego lodu, niewyraźną twarz, odbijającą się w pęknięciach ciemnymi plamami.

– Robiłam, co kazałeś. Nie opuszczaj mnie. – Zimno zdusiło jej oddech w piersi. – Zioła, ognie, kości... Bydło, ludzie... Ich krew... To wszystko...

– Każda kropla dawała ci jeden swobodny oddech. Ale krew już wyschła. Czy nie wiesz, że ogień pije krew?

Anna odjęła ręce od twarzy. Były blade i kościste, trupie. Unosząc wzrok, dostrzegła ruch między drzewami. Ogniki prześlizgiwały się w pośród gałęzi, końskie grzywy furkotały na wietrze. W oddali majaczyło pobielone śniegiem pole, a nad nim, śląc czujne spojrzenie, stał księżyc, owinięty w purpurowo-pomarańczowy płaszcz z chmur. Widok był tak piękny, że po twarzy Anny popłynęły łzy.

Wiedziała, że przybędzie w ostatniej chwili, i pojawił się, jakby ściągnęła go tutaj jedyna spokojna myśl.

Wygłądała przez więzienne okienko, patrząc na Mauseberg i obserwując składane na podeście drewno, chrust i słomę, kiedy poczuła, że ktoś stoi obok niej.

Ujrzała go takim, jaki pojawił się przy pierwszym spotkaniu. Czy oczy ją oszukiwały, czy też zdecydował się na to sam, kpiąco beztroski, Anna nie wiedziała. Wyglądał jak czeladnik, podobny do młodych

sukienników, którzy uśmiechali się do niej, kiedy odwiedzała czasami miejski rynek. Smukły czarnowłosy młodzieniec o przystojnej twarzy i łagodnych oczach. Znalazła w nich odwagę, żeby pogodzić się z tym, co miało nastąpić.

– Mertenie...

Objął ją, tak delikatnie i czule, że niemal uwierzyła w jego przynębienie. Jakby był prawdziwym człowiekiem... jednak nie wyzwolicielem, nie wybawcą.

Był katem, którego nie potrafiła nienawidzić.

– Och, Anno – rzekł pełen żalu. – Co oni ci zrobili?

Czuła się staro. Zdążyła przywyknąć do brudu, zmęczenia i bólu, ale starość ukłuła ją boleśnie w serce, które wczesny mróz pokrył lodem.

– Jestem starą kobietą, Mertenie. Zabrałeś mi moje życie. Wszystkie lata, które mogłam przeżyć, gdybym ciebie nie spotkała. Bydlęca krew nie zwróciła mi własnej. Świece zgasyły, a kwiaty uschły.

– W mojej dłoni kwiaty zawsze są żywe. Spójrz.

Na jego kolanach leżał wianek z polnych kwiatów, pachnący życiem i starannie spleciony, dorodny i piękny. Był niebieski, czerwony i biały. Anna uśmiechnęła się słabo. Zapragnęła go dotknąć, lecz obawiała się, że go skrzywdzi. Ostatnimi czasy potrafiła tylko niszczyć.

– Chaber, mak, rumianek.

Przechylił głowę. Czarne, bujne włosy opadały mu swobodnie na ramiona.

– Łza, krew, kość. Pamiętasz nasz taniec?

– Pamiętam – przyznała tęsknie. – Tańczyłeś z każdą?

– Nie. Tylko z tobą.

– Ludzie mnie nienawidzą. Będą szydzić i przeklinać, na wieki. Już nigdy nie zaznam spokoju. Nikt nie zapali dla mnie świecy, nie wspomni imienia.

Uspokoił ją mrugnięciem.

– Ludzie to tylko kwiaty, Anno. Bez mojego dotyku uschną. Ja wybieram sobie tylko najpiękniejsze, żeby dowiodły przede mną swojego uroku.

– A ja, Mertenie? Co się stanie ze mną? Obiecałeś...

– Obiecałem. – Uniósł dłoń i ujął ją za policzek, pocięty od razów i fioletowy od sińców. Jego palce przyniosły ukojenie, oczy lśniły, wypełnione usypiającym spokojem. – Ja tylko zbieram kwiaty.

Anna była wolna od strachu. Poczuła się tak, jakby porzuciła ludzkie ciało. Lekkość wypełniła jej pierś.

– Czy to już? – spytała cicho.

– Tak.

Spod białych knykcii rozlała się purpura. Kości chrupnęły, szczeka opadła, szyja zwiotczała. Anna westchnęła, osuwając się bezwładnie w ramiona młodzieńca. Zdążyła tylko dostrzec cień, który opuścił jego twarz, gdy przestał być przystojnym czeladnikiem sukiennika. Zrzucił czarne szaty, jakby zniknęły trzymające je szwy, pazury wystrzeliły z oków skórzanych butów.

Diabeł przez chwilę trzymał martwą staruszkę, pochłaniając uciekające z niej ciepło, smakując je niespiesznie i doceniając każdy jego łyk. A kiedy była już zupełnie zimna, ułożył ją ostrożnie na pryczy. Po chwili wahania zostawił obok niej wianek o kwiatkach świeżych, jakby ledwo zerwanych.

Polny wianek z chabrow, maków i rumianków.

Agata Poważyńska – absolwentka pedagogiki resocjalizacyjnej, niekarana. Anglistka w przygotowaniu. Mieszka na wałbrzyskim Podzamczu, a więc uwielbia zamki. Prowadzi kampanie D&D, sporadycznie nawiedza biblioteki, uczy ludzi poprawnie wypowiadać {th}. Lubi wymyślać światy, nawet te nieposiadające zamków. Napisała bardzo dużo, wydała bardzo mało. Rekreacyjnie spogląda w otchłań.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22352>

Historia niezwykle mroczna, przesycona klimatem czarów, zabobonów, odczyniania uroków, z diabłem w tle i czarownicami płonącymi na stosach. (...), rzecz została opisana w sposób pozwalający przenieść się w dawne czasy i niejako uczestniczyć w tych okropnych wydarzeniach.

Jolanta Pawlak (regulatorzy)

Mroczne, ale piękne. Jak zwykle bardzo dbasz o stylistykę i bogactwo języka, historia, którą opisujesz, też jest niezwykle ciekawa. Bardzo dobre opowiadanko.

Irka_Luz

Bardzo mi się podobało: efektowne, emocjonalne, a jednocześnie bardzo plastyczne w opisach, przywołujące klimat miejsc i wydarzeń. Ciekawie przetwarza autentyczną historię, tworząc przekonujący (choć koszmarnie ponury) klimat.

ninedin

Smutne, mroczne, melancholijne. O tym, że zło może przybrać inny kształt, niż się może zdawać, a jednak nadal być złem. I że dobro może być ślepe lub może go wcale nie być.

wilk-zimowy

Bardzo ładny tekst. Budujesz klimat obrazami, przesycasz je też mocno kolorami w opisach. To daje fantastyczny efekt. Do tego dokładasz język dialogów – lekko stylizowany, ale nadal zrozumiały. Czytałem więc całość z zapartym tchem...

Jerzy Bogusławski (NoWhereMan)

Budowanie nastroju znakomite. Kolory, zapachy, aura niepokoju i wisząca gdzieś niedaleko groźba szaleństwa. Największe wrażenie wywarły na mnie rozmowy z Mertenem. Ciarki!

Mateusz Kędziora (MrBrightside)

Świetnie wypadło to połączenie chrześcijaństwa i kultywowanych równolegle obyczajów pogańskich. Tropy geograficzno-kulturowe subtelne, ale przecież cały czas obecne.

Krzysztof Rewiuk (cobold)

W oku patrzącego

Sonia Korta

20 grudnia 2025, Jerozolima, wieczór

Szczegóły poskładali dopiero po obejrzeniu nagrań z kamer i wysłuchaniu zeznań świadków. Samochód pełen gwoździ i żyłek przejechał w dół Jaffy, zostawiając za sobą ślad benzyny z przedziurawionego baku. Kierowca wysiadł i jak gdyby nigdy nic wkroczył w tłum turystów migrujących między tutejszymi pubami. Odpalił papierosa. Zaciągnął się.

Pstryk.

22 grudnia 2025, Tel Awiw, nad ranem

Wibracje telefonu obudziły Kane'a Szukmana za piętnaście trzecia nad ranem. Zaklął, widząc na wyświetlaczu nazwisko szefa. Przeciągnął palcem po ekranie.

– Tak?

– Kane. – Głos Ariego Ahoniego wybrzmiewał zmęczeniem. – Zrobisz sobie wycieczkę do Jerozolimy.

– Świetnie. Po co?

– Wiesz o Jaffie?

– Mam szukać zamachowca?

– Ej, nie. – W głosie Ahoniego dało się słyszeć zniecierpliwienie.

– Znaleźliśmy go dzisiaj rano, z kulą we łbie.

– Policijną?

– No, kurwa, raczej. Nie możemy sobie więcej pozwolić na takie dawanie dupy. I właśnie dlatego potrzebuję cię w Jerozolimie. Bądź u mnie o siódmej. Chawa przygotowała dla ciebie kilka profili do przejrzania, a ja wprowadzę cię w szczegóły. To będzie nietypowa robota.

Sonia Korta

- Ile mam czasu na przygotowanie?
- Do dwudziestego czwartego. Wigilia. Tłumy na Starym Mieście. Idealny moment, żeby się wykazać, prawda?

24 grudnia 2025, Jerozolima, Stare Miasto, późne popołudnie

Kobieta zerknęła nieufnie przez szparę w drzwiach, kiedy Kane Szukman pokazywał dokumenty.

– Szalom – powiedziała, odczytując nazwę wydziału z identyfikatora. W ustach jerozolimskich Arabów słowo to nabierało tysiąca nowych znaczeń. „Szalom, jestem gotowy do współpracy”. „Szalom, nie jestem terrorystą”. „Szalom, nie będę sprawiać kłopotów”.

– Salam alejkum, pani Zulfo – odpowiedział Szukman i kobieta rozluźniła się nieznacznie. Gest dobrej woli otwierał drzwi szybciej niż groźby i przemoc. Najważniejszy był odpowiedni uśmiech. Łagodny, uspokajający, który powinien budzić zaufanie, ale którego wielu agentów, mimo przeszkolenia, wciąż nie odróżniało od maniakalnego szczerzenia zębów.

Szukman wszedł do niewielkiego mieszkania, natychmiast wyczuwając atmosferę: spokojne, stabilne małżeństwo; niereligijni i może trochę zastraszeni, ale w końcu każdy się denerwuje, kiedy agent Wydziału Prewencyjnego puka do drzwi.

W fotelu w salonie siedział szczupły starszy mężczyzna z tabletem w dłoni i eleganckim zegarkiem na nadgarstku. Skóra gospodarza miała jaśniejszy odcień niż u Szukmana.

– Szalom – powiedział, podnosząc się z siedziska i odkładając tablet na stolik. Zerknął pytająco na żonę, ale nie zadał żadnego z pytań, które cisnęły mu się na usta. „Szalom, rzekam się prawa do żądania informacji”. „Szalom, szalom, będę współpracować”.

– Salam alejkum – odparł Szukman, zakładając ręce za plecy.

Dyskretnie rozejrzał się po pokoju, ale na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku: typowe mieszkanie pary, która jakiś czas temu przekroczyła wiek średni i osią życia uczyniła spędzanie leniwych wieczorów w domu, przy lampce wina i książce. Dzieci dawno wyfrunęły z gniazda, ale wpadają czasami na weekendy.

– Nazywam się Kane Szukman – powiedział agent, nie wyciągając dłoni do gospodarza – z Wydziału Prewencyjnego. Przykro mi z powodu najścia, ale w związku z niedawnymi tragicznymi wydarzeniami oraz zbliżającymi się obchodami chrześcijańskich świąt wprowadzamy dodatkowe środki ochronne, aby każdy obywatel Izraela oraz przebywający obecnie w kraju turysta mógł przeżyć ten piękny czas jak najbezpieczniej, niezależnie od wyznania. Zgodnie z wytycznymi muszę sprawdzić państwa dokumenty i przeprowadzić kilka standardowych procedur.

Po twarzy starszego mężczyzny przemknął cień, jednak Szukman nie wychwycił agresji. Jedynie rozgoryczenie i żal, że on, Rajaa Said, mieszkaniec najbardziej cywilizowanego państwa na Bliskim Wschodzie, musi zgadzać się na coś takiego. „Szalom, szalom, mamy dwa tysiące dwudziesty piąty rok, łapiemy terrorystów, zanim pomyślą o dokonaniu zamachu”.

– Nie słyszałem, by moich sąsiadów przesłuchiowano, panie Szukman – powiedział ostrożnie mężczyzna.

– Kontrole przeprowadzamy w losowej kolejności.

– Oczywiście.

Szukman uniósł lewą dłoń, by państwo Said zobaczyli wszczepki w opuszkach: po cztery niewielkie czarne kropki na każdym palcu oprócz kciuka.

– Wiedzą państwo, co to jest?

Mężczyzna zbladł i kiwnął głową, kobieta zaprzeczyła.

– Te receptory – wyjaśnił Szukman – pozwalają mi transferować uczucia, sny i wspomnienia z oryginalnego źródła do mojej głowy.

– Pan jest pielgrzymem – zauważyła kobieta. O pielgrzymach słyszała jak każdy: w Internecie, w telewizji, wszędzie debaty o moralności i etyce. Musiało jej się obić o uszy.



– Zgadza się. Za państwa zgodą dokonamy badania. To rutynowa kontrola, a proces jest całkowicie bezbolesny i bezpieczny.

– A jeśli się nie zgodzimy? – zapytał pan Said, unosząc brodę, jakby nagle odżyła w nim arabska duma i upór.

– Mają państwo do tego prawo. Ale wówczas będę zmuszony założyć, że coś ukrywacie i zabrać was do placówki, w której zostaniecie przesłuchani bardziej... tradycyjnymi metodami.

– Nie mamy nic do ukrycia – zapewniła szybko kobieta. – Prawda, Rajaa?

– Oczywiście, że nie – odparł pan Said.

– Miejmy to z głowy. – Kobieta przeszła za wyspę kuchenną, nalała wody do czajnika, wcisnęła guzik. – Zrobię kawę. Napije się pan kawy, panie Szukman? Proszę się rozgościć. Niech pan zdejmie płaszcz i usiądzie z nami przy jednym stole.

– Dziękuję. Wystarczy szklanka wody.

– Niech pan siada. – Gospodarz wskazał gościowi sofę po przeciwnej stronie stolika.

Szukman uśmiechnął się, ściągnął płaszcz, przerzucił przez oparcie kanapy, po czym usiadł na pufie, bliżej fotela starszego mężczyzny.

– Muszę teraz zadać kilka pytań, które możecie uznać za osobiste – powiedział, kiedy Zulfa Said wróciła do salonu, niosąc tackę z dwiema filiżankami i szklanką wody. Przysiadła na oparciu fotela, zakładając ręce na piersi i wpatrując się z uwagą w twarz pielgrzyma.

– Słuchamy.

– Najpierw chciałbym zweryfikować informacje, które widnieją w ROPA – powiedział, wyciągając telefon. Włączył aplikację i położył smartfon na stoliku, a państwo Said zerknęli na wyświetlacz, na którym rozjarzyło się niebieskie logo Rejestru Obywateli Pochodzenia Arabskiego. – Pana matka pochodziła z Europy, zgadza się, panie Rajaa?

– Tak, z Francji. Co z tego?

– Też jestem dzieckiem z mieszanego małżeństwa – przyznał Szukman. – Matka Amerykanka, ojciec Izraelczyk. W domu mieliśmy

lekki miszmasz kulturowy: o ojcu nie można powiedzieć, że jest jakoś szczególnie religijny, ale ma, że tak powiem, *soft spot* dla tradycji. Matka natomiast upiera się, by w każde chrześcijańskie święta przystrajać choinkę. Cofa się do wspomnień z dzieciństwa, tak mówi.

– Moi rodzice pochodzili ze świeckich rodzin – powiedział pan Said; Szukman wyczuł rezerwę w głosie gospodarza, kiedy ten zastanawiał się nad każdym wypowiedzanym słowem. – Odkąd pamiętam, oboje identyfikowali się jako ateści. Chrześcijańskie Boże Narodzenie miało dla nich znaczenie nie większe niż hinduskie Diwali. Podzielałam ich podejście.

– Czyli nie macie żadnych planów na wieczór? W dzielnicy chrześcijańskiej sporo się dzisiaj dzieje.

– Panie Szukman, jesteśmy starymi ludźmi – wtrąciła Zulfa, kładąc dłoń na ramieniu męża. – Wieczory spędzamy zwykle w domu, niezależnie od pory roku. Poza tym nie przepadamy za tłumami.

– Oczywiście. – Agent sięgnął po szklankę i upił łyk wody. Miała posmak kamienia. – Osobiście uważam, że Jerozolima to balansujący na granicy znośności tygiel kulturowy – dodał z uśmiechem w niczym nieprzypominającym szczerzenia kłów. – Ciężko jest utrzymać porządek w mieście, w którym przenika się tyle kultur i wyznań, a każdy ma własną wizję tego, jak powinien wyglądać świat.

– Pan o tym wie najlepiej – zauważył Rajaa Said, niezbyt dyskretnie zerkając na zegarek.

– Zrobiło się późno, prawda? – zapytał Szukman. – Wobec tego nie będę zabierał wam więcej czasu. Przejdziemy teraz do krótkiego badania. Pani Zulfo, będzie pani tak uprzejma i zostawi mnie samego z mężem? Oddam go pani zaraz po badaniu.

Pani Said zawahała się na moment, ale skinęła głową. Szukman nie odwracał się, kiedy wychodziła z pokoju, jednak był pewien, że zerknęła przez ramię, nim zniknęła za drzwiami prowadzącymi do sypialni.

– Proszę się przysunąć, panie Rajaa.

Gospodarz westchnął cicho, ale wykonał polecenie. Nogi fotela zaszurały na drewnianej podłodze.



– Przyłożę palce do pana skroni – powiedział Szukman, unosząc lewą dłoń i ponownie pokazując starszemu mężczyźnie czarne kropki receptorów. – Proszę się rozluźnić, opróżnić umysł. Nie jestem w stanie odczytać pana myśli *per se*, zobaczę jednak niektóre z obrazów tworzonych przez pana mózg. Jeśli będzie się pan skupiał na obrazie, powiedzmy, szarlotki, ja również zobaczę szarlotkę. Proszę pamiętać, że badanie nie jest inwazyjne i nie spowoduje żadnych permanentnych zmian.

– A niepermanentne?

– Czasami badani odczuwają po transferze zawroty głowy i lekkie mdłości, nie powinno to jednak trwać dłużej niż kwadrans od zakończenia sesji.

Pan Said machnął ręką.

– Niech pan zaczyna, panie Szukman.

Pielgrzym nie odczytywał myśli w formie jednoznacznych, czytelnych obrazów i słów. Wszystko zawsze było porwane i niespójne; agent mógł ugniatać i formułować uzyskany materiał jak surowe ciasto.

Kiedy przyłożył palce lewej dłoni do skroni pana Saida, wyczuł w mężczyźnie przede wszystkim strach. Lęk zawsze był najłatwiejszy w interpretacji, co więcej, często udzielał się badającemu, wywołując zimne poty, przyspieszoną akcję serca, szum w uszach.

Said boi się tego młodego uprzejmego Izraelczyka, który zjawil się na progu ich mieszkania ze słowem „salam” na ustach i chłodem w oczach. Mówi „pokój”, ale coś burzy, wprowadza chaos, nieporządek. I za to Rajaa Said go nienawidzi. W tej chwili. I boi się.

A pod spodem, jak zadra, cierń wbity w ciało, tkwi coś jeszcze. Łzy upokorzenia wzbierają pod powiekami Saida, który dzień po dniu traci godność na rzecz bezpieczeństwa. A teraz ten Izraelczyk odbiera im nawet to, ze swoim „salam”, które w jego ustach nabiera nowych znaczeń, ze swoimi „standardowymi procedurami” i czytaniem w myślach.

Przebija gorycz: szkoda, że Rajaa Said nie jest młodszy i silniejszy. Szkoda, że nigdy nie był sprawny fizycznie. Bo teraz, w tej chwili, poszedłby walczyć w szeregi niedobitków palestyńskich bojówek. Poszedłby.

Myśl natychmiast znika, stłumiona strachem, a w jej miejsce pojawia się twarz Zulfy. Ona prędzej by poszła, Rajaa Said nie ma jaj.

Dalej dla Szukmana nie było niczego interesującego.

Pielgrzym sięgnął do kieszeni płaszcza po paczkę chusteczek i wytarł skroń mężczyzny, mokrą od potu.

Pan Said zacisnął zęby.

24 grudnia 2025, Jerozolima, Stare Miasto, wieczór

Kane Szukman opuścił kamienicę i wyszedł na wąską uliczkę; ślepy zaułek pomiędzy dwiema dzielnicami: chrześcijańską i muzułmańską. Ciemność nocy rozpraszały jaskrawe neony „Merry Christmas” w kilkunastu językach, szpecące wiekowe budynki jerozolimskiej starówki. Wielki, obwieszony lampkami święty mikołaj. Połamane drewniane renifery, na których za dnia bawiły się dzieci.

Szukman zapalił papierosa i zadzwonił do szefa. Ari Ahoni odebrał po dwóch sygnałach.

– Słucham cię, Kane. – Zachrypnięty głos Ahoniego sugerował, by ten, kto mu przeszkadza, od razu przeszedł do rzeczy.

– Dobry adres.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której Szukman zaciągał się dymem, bezgłośnie licząc upływające sekundy.

– Kurwa, czyli jednak... – odezwał się wreszcie Ahoni. – Które z nich?

– Żona. Facet za bardzo by się bał. I jest zbyt biały – dodał po namyśle.

– Dobrze. Masz wolną rękę, ale...

– Ale? – powtórzył Szukman.

– Wszystko ma być na tip-top. Żadnych pomyłek, żadnych śladów.

– Na luzie, Ari.

24 grudnia 2025, Jerozolima, Stare Miasto, późny wieczór

Po skończonej robocie Kane Szukman ponownie zadzwonił do szefa.

- Tip-top – powiedział, zanim Ahoni zdążył się odezwać.
- *Roger*. Zaraz kogoś wyślę.
- Wiesz, Ari, całkiem dobrze się bawiłem. Jeśli kiedyś znowu trafi się podobna fucha, dzwoń o każdej porze.
- Kane...
- Tak?
- Pierdol się.

24 grudnia 2025, Jerozolima, Stare Miasto, późny wieczór

Twarze, które dostrzegał w tłumie pod Bazyliką Grobu Bożego, należały w większości do turystów: blade, osłonięte szalikami, zaskoczone zimnem w pustynnym kraju. Szukman przeciął plac, wciskając dłonie głęboko do kieszeni płaszcza, żeby unikać przypadkowych kontaktów, ale receptory i tak świrowały. Za dużo bodźców. W powietrzu zapach kadzideł mieszał się z wonią shawarmy, bajgli i taniego drewna, w którym rzeźbiono tandetne pamiątkowe krzyżki, sprzedawane przez arabskich handlarzy tuż za granicą terenu świątynnego.

Wycofał się pod jedną z bram prowadzących w labirynt uliczek i zapalił papierosa. Ludzi przybywało, lecz mało kto opuszczał plac; kolejka czekająca na wejście na pasterkę wydłużała się.

- Kane. – W słuchawce skrytej pod kapturem zabrzmiał cichy głos Chawy, dyspozytorki. – Nosophoros opuszcza bazę.
- *Roger*. Jestem na miejscu.

25 grudnia 2025, Tel Awiw, wczesny ranek

Wzorowo przeprowadzoną akcją Wydziału Prewencyjnego transmitowali w telewizji i internecie. Sceny aresztowania starszej Arabki były dość brutalne, ale media nie potrafiły nic zarzucić dokonującemu zatrzymania agentowi Kane'owi Szukmanowi. To kobieta stawiała opór.

Oskarżona o próbę zamachu Zulfa S., podawały media, obecnie czeka na przesłuchanie, w którym uczestniczyć będą przeszkoleni pielgrzymi.

– Dzięki tym ludziom czuję się zdecydowanie bezpieczniej – wyповідаła się do kamery niemiecka turystka, naoczny świadek zdarzenia pod Bazyliką Grobu Bożego. – Wydział Prewencyjny robi wspaniałą robotę. Nie mogę się doczekać, kiedy wszędzie wprowadzą podobne zabezpieczenia.

Ari Ahoni zamknął laptop i spojrzał na Szukmana.

– Brawo, Kane.

– Dzięki.

– Dostarczyli męża. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie gładko?

– Wyczyściłem go. Będzie zagubiony i skonfundowany, ale nie ma opcji, żeby o mnie pamiętał. Tak samo Zulfa.

Ahoni westchnął z ulgą i wstał. Wykonał krótki gest, jakby chciał podać pielgrzymowi rękę, ale zaraz się zreflektował i zamiast tego przeczesał palcami włosy.

– Dobra robota, Kane.

Już stojąc w drzwiach, Szukman odwrócił się i powiedział:

– Nie gwarantuję, że Zulfa się przyzna. Władowałem jej w głowę wszystkie propagandowe teksty, które mi się przypomniały, ale... I tak nie będzie dla niej jasne, dlaczego to zrobiła. Całe zdarzenie będzie przypominać sen. Jak wspomnienie z seansu kiepskiego sensacyjniaka.

– Nieważne, czy się przyzna. – Ahoni machnął dłonią. – Zbrodnia jest w oku patrzącego.

Sonia Korta – rocznik '96. Na portalu fantastyka.pl występuje pod nickiem „gravel”. Parę lat temu za cel postawiła sobie walkę ze zbrodniczym reżimem rzeczywistości i od tej pory próbuje powołać do życia własny świat. Kiedy się uda, będzie książka. Na razie są opowiadania, które pojawiły się w „Nowej Fantastyce” w numerach 3/2018 i 3/2020. Chciałaby spędzić życie na pisaniu i podróżach, najlepiej w miejsca, których historii nikt jeszcze nie opowiedział.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/23499>

Bardzo efektowne i świetnie mi się czytało – wciągnęłam się w akcję i czekałam, o co tak naprawdę w tym przesłuchaniu chodzi.

ninedin

Rzecz się toczy powoli, można by powiedzieć, że standardowo, ale finał? Zmusza do główkowania, nie rzuca łopatą w twarz, wywraca wszystko do góry nogami i daje olbrzymią satysfakcję.

Mateusz Kędziora (MrBrightside)

Świetny pomysł i chyba jeszcze lepsza jego realizacja. Podoba mi się dbałość o szczegóły, doskonałe dialogi i klimat zastraszenia, który udało Ci się stworzyć.

Katarzyna Szymonik (katia72)

Naprawdę dobry pomysł i takież wykonanie. Opowiadanie od początku zaintrygowało mnie, a w miarę czytania zaciekało coraz bardziej, zwłaszcza że z każdym zdaniem atmosfera stawała się gęstsza, co pozwalało przypuszczać, że jeszcze czymś zaskoczysz, że pewnie najlepsze zostawiłaś na koniec. No i nie zawiodłam się, finał okazał się w pełni satysfakcjonujący.

Jolanta Pawlak (regulatorzy)

#prayfornorton

Wiktor Orłowski

sygn. dok. 189/67

05.04.2044

OPINIA nr 189-44/04/05

w sprawie przeciwko **Villemowi Nortonowi**, nr ewid. społ. De-S/02/10458-194-265, podejrzanemu o usiłowanie popełnienia przestępstwa z art. 247 k.p.e.

Biegły: dr Jean Lavin

Organ zlecający: Pion Dochodzeniowy, Departament Zdrowia Publicznego, De-S/02

Data badania: 02.04.2044

Przedmiot opinii: W dn. 30.03.2044 na podstawie anonimowego zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa z art. 247 k.p.e. (kontestacja) zdalnie zabezpieczono kopię dysków osobistych oskarżonego, ujawniając materiały tekstowe nacechowane wywrotowo. Oskarżonego zatrzymano celem przesłuchania. Organ zlecający zwrócił się do biegłego z zakresu neurotechniki i socjoarchitektury z następującymi pytaniami:

1. Czy treść zabezpieczonych materiałów w sposób istotny podważa reguły funkcjonowania Zjednoczonej Europy?
2. Czy oskarżony stanowi intelektualne zagrożenie dla ładu publicznego?

W celu wydania opinii zapoznano się z materiałami: zapis archiwalny profilu na Chasebooku, notatka z zatrzymania (insp. A. Reese), protokół przesłuchania (jw.) wraz z wynikami fMRI, mapowania korowego oraz testu PCL-R, traktat *Raj ulepszony* i kopia esejów autorstwa oskarżonego.

Wnioski: Oskarżony reprezentuje typ neurotyczny z elementami narcyzmu. Wykazuje silnie dychotomiczny światopogląd, niską odporność na stres i niestabilność emocjonalną. Stwierdzono nieumiejętność przyjęcia postawy globalnej. Oskarżony przekonany jest o słuszności swoich przekonań (podyktowanych subiektywnie

pojmowanym altruizmem) i kontestuje aktualne wydarzenia polityczne. Aktywnie nawołuje do rozwiązań radykalnych (por. Załącznik 1 – *Szczegółowa analiza postów archiwalnych z tablicy użytkownika*). Na podstawie zgromadzonych materiałów stwierdzono uzdolnienia literackie oraz gotowość do formułowania i szerzenia poglądów alternatywnych. Badany wykazuje silną złość oraz tendencje do stosowania psychomanipulacji. Wyraża przekonanie o słuszności i wyższości własnego osądu moralnego. Nie rozumie założeń doktryny cellularystycznej i nie potrafi odrzucić archaicznej koncepcji miłosierdzia.

Podpis:

dr Jean Lavin

Sekcja Neurotechniki i Socjoarchitektury

Biurowa Analiz Chasebooka

Synapsa

Kwiecień 2044

– Co to jest? – spytał Norton, niepewnie zerkając na podsunietą tubkę.

– Rozpuszczalnik do kleju taktycznego – odparł inspektor Aiden Reese. Swobodnie rozparty na metalowym krześle dojadł jabłko, przyglądając się Villemowi spod przymrużonych powiek. – Częstuj się.

Nortonowi nie podobały się jego oczy – jasnobrązowe, pod światło wpadające w nietypowy odcień żółci – matowe i nieruchome jak u gada. Odwrócił wzrok.

Psychopata – pomyślał z dreszczem niepokoju. *I to wysoko na skali.*

– Trzydzieści sześć punktów w PCL-R – powiedział Reese, trafnie odczytując jego myśli. – Lepiej nie próbuj niczego dziwnego, jestem niebezpieczny. Rozklej się i podpisz to – dodał, podsuwając Nortonowi arkusz e-papieru.

Villem z trudem wycisnął na złęczone nadgarstki obfitą porcję żelu. Rozpuszczalnik natychmiast się spienił, rozkładając klej – Norton po-

czuł wpierw falę gorąca, a potem nieźrównanej ulgi, kiedy zrozumiał, że ma już wolne ręce.

Biochemiczne kajdanki to klasa sama w sobie.

Chwała BioEngin Sources, kurwa ich mać.

Odruchowo potarł lewy nadgarstek; brak terminala sprawiał, że czuł się nieswojo. Drżącymi dłońmi rozłożył arkusz i aktywował go stuknięciem w prawy dolny róg. E-papier rozjarzył się i wyświetlił treść kilku dokumentów. Villem szybko przebiegł po nich wzrokiem. Była tam notatka z jego zatrzymania, raport Reese'a, akt oskarżenia i opinia. Przygotowali nawet streszczenia jego udostępnionych esejów.

– Dwa-cztery-siedem? – wymamrotał. – Kontestacja?

Szybkim puknięciem rozwinął okno pomocnicze z kodeksem.

„Kto wystąpieniem publicznym, utworem artystycznym bądź innym przekazem propaguje ideę naruszającą ład społeczny, podlega karze grzywny, ograniczenia transmisji danych lub wykluczenia”.

– Ja nawet nie opublikowałem tej zasranej książki!

Nikomu dotąd nie pokazywał *Raju*; to była jego tajemnica, manifest, który zamierzał cicho wykrzyczeć w pustkę darknetu, tam gdzie wciąż mogli być ludzie, którzy potrafili myśleć i słuchać.

Skąd wiedzieli?!

– Była przygotowana do składu – odparł inspektor Reese obojętnie. – Podpada pod usiłowanie.

– Mam prawo do wolności słowa!

– Zamknąć pysk w porę to też wolność słowa.

Norton milczał. Fale nudności zalewały mu gardło; z trudem przełknął gęstą ślinę o posmaku zgniłych jabłek. Koszulę na plecach miał mokrą od potu, obrzydliwie przylgnęła do wilgotnej skóry.

Pierwszy raz w życiu naprawdę się bał.

Normalny tryb procesu przewidywał opublikowanie dowodów w oficjalnym komunikacie Departamentu Zdrowia Publicznego. W drodze trzydniowego netferendum społeczeństwo powinno ustalić wyrok. Ważny głos miał każdy mieszkaniec Zjednoczonej Europy, którego

saldo Punktacji Obywatelskiej mieściło się w zakresie dopuszczalnego deficytu. Vox populi, vox Dei.

Tyle że oni tego nie robią. Musieliby wtedy pokazać książkę Nortona, a wówczas ludzie otworzyliby oczy, zrozumieliby, że...

– Zabijecie mnie, prawda? – zapytał bardzo cicho, zaciskając pięści.

Inspektor Reese z politowaniem uniósł brwi.

– Zwariowałeś? To byłoby nieetyczne. Dostaniesz uczciwy proces, Norton. Pójdiesz zaraz do domu, tylko mi to podpisz.

Villem w osłupieniu ujął rysik i złożył zamaszysty bazgroł w prawnym dolnym rogu elektronicznego arkusza.

– Co będzie z moją książką?

– Jutro przeczyta ją pół Europy – mruknął śledczy. Widowskowskim ruchem wrzucił ogryzek do kosza. – Chociaż na twoim miejscu wolałbym tego uniknąć.

Norton zadrżał.

– Dlaczego?

Złote oczy Aidena Reese'a zaślniły ponurym rozbawieniem.

– Wiesz, czym jest pocałunek śmierci?

Nikt nie powstrzymał go, kiedy odbierał z depozytu kurtkę i terminal. Zapiął go na nadgarstku, mimowolnym uśmiechem kwitując lekkie, kojące wibracje sunące wzdłuż przedramienia. Urządzenie czuła pieśczęcią informowało o nowych lajkach.

Norton wziął głęboki oddech i opuścił gmach Departamentu, z miejsca wtapiając się w chaos odgrywanych na ulicy ruchów Browna. Pozwolił, by gwar śródmieścia wciągnął go i pochłonał. W niezwykły sposób czuł się zarazem częścią tłumu i jego odpryskiem, niepasującym elementem w pudle jednakowych klocków. Inny. Zawsze odstawiony od piersi Matki Boskiej Jednakowej.

Minął stadko dzieci przebiegających przez jezdnię w pogoni za kluczem holograficznych reklam. Poważni mężczyźni szli szybko,

oczy zasnute mieli mlecznym bielmem endoekranów. Ich garnitury z technojedwabiu wyświetlały najmodniejsze w tym sezonie tekstury.

Starsza pani o fryzurze na kalaflora uśmiechnęła się do niego. Szła ostrożnie, jej nienaturalnie usztywniona sylwetka zdradzała fizjoterapeutyczny egzoszkielecik skryty pod warstwą ubrania.

Powiódł wzrokiem za piękną dziewczyną w sari ze wzorem wirującej Andromedy. Odwróciła głowę i przyspieszyła, wysokie szpilki zastukały na bruku jak nadgorliwy dzieciół. Na jej nadgarstku połyskiwał identyfikator imigracyjny o kształcie bransolety z białego złota.

Było słoneczne kwietniowe popołudnie. Villem Norton do domu wrócił pieszo, rozkoszując się ciepłem i czystym powietrzem o lekkiej woni palonego cukru.

Jego świat skończył się czternaście godzin później.

Przed wszystkim zaś sądzę, że wydarzenia z sierpnia 2023 stanowiły przykład pierwszego w epoce postindustrialnej prawnie usankcjonowanego i akceptowanego ludobójstwa. Jak inaczej bowiem należy rozumieć rządową decyzję o drastycznym ograniczeniu świadczeń socjalnych? Decyzja stronnictwa Mendozy zepchnęła na skraj ubóstwa przeszło czterdzieści milionów ludzi, stawiając ich tym samym w stanie zagrożenia życia. Owszem, Zjednoczona Europa odnotowała od tej pory zdumiewający wzrost gospodarczy, ale jakim odbył się on kosztem?

„Rodzina jest podstawową komórką społeczeństwa” – doktryna cellularystyczna wykpiła tę maksymę, otwierając nowoczesnej Europie drzwi do krainy terroru obojętności i wszechobecnej eutanazji.

Villem Norton, Raj ulepszony

@Lucy Loewenhaus: XDDD

@Jose Gutierrez: no chyba nie!

@Johann Messe: Następnym nawiedzony. :D

@Ivo Plutshnick: ...

@Pauline Klonowski: looooool

@Mary Ann Rimbaud: 2k44 ktoś dalej pisze takie bzdury... >.<
w nastroju: #wkurzona

@Alex Berger: #nortongohome

Ze snu wyrwał go spazm bólu. Norton jęknął i przewrócił się na bok, chwytając za lewe przedramię. Zęby zaciskał tak mocno, że lada chwila spodziewał się trzasku pękającego szkliwa.

Lewa ręka płonęła ogniem.

– Villem? – Usłyszał nad sobą cichy szept.

Ktoś drżącą dłonią odgarniał mu z czoła spocone włosy. Mama.

– Villie, wstań, proszę.

Dioda terminala świeciła jak maleńkie kobaltowe słońce. Gestem odblokował interfejs. Komunikator napęczniał od nieodebranych wiadomości, komunikaty dislajków raziły ostrą, ordynarną czerwienią. Każdy kolejny wzbudzał gwałtowny impuls.

Norton w osłupieniu spojrzął na swoje ręce – włoski na lewym przedramieniu stanęły dęba, jakiś mały mięsień drgał panicznie jak spłoszony koń. Aplikacja drMalthaus natychmiast ożyła, wysyłając pełne zaniepokojenia komunikaty o podwyższonym poziomie stresu.

Stronę domową Nortona zalewała fala hejtu.

– Och, Villem – jęknęła matka, załamując ręce. – Coś ty najlepszego zrobił?

– Czego? – rzucił inspektor do terminala, wysiadając z samochodu.

Chłopcy z Wydziału Higieny kończyli już robotę, wynosząc kilka ciał zgrabnie zapakowanych w czarne worki. Aiden pozdrowił ich gestem.

Holograficzna podobizna Philippe’a Chevareza z Biura Analiz Chasebooka obruszyła się.

– Plotki o twojej kurtuazji naprawdę nie są przesadzone – burknął.

– Do rzeczy, Chevez.

– Mam wstępny raport w sprawie Nortona. – Hologram znacząco wywrócił oczami. – Skala zagrożeń burzowych: ekskrementornado. Dawno nie widziałem takiego hejtu. Punktacja Obywatelska leci mu na łeb.

– Jak typujesz?

Inspektor wyminał dwóch funkcjonariuszy dźwigających nosze i wyjmując z kabury broń, wślizgnął się do budynku. Poczuł wilgoć i specyficzny zapach pleśni rosnącej w cieniu dawno nieogrzewanego betonu. Blokowisko, nieformalnie od dawna przeznaczone do rozbiórki, było siedliskiem lokalnych apoptów. Oficjalnie wciąż stało tylko i wyłącznie z winy opieszałego inwestora.

Nieoficjalnie, jak Aiden wiedział, większość dużych ośrodków Europy ma w swoich granicach podobne pustostany.

Usłyszał chrupnięcie. Philippe na linii najwidoczniej jadł coś twardego.

– Przekroczy deficyt za cztery, może pięć dni. Straci wtedy konto.

Chevez mimowolnie skrzywił się z lękiem. Dla kogoś, kto czuł się częścią społeczeństwa, utrata profilu równała się śmierci.

Najczęściej dosłownie.

Aiden kopniakiem wyważył zdezelowane drzwi.

W korytarzu było ciemno i cicho. Szedł wolno, uważnie stawiając stopy na popękanych płytkach. Drzwi najbliższego mieszkania były uchylone, Aiden pchnął je łokciem i bezszelestnie wszedł do środka. W nozdrza uderzył go mdlący, słodkawy odór brudu i gnijącego mięsa.

Cel leżał pod ścianą. Nieogolony i bardzo otyły, zakutany w nieświeże ubrania przypominał stertę porzuconych szmat. Reese poczuł kopnięcie adrenaliny. Usta wypełnił mu metaliczny posmak, wzrok wyostrzył się raptownie. Błyskawicznie odbezpieczył pistolet.

Dopiero teraz zauważył, dlaczego mężczyzna nie uciekł, słysząc nalot Departamentu.

– Stopa cukrzycowa – mruknął, opuszczając broń.

Góra sztywnych od brudu ubrań poruszyła się. Apopt drgnął i otworzył oczy. Spojrzenie miał mętne, ale przytomne, nerwowo rozcierał dłonie, zezując na lufę służbowej broni.

– Przyszedłeś mnie zabić?

– Tak.

Apopt zaśmiał się gardłowo, szczerząc poźółkłe, desperacko potrzebujące stomatologa zęby.

– To strzelaj, smarkaczu – warknął. – Powinniście byli zatłuc mnie wcześniej. Powinniście byli...

Reese strzelił bez ostrzeżenia. Głowa wykluczonego odskoczyła jak kopnięta piłka, rozchlapując na nagim tynku papkę z krwi i mózgu. Twarz, przypominająca teraz zrzuczonego ze schodów arbuza, nie nadawała się do identyfikacji, ale Aiden był pewien, że się nie pomylił.

To był Richard Woodkind, lat czterdzieści sześć, kiedyś wcale niezły architekt oprogramowania. Żona zostawiła go rok wcześniej, bo o siebie nie dbał. Rozwód i cukrzyca pochłonęły wszystkie jego oszczędności. Wykluczono go po serii obraźliwych postów pod adresem Departamentu, gdy algorytm medyczny podsumował jego tryb życia i odmówił mu prawa do bezpłatnego leczenia.

Inspektor schował pistolet do kabury, odruchowo wywołując panel statystyk zdrowotnych.

Ciśnienie: 113/80, tętno: 62.

Nieźle.

– Imponujące. Co czujesz w takich momentach? – Padło od strony drzwi.

Aiden odwrócił się bez pośpiechu, słysząc znajomy głos. Doktor Lavin stał w progu, z zainteresowaniem mrużąc jasnoszare oczy.

– Kiedy zabijam? – Reese wzruszył ramionami. – Przeważnie zapach prochu.

– Villem? Gdzie jesteś? Vill, wróć do domu, proszę, porozmawia... – Hologram matki umilkł w pół słowa, uciszony gestem.

Kolejne machnięcie odpędziło go jak natrętą muchę.

Norton nie miał ochoty rozmawiać. Wbiegł po schodach katedry, z ulgą nurkując w jej gładką ciszę. Świątynia tchnęła spokojem – był wszechobecny, zakodowany w każdej gotyckiej cegle, w każdym wygłuszaczu narzucającym żelazne embargo strefy offline. Terminal na nadgarstku umilkł. Villem odetchnął cicho i ruszył ku drewnianym ławom, mijając skryte w bocznych nawach kaplice dawno zapomnianych świętych.

Choć nigdy nie był religijny, siadając, przeżegnał się.

– Wybacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem – wyszeptał i zachichotał histerycznie. – Myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Ale najbardziej to myślą.

Odpowiedziała mu cisza.

Oni mnie nienawidzą.

Netferendum trwało od niecałych trzech godzin. Norton przed wejściem do katedry sprawdził aktualny licznik – jak na razie dwadzieścia siedem tysięcy osób zagłosowało „winny”. Setki netonautów właśnie teraz rozbierały jego książkę na czynniki pierwsze. Villem bezwiednie potarł nadgarstek; miał wrażenie, że dislajki parzą jego skórę nawet tutaj.

Dwadzieścia siedem tysięcy osób. Nawet ich nie znam.

Ale chciałeś ich nawracać – syknęło coś jadowicie z tyłu jego głowy. Ręce drżały mu, jakby w pół dnia nabawił się zaawansowanego zespołu Parkinsona. Od rana nic nie jadł. Próbował, ale ściśnięty ze stresu żołądek wywracał się na drugą stronę.

– Oni nawet nie chcą mnie wysłuchać – szepnął.

Nagle poczuł przypływ palącej nienawiści do wszystkiego, co w tym mieście żyło i inteligencją przerastało przeciętnego psa. Znał to uczucie.

Pogarda.

A ty wysłuchałeś ich, Mesjaszu?

– Zamknij się! – wycodził, pocierając skórę na lewym przedramieniu. Miał wrażenie, że drętwią mu palce.

Ciekawe, ile Mojżesz zebrałby dislajków, gdyby wrzucił Dekalog na swoją tablicę?

Norton osunął się na oparcie drewnianej ławy, utkwivszy spojrzenie w ołtarzu. Matka Boska Proapoptotyczna chyliła głowę w wyrazie cichej boleści. Twarz miała słodką i smutną, Villemowi zdawało się, że w jej kompozytowych oczach widzi naganę. Otaczające ją anioły wyglądały na wściekłe.

Wiesz, co teraz będzie?

Czuł, że rozpoznaje ten głos.

Stracisz Punkty, a razem z nimi dostęp do Chasebooka. Twój terminal wyłączy się, nie zalogujesz się do banku, z nikim nie porozmawiasz, nie będziesz mógł zarejestrować się w szpitalu. Doczłogasz się na społeczny margines i tam zdechniesz.

– Nie można przecież umrzeć z braku konta na Chasebooku – wyszeptał Norton bez przekonania.

Doprawdy?

Zacisnął pięści tak mocno, że poczuł, jak starannie opiłowane paznokcie wbijają mu się w dłoń.

Udowodnij to. Zdejmij swój terminal, teraz. I tak jest bezużyteczny.

Villem sięgnął do srebrnej bransolety, ale zamarł z palcami przy zatrasku. Wydała mu się nagle dziwnie ciepła, jak żywa istota, odrębny twór w tajemniczy sposób powiązany z nim samym.

Dalej, Norton.

Zadygotał, z gardła wyrwał mu się suchy szloch. Wolno opuścił ręce. Nie potrafił – tam były kontakty do rodziny i przyjaciół, nawet jeśli oni nie chcieli mieć już z nim nic więcej wspólnego. Tam były wszystkie jego pasje. Historia chorobowa. Droga życia. W terminalu było wszystko, czego potrzebował, by poruszać się po świecie – tak go wychowano, tak zawsze go uczono. Nie potrafił odrzucić tego lekką ręką, nie mógł tak po prostu...

Wiesz, co cię powstrzymuje? – zadrwił w głowie szept inspektora Reese’a. *Potrzeba akceptacji.*

Siedział w katedrze tak długo, aż chłód kamiennych ścian wymroził wszystkie jego myśli. Nad prezbiterium mignął dyskretny komunikat o zbliżającej się godzinie zamknięcia świątyni. Nieliczni

wierni podnieśli się z klęczek i w milczeniu opuścili gmach; co bardziej opieszale wyemitowano sugestywny hologram staroświeckiego zegara.

Norton wyszedł jako ostatni. Strefa online powitała go bólem i czerwonymi wykwitami nowych dislajków. Ręce drżały mu, gdy usiłował nawiązać połączenie z Sarą.

Odebrała po trzech sygnałach. Aż zapało mu dech.

– Villem – powiedziała z rezerwą. Uśmiech, który przykleił się do jej warg, był uroczy i nienaganny, ale równie szczery co u pokerowego szulera. – Dzwoniłam na twój terminal domowy. Odebrała twoja matka, mówiła, że wyszedłeś.

– Musimy porozmawiać. Obawiam się, że podsłuchują moje połączenia. Moglibyśmy się spotkać? Jestem teraz...

– Czy to prawda? – przerwała mu spokojnie.

Żachnął się lekko.

– Te estymacje? Oczywiście, że nie. To czysta propaganda. Departament nie ma żadnej możliwości, by udowodnić, że wdrażanie moich rozwiązań miałyby takie skutki. Tak naprawdę jestem pewien, że...

– Czy to ty napisałeś *Raj ulepszony*? – zapytała, a Norton z nagłym skurczem żołądka poczuł, że przenigdy nie powinien odpowiadać twierdząco.

Ale powiedział prawdę.

– Tak.

Holograficzna Sara wykrzywiła w grymasie piękne, pełne usta.

– Wszystko, co opublikowali, to twoje słowa? Błagam, Villem, powiedz, że to pomyłka. Ktoś cię wrabia, prawda? Ty wcale tak nie myślisz. Nie możesz tak myśleć.

Norton przystanął. W zdumieniu wpatrzył się w chodnik – gładkie granitowe płyty były stabilne, choć przecież pod jego nogami właśnie coś pękło i zepchnęło go w przepaść.

Nie pamiętał już, kto rozłączył się pierwszy. Wiedział tylko, że nim rozmowa się urwała, hologram Sary przyblakł, jakby wyświetlono go

na grubej tafli mlecznego szkła. Dziewczyna, którą od tak dawna kochał, zablokowała go.

Wtedy pierwszy raz uwierzył, że naprawdę mógłby umrzeć.

**Komunikat oficjalny dla obszaru De-S/02 ©Departament Zdrowia
Publicznego**

Netferendum w sprawie @Villem Norton trwa jeszcze przez:
58 h 14 min 38 s

Nie znasz szczegółów rozprawy? Kliknij tutaj.

Jakie są TWOJE odczucia wobec oskarżonego?

WINNY (przesuń w lewo) | **NIEWINNY** (przesuń w prawo)

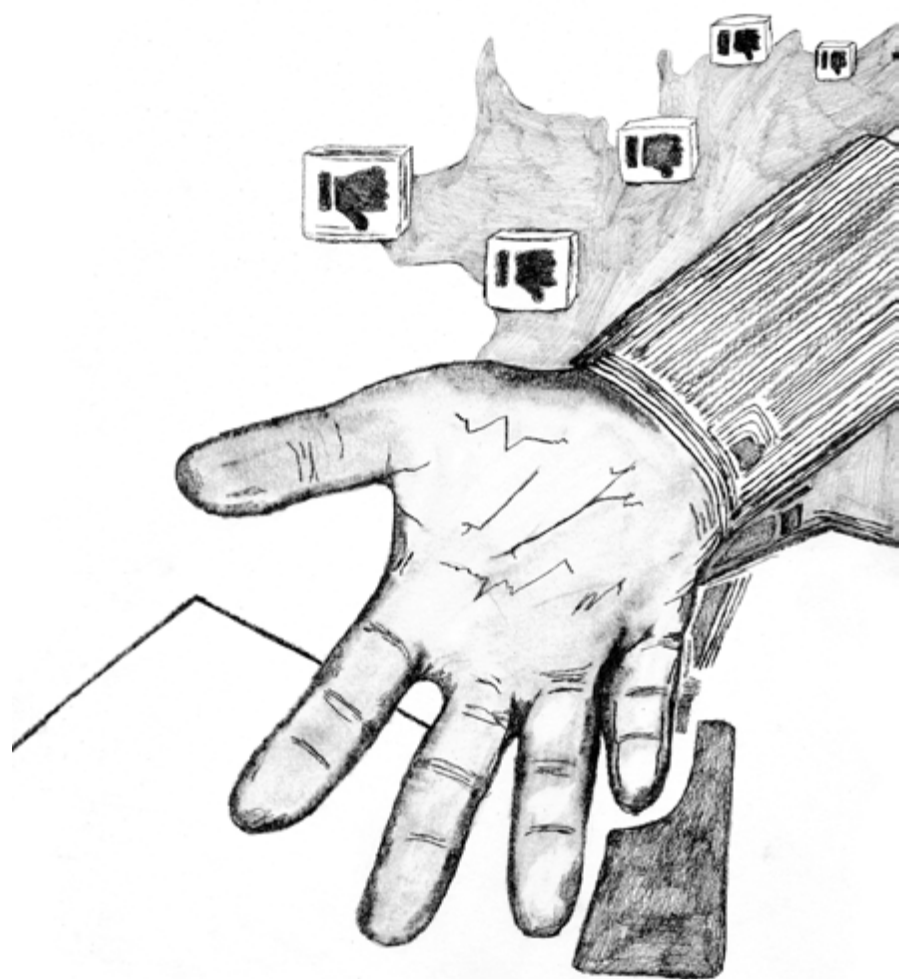
W półmroku własnej sypialni panna Brigitte Delacroix w skupieniu doczytała materiały procesowe, po czym zamknęła dodatkowe okno. Długo leżała bez ruchu, wpatrując się w szczupłą, znamionującą wrażliwość twarz młodego mężczyzny. Jak należało się spodziewać, na surowym zdjęciu sygnalitycznym wyszedł okropnie.

Panna Brigitte Delacroix kilkakrotnie obróciła trójwymiarowy hologram, nadając mu pozór życia. Nagle wstała, poprawiła podomkę i bosy poczłapała do kuchni, by napić się mleka. Jej serdelkowate palce o koralowych, owalnych paznokciach zmiażdżyły pusty karton.

A potem wzięła głęboki oddech i przesunęła hologram w lewo.

Jeff biegł. Pot zalewał mu oczy, z karku ściekał słonymi strużkami na plecy, pod sportową koszulkę z inteligentnej włókniny. Biegł już godzinę, utrzymując tempo na poziomie trzech czwartych wydolności, dokładnie tak jak zalecał drMalthus.

– Ciśnienie 150/110 – poinformowała tkanina miękko. – Kortyzol w normie. Dbaj o właściwe nawodnienie.



Pociągnął z podajnika solidny łyk, ani na chwilę nie zmieniając rytmu biegu. Olbrzymie lustra sali treningowej wyświetlały przed nim wdzięczne holo ścieżki przecinającej sosnowy las. Czuł jego świeży, choć niezbyt intensywny aromat; zanotował w myślach, by wymienić wreszcie wkładki olfaktoryczne.

Okno komunikatu rozbłysło nagle, zasłaniając mu widok na dróżkę. Jeff gestem rozwinął opinię i zaczął czytać.

W połowie lektury poczuł złość.

– Skurwysyn! – warknął i przyspieszył.

– Ciśnienie 186/130. Wykryto podwyższony poziom kortyzolu – odparła koszulka ostrzegawczym tonem. – Dbaj o właściwe nawodnienie.

Dłoń Jeffa wystrzeliła błyskawicznie. Odgarnął hologram na lewo, ani na sekundę nie przerywając treningu.

Należy uzmysłwić sobie, że uświadamianie społeczeństwa o możliwych długofalowych konsekwencjach decyzji jednostek wobec zbiorowości jest niczym innym jak wirtuozerskim praniem mózgu od lat najmłodszych. Współczesne dziecko nie skorzysta już swobodnie z toalety, jeśli nie sprawdzi w aplikacji drMalthaus, jak jego jednorazowa defekacja wpłynie na stan wód gruntowych w odległym dystrykcie. Cellularyzm jako doskonały reżim totalitarny wprowadza zupełnie nową formę kontroli społecznej – Saldo Punktacji Obywatelskiej. Rodzinny dostęp do wolnych mediów, opieki medycznej i przywilejów uzależniony został od uznania i sympatii. Doprowadza to do zaburzenia nie tylko relacji rodzinnych, ale i hierarchii potrzeb, na piedestał wynosząc pragnienie akceptacji.

Villem Norton, Raj ulepszonej

Winny: 162 149

Niewinny: 13 286

Norton leżał w ciemności. Głowę ciasno przykrywała mu kołdra z syntetycznego pierza. Przez chwilę znów miał pięć lat, a żołądek

ściskał mu paniczny lęk przed wyimaginowaną bestią kryjącą się w łazience. W gardle wezbrał mu suchy, piskliwy chichot.

Norton już od dawna nie miał pięciu lat. Potwory wyprowadziły się z łazienki, wyniosły na ulice, objęły posady w biurach, wieczorami w modnych pubach zlizywały pianę z kufli rzemieślniczego piwa. Villem z jękiem zwinął się w kłębek, mocno ściskając obolałą rękę. Ostre zęby dislajków haratały mu skórę.

Był sam. Zdążył stracić już dziewczynę i pracę, a osiem godzin temu matka złożyła wniosek o wykluczenie go z rodziny. To był jedyny sposób, by mogli zachować nienaganną reputację i czyste konto – Norton wiedział o tym, a wiedza ta rozszarpała mu serce.

Aklamacją milczenia stwierdzono rozpad życia za porozumieniem stron.

Winny. Winny. Niewinny. Winny.

Potwory śmiały się dźwięcznie. Pijany Neron o setkach tysięcy głów swój wyrok obwieszczał pradawnym gestem. Kciuk do góry.

Kciuk w dół.

Wiesz, czym jest pocałunek śmierci?

Odliczanie dobiegło końca. Fala kłujących wstrząsów w lewym przedramieniu umilkła; terminal zakrzuszył się komunikatami i umilkł. Norton drżącymi palcami odpiął klamrę i zsunął nieaktywną bransoletę z nadgarstka. Nie musiał sprawdzać. Wiedział, że jego profil jest martwy.

Stracił prawo do nazywania się człowiekiem. Definitywnie przestał nim być.

Vox populi. Vox Dei.

Kciuk w górę. Kciuk w dół.

Casp-9

Lipiec 2044

Tryb życia człowieka, który nie żyje, jest zachwycająco regularny.

Należy wstać rano. Zanim jednak się to uczyni, trzeba dogłębnie i z pokorą zrewidować pojęcie poranka. Utkwiwszy załzawione

oczy w różowej łunie świtu, na klęczkach przyjąć nowe ramy czasowe świata.

A potem pospieszyć się z kursem po okolicznych śmietnikach, nim służby porządkowe przyjadą, by zgarnąć resztki. Jedzenia jest nad podziw dużo, szczególnie w okolicach śródmiejskich parków i budki sprzedających orientalne, mocno przyprawione potrawy. Najlepiej można było się obłowić na tyłach restauracji, ale Norton nie miał śmiałości, by się tam zapuszczać. To były niedostępne rejony, rewiry w niepodzielnym władaniu weteranów nieżyjcia.

Zanim ocknęła się komunikacja miejska, Villem przeszperał już większość swoich koszy. Łup był obfity: ogryzek jabłka z wciąż soczystymi cząstkami lekko zbrązowiałego mięszu, garść suszonych owoców na dnie torebki i prawdziwy rarytas – na wpół zjedzony wegański burger. Norton pochłonął go od razu, nie bacząc na to, że gęsty sos brudzi mu palce.

Higiena dawno już ustąpiła pierwszeństwa potrzebom bardziej palącym.

Skończywszy posiłek, Norton wytarł ręce w spodnie i ruszył na codzienny obchód parku. Najbardziej lubił go o świcie, kiedy pierwsze promienie słońca iskrzyły w kryształowych konarach sztucznych drzew.

Rzeźkie powietrze przesycąła woń dojrzałych frezji. Wąskie alejki przecinały się pod kątami wytyczonymi w doskonałej harmonii. U ich zbiegu, w cieniu gęstej, starannie kultywowanej zieleni, rosły drzewa z syntetycznego kryształu. Każde z nich zamiast korzeni miało szczelnie zamknięty moduł hodowlany. Osadzone na scaffoldach, zmodyfikowane bakterie syntezowały stale rozrastające się fraktale o głębokich odcieniach fioletu, purpury i królewskiego złota.

Norton zatoczył dwa kółka i zmęczony się, przysiadł na ławce. Dotknął palcami nadgarstka, wychwytyjąc płytko pod skórą trzepot nerwowego, przyspieszonego tętna. Ostatnio czuł się źle.

Bardzo źle jak na kogoś, kto od kilku miesięcy nie żył.

Odpoczywał, spod półprzymkniętych powiek lustrując otoczenie. Jego mózg dawno już dostroił się do wyłuskiwania z tła sylwetek odzianych w zbyt wiele czerni, poruszających się krokiem zbyt sprężystym, rozglądających się wokół z nadmiernym skupieniem. Jako wykluczony społecznie stracił status obywatela Zjednoczonej Europy, Europa zaś nie hołubiła na swym łonie nielegalnych imigrantów w nieświeżych spodniach. Swoją dezaprobatę wyrażała nader dosadnie, z reguły modyfikowanym coltem czterdziestką piątką dzierzonym w pewnej ręce mundurowego.

– Ty jesteś Villem Norton? – Usłyszał nagle i poderwał głowę tak gwałtownie, że coś strzeliło mu w karku.

Tuż przed nim stała dziewczynka. Mogła mieć osiem, może dziewięć lat i niespieszone, wręcz wyzywające spojrzenie. Szurała w białym żwirze czubkiem bucika zapinanego na magnetyczny zatrzask.

Norton poczuł, że robi mu się zimno.

Jak długo tu stała?

Dziewczynka nie spuszczała go z oka. Villem odruchowo rozejrzał się, szukając jej rodziców, ale w alejce nie było nikogo.

Zasnęłaś, Norton. Wiesz, co to oznacza?

– To ty jesteś Villem Norton? – powtórzyła.

Jak długo tu spałeś? Nawet nie wiesz. W każdej chwili jakiś departamentowiec mógł cię zwinąć w ustronne miejsce i załatwić. Człowieku, od dwóch dni pęka ci głowa. Kończysz się, wiesz?

– Gdzie są twoi rodzice? – wychrypiał w odpowiedzi.

Wzruszyła ramionami.

– Gdzieś tam.

– Czego ode mnie chcesz?

– Widziałam cię w holo. I w ogłoszeniach Depantar... Departmen... No, w tych ważnych ogłoszeniach. Mama mi cię pokazała i powiedziała, żebyś była grzeczna i nie czytała takich bzdur, bo robisz więcej szkody niż pożytku. Czemu napisałeś bzdury? – Przekrzywiła głowę pytająco.



– Ja... – Norton poczuł, że zasycha mu w ustach. W głowie szumiało mu, jakby miał tam nieźle prosperujący młyn wodny. – Nie wiem. Sam już nie wiem.

– Aha. No to niedobrze – odparła i raz jeszcze grzebnęła butem w miękkim żwirze, którym wysypane były parkowe alejki. – Mama mówiła, że powinieneś umrzeć. Tak byłoby lepiej, bo tacy jak ty chcą, żeby rozdawać nierobom pieniądze i żeby na uczciwych ludziach paseży... pasozety... no, żeby leniwych karmić. Umrzesz, Norton?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nagła fala mdłości wybiła mu ten pomysł z głowy. Opuścił wzrok na swoje ręce; drżały lekko, za paznokciami miał głęboko wżarte półksiężycy brudu. Dopiero teraz dostrzegł, jak bardzo schudł.

Odetchnął ciężko. Granice jego pola widzenia nagle wykrzywiły się dziwnie, jak gdyby zamiast ludzkich oczu miał rybie ślepia. Kropla gęstej czerwieni na tle białego żwiru nabrała zdumiewającej intensywności.

A potem druga.

Trzecia.

– Norton? Będziesz umierał?

– Chyba... chyba tak – odparł niewyraźnie.

Przytknięty do twarzy brudny rękaw pachniał słodko i metalicznie jak krew.

Jego krew.

Ciekła mu z nosa.

Łomot do drzwi. Umysł zatopiony w nieżyciu nie słyszał go, pozwalał, by mętne wody choroby kołysały go kołysaniem drgawek. Było cicho i bardzo czerwono. Opilki bólu wgryzały się w mózg jak kolce jeżowca.

Norton pamiętał jeżowce; widział je kiedyś na wakacjach w dystrykcie Sp-04. Wtedy jeszcze żył.

Hałas narastał.

– Młody! – rzucił ktoś zduszonym szeptem.

Skrzypnęły otwierane drzwi. Norton z łaskawością przystał na ten przejaw braku manier. W zrujnowanym pustostanie pojęcie prywatności jest czysto iluzoryczne.

Niechętnie rozkleił powieki. Zamazany kształt pochylił się nad nim; Villem zmrużył oczy, by sylwetka nabrała ostrości. Wykluczony szarpał go za ramię.

– Wstawaj, młody. Spierdalamy.

– Co jest?

– Obława!

Szarpięcie. Poziom stał się pionem. Norton poczuł, jak coś twardego i chropawego doskonale układa się w jego ręce. W osłupieniu spojrzął w dół.

– Skąd macie broń? – wychrypiał.

– To tylko paralizator. Pospiesz się!

Po co? I tak już od dawna powinniśmy gryźć ziemię.

A potem był krzyk i bieg przez płataninę niezliczonych korytarzy. Kilka razy zmylił krok. Ktoś chwycił go pod ramię i brutalnie pociągnął za sobą.

Huk wystrzałów obijał się echem od cienkich ścian. Villem słyszał w nim niezwykłą harmonię i prawidłowość. Coś nagle przyszło mu do głowy; otworzył usta, ale myśl uleciała, zanim zdołał ją wypowiedzieć na głos.

Ktoś przy jego boku wrzasnął.

Uścisk zelżał i zniknął.

Norton biegł, potykając się na wyszczerbionym bruku. Ostre światło dnia raziło go boleśnie. Odruchowo skrył się w cieniu kamiennych murów. Asekuracyjnie wystawione ręce natrafiły na lodowatą, mo sięzną kłamkę.

Nacisnął i pchnął z całej siły.

We wnętrzu kościoła panował błogi spokój. Norton zachwiał się i upadł na kolana, rżąc jak muzealny diesel. Od posadzki bił chłód;

przytknął do niej czoło, jak gdyby próbował się modlić. Zapach stearyny mieszał się z wonią środka do dezynfekcji. Matka Boska Proapopotyczna chyliła głowę. Jej laminatowe oczy były pełne dezaprobaty.

Nagle przypomniał sobie, co chciał powiedzieć.

– Dlaczego po prostu nie wyburzycie tych bloków? – wyrzucił na wydechu, kiedy drzwi zaskrzypiały, wpuszczając funkcjonariuszy do środka.

Ktoś roześmiał się cicho. Norton znał ten śmiech.

– Łatwiej was likwidować, kiedy wiadomo, gdzie będziecie.

– Więc dlaczego nas od razu nie zabijecie?

– Przecież ci mówiłem, że to byłoby nieetyczne. – Inspektor Aiden Reese uśmiechnął się i strzelił.

Kościół był bardzo stary – pamiętał jeszcze czasy, kiedy terytorium dystryktu zarządzał Żelazny Kanclerz, a obszar De-S/02 formalnie nazywano Dreznem. Pod holograficzną fasadą wciąż krył oryginalne mury i większość barokowych zdobień, ale jego zakrystia była czysta jak gabinet zabiegowy i w przygnębiający sposób praktyczna. Większość mebli zepchnięto pod ściany, pozostawiając na środku jedynie biurko. Położono na nim Nortona, uprzednio rozścieliwszy jakąś szatę liturgiczną.

Villem nie protestował. Leżał nieruchomo, podczas gdy mężczyzna w trudnym do sprecyzowania wieku bez cienia obrzydzenia podwinął nogawkę jego sztywnych od brudu spodni. Uśmiechał się miło.

– Nie wygląda to źle – powiedział, zerkając na wyświetlacz podręcznego drona medycznego. – Kula ominęła ważniejsze naczynia i kość. Na szczęście pan Reese dobrze strzela.

– Zauważyłem – mruknął Norton.

Kątem oka widział, jak mężczyzna skanuje swój terminal i odblokowuje zaawansowane opcje terapeutyczne dostępne tylko posiadaczom licencji lekarskiej. Z listy programów wybrał moduł ran

postrzałowych, a w nim opcję znieczulenia miejscowego, czyszczenia i szycia.

– To potrwa pół godziny – powiedział, przysuwając sobie krzesło.
– W tym czasie porozmawiamy. Nazywam się Jean Lavin.

Villem zagryzł zęby tak mocno, że aż poczuł, jak żwacze wypychają mu skórę na policzkach. Doktor Jean Lavin. Neurotechnik Departamentu Zdrowia Publicznego. Jeden z tych, o których mawiano, że potrafią czytać w myślach. Człowiek, który go profilował. Człowiek, który go zabił.

– Myślałem, że będzie pan starszy.

Lavin uśmiechnął się szerzej. Miał szczupłą, ascetyczną twarz o sztucznie wypełnionych zmarszczkach, przez co mógł równie dobrze ledwo skończyć dwadzieścia lat, co dobijać czterdziestki. Był drobny, niewysoki i nie wyglądał na uzbrojonego, ale coś w jego jasnoszarych oczach nakazywało zaniechać wszelkich prób użycia przemocy.

– Umierasz, Norton – powiedział cicho. – Wiesz dlaczego?

Villem z wahaniem, wolno skinął głową. Domyślał się.

– Śmierć socjogenna. Syndrom voodoo.

Neurotechnik przytaknął.

– Dokładnie. Ile masz lat, Norton? – To było pytanie kurtuazyjne; znał Villema lepiej niż jego własna matka.

– Dwadzieścia cztery.

– W czasie zmian ustrojowych miałeś trzy lata. Całe twoje świadome życie i wychowanie oparto na przekonaniu, że nie możesz funkcjonować bez aprobaty i dostępu do sieci. Wiesz o tym, ale niełatwo jest pozbyć się tych myśli. Miewasz bóle głowy?

Norton milczał.

– Bezsensowność? Nudności? Osłabienie koncentracji? – Jean Lavin uśmiechnął się. – Jesteś młody, ale silnie reagujesz na stres. Zostało ci kilka miesięcy, najwyżej pół roku. Samotność to ponoć taka straszna trwoga. Znasz to?

Nie znał.

– Nie dla wszystkich – zaprotestował Villem, odruchowo zerka-
jąc na swoją przestrzeloną nogę. Giętkie ramiona robota z wirtuoze-
rią operowały igłą i splotem chirurgicznych nici. Rana zasklepiała
się w mgnieniu oka. To było dziwne uczucie, jakby oglądać krwawy
horror medyczny puszczoney wspan. – Niektórzy sobie... radzą.

Neurotechnik eleganckim gestem zdjął nitrylowe rękawiczki.
W doskonale skrojonym garniturze był tutaj dziwnie nie na miejscu
jak kosztowny bibelot skradziony z pałacowego kominka i wciśnięty
w kąt rupieciarni.

– Niektórzy. Wiesz, dlaczego inspektor Reese cię postrzelił?

– Żeby nie uciekał?

– To też – zgodził się Lavin, odgarniając z policzka pasmo dłu-
gich, platynowych włosów. Jasnoszare oczy roz błysły. – Ale przede
wszystkim dlatego, że chciał i mógł to zrobić.

– On jest... niedostosowany – wykrztusił Villem.

Tak jak ja – chciał dodać, ale przegryzł tę myśl i połknął, choć była
gorzka i trująca.

– Aiden Reese zrobił dobry użytek z własnej nieprzydatności. Ty
także mógłbyś, Norton.

– Ja? – parsknął gorzko. – Ja umieram. Sam pan powiedział, że...

– Pomówmy o apoptozie.

Nowe mieszkanie było ciemne, ciche i zaskakująco puste.

– Czeka na ciebie sto pięćdziesiąt sześć nieodebranych połączeń,
w tym uprzywilejowane od kontaktów: Sara, Mama, Juliette. Czy
chcesz odsłuchać je teraz? – zapytał asystent SI z metaliczną uprzej-
mością i przywołał swój hologram o kształcie puszystego persa.

Norton widział przez niego swój nowy salon: zamiast ścian miał wiel-
kie akwaria, w których sennie dryfowały bioluminescencyjne rybki.

Klasnął dwa razy. System zarządzający domem wyłapał etogram
i przełożył go na polecenie. Ryby, naszprycowane z nanopodajników

katecholaminami, kilka sekund później podjęły nerwowy taniec. Salon rozjarzył się ich stonowanym, rozproszonym blaskiem.

Wiedział, że jeszcze kilka miesięcy temu oburzyłyby się na taki sposób wykorzystywania zwierząt. Ale to było kiedyś.

– Nie. Usuń wszystkie wiadomości – odparł.

Bransoleta nowego terminala wydawała się zimna i zaskakująco ciężka.

– Wszystkie? – upewnił się asystent.

– Tak.

– Czy życzysz sobie, żeby przygotować ci kąpiel?

– Tak.

– Czy życzysz sobie złożyć dyspozycje zakupów żywnościowych według aktualnych wskazań zdrowotnych aplikacji drMalthaus dla kategorii płci, wieku i rodzaju aktywności fizycznej?

– Tak – odpowiedział Villem, bosko kierując się w stronę gabinetu.

– Zamówienie zrealizowano. Twoja dostawa przybędzie za czterdzieści siedem minut – poinformowało mieszkanie. – Witaj w domu, Villem.

Witaj w domu, Villem.

Witaj w domu.

Dni składały się z klawiatury, papierosów i okien zamglonych hologramem deszczowego lasu. Norton wyrzucił swój nowy terminal – bransoletka nie była mu już do niczego potrzebna. Sto czternaście razy odrzucił połączenia od matki. Nawet nie miał ochoty sprawdzać, czy Sara chce z nim porozmawiać.

Pisał.

Wstawał w południe i pisał, dopóki starczało mu sił, a potem leżał w ciemności, wsłuchany w e-szept cyfrowej dżungli.

Departament oddał mu wiele, tak naprawdę nie oddając nic. Zwrócono mu status obywatelski, którym się brzydził, dostęp do Netu, którego

nie chciał, i rodzinę, którą wypchnął za drzwi nowego domu. Nie oddali tylko imienia – Villem musiał wyrwać je światu z gardła sam.

Pisał. Las sennym szeptem recytował dialog, który wyrył się Nortonowi we wnętrzu hipokampu:

– Naprawdę jestem tak zły?

– Promujesz złe rzeczy. Niebezpieczne.

– Troska o potrzebujących jest niebezpieczna?

– Tak, jeżeli zagraża tobie. Pierwsza zasada katastrofy lotniczej: najpierw załóż własną maskę tlenową.

– Co to ma do rze...

– Postulujesz bezmyślne rozdawnictwo pieniędzy, które dwadzieścia lat temu groziło załamaniem systemu. Nie ma nic za darmo, Norton. Pasożyt zdechnie, gdy już wykończy wszystkich gospodarzy.

– Ale...

– Nie, Norton. Dasz emerytom, to dlaczego miałbyś nie dać też kalekom? Dasz kalekom, to zaraz musisz dać na chore dzieci. Dasz na chore dzieci, to będziesz dawał na zdrowe, żeby nie było niesprawiedliwie. Dasz samotnym matkom, to zaraz będziesz dawał każdemu. To odbiera ludziom poczucie odpowiedzialności za własne życie. Nawet jeśli stoczą się na dno, nie umrą, bo rząd wepchnie im cudzy chleb do gardła. Nieprzystosowani są martwi dla świata; sztuczne podtrzymywanie ich wegetacji tylko szkodzi żywym. Rodzi frustrację. Widziałeś kiedyś frustrację, Norton? Prawie sto lat temu udowodniono, że czuje ją nawet kapucynka czubata. Frustracja skłania ku agresji, czyni człowieka nieobliczalnym. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Tak... chyba tak.

– Ludzie nie wściekną się, jeśli dasz milion komuś, kto na niego zarobił. Wpadną w szal, jeśli dasz centa komuś, kto nie zrobił nic, żeby go dostać.

Norton pisał. Dni składały się z ruchu palców, papierosowego dymu i choroby. Czuł ją głęboko pod językiem, jej cierpki odór zdawał się przylgnąć do skóry. Czasami wciąż krwawił z nosa. Bywały dni, które

składały się tylko z migreny, szumu widmowego lasu i uporczywych biegunek.

Stracił rachubę czasu; jedynie z maili wiedział, że był już październik, kiedy wysyłał do wydawnictwa ukończoną książkę. Obojętnie przerzucił się korespondencją z przydzielonym mu redaktorem. Nie pamiętał warunków umowy, którą podpisał, pamiętał jednak elegancki list, który zostawił mu w skrzynce Jean Lavin.

Tamten dzień składał się z braku kawy, wolno dopalonego papirusa i trzynastu splotów starannie wykonanej pętli.

A potem już na szczęście z niczego.

Apoptosom

Październik 2045

– Obchodzimy dziś pierwszą rocznicę śmierci Villema Nortona, autora bestsellera *Ocalenie*, który w ciągu tylko pierwszego tygodnia sprzedał się w rekordowym nakładzie ponad miliona egzemplarzy. – Holowizyjny prezenter błysnął w uśmiechu garniturem śnieżnobiałych zębów. – Jak przypominamy, autor, w przeszłości wykluczony kryminalista, po wielu miesiącach walki z ciężką chorobą autoimmunologiczną, w dniu premiery popełnił samobójstwo. Tina, co możesz powiedzieć naszym widzom na temat *Ocalenia*?

– Norton w swojej błyskotliwej autobiografii odkrywa przed nami poruszającą perspektywę codzienności wykluczonego i wyjawia, jak wielką rolę w jego duchowej rehabilitacji odegrał funkcjonariusz Departamentu. Naszym reporterom nie udało się uzyskać oficjalnych oświadczeń, ale podejrzewamy, że chodzić może o inspektora Aidena Reese’a...

– Warto podkreślić, jak wielki wpływ *Ocalenie* wywarło na społeczeństwo. W ciągu ostatniego roku odnotowano spadek liczby zarejestrowanych przestępstw ideologicznych o ponad trzydzieści

procent! Zysk ze sprzedaży książki przeznaczono na rzecz Fundacji Nortona, która aktywnie wspiera kształtowanie właściwych postaw. Zachęcamy widzów do okazania wsparcia rodzinie pana Nortona poprzez dobrowolne datki oraz udostępnianie aktywnego hasztagu #prayfornorton...

W półmroku własnej sypialni panna Brigitte Delacroix w skupieniu obejrzała audycję, po czym otworzyła dodatkowe okno z rachunkiem osobistym i przełała pokątną sumę na konto Fundacji.

Jeff, nie przerywając ani na moment wieczornego joggingu, przesłał hasztag przez swoją tablicę. Inteligentna koszulka zarejestrowała jego dobry nastrój; był dumny i szczęśliwy, choć zarazem czuł ukłucie wstydu, że rok wcześniej nazwał obiecującego pisarza skurwysynem.

Dziewięcio-, może jedenastoletnia dziewczynka z uwagą obejrzała wiadomości. Nie mogła pamiętać krwawiącego z nosa mężczyzny, którego spotkała kiedyś w parku, ale za zgodą matki podarowała Fundacji całe swoje kieszonkowe.

@Lucy Loewenhaus: #prayfornorton

@Jose Gutierrez: Czytałem. Jestem w szoku #prayfornorton

@Johann Messe: mocne #prayfornorton

@Ivo Plutshnick: Książka sztos! #pray

@Pauline Klonowski: #prayfornorton

@Mary Ann Rimbaud: #prayfornorton [*]

@Alex Berger: #prayfornorton

Z lokalu należącego do Departamentu dawno uprzątnięto już ślady obecności Nortona. Nieliczne rzeczy osobiste zapakowano i wysłano jego rodzinie. Lśniące ryby w więzieniu przejrzystego akwarium snuły się sennie, zdeorientowane nagłą pustką i brakiem bodźców. W mieszkaniu pozostawiono tylko jeden przedmiot – duże czarno-białe zdjęcie w skromnej ramce z PCV.

Doktor Lavin i inspektor Reese obserwowali je bez słowa. Aiden palił papierosa, w pustym pomieszczeniu rozsiewając gęsty, drzewny aromat tytoniu.

– Ty mu je dałeś, prawda? – zapytał wreszcie, wskazując zdjęcie. – W ramach indoktrynacji?

Jean był osobiście zaangażowany w sprawę Nortona. To on wykonał profil Villema i ustalił, że anonimowym informatorem była jego własna matka. On też koordynował przebieg śledztwa i zalecił publikację *Raju* w ramach akcji prowokacyjnej z użyciem biegłych hejterów.

– Raczej edukacji – odparł, uśmiechając się lekko. – Musiałem wytłumaczyć Nortonowi, co to znaczy, że jesteśmy niczym więcej jak tylko...

– ...wypadkową decyzji komórek, które nas budują. Czytałem Mendozę. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – zauważył inspektor, strzepując popiół na podłogę.

– Możesz to uznać za indoktrynację albo nawet pranie mózgu, jeśli tak ci wygodniej – odparł niezrażony neurotechnik, wzruszając ramionami. – Nie my pierwsi rozpatrujemy społeczeństwo jako spójny organizm. Nam tylko nie umyka sprzed oczu idea nowotworu.

Milczeli przez chwilę, zatopieni w myślach. Reese dopalił papierosa, po czym cisnął peta na czysty parkiet i przydeptał butem.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem, kiedy zaciągałeś się do służby? – rzucił profiler, schylając się, by podnieść niedopałek i zawinąć w chusteczkę.

– Że jeśli wszyscy jesteśmy komórkami, to ja należę do szczególnego rodzaju. I jeszcze, że – Aiden zawahał się – kolor liści opadających jesienią z drzew jest bardzo piękny.

– Rozumiesz, co miałem na myśli?

Inspektor Reese, nim wyszedł, bez słowa wskazał fotografię. Doktor Jean Levin jeszcze długo obserwował ją w samotności, w zwodniczo migoczącym świetle akwariowych ryb.

Na zdjęciu limfocyt Tc, na wieki zamrożony w kadrze, pocałunkiem chemii życzył potworowi dobrej śmierci.

Pro publico bono, jak zeschłe liście opadłe na jesień.

Mam za sobą życie przepełnione wstydem.

Wstyd osiadł mi na rżęsach i przywarł do skóry. W bezsenne noce wygrzebuję go spod paznokci, łapczywie chłonąc jego bladą, zettalą woń. Kwaśnym śluzem ścieka w dół mojego gardła, a ja ostrożnie zlizuję go z kąćików snu.

*Wpierw wstydzilem się za innych, głęboko wierząc, że jako jedy-
ny dostąpiłem prawdy objawionej. Jako człowiek młody i owładnięty
idealistycznym szaleem postulowałem arbitralną równość jednostek,
poszanowanie życia i niezbywalne prawo do wyciągania ręki po jał-
mużnę. Europę, która sprężystym krokiem wkroczyła na salony nowe-
go wieku, brudny płaszcz zasilków socjalnych odwiesiwszy w przed-
pokoju, uznałem za zbrodniarza na równi z krwawymi dyktatorami.*

*Moja вина nie leży w tym, że na wolnym ogniu złości gotowa-
łem gulasz obłudnych frazesów przyprawiony komunalami. Winien
jestem, bo próbowałem wepchnąć ci go do gardła.*

*Ze ścieżki zamętu odwołał mnie mój dobry przyjaciel – człowiek,
dzięki któremu dojrzałem i stałem się mężczyzną zdolnym czuć wstyd.*

*Tę książkę kieruję do wszystkich, którzy zboczyli z właściwej dro-
gi i utracili zdolność widzenia szerszej perspektywy. Pragnę opowie-
dzieć w niej o losie wykluczonych, o krzywdzie ludzi zdradzonych
przez istoty im najbliższe – przez nich samych. Kiedy poznasz już moją
historię i posmakujesz mojego wstydu, chcę, byś zapamiętał jedno.*

Praca was wyzwoli.

Villem Norton, Ocalenie (fragment)

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22117>

Świetnie oddany futurystyczny świat. Świetna fabuła. Rewelacyjnie przedstawione współczesne i przyszłe problemy społeczne. Wszystko wiarygodne i w odniesieniu do obecnej sytuacji.

Radosław Puchała

Wizja niesamowita i przerażająca. Szczerze mówiąc, bardziej przerażająca niż ta Orwellowska. (...) W twojej opowieści system jest dobrze ukryty, nieoczywisty, a krzywdę robimy sobie sami. Z czymś takim o wiele trudniej walczyć i w ogóle zauważyć, że coś jest nie tak.

Irka_Luz

Bardzo udane opko, w szczególności jeżeli chodzi o zamysł świata i jego odniesienie do współczesności. Nie brakuje tutaj też teorii społecznych w kontekście państwa.

Tomasz Jarząb (Blacktom)

Co mi się tu jednak najbardziej podobało, to doskonałe wykorzystanie potęgi współczesnych social mediów i całej tej otoczki, która z roku na rok narasta i kto wie, do czego może doprowadzić niebawem. Snujesz swoją wizję w bardzo przekonujący sposób.

Mateusz Kędziora (MrBrightside)

Najbardziej urzekła mnie forma tekstu i jego styl. Opisy są miękkie i zgrabne, przez opowieść idzie się jak nożem przez masło, a kolorowe ozdobniki, graficzne zabawy i pomysłowy sposób podania sprawiają, że tekst wybija się z szarego tłumu podobnych sobie antyutopijnych opowiadań.

Mika Modrzyńska (kam_mod)

Gambit lankijski

Wiktor Orłowski

– Jak masz na imię? – pyta Dziewczynka w Niebieskiej Sukience, obserwując go badawczo.

– Javier – odpowiada chłopiec cicho, patrząc w podłogę.

Mówienie do ludzi, kiedy patrzy się w podłogę, jest niegrzeczne i stanowi oznakę braku wychowania. Ojciec zbeształby Javiera, gdyby go teraz słyszał. W domu zafundowałby mu dwugodzinny wykład o kulturze rozmawiania. Ojciec chłopca jest dyplomata – o rozmowach wie wszystko, z wyjątkiem może tego, jak je prowadzić z synem.

Javier nie chce uchodzić za źle wychowanego. Obawia się jednak, że podjęte środki ostrożności są konieczne, ponieważ Dziewczynka w Niebieskiej Sukience nie istnieje.

Siedzi na głębokim fotelu w strefie *business lounge* portu lotniczego Sharjah, gdzie chłopiec jeszcze przez godzinę będzie czekał na samolot. Nie sięga stopami do podłogi; majta nimi w sposób tak dziecięcy, że Javier, który w maju skończy dwanaście lat, jest znieśmaczony. Piękne panie z obsługi lotniska jej nie widzą, a to, czego dorośli nie widzą, nie istnieje, jak korupcja i biedni ludzie.

– Gdzie lecisz?

– Na Sri Lankę. – Javier chce dodać, że będzie tam tylko przez święta, bo potem leci do matki na Majorkę, a stamtąd do Budapesztu na turniej szachowy. Milczy. Chwalenie się też jest oznaką braku wychowania.

– Możesz to powstrzymać, wiesz – mówi Dziewczynka. – Możesz ich jeszcze uratować. Znajdź Amayuru.

Później będzie wyrzucał sobie, że nie zapytał o nic więcej.

Ładna pani, która ma opiekować się nim w trakcie lotu do Kolombo, woła go z uśmiechem. Dzierży w rękach jego plecak, a Javiera ogarnia wstyd. Mężczyzna nie powinien obarczać kobiety swoim bagażem.

Jest sobota, dwudziesty kwietnia dwa tysiące dziewiętnastego roku. Parę minut po dwunastej według czasu strefowego Sri Lanki.

Do Wielkanocy zostało zaledwie pół dnia.

Podróż wielkim boeingiem jest rozczarowująco nudna. Tuż przed lądowaniem maszyna wpada w lekkie turbulencje; Javier bez emocji myśli o swoim pogrzebie i depresji matki, która zgodnie z przyjętą strategią za wszystko obwini ojca, ale wtedy pilot gładko osadza samolot na płycie.

Kontrola celna i podróż do hotelu Cinnamon Grand też są nudne, nie licząc może chwili, w której Javier po raz pierwszy dostrzega bliźniacze wieże World Trade Center. W południowym słońcu lśnią niczym wbite w ziemię na sztorc sopte lodu, a chłopiec myśli o innych wieżach, tych w Ameryce, i z niejasnych względów czuje niepokój.

Ojciec czeka na niego w recepcji hotelowej. Witają się zdawkowo i niezręcznie; więź, która ich łączy, jest szczególna – tym bliższa i bardziej zażyła, im więcej dzieli ich kilometrów. Javier mówi, że jest zmęczony i chciałby pójść spać, i jest to błyskotliwy wybieg, bo nawet prawie nie kłamie. Obsługa hotelowa odprowadza go do apartamentu, konsul wymawia się „mnóstwem pracy” i obiecuje przyjść jutro o siódmej. Przed snem Javier rozgrywa sam ze sobą dwie partie.

Na świąteczną mszę jadą do Świętego Antoniego. Kościół bardzo się chłopcu podoba – jasnoszary, geometryczny i schludny, z zewnątrz trochę przypomina stary dworzec kolejowy. Siedzą z przodu. Ksiądz, który prowadzi nabożeństwo, ma czysty i głęboki głos. Kazanie wygłasza po tamilsku, a Javier z zadowoleniem stwierdza, że rozumie je piąte przez dziesiąte. Ma talent do języków; oprócz ojczyzniego hiszpańskiego zna biegle angielski i francuski, niemiecki, parę zwrotów po japońsku i pewnie dogadałby się z Włochem, bo włoski polega na wykrzykiwaniu nazw pizzy i machaniu rękami.

Nie wie, co sprawia, że pod koniec homilii postanawia się odwrócić. Jeszcze nie przypuszcza, że ten dziwny niepokój będzie go ratował wielokrotnie.

Prawdopodobnie jest jedynym człowiekiem w kościele, który widzi brodatego Mężczyznę z Bardzo Dużym Plecakiem. A potem świat umiera w huku i blasku, robi się cicho, a Javier nie widzi i nie czuje już nic.

Budzi się z krzykiem na pokładzie boeinga.

– Wszystko w porządku? – pyta stroskana stewardessa, a Javier czuje, że się rumieni.

Co za idiotyczny sen!

– Tak, przepraszam. Kiepsko znoszę loty.

Dziewczyna uśmiecha się miło. Jest kwadrans po szesnastej.

Maszyna wpada w lekkie turbulencje; przebiega mu przez myśl, że gdyby teraz umarł, matka wpadłaby w jeszcze większą depresję i za wszystko obwiniłaby, tradycyjnie, ojca. Ale samolot ląduje lekko i to jest strasznie nudne podobnie jak Kolombo, które widział tyle razy, że mógłby narysować jego mapę (ciotka Marjorie twierdzi, że dokładność jego pamięci jest wręcz absurdalna). Śledzi wzrokiem szklane wieże WTC i nie wie, dlaczego budzą w nim niepokój.

Z ojcem rozmawia przez pięć minut w hotelowej recepcji. Umawiają się na siódmą rano. Javier przez resztę wieczoru czyta podręcznik do języka tamilskiego i gra w szachy.

Niski, przysadzisty kościół o fasadzie niemieckiego dworca bardzo mu się podoba. Ksiądz ma talent oratorski, chłopiec koncentruje się, wyławiając tamilskie słowa i gramatyczne konstrukcje, których wczoraj się nauczył.

Pod koniec kazania coś każe mu się odwrócić. Wierni wstają, przez świątynię przetacza się chóralne „Amen!”, ale oczy Javiera ze strachu robią się wielkie, bo on go widzi: człowieka w niebieskiej bluzie, z turystycznym plecakiem, który wcale nie mówi „Amen!”. Chłopiec

wstaje i krzyczy, bo z ruchu warg brodacza odczytuje „Allah akbar”, ale już jest za późno.

Budzi się z krzykiem na pokładzie boeinga. Zaniepokojona stewardessa pochyla się nad nim.

– Wszystko w porządku?

Nie.

Javier usiłuje poskładać w głowie fakty.

Drugi raz z rzędu śnił mi się ten sam sen, dokładnie ten sam – jaka jest szansa, że człowiek wyśni coś identycznego, zwłaszcza z odstępem...

Zerka na zegarek i czuje, jak robi mu się zimno. Skrajem świadomości rejestruje, że samolot wpada w turbulencje.

Jest szesnasta piętnaście.

– To się dzieje – szepcze. – To się dzieje naprawdę.

Jestem Javier Juan Sebastián Corez. Urodziłem się w Palma de Mallorca, a mój ojciec jest konsulem hiszpańskim w Kolombo. Nie mam jeszcze dwunastu lat, ale już umarłem dwa razy.

A potem jest podróż do hotelu, rozmowa z ojcem, na widok którego raptownie chce się płakać, spędzone w stresie godziny, gdy nie może czytać ani nawet grać. Jest samochód, którym konsul podjeżdża pod Cinnamon Grand, i podróż do kościoła, podczas której Javier po sto-kroć przeklina religijność swojej rodziny i gorączkowo szuka powodu do wymigania się od mszy.

Jest liturgia po tamilsku i ojciec – drobny, o lekko łysiejących skroniach i skupionej twarzy, odziany w starannie skrojony garnitur – ucisza go surowo i każe siedzieć spokojnie. Chłopiec odwraca się do kobiety obok i po angielsku mówi o zamachu, ale ojciec przywołuje go do porządku.

Javier ma ochotę wrzeszczeć. Tuż przed homilią robi to, co każe mu instynkt. Wstaje, przepycha się między palisadą ludzkich kolan i ucieka z kościoła.

– Widzisz go?

– Tak – odpowiada Amayuru cicho. Jest bardzo spokojny, prawie nie oddycha. Palec na języku spustowym karabinu Barrett M82A3 ani drgnie.

Cel jest sprytny i wie, że śledzi go snajper. W tłumie co rusz podchodzi do kogoś tak blisko, że uniemożliwia czysty strzał. Amayuru zagryza wargę.

– To prawie czterysta metrów. Dasz radę?

– Tak.

Z kościoła wybiega jakiś dzieciak. Cel mija go dosłownie o włos, przeciska się do świątyni, cały czas ukrywając za drobną, zasuszoną jak rodzynek staruszką, która zasłania tor strzału. Amayuru klnie w myślach.

Chłopiec nie ma szans. Eksplozja wyrzuca go w powietrze.

Za drugim razem Javier robi taki raban, że ojciec wyprowadza go z kościoła, ale nie dają rady uciec. Za trzecim wybiegają w pośpiechu, chłopiec potrąca jakąś staruszkę, a zaraz potem słychać cichy stuk, ale Mężczyzna z Plecakiem już jest w środku. Javier kątem oka dostrzega, że chodnik jest nadkruszony, a w szczelinie tkwi coś błyszczącego. Kula.

Snajper – domyśla się z falą ulgi. *Nie trafił, ale tu jest. Ktoś wie!*

Myśli gorączkowo, tak jakby to był turniej – musi wystawić strzelcowi Mężczyznę z Plecakiem, to oczywiste. On nie strzela, bo zasłaniają mu ludzie, najprawdopodobniej ta staruszka, która tak się wlecze. Waży w głowie figury.

Ojciec nie chce za mną iść, muszę go ciągnąć, spowalnia mnie. Jeżeli wybiegnę sam i popchnę Wieżę-Babcię, ale Snajper znowu nie trafi, stracę Gońca-Tatę.

Decyzja jest bolesna, ale musi ją podjąć. Przed homilią wybiega z kościoła, z impetem wpadając wprost na staruszkę. Oboje przewracają się, a zaraz potem na chodnik pada Mężczyzna z Plecakiem i Przestrzeloną Głową.

Chłopiec dyszy, jakby przebiegł maraton. Nie wie, że z dzwonnicy katedry Świętej Łucji śledzą go czarne oczy.

Dzieciak oczyścił mi strzał – myśli snajper, zbiegając po schodach. Porusza się miękko i lekko jak kot. To nie mógł być przypadek, dokładnie utorował mi drogę i spojrzał mniej więcej w moją stronę, jakby domyślał się, gdzie jestem. I że W OGÓLE jestem.

– Amayuru. – Słyszy w lewym uchu i już wie, że ma rację. – Znajdź tego gówniarza.

Po przerwanej mszy wraca do hotelu razem z ojcem. Konsul Jose Corez jest blady jak ściana, kurczowo ściska rękę syna, wyrzucając z siebie potok cichych, hiszpańskich słów. Javier słucha go i płacze z ulgi, bo kocha tatę i płakałby dużo bardziej na jego pogrzebie. Tego dnia rozmawiają więcej niż przez ostatnie dwa lata, mają na to czas do obiadu.

Bo po obiedzie w hotelu wybucha bomba.

Javier wybiega z kościoła i z furją popycha starszą panią. Pada strzał; chłopiec nie czeka, szybko podrywa się na równe nogi i skręca w lewo,

prując w stronę świątyni hinduskiej. Wcześniej próbował biec w przeciwnym kierunku, ale dorwali go po dwustu metrach, wciągnęli do samochodu i udusili.

Mężczyzn z Plecakami jest więcej. Niektórzy nawet nie noszą plecaków, ale to oni, Javier wie, że to ONI, ścigają go i chcą go złapać, bo jakimś cudem wiedzą, WIEDZĄ o nim. Znajduje się już daleko za świątynią, gdy powietrze przeszywa eksplozja. Chłopiec łka, ledwo łapiąc oddech. Jest przekonany, że wkrótce go dogonią i zabiją.

Dobiega do skrzyżowania i odruchowo skręca w prawo, w nadziei, że gęste drzewa zasłonią go chociaż na chwilę. Mężczyzn jest dwóch. Jeszcze nie strzelają, są pewni, że dogonią go i uduszą w jakimś dyskretnym miejscu bez zwracania na siebie uwagi pistoletami.

Javier trzęsie się ze strachu, jest tak przerażony, że nie potrafi jasno myśleć. Czuje, że jest w szachu i – *o Boże, Boże, Boże, ratunku, niech mi ktoś pomoże, błagam, niech mi ktokolwiek pomoże!*

Potyka się na krawężniku i pada, szorując kolanami po chodnikowych płytach. Pali go w płucach, słyszy za sobą ciężkie łupnięcia i nie wytrzymuje, sika ze strachu w spodnie, bo oni już tu są, są za nim, zaraz go złapią za kołnierz koszuli i podciągną do góry, a potem skręca kark i...

Przez chwilę leży, dysząc jak Darth Vader. Dopiero potem wolno podnosi się i odważa spojrzeć do tyłu.

Dwaj mężczyźni leżą na ulicy, wokół nich szybko rosną kałuże czerwieni. Samochody zatrzymują się z nagłym piskiem, ktoś już krzyczy, żeby wezwać karetkę.

Javier bierze się w garść, resztką sił kuśtyka w pierwszą lepszą uliczkę i wlecze się krok za krokiem, byle dalej, byle zejść z oczu ludzi. Przy jakimś koszu na odpadki opuszczają go siły. Osuwa się po ścianie, myśląc, że znowu umiera, ale nie – z wyczerpania tylko mdleje.



Budzi go szturchnięcie w ramię. Udaje, że wciąż jest nieprzytomny, To Coś w głowie pracuje gorączkowo, szukając rozwiązania. Sytuacja jest tragiczna.

– Możesz otworzyć oczy. Tylko mnie nie bij, bo oddam. – Słyszysz nad sobą spokojny męski głos. – Nie zrobię ci krzywdy.

Javier próbuje się zerwać, kopie go w kostkę, a nieznajomy oczywiście osadza go w miejscu jedną ręką.

Jest silny – myśli chłopiec, szamocząc się w uścisku. *Jest bardzo silny i nie robi niepotrzebnych ruchów, ale mówi prawdę, nie chce mnie skrzywdzić.*

– To było bardzo głupie – stwierdza mężczyzna. – Mógłbym cię zabić.

Tak, mógłbyś, ale przynajmniej wiedziałbym, czego się po tobie spodziewać, gdy cię spotkam następnym razem.

– Kim jesteś? – pyta Javier.

– Snajperem. To ja zastrzeliłem tamtego faceta. – Mężczyzna rozluźnia uścisk, pomaga mu wstać. Jest bardzo wysoki i ma ładną twarz o karmelowej skórze, z wysokimi kośćmi policzkowymi; jakby kobiecą, choć nie jest zniewieściały. – A ty mi w tym pomogłeś.

Ma ze sobą dziwny, długi futerał. Chłopiec zastanawia się, czy trzyma w nim karabin wyborowy i czy naprawdę zastrzelił tamtego człowieka, a jeśli tak, to czy on, Javier Juan Sebastián Corez, jest za jego śmierć współodpowiedzialny.

Nie mam nawet dwunastu lat, a już osiemnaście razy zginąłem i nawet zostałem mordercą.

– Skąd wiedziałeś? – pyta Snajper, a chłopiec chce opowiedzieć mu wszystko, choć wie, że on nie uwierzy, bo osiemnaście własnych śmierci to dziecięce wymysły z kategorii Pierdoły, Dorośli zaś w Pierdoły nie wierzą.

Nagle wszystko z całą mocą do niego wraca – eksplozja i huk, i ból, i strach, i poczucie zaszczucia, i świadomość, że jest w tym wszystkim całkiem sam, że jest tylko małym chłopcem, który ze strachu zsiakał się w majtki.

Nogi składają się jak scyzoryki; upadłby, gdyby mężczyzna nie zdążył go złapać.

Ale on nadaża i ucisk na sercu chłopca staje się lżejszy. Snajper bierze go na ręce i biegnie, mija jakąś świątynię (To Coś dostrzega i odnotowuje, że jest to Shri Kaali Amman Kovil) i pędzi dalej, lekko, jakby chłopiec i futerał nic nie ważyli.

Są w mieszkaniu niemal zupełnie pozbawionym mebli. Javier siedzi na jedynym krzeselku, oburącz ściskając kubek mocno posłodzonej herbaty. Końska dawka cukru i protein (Snajper dał mu dwa energetyczne batony) zabija głód i rozjaśnia w głowie. Chłopiec się uspokaja. Strach, który zawładnął jego umysłem, zostaje stopniowo wypierany przez To Coś. To wraca, mości się wygodnie i zaczyna znów działać.

Javier opowiada Snajperowi o wszystkim – metodycznie, bez zbędnych dygresji, układając w głowie fakty tak, aby To mogło zeżreć je i zacząć jak najszybciej trawić. Strzelec nie przerywa chłopcu. I wydaje się wierzyć.

– Jesteś bardzo odważny – mówi, kucnąwszy przed nim, kiedy Javier kończy. Zdjął kurtkę, pod termoaktywną koszulką napinają się jego mięśnie. Jest duży, ale porusza się bardzo zwinnie.

– Próbuje mnie pan pocieszyć?

– Skąd. W wojskach specjalnych szkolą mnóstwo twardzieli, ale nawet oni umierają najwyżej raz. Ty umarłeś osiemnaście razy. Jesteś największym twardzielem na świecie, Javier.

Widmo eksplozji nagle powraca. Chłopiec oddycha szybciej, zaciśka palce na kubku i koncentruje się, tak nieludzko się koncentruje, szczuje To, żeby pożarło strach i wspomnienia. Musi być teraz spokojny.

W nozdrza wierci go zapach moczu.

– Zsikalem się w majtki – przyznaje ze skrucą.

– Ja też. – Snajper wzrusza ramionami. Uśmiecha się, w ogóle

nie jest skrępowany. – Spędziłem dziesięć godzin na dzwonnicy. Nie przejmuj się.

Czatował na pozycji dziesięć godzin, to znaczy, że oni wiedzieli o zamachu, ale nie wiedzieli, kiedy dokładnie ma nastąpić. Snajper z Dzwonnicy czekał, na wypadek gdyby terroryści podłożyli bombę w nocy, ale oni tego nie zrobili. Czuję, że to ma znaczenie, chociaż jeszcze nie rozumiem jakie.

– Kim jest Dziewczynka w Niebieskiej Sukience?

– Nie wiem, o kim mówisz, Javier.

– Dla kogo pan pracuje?

– Dla ministra zdrowia Sri Lanki. – Twarz mężczyzny jest nieprzenikniona.

Chłopiec myśli intensywnie.

– Czy minister zdrowia nie powinien zajmować się raczej epidemiami? – Chwilę musi zastanowić się nad właściwym słowem, dopiero teraz dociera do niego, że rozmawiają po hiszpańsku.

– To jest epidemia, Javier. Paskudnej choroby zakaźnej o nazwie fanatyzm religijny. Rozumiesz mnie?

Kiwa głową na znak, że rozumie. W jej wnętrzu To Coś wije się niespokojnie, łapczywie pożerając strzępy informacji.

Dziewczynka w Niebieskiej Sukience powiedziała, że mogę uratować wszystkich. Chodziło o zamachy, z pewnością, nie mogło chodzić przecież o nic innego. Do diabła, dlaczego nie spotkałem jej znowu?!

– Javier?

Na początku Mężczyzna z Plecakiem był jeden, ale potem pojawiło się dwóch. To nie przypadek, dwóch Mężczyzn z Plecakami nie może w jednym momencie tak po prostu postanowić, że wysadzą się w powietrze w tym samym kościele. Współpracowali.

Tamci dwaj, których Snajper zabił, wiedzieli, że trzeba ścigać AKURAT MNIE. Skąd? Przecież tylko potknąłem się o starszą panią. Pobiegli za mną jeszcze przed strzałem Snajpera i eksplozją.

WIEDZIELI, KIM JESTEM.

Ale skąd?

– Javier, muszę wiedzieć, skąd wiedziałeś o zamachu. Przysięgam, że zapewnię ci bezpieczeństwo, ale muszę wiedzieć, dlaczego tamci faceci cię ścigali.

To proste – odpowiada To Coś w jego głowie.

Wszystko staje się nagle krystalicznie czyste, wyraźne i ostre. Barwy nabierają głębi, chłopiec czuje na języku smak soli; to pot na ustach, które oblizuje bezwiednie.

– Ścigają mnie, bo mają kogoś takiego jak ja – mówi, wolno dobierając słowa. – Kogoś, kto pamięta poprzednie wersje wydarzeń. On jeszcze nie wie, jak to działa, więc próbuje mnie zabić. Ale niebawem zrozumie, wtedy będzie chciał mnie złapać żywcem.

Ześlizguje się z krzeselka, pusty kubek wypada mu z ręki, ale Javier nawet tego nie zauważa. Nerwowo krąży pomiędzy pustymi ścianami. Jedyne okno wychodzi na obskurną ulicę pełną jaskrawych domków o brudnych fasadach i czerwonych podbudówkach. Kolombo to bardzo dziwne miasto, kolaż luksusowych hoteli z palmami i czerwonych podbudówek, astonów martinów i rozklekotanych autobusów, barów z drinkami i przydrożnych bud z blachy falistej, gdzie za kilkanaście rupii można kupić osłodzoną herbatę z wody, od której Europejczyk dostanie sraczki.

Chłopiec zerka na zegarek.

Już po czternastej, późno, za późno na cokolwiek.

Znów dręczy go poczucie niepokoju, ale już się go nie boi – traktuje jak sygnał, psi gwizdek, na który To Coś reaguje.

– Powiedz mi coś osobistego – mówi szybko, nie przerywając marszu po skrzypiącej ze starości podłodze. Dociera do niego, że to jedyne dźwięk, jaki tu słyszy; cała okolica jest niezwykle cicha.

– Słucham?

– Powiedz mi coś, po czym uwierzysz, że już rozmawialiśmy – prosi chłopiec.

Minutę później drzwi wejściowe pękają z trzaskiem, a do środka wpadają uzbrojeni ludzie.

Budzi się na pokładzie boeinga. Jest kwadrans po czwartej, chłopiec tym razem nie płacze. Ładna stewardessa, która pochyła się, by poprawić mu zagłówek, napotyka jego spojrzenie i odskakuje z przestraszeniem. Javier uśmiecha się do niej miło, w jego piwnych, lodowatych oczach widać To Coś.

Ogarnia go *Schadenfreude*, sadystyczna duma, bo Snajper z Dzwonnicy, zanim go zabili, załatwił co najmniej trzech.

Z lotniska zabiera go taksówka. W recepcji Cinnamon Grand czeka na niego ojciec – Javier rzuca mu się w ramiona i znów jest to dobry wybieg, bo nawet nie musi udawać, że jest poruszony.

Pozwala sobie chwilę popłakać. Ale tylko chwilę, bo To pogania go niecierpliwie, syczy, by wziął się do roboty. Chłopiec się uspokaja. Poczucie osamotnienia i głębokiej krzywdy słabnie, znów jest w stanie myśleć logicznie.

Ojciec jest zaskoczony wybuchem uczuć, nie zauważa, że z kieszeni kupionego w Londynie płaszcza znika mu portfel.

Umawiają się na poranną mszę. Obsługa hotelowa zabiera Javiera do apartamentu. Chłopiec przed windami odwraca się, widzi malejącą sylwetkę ojca i gryzie wargi niemal do krwi, bo wie, że to ich ostatnie spotkanie. Jutro o ósmej czterdzieści pięć konsul Corez razem z kilkudziesięcioma wiernymi zginie w eksplozji kościoła Świętego Antoniego w Kochchikade. Myśl o tym tak bardzo boli, ale Javier wie, że to konieczne, To Coś mówi mu, że ważne gry można wygrać tylko jeśli poświęci się figurę.

Chłopiec zjada przyniesioną do apartamentu kolację, a potem wychodzi na przeszpiegi. Dyskretnie kręci się w pobliżu drzwi opisanych jako „staff only”, uważnie przyglądając obsłudze. Wreszcie znajduje kogoś odpowiedniego – dziewczynę niewiele wyższą od niego (na szczęście Javier jest, jak to zawsze mawiała ciotka Marjorie, „wyrośnięty jak na swój wiek”), o dość ładnych rysach, ale absolutnie niekobiecej sylwetce. Rozmawia z nią krótko mieszaniną tamilskiego

i angielszczyzny. Przysługa, o którą prosi, kosztuje go pięć tysięcy rupii lankijskich. Dziewczyna jest bardzo miła, zgadza się go wypuścić wyjściem dla personelu gratis.

O dwudziestej pierwszej Javier łapie autobus w Gangarama, rachując w głowie godziny.

Snajper powiedział, że spędził na dzwonnicy dziesięć godzin. Atak nastąpił przed dziewiątą, więc powiedzmy, że zszedł z niego właśnie wtedy. To by znaczyło, że był na stanowisku od dwudziestej trzeciej, oczywiście zakładając, że nie była to figura retoryczna. Ale sądzę, że nie była. Ludzie, którzy tak zabijają, muszą być we wszystkim bardzo dokładni.

Niespełna godzinę później znajduje właściwą Dzwonnicę. Chwilę zajmuje mu wymyślenie, jak się na nią dostać, ale w końcu dociera na szczyt i siada w miejscu, które – jak ma nadzieję – jest dobre do oddania strzału na czterysta metrów.

Gra się rozpoczyna.

Arcymistrz Javier Juan Sebastián Corez gambitem otwiera partię.

Mężczyzna na pozycję dociera parę minut przed jedenastą. Opłacony strażnik katedralny ze skrupulatnością udaje, że go nie widzi; operator poprawia na ramieniu ciężki futerał i wymija go, kierując się na tyły kościoła, za prezbiterium. Wie dobrze, gdzie znajdują się schody prowadzące na dzwonnice. Wbiega po nich szybko, bez zadyszki – jest w doskonałej kondycji. Musi być.

Podrywany w barach dziewczynom mówi, że pracuje fizycznie, i co do zasady nie kłamie.

Jeszcze zanim otwiera wąskie drzwiczki, czuje, że coś jest nie w porządku. Ręka sama znajduje kolbę pistoletu, mężczyzna ostrożnie, bardzo powoli sięga po klamkę.

– *Disculpe por molestar.* – Słyszy dziecięcy głos. Maszynka do mielenia języków w jego głowie od razu przestawia się na hiszpański. – Jutro o ósmej czterdzieści dwie zastrzeli pan stąd džihadystę,

ale bardzo wielu ludzi i tak zginie. Możemy uratować resztę, ale musi pan najpierw uwierzyć, że już się kiedyś spotkaliśmy. Powiem teraz kilka faktów na pana temat. Jest pan oburęczny i pracuje w agencji paramilitarnej o nazwie Homicide Squad. W prawej wewnętrznej kieszeni kurtki ma pan dokumenty wystawione w Arkansas na nazwisko Jonathan Gupta. Ale pana prawdziwe imię brzmi Amayuru.

Mężczyzna bardzo wolno otwiera drzwi. Chłopiec, który siedzi po turecku pod olbrzymim dzwonem Anthony Thomas, ma przenikliwe, piwne oczy.

– Powiedziałem ci, że jestem oburęczny? – pyta Amayuru bez zdziwienia. Rękę wciąż trzyma w pobliżu pistoletu, ale jest bardzo spokojny; szkolenia wojsk specjalnych nauczyły go opanowania.

– Sam zauważyłem.

Mężczyzna uśmiecha się niemal niedostrzegalnie. Ten dzieciak już mu się podoba.

Schodzą ostrożnie. Jest ciemno, Snajper trzyma Javiera za kołnierz. To bardzo protekcyjne, ale chłopiec nie wyrывa się, bo bez pomocy dawno wybiłby sobie zęby. Amayuru nie potyka się ani nie waha. Zupełnie jakby widział w mroku.

Wóz dostawczy czeka dwie ulice dalej. Na umówiony sygnał tylne drzwi się rozsuwają, ukazując zmodyfikowane wnętrze. Przy ścianach – Javier jest pewien, że są dużo grubsze, niż należałoby wymagać tego od dostawczaka – zamontowano siedzenia. Wszędzie, gdzie nie ma kabli, leży broń.

Za kierownicą siedzi bardzo duży, czarny mężczyzna. Hindus na miejscu pasażera wydaje się przy nim drobniejszy, niż jest w istocie. Na kolanach trzyma pancerny toughbook. Krótko ostrzyżony blondyn na ich widok unosi brwi i otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Amayuru go uprzedza:

– Zamknij mordę, Hollywood.

Javier wskakuje do środka. Snajper zatrzaskuje za nim drzwi, w telegraficznym skrócie przedstawia sytuację. Chłopiec jest zdziwiony – jego trzech koledzy, choć niewątpliwie są Dorośli, bez wahania wierzą w Pierdołę. Wyglądają na zmęczonych i śmierzdzą potem, a on przypomina sobie poprzednie spotkanie z Amayuru.

Przysięgam, że nigdy więcej nie obrażę się, jeśli ktoś nazwie mnie siusiumajtkiem. Trzeba być naprawdę silnym facetem, żeby przez dziesięć godzin nie zejść z Dzwonnicy nawet na siku.

– Jasna cholera – mówi Hollywood, kiedy Snajper kończy. – Będą inne eksplozje?

– Tak, w hotelach, barach, kinach i tak dalej.

– Mamy w kontrakcie tylko kościoły.

– Które hotele? – pyta Hindus.

– Cinnamon Grand, Shangri-La, Kingsbury... – wylicza Javier – myśle, że to nie wszystko.

Mówi bardzo spokojnie, ale widzi, jak mężczyźni wzdrygają się lekko, a Hollywood błędnie. Hindus szybko otwiera coś na swoim laptopie.

– Team Gary’ego jest w pobliżu Shangri-La – mówi. – Niech szukają bomby.

– Za duże ryzyko – odpowiada Czarnoskóry. Ma bardzo gruby głos i niesamowicie mięsiste wargi. – Trzeba ewakuować cały hotel. Podrzucić im anonima.

– Nie ma szans, spalimy element zaskoczenia. – Hollywood w zamysleniu pociera policzek. – O której wybucha pierwsza?

– W południe. – Javier na krótką chwilę tężeje, bo znowu wracają obrazy: ojciec cicho wyrzucający z siebie potok hiszpańskich słów, jego ciepła ręka zaciśnięta na dłoni chłopca, zjedzona na obiad langusta.

To Coś warczy z dezaprobatą, odgania widma, pomaga odzyskać spokój.

– Przekaż Gary’emu, że ma osiem godzin. Jeśli nie da rady, wykombinujemy ewakuację – mówi Amayuru, a Javier dochodzi do wniosku, że Snajper jest najlepszym Dorosłym na świecie, i strasznie go lubi.

Niedobrze – upomina To Coś z naganą. Nie powinienes go lubić. Nie panujesz w pełni nad tą szachownicą, nie wiesz, czy nie będziesz musiał poświęcić innych pionów.

Chłopiec mocno zaciska ręce na kolanach.

– Powiedziałem wam wszystko – zaczyna – więc teraz wasza kolej. Co tu się dzieje?

Cztery pary oczu patrzą na niego beznamiętnie.

– Wiecie, że będą zamachy w kościołach. Amayuru powiedział, że pracujecie dla ministra zdrowia. Dlaczego nie zajmuje się tym policja ani wojsko, tylko... – Urywa, brakuje mu angielskiego słowa. – Zabójcy?

W półmroku błyska szeroki uśmiech blondyna.

– „Zabójca” to brzydki wyraz. Wolę: „architekt zapotrzebowania na usługi pogrzebowe”. A dzieje się to, co zwykle. Polityka albo pieniądze.

Baza, do której go wiozą, mieści się w prywatnym domu na tyłach wielobranżowego sklepiku. Dla niepoznaki zatrzymują swoją pancerną ciężarówkę przed paroma sklepami, a Hindus za każdym razem wychodzi, żeby wymienić z kimś kilka lankijskich słów. Dostawczak staje przed zapleczem.

Właścicielka sklepu jest grubą, miłą kobietą, która robi dobry *kiri-bath* z zielonym curry. Javier je, prawie nie zwracając uwagi na smak. Jest wściekle głodny.

Najemnicy zajmują całe piętro jej dużego, ale wyraźne wymagającego remontu domu. Mają mnóstwo sprzętu i broni, chłopiec obserwuje dyskretnie, jak czyszczą i składają pistolety, kompletują wyposażenie.

– Umiesz strzelać, Javier? – pyta Hollywood.

– Nie. Mój ojciec jest dyplomata, zabrania mi dotykać broni.

– Broń to rodzaj dyplomacji. – Blondyn uśmiecha się, wyjmując magazynek z glocka i podaje go chłopcu kolbą do przodu. – Takiej bardziej dosadnej.

Pistolet jest ciężki i Javier czuje dreszcz. Zabijanie waży jakiś kilogram, może dwa. Hollywood pokazuje, jak poprawnie trzymać, jak odciągnąć zamek i którądy załadować magazynek. Strzelają kilka razy „na sucho”.

O drugiej w nocy dzwoni Minister. Amayuru podaje chłopcu telefon i dyskretnie wycofuje się na tyle, by znać treść rozmowy, ale też by dać Javierowi chociaż złudne wrażenie prywatności.

– Słucham? – mówi chłopiec, a To Coś wścieka się, bo głos drży mu lekko.

– Dobry wieczór, Javier. – Mężczyzna ma głęboki głos emanujący autorytetem. – Amayuru twierdzi, że jesteś bardzo dzielny chłopcem. Zechcesz opowiedzieć mi wszystko? – pyta, akcentując ostatnie słowo.

Więc Javier mówi: Dziewczynka w Niebieskiej Sukience na lotnisku w Emiratach, niepokój na widok wież WTC, spotkanie z ojcem (*Nie, nie płacz* – mówi To Coś), eksplozja w kościele, wszystkie kolejne umierania. Minister nie przerywa. Jest bardzo, naprawdę bardzo Dorosły, a mimo to wierzy w Pierdołę.

– Jak sądzisz, dlaczego cię to spotkało, Javier?

– Nie wiem, proszę pana.

– Możesz to powstrzymać?

– Dziewczynka w Niebieskiej Sukience twierdzi, że tak.

– Zastanówmy się przez chwilę – prosi Minister łagodnie. – Uważasz, że przeciwnik ma kogoś takiego samego jak ty. Dlaczego pozwolił ci dotrzeć do Amayuru?

To proste – stwierdza z satysfakcją To Coś.

Javier wierci się niecierpliwie, wie, że jego inteligencja jest wystawiana na próbę.

– Też o tym myślałem, proszę pana. Poświęciłem trzy śmierci, żeby to sprawdzić, i czuję, że mam rację. – Bierze głęboki wdech. – Za każdym razem wracam do tego samego momentu, szesnasta piętnaście na pokładzie samolotu. Przypuszczam, że jego spotyka dokładnie to samo, chociaż nie wiem, czy resetuje nas tylko moja śmierć, czy on także

umiera. To nieważne. Od wylądowania samolotu do pierwszego ataku mam prawie szesnaście godzin, to bardzo dużo, ale za każdym razem spędzam je bezpiecznie w hotelu. Nikt mnie nie zaczepia. Myślę, że... Myślę, że mam przewagę czasową, bo on budzi się później niż ja.

Gram białymi i zaczynam pierwszy.

– Bardzo dobrze, Javier – odpowiada Minister cicho. – Od razu pomyślałem o tym samym.

– Myślę, że musimy skorzystać z tej przewagi, proszę pana. W szesnaście godzin zdołałby pan zebrać antyterrorystów i w ogóle. – Javier urywa, waży w głowie słowa. – Ale myślę, że pan tego nie może zrobić.

– Dlaczego nie? – Głos jest bardzo spokojny.

– Grywa pan w szachy?

– Trochę.

Kłamie – syczy To Coś. Kłamie, wiesz, że on gra i na pewno jest silny.

– Wie pan, co to gambit?

– Wiem. – W głosie wibruje znużone rozbawienie, coś jakby podziw.

On gra, Javier, i jest bardzo silny, zmiażdżyłbyś go w pięćdziesięciu, może dopiero pięćdziesięciu pięciu ruchach.

– Proszę wybaczyć mi impertynencję, ale myślę, że działa pan samodzielnie i wynajmuje Homicide Squad na własną rękę, ponieważ jako jedyny potraktował informatora spoza Sri Lanki poważnie. Po eksplozjach widziałem mnóstwo policji i żandarmerii, oni wesprą pana, ale dopiero wtedy, gdy coś się wydarzy. Dlatego myślę, że kościół Świętego Antoniego musi wybuchnąć, bo panu też potrzebny jest na otwarcie gambit.

Minister milczy tak długo, że chłopiec przez chwilę się boi, że połączenie zostało utracone. Ale w końcu się odzywa:

– Jesteś przerażającym chłopcem, Javier. Jaki masz pomysł?

Piwnie oczy robią się wielkie. To Coś w głowie skacze niecierpliwie:

Widzisz, Javier, masz dopiero dwanaście lat, ale umarłeś już dwadzieścia razy, zostałeś mordercą, a teraz nawet Bardzo Ważny Dorosły pyta cię o zdanie w sprawie Pierdoły.

Opowiada mu wszystko.

W dniu Wielkanocy o szóstej rano Dziewczyna Bez Piersi kończy swoją zmianę. O szóstej piętnaście już wkrada się do apartamentu wynajętego na nazwisko Corez, posługując się kartą magnetyczną, a potem wkłada przyszykowane dla niej świąteczne ubrania Javiera. Spodnie są trochę przykrótkie, a koszula mimo wszystko trochę napięta na klatce piersiowej, ale na szczęście się mieści.

Zgarnia włosy pod czapkę i wychodzi frontowymi drzwiami hotelu. Samochód już czeka, to srebrny jaguar o bardzo niskim zawieszeniu.

– Dzień dobry, Jav... – mówi siedzący za kierownicą mężczyzna, zanim spogląda na nią w lusterku wstecznym. Natychmiast błędnie.
– Kim ty jesteś?

– Proszę jechać.

– Gdzie jest mój syn?!

– Nie wiem. Proszę jechać. – Dziewczyna Bez Piersi wyciąga swój telefon i puszcza nagranie chłopca.

Nie rozumie ani słowa, ale do konsula chyba dociera wszystko. Prowadzi sztywno, wyprostowany jak struna. Po karku spływają mu grube krople potu.

Jaguar stoi w korku na Baladaksha Mawatha. Ktoś nagle puka w szybę – mężczyzna, krępy i brodaty, z bardzo dziwnym błyskiem w oku. Do bocznej szyby przykładają pistolet.

Konsul Corez ze strachu puszcza sprzęgło, silnik gaśnie. Ludzie przypatrują mu się ze zdziwieniem. Napastnik daje znak, by odblokować mu drzwi, a potem wsiada na tylne siedzenie obok przebranej za chłopca kobiety, która krzyczy, dopóki nie widzi lufy skierowanej w swoje usta.

Pozwolono mu zjeść jeszcze dwie porcje zielonego *kiribath*, wziąć prysznic (Amayuru dał mu nawet zapasową szczoteczkę do zębów) i spać do prawie ósmej trzydzieści. Budzi go dopiero delikatne szturchnięcie w ramię. Javier otwiera oczy, sztywny ze zmęczenia, które zdaje się w większym stopniu ogarniać jego umysł niż ciało.

Dostaje śniadanie (znów *kiribath*, tym razem z owocami i na słodko), a Hindus informuje lakonicznie, że Ludzie Gary’ego znaleźli i zneutralizowali bomby we wszystkich trzech hotelach. Javier chciałby rozplakać się z ulgi, ale nie może.

Jeszcze nie teraz – szepcze w głowie To Coś. *Ustabilizowałeś pozycję na tylko jednym froncie, pora teraz odzyskać figurę.*

Kościół Świętego Antoniego wybucha punktualnie. Chłopiec czeka na dwa telefony. Pierwszy, zgodnie z przewidywaniami, odzywa się niespełna trzy minuty później – odbiera go Amayuru, odpowiadając krótko, najwyżej paroma słowami.

Smartfon w kieszeni Javiera wibruje lekko. Wyciąga go, czując, jak serce najpierw wali mu jak szalone, ale zaraz potem zwalnia. Jest skoncentrowany i spokojny.

Połączenie przychodzące: Tata.

– Jesteś bardzo interesującym chłopcem – mówi Terrorysta. Ma ochrypły głos, wypisz wymaluj jak chory człowiek, bo on przecież JEST Chorym Człowiekiem, cierpi na paskudne choróbsko, tak mówił Amayuru. – Bałbym się zasnąć w miejscu, w którym przebywałeś.

– To bardzo rozsądne, proszę pana. Mógłbym pana zabić.

– Nie wątpię.

– Gdzie jest mój ojciec?

– W bezpiecznym miejscu. Dziewczyna nie żyje.

Słowa są jak cios prosto w żołądek, Javier kurczy się, na chwilę przestaje oddychać, bo to boli, naprawdę boli, chociaż nawet nie znał Dziewczyny Bez Piersi. To Coś w jego głowie natychmiast rusza do

walki, gryzie i pożera wyrzuty sumienia, szepcze, że „przecież zapłaciłeś jej za pomoc”, ale on wie, że To Coś nie ma racji. Ludźmi gra się dużo ciężiej niż bierkami.

– Myślę, że to będzie bardzo banalne, jeśli każe mi pan przyjść samemu z walizką pieniędzy, nie zawiadamiając policji – odpowiada, pilnując, by oddychać spokojnie.

Chory Człowiek się śmieje.

– Racja. Minutę po zakończeniu rozmowy udostępnię ci lokalizację. Przyjdź, z kim tylko chcesz. Weź na smycz tego kundla z dzwonnicy i przyprowadź go, jeśli uznasz za stosowne. Wygra lepszy.

– Tak, wygra lepszy – odpowiada Javier i zaraz potem słyszy głuchy sygnał zerwanego połączenia.

Amayuru stoi tuż przed nim. Przez jego ładną twarz (myślę, że mógłby pracować jako model) przebiega dziwny cień. Patrzy na chłopca z mieszaniną lęku i fascynacji jak na groźny okaz pustynnego gada, który wprawdzie jest przepięknie ubarwiony, ale którego jad potrafi zabić w mgnieniu oka.

– Ja też bałbym się przy tobie spać – wyznaje cicho.

Na rękach ma taktyczne rękawiczki bez palców, przebrał się w spodnie z mnóstwem kieszeni, trekkingowe buty i kamizelkę.

Telefon chłopca ożywa raz jeszcze. Hindus chwytą go natychmiast, ustala miejsce przetrzymywania konsula i cicho opracowuje plan działania z Ciemnoskórym, który jest bardzo miły i nazywa się Boohoo.

– Niepotrzebnie. Widziałem, jak zabijasz – mówi Javier.

– Jestem tylko sprawnym facetem, dobrze się biję i dobrze strzelam. Ale To Coś, co masz w głowie... – Amayuru waha się, po raz pierwszy, odkąd się poznali. Javier nie wie, że ujrzy w jego oczach niepewność jeszcze raz i będzie cierpiał, ilekroć ją wspomni. – To jest bardzo niebezpieczne, Javier. Mógłbyś spowodować wiele bólu, gdybyś wykorzystał to źle.

– Ilu ludzi zabiłeś? – pyta chłopiec.

– Więcej, niż mam lat.

– A ile masz lat?

Mężczyzna uśmiecha się lekko, a Javier nagle bardzo żałuje, że nie jest jego bratem.

– Dwadzieścia osiem.

– Kłamiesz. Ludzie tyle nie żyją.

O dziesiątej są już w drodze.

Kierują się ku północy Kolombo, w stronę portu w Mattakuliya, gdzie kanał Kelani Ganga wciska się w ląd jak kręta, tłusta glista. Miasto ogarnia chaos. Karetki pogotowia i radiowozy jeżdżą jak oszalałe, zanosząc się wyciem syren. Minister wykorzystał swój gambit, rzucił do akcji wszystko, co tylko był w stanie zmobilizować.

Javier przymyka oczy. Koncentruje się na zadaniu, nie może teraz myśleć o księdzu, który głębokim głosem wygłaszał kazanie o Zmartwychwstaniu, nie pozwala sobie myśleć o staruszcze, którą eksplozja musiała rozmazać po chodniku jak papkę z surowego mięsa polanego sosem o zapachu krwi. To Coś surowo zabrania mu martwić się o tatę.

Zagrałem na „e4”, więc odpowiedział „e5”, to normalne. Skosił mego piona na „f4”, ale dzięki temu mam czyste pole do ataku.

Czuje ciepłą rękę Amayuru na swoim ramieniu.

Powinienem użyć Skoczka?

Samochody mozolnie przedzierają się przez wąskie ulice. Domy są tu niskie i nędzne, kryte przeważnie rdzą z niewielką domieszką blachy falistej. Między bujnymi bananowcami rozpięto suszące się na słońcu pranie. Stylizowane na wozy dostawcze pancerne pick-upy i uzbrojone SUV-y przeciskają się między szpalerem śmiesznych, czerwonych taksówek z tylko jednym kołem z przodu.

Już dwieście metrów od portu Javier czuje, że coś jest nie w porządku.

Najemnicy wysiadają z samochodów dwieście metrów przed hurtownią sprzętu rybackiego. Resztę drogi muszą przejść pieszo.

Chłopiec zostaje w samochodzie razem z Hindusem. Bardzo chce pójść z nimi, ale Amayuru nie pozwala mu na to; przez krótką chwilę ścierają się wzrokiem, a Javier czuje wściekły żal i lęk, że wystawia go na niebezpieczeństwo, że musi zagrać właśnie nim.

Snajper lekko kiwa głową i znika.

Minuty ciągną się nieznosnie, gęste jak cuchnące błoto. Javier liczy uderzenia serca, gorączkowo wsłuchując się w sporadyczne szmery dobiegające z radiostacji. Wokół panuje aksamitna cisza. Jej głębia niepokoi go jak jeszcze nic na tym świecie.

Dlaczego jest tak cicho?

Zagrałem gambitem, pozwalając mu wysadzić hotel, i nawet pozwoliłem mu uwięzić tatę. Wszystko po to, by móc schwycić tego, który będzie go pilnował. Nawet jeśli nie jest nim sam Chory Człowiek, każę Amayuru torturować go tak długo, aż powie, gdzie On się znajduje. Mam przewagę. Tylko dlaczego...

Dlaczego jest tak cicho?

Telefon w jego kieszeni wibruje dyskretnie. Chłopiec wyciąga go i odczytuje SMS-a.

„1. e4 e5. 2. f4 ??”

Jego oczy robią się wielkie, twarz trupioblada, a do gardła podchodzi fala palącej żółci, bo w jednym momencie zaczyna rozumieć, że popełnił błąd. Straszliwy błąd, który będzie kosztował życie bardzo wielu ludzi.

Z radia dobiega huk wyważanych drzwi i przekleństwa.

Telefon Hindusa brzęczy przeraźliwie. Mężczyzna odbiera, słucha przez krótką chwilę.

– Kurwa mać – cedzi. – Straciliśmy Gary’ego. W hotelach byli...

– Inne bomby, lepiej schowane – rzuca Javier szybko. Kuli się na przednim siedzeniu, jakby dostał kopniaka prosto w żołądek.

To twoja wina – syczy To Coś w środku jego głowy.

– Javier...

– Nie mów do mnie! – krzyczy, zatykając uszy. – Nic do mnie nie mów!



TO TWOJA WINA! To przez ciebie, ty napuszczony, wstrętny, bezmózgi mazgaju! To wszystko dzieje się, bo nie potraktowałeś go poważnie.

Nagle słyszy poruszenie, szurgot przesuwanych drzwi ciężarówki, czuje czyjeś silne dłonie zaciśnięte na swoich ramionach. Ktoś potrząsa nim lekko, to Amayuru. Javier ledwie rozumie, że przyprowadzili do samochodu jego ojca – to wszystko jest nieważne, bo on, arcymistrz, przegrał z Chorym Człowiekiem, który wystrychnął go na dudka.

Samochody ruszają z piskiem opon. Boohoo prowadzi jak szalony, Hindus krzyczy coś niezrozumiałego przez telefon. Znów zagłębiają się w uliczki, Javier ledwie pojmuję, że ściga ich terkotanie karabinów.

Tak po prostu założyłeś, że on przyjmie twój gambit, tylko dlatego że nim zagrałeś. Ale ty, zamiast naprawdę poświęcić piona, popędziłeś mu na ratunek, odciągając swoje najlepsze figury od centrum szachownicy. Jesteś żaloszny, nie zasługujesz na tytuł arcymistrza! Mnóstwo ludzi znowu umarło przez twój kretyński błąd, ONI WSZYSCY UMARLI PRZEZ CIEBIE.

– Javier! – krzyczy Amayuru. – Wysiadaj!

Odrętwiały chłopiec daje się chwycić pod pachy i wyciągnąć z samochodu. Ciężarówka odjeżdża z piskiem opon, Snajper z Dzwonniccy gdzieś go ciągnie. Biegną przez wysokie trawy. Javier czuje w powietrzu zapach soli, są pod mostem Mattakkuliya.

W serce chłopca wstępuje szaleńcza nadzieja, bo przez krótką chwilę wydaje się, że zgubili pogoń. Ale zaraz potem uczucie zaszczucia i ten dziwny dreszcz, którym karmi się To Coś, wracają. Javier wyławia ciche głosy rozmawiające po arabsku.

SĄ TUTAJ!

Pod mostem bujnie plenią się krzaki i bananowce gdzieniegdzie przeplecione niskimi, rosochatymi palmami. W pobliżu ciągną się murowane domki, niewiele większe niż psie budy na Majorce. Ukrywają się za jednym z nich. Amayuru zasłania chłopcu usta. Jest blady, jego ładna twarz przypomina kolorem kawę mocno rozbieloną mlekiem. On też już rozumie, że popełnili fatalny błąd.

Chory Człowiek przewidział wszystko.

Także to, że Snajper z Dzwonnicy będzie próbował chłopca ratować.
Jest dobry, jest naprawdę dobry, być może nawet lepszy od Ministra!
SKUP SIĘ!

Ośmiu – czyta z ruchów warg Amayuru. Ośmiu ludzi! Skup się, wymyśl, jak można ich pokonać!

Chrzęst tłuczonego szkła pod butami. Głośne oddechy.
Są naprawdę blisko!

Javier spogląda pytająco na Snajpera, ale ten lekko, niemal niedostrzegalnie kręci głową.

– Są uzbrojeni – szepcze bardzo cicho. – Nie zabiję ośmiu na raz. Tylko zwrócę uwagę.

Chłopiec chce położyć się na ziemi i wyc.

SKUP SIĘ – wrzeszczy To Coś w jego głowie. Nie przestawaj myśleć ani na chwilę! Nie umiesz walczyć ani szybko biegać, masz tylko dwanaście lat i nie możesz przeciwstawić im niczego z wyjątkiem MNIE, więc, na Boga, NIE PRZESTAWAJ MYŚLEĆ! Przyjrzyj się szachownicy. Co na niej masz?

Jego ręka odnajduje silną dłoń Amayuru.

Pomyliłem się, Snajper z Dzwonnicy nie jest Skoczkiem, jest Hetmanem, najsilniejszą figurą, jaką mam.

Ale nawet on nie zabije ośmiu ludzi na raz.

Jak mogę go wykorzystać?

Przeszywa go paraliżujące zimno, bo nagle pojmuje, co powinien zrobić.

To jedyne logiczne wyjście – mówi już uspokojone To. Popełniłeś błąd, prawda. W normalnej grze kosztowałby cię to zwycięstwo. Ale to nie jest normalna gra, tutaj możesz rozłożyć szachownicę raz jeszcze. Pamiętajsz wszystko, co się wydarzyło. Więcej się nie pomylisz.

Javier bierze głęboki wdech i szeptem prosi Amayuru, by to zrobił.

– Nie ma mowy – odpowiada mężczyzna.

– Musisz. Oni będą mnie męczyć, ale nie zabiją. Wtedy umrze mnóstwo ludzi. – Javier mówi z trudem, słowa nie chcą przechodzić mu przez gardło.

Bardzo się boi.

Umierał już tyle razy, ale cholernie się boi.

Mijają sekundy, gęste i gorzkie jak budyń z dodatkiem piołunu. A potem Amayuru powoli, rozpaczliwie powoli wyjmuje pistolet.

Jego ręka drży lekko, czarne oczy zachodzą łzami.

O Boże, dlaczego, pośpiesz się, po prostu się pośpiesz, dlaczego płaczesz, zabiłeś co najmniej dwudziestu ośmiu ludzi, a ja stoję tuż obok ciebie, mierzysz z przyłożenia, nie musisz nawet celować, więc dlaczego, twoja firma nazywa się Homicide Squad, DLACZEGO, DO CHOLERY, PŁACZESZ?!

– Obiecay mi – charczy Amayuru i przesuwając palec na spust. – Obiecay mi, że to skończysz.

Budzi się na pokładzie boeinga. Stewardessa, która poprawia mu za główek, napotyka jego wzrok i odskakuje z krzykiem. Piwne oczy chłopca są pełne łez, ale na dnie źrenic – zimnych jak lód i niesłychanie okrutnych – wściekle kipi To Coś.

– Obiecuję – szepcze.

– S-s-słucham?

Uśmiech, który Javier posyła kobiecie, jest przerażający.

Błazniane drzwi odskakują z hukiem. Mężczyźni zakuci w kevlar wsympują się do środka, równo, bez ani jednego słowa. Strzały w magazynach Cey-Nor Foundation dźwięczą ogłuszająco.

Szturm na kryjówkę dżihadystów trwa raptem kilka chwil, choć Javierowi, który siedzi na tylnym siedzeniu limuzyny Ministra Zdrowia, zdaje się, że minuty ciągną się w nieskończoność. Radiostacja co chwilę ożywa, wypływając z siebie lakoniczne komunikaty.

Chłopiec sączy pozbawione smaku kakao. Czuje się lekki w środku, jakby pusty. Jak wydrylowana wiśnia w nalewce ciotki Marjorie.

Kiedy po kilku minutach jest już po wszystkim, nie czuje nic.

– Jesteś niezwykłym chłopcem, Javier – mówi Minister cicho. – Nawet nie chcę wiedzieć, jak domyśliłeś się, że będą właśnie tutaj.

– Chory Człowiek za pierwszym razem oszukał mnie, że będzie w tym miejscu. Przypuszczał, że za drugim na pewno nie udam się akurat tam – odpowiada mu chłopiec i znów jest to dobry wybieg, bo prawie nie kłamie.

Prawda jednak wygląda tak, że przy drugiej wizycie w kryjówce bojowników w samobójczej eksplozji umiera piętnaście osób, w tym Amayuru, Boohoo i Hollywood, który w walce naprawdę przypomina gwiazdę kina akcji.

Dlatego próbują jeszcze raz.

Próbują w Negombo i Madakalapuwa.

Wielkanoc tego roku jest dla Javiera bardzo długa, pełna lotów boeingiem, rozmów z ojcem w hotelowej recepcji i śmierci. Umiera w eksplozjach, umiera wykrwawiony na chodnikach, umiera uduszony, zasztyletowany, zastrzelony, z karkiem skręconym przez silne ręce Amayuru, popełniając samobójstwo z pistoletu obsługowanego tak, jak nauczył go Hollywood. Bardzo wielu ludzi ponosi śmierć razem z nim.

Pięćset trzynaście osób.

Tysiąc sto dwie.

Pięć tysięcy osiemdziesiąt sześć.

Dwieście pięćdziesiąt trzy.

Tyle udało się wytargować.

Trzy dni później biorą udział w mszy świętej odprawionej na ruinach kościoła Świętego Antoniego. Pada deszcz, dłoń Amayuru jest lodowata, ale chłopiec nie chce jej puścić.

Nie dziwi się, kiedy w tłumie dostrzega Dziewczynkę w Niebieskiej Sukience.

– Tylko nie mów, że wygrałem – warczy, kiedy udaje mu się prze-
pchnąć w jej stronę. Dziewczynka uśmiecha się. Przez chwilę wyglą-
da bardzo staro.

– Można tu było wygrać cokolwiek?

Rozpływa się w powietrzu między jednym mrugnięciem a drugim,
a Javier zmuszony jest przyznać jej rację, bo do szachownicy nie sia-
da się dla zwycięstwa.

Po prostu chodzi o to, żeby przegrać jak najmniej.

Wiktor Orłowski – ur. 1995, autor opowiadań kryminalnych i fantastycznych, laureat konkursów literackich (m.in. XI Pigmalion Fantastyki, IX Fantazje Zielonogórskie, XXVIII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marka Hłaski), publikuje na łamach magazynów „Biały Kruk”, „Histeria”, „Silmaris”, rocznika „Sny Umarłych”, w antologiach Fantazmatów i w innych projektach fantastycznych. Z przyjemnością napisze wszystko, byle tylko nie własną notkę biograficzną.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22435>

Najwyższe pochwały za utrzymanie napięcia od samego początku do końca. Czuć, że to Twój tekst. Bardzo dynamiczny. Dłużyzny? A co to takiego? Szachy kojarzą się z grą statyczną, jednak Twoja partia jest jak mecz koszykówki z dwiema dogrywkami.

Radosław Puchała

Językowo bardzo satysfakcjonujące, robotę wykonują głównie te małe dosadne szczegółiki, które stają się właściwie gwoździami, na których osadzasz ramę opowiadania. Chcę zauważyć, że są bardzo charakterystyczne.

Agata Poważyńska (Żongler)

Interesujące połączenie motywów. Śmierć jako reset (...), do tego terroryści, akcja, dobry *worldbuilding*. Podoba mi się motyw odwołania do szachów. Tak więc od strony fabuły, historii i świata – jest bardzo dobrze.

Jerzy Bogusławski (NoWhereMan)

Doskonałe te wrzucone mimochodem gorzko-sarkastyczne komentarze, kojarzące mi się ze stylem Hellera. Kapitalne odniesienia do szachów. No i Dziewczynka w Niebieskiej Sukience, chyba pożyczona od Collodiego.

Krzysztof Rewiuk (cobold)

Twoje opowiadanie to bardzo sprawnie wykonane kino akcji, z efektami, świetną scenografią i realizacją na wysokim poziomie.

Marcin Popiel (Łosiot)

Własnymi drogami

Marek Kolenda

Moskwa. Łubianka. Grudzień. Rok 1966

Pułkownik KGB Siergiej Michajłowicz Orłow wzdycha ciężko i włącza lampkę stojącą na biurku – żarówka na suficie ledwo rozprasza zimową szarówkę wdzierającą się do pokoju. Orłow ziewa i otwiera tekturową teczkę z dokumentami. Spogląda na pierwszą stronę, do której przypięto dwa zdjęcia przedstawiające psa i kota. Kiwa głową, a następnie zapala papierosa. Zaciąga się głęboko, wciąż ignorując gościa.

Wreszcie, dmuchając dymem w twarz mężczyzny siedzącego po drugiej stronie biurka, rozpoczyna przesłuchanie:

– Wasz pierwszy przydział to Siergiej Pawłowicz Korolow, zgadza się?
– Zgadza, towarzyszu pułkowniku – odpowiada Paweł Anatoliewicz Wasin, agent operacyjny. Wygląda przy tym, jakby próbował usiąść na baczność. – Początkowo celem był Główny Konstruktor. Przejąłem go zaraz po tym, jak wyszedł z Tupolewskiej szaraszki. Potem, gdy towarzysz Korolow został ulubieńcem pierwszego sekretarza, miałem większe baczenie na Władimira Jazdowskiego z Instytutu Medycyny Lotniczej, czyli Profesora.

Mówi to z dumą i pułkownik krzywi się z niesmakiem.

– Powiedzcie, skąd wziął się kot. I nie mówcie, że to był jakiś Behemot.
– Behemot? – Wasin unosi brwi. – Aaa... ten. Nie, no co wy, towarzyszu pułkowniku. Jaki Behemot. To przecież kotka. Nazwaliśmy ją Bradziaga, bo była z niej straszna łazęga. Sama do nas przylazła. Za Kudriawką...

Ręka pułkownika, która dotąd spoczywała na biurku, podpira wysokie czoło. Orłow przymyka oczy.

– Jaka znów Bradziaga i Kudriawka? W papierach jest Félicette. I co z Łajką? Mówcie jaśniej, Wasin, bo szybko tracę cierpliwość.

– Zaraz wszystko wytłumaczę, towarzyszu pułkowniku. – Duma pryska i Wasin z trudem przełyka ślinę.

Moskwa. Styczeń. Rok 1955

Śnieg sypie na Leningradzki Prospekt, kryje dachy, układa się hałdami po obu stronach ulicy, nielicznym przechodniom wciska za kołnierze. Nieopodal zejścia do stacji Dinamo kręci się dwóch mężczyzn w wojskowych szynelach i czapkach uszankach. Trzeci, ubrany po cywilnemu, trzyma się z boku. Oparty plecami o drzwi czarnej победы, tupie i dmucha w dłonie ukryte w wełnianych rękawicach.

– Tu jest jakaś, profesorze! Nada się idealnie. Mówiłem, to dobre miejsce. Tutaj znaleźliśmy kiedyś Dezika. – Jeden z wojskowych zdejmuje skórzaną rękawiczkę i wyciąga z kieszeni słoninę. Drobną suczka o żółtawej sierści wychyla się z zaułka i niepewnie merdając ogonem, zbliża do klęczącego człowieka.

Profesor podchodzi powoli i zerka mu przez ramię.

– Do auta z nią – decyduje. – To już dwunasta. Wystarczy.

– Czekaj! Jest jeszcze jedna! – krzyczy wojskowy. Zaraz uświadczy sobie pomyłkę, gdy zza węgła wychyla się mały, czarno-biały kot.

– Wy razem? – Mężczyzna wybucha śmiechem. – No to dawaj!

Zaintrygowany profesor kuca obok żołnierza. Kociak wskazuje mu na kolana, ociera się pyszczkiem i wciska pod kurtkę.

Z wnętrza победы całe zdarzenie obserwuje kierowca, Paweł Wasin.

Łubianka. Rok 1966

Pułkownik odpina zdjęcie kota i ogląda z bliska.

– Więc mówicie, Wasin, że ta przybłąda brała udział w naszym programie kosmicznym?

– Ja to wiem, towarzyszu pułkowniku. Przeszła pełny cykl szkoleniowy. Przyzwyczajali ją do ubrania ochronnego i ciasnych

pomieszczeń. Przygotowali na hałas, wibracje, przeciążenia i zmiany ciśnienia czy temperatury. Tak samo jak psiarnię. Nawet żreć to gówno z podajnika nauczyli – kończy z uśmiechem Wasin.

Pułkownikowi nie jest do śmiechu.

– Wyjaśnijcie zatem, dlaczego ojciec radzieckiej kosmonautyki oraz towarzysze Władimir Jazdowski... – Orłow wyciąga z teczki ściągę i odczytuje kolejno: – ...Oleg Guzin, Aleksandr Sieriapin, Natalia Kazakowa, Jelena Dubrowska, krótko mówiąc, cały Instytut naraził się władzy ludowej z powodu małego dachowca?

Wasin wzrusza ramionami.

– Bo to była taka piękna przyjaźń, towarzyszu pułkowniku.

– Przyjaźń?

Agent przytakuje.

– Wybrali trzy suczki. Albinę, Muszkę i Kudriawkę. Lecieć miała Albina, najlepsza na testach. Wiecie, czemu nie poleciała?

Orłow gasi papierosa i sięga po następnego.

– Wszyscy to wiedzą. Oszczeniła się i nie chcieli jej rozdzielać z młodymi.

– Dokładnie. A ja myślę, że z tego samego powodu upchali tam tego kota.

Moskwa. Instytut Medycyny Lotniczej. Rok 1957

Sergiej Korolow przygląda się wirującej centryfudze. Jest zdenerwowany. I ma powody. Albina się oszczeniła, Muszki nie są pewni. A rocznica Rewolucji zbliża się wielkimi krokami. Trzeba będzie wysłać Łajkę, która razem ze swoją kocią towarzyszką stała się ulubienicą personelu. Chyba że posłuchają profesora. Podoba mu się ta myśl, ale wciąż się waha.

Tymczasem wirówka kręci się coraz szybciej. Z wnętrza kabiny dobiega pisk przerażonego zwierzęcia.



Obok, pod ścianą, stoi profesor Jazdowski. Trzyma na rękach kotkę, która prychnęła i wbija pazury w rękaw białego kitla.

– Martwi się. Tak samo jak suka o nią – tłumaczy profesor.

Od niedawna personel Instytutu nazywa Kudriawkę Łajką. To dlatego że ujada jak mała szczekaczka za każdym razem, gdy próbują oddzielić ją od Bradziagi.

Jak w łagrze – myśli Korolow. Masz jednego przyjaciela, z którym dzielisz łańcuch. Życie.

I już wie.

– Wystarczy! – woła.

Profesor pociąga za metalową wajchę i wyłącza maszynę.

Łubianka. Rok 1966

Orłow odpala kolejnego papierosa. Z zadumą wpatruje się w niebiesko-białe opakowanie, z którego spogląda na niego Łajka. Potrząsa głową.

– Co wy mi tu pierdolicie, Wasin. Widziałem tę całą komorę HKZ. Sklecieli ją w miesiąc. Projekt na kolanie rysowali. Przecież wszyscy byli wtedy na urloпах i ściągano ich na gwałt, bo Korolow obiecał coś nieopatrznie pierwszemu sekretarzowi. Małe aluminiowe pudło z podajnikiem jedzenia. Ledwie dziesięć porcji, ostatnia zatruta. Tam poza Łajką nie wcisnęłaby się mysz, a co dopiero kot!

Wasin przytakuje i sięga do kieszeni marynarki. Wyciąga z niej pomiętą, złożoną na czworo kartkę. Rozkłada na stole i wygładza grzbietem dłoni.

– Niezupełnie, towarzyszu pułkowniku. Korolow jeździł na zebrania Prezydium Akademii Nauk dwa lata przed lotem. Już wtedy planowali wysłanie psa na orbitę. Ja to sobie wszystko wyliczyłem. Waga nie ma znaczenia, R-7 to by i słonia wyniosła w kosmos. Ważne

jest miejsce, a tego było mało. Taki kot normalnie żre ze sto gramów dziennie. Naszego żelu wystarczy mu nawet z pięćdziesiąt. Albo mniej, skoro on tam siedzi bez ruchu. Czyli z półtora kilo na miesiąc. A woda? Żaden zwierzak nie wytrzyma bez wody. Może to i owo wymontowali?

Orłow unosi dłoń, uciszając Wasina. Coś tu się nie zgadza. Olśnienie nadchodzi, gdy agent operacyjny pokasłuje od dymu.

– Woda jak woda. Ale co z tlenem? – pyta.

– No właśnie. – Wasin składa swoje notatki wyraźnie zawstydzony. Jak mógł zapomnieć o tlenie. Z wodą przecież dobrze pomyślał. Całą robotą psu na budę.

Nagle coś sobie przypomina. Uśmiecha się, wyciągając asa z rękawa.

– Ostatni człon rakiety nie odłączył się od sputnika. Tam by wszystko upchali.

Orłow drapie się po szczęce.

– Fakt. Mówili, że awaria była, ale oficjalnie TASS podała, że planowo.

– A jeśli naprawdę planowo?

Obaj intensywnie myślą.

– I wszystko to dla psa i kota? – pyta z niedowierzaniem pułkownik. – Przecież Łajka zdechła kilka godzin po starcie! Prawie się ugotowała!

– Łajka tak.

Orłow marszczy czoło.

– To co? Kot poleciał w kosmos? I przeżył lot?

– Może tak, może nie – odpowiada filozoficznie Wasin. – Podobno koty mają dziewięć żyć.

Zapada cisza. Pułkownik zamyśla się. Wspomina dzieciństwo na wsi, studnię za stodołą, bezzębną babkę i worek z kociętami. Nieprzespane noce z głową pod pierzyną. I przeraźliwe miauczenie pod drewnianą podłogą. Potrząsa głową. W partii nie ma miejsca na zabobony. Wiara w komunizm jest jak tarcza na te wszystkie gusła.

– Co wy opowiadacie. Sputnik spłonął w atmosferze. Cały świat to widział.

– Ano spłonął. Tyle że nie doszczętnie.

– Bzdura!

– Może i bzdura. Ale coś wam opowiem.

Morze Czarne. Kwiecień. Rok 1958

Ponton odbija od burty lekkiego krążownika Dzierżyński, wchodzącego w skład Floty Czarnomorskiej, i już po chwili pruje ciemną wodę. Na pokładzie znajduje się dwóch mężczyzn: marynarz i cywilny naukowiec. Ich obecność, misja i współrzędne celu objęte są tajemnicą.

Krótki rejs kończy się w miejscu, gdzie na powierzchni unosi się aluminiowa bańka. Jest rozerwana, powgniatana, ale jakimś cudem nie tonie.

Wojskowy przygląda się bez słowa, gdy pasażer z trudem wciąga obiekt na pokład. Ale kiedy naukowiec zagląda do środka pojemnika, ciekawość zwycięża i marynarz przerywa milczenie.

– Jest? Żyje?! – woła, przekrzykując wiatr i szum fal.

– Kto? – pyta naukowiec.

– No kto? Łajka!

Naukowiec zaprzecza ruchem głowy, ale na jego twarzy błąka się uśmiech. Zakrywa swój łup brezentowym workiem i ruchem dłoni daje sygnał do powrotu.

Łubianka. Rok 1966

– Zostawmy te bzdury. Powiedzcie lepiej, co to ma wspólnego z Francuzami.

Wasin znów sięga do kieszeni i kładzie na biurku zdjęcie wyrwane z „Paris Match”.

– Tuż przed lotem kot Felix uciekł im z laboratorium. Zastąpili go kotką złapaną na ulicy – zaczyna.

Tego było już za wiele. Orłow nerwowo gasi papierosa i wali pięścią w blat. Czuwający za drzwiami strażnik zagląda do środka zaniepokojony i zaraz znika.

– Wystarczy, Wasin! – krzyczy pułkownik. Ale gdy zerka na fotografię z gazety i porównuje ją ze zdjęciem z akt, uspokaja się.

– Wszystkie uliczne koty wyglądają podobnie. Czarne, łaciate lub w paski – stwierdza.

A Wasin podejmuje opowieść.

– W Paryżu odbył się kongres. Nie było mnie tam. Ale pewien towarzysz, przyjaciel ze szkoły Kirowa w Leningradzie, pracował wtedy w ambasadzie i opowiedział mi ciekawą historię.

Paryż. Wrzesień. Rok 1963

Profesor żałuje, że nie przejdzie się po Polach Elizejskich i nie zwiedzi Luwru, który podobno mógł się równać z Ermitażem. Ale najbardziej, że nie zobaczy Lamparta z Claudią Cardinale, wciąż obecnego na ulicznych plakatach.

Spacerując nieopodal hotelu, w którym zakwaterowano go jako nieoficjalnego gościa czternastego kongresu Międzynarodowej Federacji Astronautycznej, pamięta o zaleceniach przełożonych – pod żadnym pozorem nie oddalać się od kwatery. Oraz o towarzystwie dwóch ponurych mężczyzn w ciemnych płaszczach nieodstępujących go nawet na krok. Oficjalnie pierwszy z nich, ten z tępą twarzą kirgiskiego pasterza, pełni funkcję attaché kulturalnego, drugi, o pocziwej fizjonomii gruzińskiego górala, to attaché prasowy.

Dzień wcześniej, przed zaśnięciem, profesor zapoznał się z planem miasta i wie, że szczęśliwym trafem ich hotel znajduje się zaledwie kilka przecznic od budynków Centre d'Enseignement et de Recherches de Médecine Aéronautique, gdzie trwają przygotowania do kolejnego lotu suborbitalnego. Nie ma zatem potrzeby łamania służbowych poleceń.

Profesor przystaje na chwilę przed budką z gazetami i spogląda na odbicie w szybie. Dwaj towarzysze przysiedli na ławeczce i zerkają dyskretnie w tę stronę. A skoro on widzi tylko ich popiersia ponad klombem kwiatów, oni również nie widzą całej jego sylwetki – dedukuje. Sięga więc za pazuchę, zasłaniając ciałem ruch prawej ręki.

Gdy czarno-biała kotka zeskakuje z dłoni na chodnik, profesor schyla się i głaszcze zwierzę za uchem.

– Poradzisz sobie, prawda? Jasne, że sobie poradzisz. Dla ciebie to nie pierwszyna. Idź, poszukaj przyjaciółki. Widzę, jak tęsknisz.

Zwierzę mruczy cicho i ociera się o nogawkę spodni. Po chwili znika za węglem. Zupełnie jakby magicznym sposobem wracało do miejsca, w którym spotkał je po raz pierwszy.

Profesor kładzie monetę na ladzie i zgarnia z niej gazetę. Odwraca się powoli. Mężczyźni stoją teraz tuż za jego plecami, rozglądając się uważnie dookoła.

– Wracamy? – pyta z żalem, a „dyplomaci” przytakują bez słowa.

Tego samego dnia w centrum Paryża dochodzi do zabawnej sytuacji. Niebieski citroen DS hamuje z piskiem, gdy przed maską niespodziewanie pojawia się łaciata kotka. Dwaj pasażerowie w kitlach natychmiast wyskakują na ulicę i zachodzą zwierzę z dwóch stron. Kierowca również wychodzi z auta i przysiada na niskiej masce. Przygląda się całej akcji znudzony, popalając gitanesa. Wolałby bielomora, ale nie palił ich od kilku lat.

Kot najwyraźniej nie ma zamiaru uciekać i kieruje się prosto w ręce jednego z pracowników CERMA.



– Niezła z ciebie szczęciara – śmieje się mężczyzna, gdy zwierzę pozwala się złapać.

– Raczej pechowiec – mruczy pod nosem kierowca.

– Czekaj. Ona ma obrozę.

Drugi pracownik rozgląda się wokół i wzrusza ramionami. Podchodzi i przygląda się tabliczce zawieszanej na kocie szyi.

– To chyba po rusku – zauważa ze zdziwieniem. Zerka na kierowcę i puszcza oko. Potem odpina skórzany pasek i chowa do kieszeni kitla.

– Bierzemy.

Kot ładuje w klatce umieszczonej w bagażniku, mężczyźni wskazują do samochodu. Po chwili niski citroen znika wśród innych aut uciekających przed szczytem.

Łubianka. Rok 1966

– Kiedy zobaczyłem to zdjęcie w dziale prasowym, coś mnie tknęło – zaczyna spokojnym głosem Wasin. Pułkownik siedzi cicho, od czasu do czasu zaciągając się papierosem.

– Ale potem zacząłem szukać i wypytywać. W końcu trafiłem na film, który Francuzi puścili w telewizji. Nie miałem wątpliwości. Wredne spojrzenie, parszywa łaciata morda. To była Bradziaga. Żabojady nazwały ją Félicette, czyli Szczęciara. Nie mieli pojęcia, że to nasz kot kosmonauta.

Wasin już nie jest spokojny. Głos mu się łamie, spocone dłonie trą o spodnie, jakby swędziały.

– Co ty opowiadasz, człowieku? – pyta Orłow.

Wasin kiwa głową.

– A jeśli wtedy nie o rozdzielanie zwierząt chodziło? Może to był manifest polityczny? Wiecie, co sekretarz mówił o kocie i musztardzie? Znacie przeszłość Korolowa? Profesor też był niepewny.

– Bzdury, Wasin. Nikt o niczym nie wiedział. Po co to wszystko?

- Teraz się dowiedzą! Może o to się rozchodzi?
- Moskwa, Tiuratom, Morze Czarne, Paryż i Sahara? Kosmos? Jeden kot? Niemożliwe.
- Przecież chodzą własnymi drogami...
- Kto niby? – pyta Orłow, odganiając w myślach natrętne miauczenie spod podłogi.
- No koty, a kto?

Pułkownik wstaje i obchodzi biurko. Kładzie rękę na ramieniu agenta. Nawet mu żal tego człowieka.

– Ja wam powiem tak. Macie tydzień wolnego. Idźcie do domu, napijcie się. Przemyślcie to. Zaraz będzie Małanka, a po niej rocznica śmierci wielkiego człowieka radzieckiego, Sergieja Pawłowicza Korolowa. Naprawdę chcecie teraz bruździć władzy ludowej?

Wasin podnosi się wolno. Przytakuje. Składa swoje notatki i zerka na teczkę leżącą na biurku.

– Zostawcie – mówi Orłow. W oczach agenta pojawia się iskra nadziei. Potem wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Najciszej, jak potrafi.

Pułkownik jeszcze długo wpatruje się w zamknięte drzwi. Patrzy i duma. Duma i zaczyna się martwić. Przecież nie przekaze przewodniczącemu takich bzdur. Mogłoby się to źle skończyć nie tylko dla Wasina. Żadnego kota nie było – decyduje. Trzeba wracać do domu. Późno już, Tamara i dziewczynki na pewno nie czekały z kolacją.

Jeszcze tylko jeden telefon. Podnosi słuchawkę i wykręca numer, znany wyłącznie oficerom KGB od pułkownika w górę.

– Właśnie idzie do siebie. – Orłow zerka w papiery rozrzucone na biurku. – Stary Arbat trzynaście. Tak. Dziękuję. Dobrej nocy.

Zgarnia dokumenty do teczki i chowa ją do szuflady. Gasi lampkę, potem żarówkę. Cicho zamyka drzwi na klucz.

Na korytarzu wpada na strażnika. Przygląda mu się dłuższą chwilę i zastanawia. Tamten nawet nie drgnie.

- Spokojnej nocy, żołnierzu – mówi wreszcie.
- Spokojnej nocy, towarzyszu pułkowniku.

Orłow kiwa głową, ale wie, że nie będzie spokojna.

Po tej opowieści te małe sukinsyny na pewno przyleżą – myśli, wędrując długim korytarzem wysłanym czerwoną wykładziną.

Wiara w partię może nie wystarczyć, po drodze trzeba będzie dokupić spirytusu.

Sahara. Kosmodrom Hammaguir. Październik. Rok 1963

Pustynia wstrzymuje gorący oddech. W popłochu uciekają zwinne scynki i biczogony. Powietrze drży i drży spękana ziemia, gdy smukła Veronique unosi się na słupie ognia.

Silniki karmione mieszkanką kwasu azotowego i terpentyny pchają rakietę i jej pasażera w górę. Wciąż wyżej, daleko poza linię Kármána.

Tam, gdzie kończy się niebo i zaczyna niebyt.

Bradziaga stroszy sierść i napina mięśnie. Podczas startu kadłubem rakiety mocno trzęsie.

Z czasem kotka uspokaja się i tuli łeppek do obudowy przenośnego pojemnika. Między uszami, na czubku kociej główki, niczym korona cierniowa, sterczą elektrody podłączone wprost do mózgu. Każdy jego impuls wysyłany jest na Ziemię, gdzie precyzyjne urządzenia rejestrują kocie fale mózgowe. Naukowcy analizują wykresy, porównują odczyty.

Ale nie mogą zajrzeć głębiej.

Tam, gdzie we wspomnieniach o moskiewskiej ulicy mała Bradziaga kuli się ze strachu i zimna do ciepłego, psiego boku. Przytula pyszczek do uśmiechniętej psiej mordy, która liże mokrym językiem, gdy trzeba dodać otuchy.

Nie rejestrują też innych obrazów pojawiających się w kocich myślach. Wspomnienia ciasnej i dusznej komory, wyniesionej w kosmos na nosie wielkiej rakiety. Prerażonej psiej mordy, która tuli się do

kociego pyszczka. Gorącego psiego boku, który unosi się i opada poruszany krótkim, szarpanym oddechem umierającego w cierpieniu zwierzęcia.

Bradziaga przymyka oczy i przywołuje jeszcze inny widok przyjaciółki – rozszczekanej i pełnej życia Kudriawki biegnącej po korytarzach moskiewskiego Instytutu.

Wspomina i czeka.

Marek Kolenda – portalowy „mr.maras”. Pochodzi ze Świnoujścia, mieszka w szkockim Aberdeen. Były dziennikarz, ojciec trójki nastoletnich superdzieci. Pierwsze opowiadanie science fiction napisał w wieku około dziewięciu lat i później już nigdy nie był tak zadowolony z żadnego swojego tekstu. Debiutował na łamach „Fahrenheita” w 2005 roku. Jako czytelnik bardzo (sobie) ceni i poleca (innym) antologie opowiadań fantastycznych. Lubi porzeczek z cukrem.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/23221>

Jeden z dwóch najlepszych tekstów w konkursowym finale i mój faworyt do wygranej. Najbardziej spodobało mi się wykorzystanie realiów i rewindykacja „znanej historii”, przepuszczonej przez filtr tematu. Dobrze sprawdziła się też konstrukcja opowiadania – krótkie „historyczno-fikcyjne” scenki rozwijające/obrazujące przesłuchanie/rozmowę bohaterów.

Michał Cetnarowski

Trudno nie docenić konceptu na ten tekst i wlanej w niego wiedzy. Mnie najbardziej podobała się konstrukcja, bo nie była to łatwa rzecz, ale opłaciło się – wprowadziło to do historii wiele dynamizmu.

Marcin Zwierzchowski

Z kolei *Własnymi drogami* doceniam za research i niebanalny pomysł osadzony w historii podboju kosmosu. Cieszę się, że takie utwory pojawiają się na naszej stronie internetowej, bo stanowią świetną wizytówkę, gdyby ktoś chciał się przekonać, na co stać naszych autorów.

Jerzy Rzymowski

Powrót Gilberta Legranda

Agnieszka Fulińska

– „W dniu piętnastego marca tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego roku w Montauban człowiek twierdzący, że nazywa się Gilbert Legrand, został aresztowany za podawanie się za rzeczzonego Gilberta Legranda, na podstawie zeznań żony, Florence Legrand, która w podejrzanym nie rozpoznała męża”. – Adam na wszelki wypadek odczytał na głos leżącą przed nim notatkę policji z departamentu Tarn et Garonne, po czym podniósł wzrok. – Że co?

Inspektor Vidocq pstryknął palcem w ostatnie zdanie.

– Że to. Człowiek ten wtargnął, jak określiła to madame, do małżeńskiej sypialni, twierdząc, że jest jej mężem. Jak zajrzysz dalej, zobaczysz główny argument: „Przecież chyba rozpoznałabym człowieka, z którym spędziłam ponad pół życia!”.

Nie dało się zaprzeczyć, było to dość przekonujące.

– W czym więc problem? – zapytał Adam, nadal skołowany.

Vidocq podsunął mu paterę z ciastkami.

– Poczęstuj się. Problem w tym, że rzekomy Gilbert Legrand, nieprzypominający ani trochę żadnego portretu Gilberta Legranda, zna każdy możliwy szczegół z życia Gilberta Legranda.

– Jak rozumiem, żony to nie przekonuje.

– Nie.

– Rozumiem też, że pańskim zdaniem mam się tym zająć.

– A kto?

Ptysie wyglądały kusząco. Po chwili wewnętrznej walki Adam sięgnął po ciastko.

– Nie wydaje mi się...

Inspektor przerwał mu ruchem ręki.

– Legrand zniknął cztery lata temu. Uznano go za zaginionego, prawdopodobnie nieżyjącego, choć formalnie nie zostało to jeszcze potwierdzone.

Adam spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– I pan nie uważa, że to jest po prostu historia o spryciarzu, który się pod niego podszywa?

– Nie – odparł Vidocq lakonicznie.

Montauban okazało się typowym dla południa Francji miastem, w którym dominowała czerwona cegła, rzeka toczyła leniwe wody pod średniowiecznym mostem, a słońce grzało mocno, mimo że była dopiero wczesna wiosna.

Komisarz André Gaillard czekał na Adama w kawiarence przy rynku.

– Pan nie jest policjantem – skonstatował na wstępie, krzywiąc się lekko.

– Nie – przyznał Adam. – Jestem konsultantem biura inspektora Vidocq'a. Jeśli to pana pocieszy, nie mam pojęcia, dlaczego akurat mnie tu przysłał.

Gaillard wzruszył ramionami.

– Pewnie wiedział, co robi. Mój ojciec pracował z nim... w dawnych czasach.

Adam przyjrzał się komisarzowi: był to człowiek koło czterdziestki, a więc szanowny papa musiał należeć do pierwszych agentów inspektora.

– Znali się jeszcze z galer – dodał Gaillard. – Jestem jednym z tych ludzi, którzy Vidocqowi zawdzięczają wszystko.

Wyciągnął z przyniesionej do kawiarni teczki kilka kartek i podał je Adamowi. Spisano na nich historię życia Gilberta Legranda. Urodzony w pobliskim Tarbes, studiował prawo w Tuluzie, ożenił się z Florence Collot, córką sędziego. Teść załatwił mu posadę w biurze prokuratora w Montauban. Jedna córka, od kilku lat zamężna. Regularne wpłaty na towarzystwo dobroczynne. Niecałe cztery lata temu pan Legrand wyszedł z domu i więcej go w mieście nie widziano. Po prawdzie nie widziano go również nigdzie indziej. W aktach była też fotografia, na której Gilbert Legrand pozował wraz z małżonką. Wy-

glądał zwyczajnie, co idealnie pasowało do jego życiorysu.

Godzinę później Adam Cardelli został wpuszczony do celi, w której przebywał samotny aresztant. „Nie chcemy go trzymać ze zwykłymi kryminalistami” – wyjaśnił mu wcześniej Gaillard. „Bo w sumie nikt nie wie, czy on coś złego zrobił”.

Na widok wchodzących mężczyzna zerwał się z pryczy i zrobił wielkie oczy.

– Pan... baron...? – wybełkotał.

Gaillard zerknął na Adama z ukosa. Adam rozłożył ręce, nie do końca wiedząc, co bardziej dziwi policjanta: tytuł czy też rozpoznanie przez aresztanta.

– Zostawi nas pan samych? – zapytał komisarza. – I proszę sobie darować tytuły – dodał szybko.

– Wedle pańskiego życzenia. – W głosie Gaillarda pobrzmiwało zakłopotanie. Chyba jednak tytuł, uznał Adam, powstrzymując westchnienie. – W razie kłopotów proszę krzyczeć albo uderzać laską w kraty.

Adam potaknął, choć stojący przed nim człowiek nie sprawiał wrażenia, jakby miał zamiar rzucić się na kogokolwiek z pięściami.

Odczekał, aż kroki komisarza ucichły na korytarzu, po czym spojrział gniewnie na wpatzonego w niego mężczyznę.

– Monsieur Royer, co pan tu robi, na litość boską?

– Nazywam się Gilbert Legrand, naprawdę – odparł Augustin Royer po dłuższej chwili milczenia.

Adam tym razem westchnął głośno, usiadł na przyniesionym przez woźnego nieco sfatygowanym krześle i wskazał rozmówcy pryczę.

– Może mi pan to wyjaśnić? – zapytał uprzejmie.

Royer-Legrand miał minę zbitego psa.

– Pan oczywiście pamięta ten nieszczęsny incydent podczas wieczoru artystycznego... – szepnął.



Adam prychnął. Nie tak dawno Augustin Royer miał być wschodzącą gwiazdą literackiej sceny Paryża. Najważniejsze periodyki zamieściły recenzje jego powieści poetyckiej; ponoć zyskała ona przychyłność samego Victora Hugo. Niewielki nakład debiutu rozszedł się szybciej niż świeże bagietki w niedzielny poranek i w pewnym momencie modne damy nie rozprawiły o niczym innym, mimo że żadna nie czytała arcydzieła. Autor bywał widywany tu i ówdzie, a w końcu dostał zaproszenie do jednego z popularnych salonów, gdzie miał zaprezentować fragmenty powieści. Tam właśnie spotkał go Adam.

– To się zaczęło kilka lat wcześniej. – Royer westchnął.

– To?

– Wie pan, naprawdę nie sądziłem, że efekt może być aż tak... piorunujący.

Tamten wieczór... Gość salonu zaczął lekturę dzieła, które na ucho Adama było dziwacznym bełkotem, popłuczynami po romantycznym stylu modnym w czasach jego dzieciństwa. Kiedy doszedł do opisu mrocznego, burzowego wieczoru, za oknami pałacyku rozpętała się nawałnica. Oczywiście na wiosnę nie byłoby w tym nic dziwnego, tyle że huraganowe powiewy wiatru przewracały meble i zgasiły wszystkie świece, a nawet lampy naftowe. Dwie panie zemdlały i wieczór przerwano.

Potem zaś autor zapadł się pod ziemię, a Adam na próżno poszukiwał choćby jednego egzemplarza powieści.

– Co zaczęło się wcześniej?

Royer ukrył twarz w dłoniach.

– Byłby pan łaskaw za mnie poręczyć? Bardzo źle się tu rozmawia. – Powiódł wzrokiem po brudnych ścianach ciemnego pomieszczenia.

Adam zastanawiał się przez chwilę. Tak naprawdę nic o tym człowieku nie wiedział. Mógł mieć do czynienia ze sprytnym oszustem, który najpierw wprowadził w błąd paryską socjetę, a teraz knuł niezrozumiałą intrygę.

Niemniej jedno świadczyło na korzyść podejrzanego: trudno sobie wyobrazić, po co miałby podszywać się pod urzędnika

w prowincjonalnym mieście. Z tego, co Adamowi zdążył opowiedzieć komisarz Gaillard, pani Legrand nie była piękną ani dziedziczką fortuny, jej mąż zaś nie posiadał znaczącego majątku czy godnej pozazdroszczenia pozycji. Royer musiałby okazać się przestępcą, który potrzebuje schronienia w niepozornym otoczeniu. Tylko po co miałby się pchać do sypialni kobiety, która z pewnością uzna go za intruza?

– Dobrze – powiedział w końcu baron Cardelli. – Poproszę komisarza, żeby warunkowo zwolnił pana z aresztu.

Godzinę później Royer zaprowadził Adama na nadrzeczne bulwary, gdzie drzewa właśnie okrywały się wiosenną zielenią.

– Nienawidziłem życia urzędnika – oznajmił, kiedy usiedli na ławce. – Każdą minutę wolnego czasu poświęcałem na pisanie. Szufladę w urzędzie miałem pełną wierszy. Rymy, które wychodziły spod mojego pióra, uważałem za doskonałe, ale kiedy pokazałem je koledze, uznał, że są co najwyżej poprawne. Zawzięłem się wtedy i postanowiłem wydać książkę.

Przez chwilę Royer wpatrywał się w spokojny nurt rzeki.

– Po co panu ta cała zabawa? – zapytał Adam. – Madame Legrand zapewne zdążyła opłakać męża, a pan...

– Zabawa? – Tamten ukrył twarz w dłoniach, po czym podniósł ją i spojrzał na rozmówcę z udręką. – Pan też mi nie wierzy? Gilbert Legrand to ja. Augustin Royer nie istnieje.

Z tym ostatnim Adam nawet byłby w stanie się zgodzić. Niedługo po zniknięciu autora różne ważne osobistości wystosowały listy do redakcji, odcinając się od rzekomych pochwał. Pan Hugo wyraził wręcz oburzenie faktem, że ktoś powołał się na jego opinię, nie zasięgając jej u źródła. Podobnie jak damy z towarzystwa pisarz przyznał, że powieści nie widział na oczy.

A jednak Adam osobiście był świadkiem lektury dzieła zakończonoj niechlubnym incydentem. Czyżby wszyscy obecni wówczas w salonie stali się ofiarami sprytnego prestidigitatora? Czy może...

Wzdrygnął się i zerknął na rozmówcę z ukosa. Royer, a może istotnie Legrand, nie wyglądał na kogoś parającego się czarną magią.

– Czy ta pańska powieść w ogóle istniała? – zapytał. Nie miał pojęcia, co właściwie chce opowiedzieć człowiek siedzący koło niego na ławce. Przyglądał mu się, od kiedy wyszli z prefektury, usiłując dopatrzeć się w rysach choćby cienia podobieństwa do oglądanej niedawno fotografii.

Legrand sprawiał wrażenie niewysokiego i korpulentnego, podczas gdy Royer przewyższał Adama o pół głowy i wyglądał jak ktoś, kto uprawia dla przyjemności wszelkie modne sporty. Aresztant wciąż miał ten sam zniechęcony wyraz twarzy, co godzinę temu, kiedy Adam zobaczył go po raz pierwszy. Był to jednak inny rodzaj rezygnacji niż ta, która biła z postawy i miny mężczyzny na zdjęciu.

– Tak – mruknął Royer czy Legrand, czy jakkolwiek naprawdę się ten mężczyzna nazywał. – W całych trzydziestu egzemplarzach. Na więcej nie było mnie stać. – Zawiesił głos. – Zwłaszcza że doszły też inne wydatki – dodał niechętnie.

Adam uniósł pytająco brwi. Rozmówca łypnął na niego spode łba.

– Nie domyśla się pan?

To, co przyszło Adamowi przed chwilą na myśl, wydawało się zbyt fantastyczne.

– Pan wykupił cały nakład?

– Mniej więcej – odparł Royer. – Wtedy jeszcze... – Zamilkł.

Coś w jego głosie, ale i w tym, jak urwał zdanie, upewniło Adama, że ta historia nadaje się dla biura cesarskiego inspektora do spraw specjalnych.

– Wtedy jeszcze? – powtórzył.

Odpowiedziało mu ponure westchnienie. Royer ukrył twarz w dłoniach.

– Pan mi nie uwierzy.

Adam wyciągnął do niego rękę.

– Proszę dać mi szansę.

Royer – a może jednak Legrand? – rozsnuł przed Adamem opowieść. O tym, jak znudzony pracą zapragnął robić coś innego. O tym, że nie miał dość odwagi, by naprawdę porzucić dotychczasowe życie. Że pisanie okazało się znacznie trudniejsze, niż przypuszczał. Że w związku z tym nierzadko, zamiast sięgać po pióro, wymyślał jedynie fragmenty niespisywanych fabuł.

– I wtedy zaczęło się dziać coś dziwnego – oznajmił. – Wie pan, na przykład siedziałem kiedyś w biurze, słuchałem wyjątkowo namolnego petenta i wyobrażałem sobie, że na środku pokoju ziele dziura prowadząca aż do środka ziemi. A ja zaraz po pracy schodzę tam na dół i oglądam niezwykle dziwy... Wie pan, ludzi żyjących w głębi wulkanów, podziemne rośliny i zwierzęta, skarby, o jakich nie śniło się królom.

Odchrząknął i spojrzał na rozmówcę przepaszającą. Adam nie miał pojęcia, co złego – a tym bardziej dziwnego – miałyby być w urozmaiceniu sobie nudnej pracy szalonymi fantazjami.

– Akurat wtedy przez pokój przechodził referent z wielką teką akt – ciągnął tymczasem Royer. – I wie pan co? Potknął się tak, jakby w tym właśnie miejscu, o którym myślałem, była dziura.

Adam z trudem powstrzymał się od pytania, czy nieszczęsny urzędnik przeleciał na drugą stronę globu. Zamiast tego uniósł brwi, udając wielkie zainteresowanie wypadkiem.

– A wie pan, tam ani dywanu nie ma, ani żadna klepka parkietu się nie oblużowała, sprawdziłem – dodał Royer. – Ale zgoda, ma pan rację. – Najwyraźniej dobrze rozumiał minę rozmówcy. – To nic nadzwyczajnego.

Znów zapadło milczenie. Adam wpatrywał się w spokojny nurt rzeki, całkowicie obojętnej na to, co myślą i mówią siedzący na jej brzegu ludzie.

– Potem zacząłem sobie wyobrażać, zazwyczaj wieczorem, kiedy nie mogłem zasnąć, kryminalne sprawy, podobne do tych z biura.

Czytałem trochę powieści i pomyślałem, że z moim doświadczeniem mógłbym spróbować szczęścia w czymś takim. Przez moje ręce przechodziły akta tylu przestępstw...

Zgodnie z umową Adam odprowadził Royera do aresztu na godzinę piętnastą, po czym ruszył na przechadzkę po mieście.

Historia opowiedziana mu przez podejrzanego była dziwaczna, mogła też stanowić sprytnie zmyślenie. Rzekomy Legrand utrzymywał, że ilekroć wymyślał jakieś przestępstwo, wkrótce podobne sprawy lądowały na jego biurku. Z początku uznawał to za zbieg okoliczności, kiedy jednak z gazety dowiedział się o wyjątkowo perfidnym włamaniu, niemalże identycznym z tym, jakie wymyślił na potrzeby nieistniejącej powieści w odcinkach, przestraszył się nie na żarty.

– Wie pan – wyznał – dobrze, że wymyślałem kradzieże i oszustwa. Co by było, gdybym wyobraził sobie morderstwo?

Te słowa sprawiły, że Adam postanowił dać tej historii kredyt zaufania.

– Monsieur Cardelli? – Zdyszany komisarz Gaillard dobiegł do niego w pobliżu głównego placu miasta. Na szczęście zgodnie z prośbą Adama przestał używać tytułu. – I jak tam nasz podejrzanym? Dowiedział się pan czegoś?

Adam pokręcił głową.

– Nic z tego na razie nie rozumiem – odparł. – Najchętniej porozmawiałbym z szanowną małżonką, a także może z kimś z jego biura.

Gaillard chrząknął niepewnie. Adam uniósł ze zdumieniem brwi.

– Uważa pan, że to nieestosowne? Istnieją jakieś inne powody, dla których nie powinienem tego robić?

Policjant przystanął i wbił wzrok w ziemię.

– Wie pan... To cztery lata, pan rozumie... Poza tym... – Zagryzł wargę.

– Poza tym? – zapytał Adam.

Czekał na odpowiedź długo. Komisarz przez chwilę przesuwiał czubkiem buta kamyki leżące na ulicy, potem poprawił zatkniętą za pas pałkę, wreszcie odchrząknął.

– Zniknięcie pana Legranda przeszło, no, prawie niezauważone.

Adam milczał w nadziei, że dowie się czegoś więcej.

– Biuro prokuratora nabrało wody w usta. Wie pan, to zięć sędziego okręgowego... No dobrze, pewnie powinien pan tam powęszyć. Powiem tylko tyle: powodzenia – zakończył z rezygnacją.

Zanim Adam zdążył się zastanowić nad wszystkim, co właśnie usłyszał, policjant zniknął za rogiem.

Następnego dnia wcześniej rano Adam udał się do biura prokuratora i ku swemu zdumieniu został natychmiast poproszony do głównego gabinetu. Pan Mercadier okazał się nienagannie ubranym mężczyzną w sile wieku, z włosami lekko przyprószonymi siwizną i jowialnym wyrazem twarzy, niepasującym do prokuratorowskiej surowości.

– Słyszałem, że przysłano pana z Paryża z powodu tego nieszczęsnego incydentu – powiedział, wstając zza biurka na powitanie. – Z biura inspektora do spraw specjalnych. – Skrzywił się lekko. – Nie wygląda mi pan na policjanta.

– Jestem konsultantem biura. Adam Cardelli. – Uściśnął dłoń rozmówcy.

– Cardelli... – Prokurator wpatrywał się w niego z uwagą. – Słyszałem, oczywiście, pańskie nazwisko, chociaż...

– Chodzi z pewnością o mojego ojca – przerwał mu Adam, przyzwyczajony do takich reakcji – ale to dawna sprawa.

– Ach, oczywiście, tak. – Po minie prokuratora widać było, że rozpaczliwie usiłuje sobie przypomnieć, czym zasłużył się, lub wręcz przeciwnie, rodzic gościa. – Proszę siadać, zaraz każę przynieść kawę. – Uniósł dzwonek; po chwili w drzwiach pojawił się sekretarz, a niedługo potem na biurku stanęły dwie filiżanki.

Adam rozglądał się po gabinecie: było to idealne biuro urzędnika państwowego, pozbawione jakichkolwiek osobistych elementów.

– Chciałbym...

– Pan Legrand – przerwał mu Mercadier. – Wzorowy pracownik. To już ponad cztery lata, a ja wciąż nie potrafię uwierzyć, że mógł... Taki skandal. – Prokurator załamał ręce.

– Skandal? – zdziwił się Adam.

– No wie pan, szanowany członek społeczności, przykładny mąż i ojciec, znikający w biały dzień, rozplywający się wręcz w powietrzu? Przyzna pan chyba, że to zakrawa na skandal?

„Rozplywający się w powietrzu”. Adam obracał w myślach te słowa. Przed powrotem do aresztu nie zdołał z rzekomego Legranda wydobyć całej historii, niemniej czuł, że za opowiadką o przestępstwach jakoby wywoływanych przez jego literackie fantazje kryje się coś więcej.

– Wie pan, ludzie robią różne dziwne rzeczy – odparł ostrożnie. – Jeśli pan Legrand nie był zadowolony z kariery...

– A czegoż on miał chcieć więcej?! – wybuchnął prokurator, ale szybko się zmiarkował i spojrzał na Adama przepraszająco. – Proszę zrozumieć, sędzia Collot wydał za niego córkę, załatwił mu dobrą posadę, a raz nawet zapłacił im za pobyt w Biarritz, bo Florence bardzo chciała tam pojechać...

Spokojny żywot prowincjonalnego przedstawiciela klasy średniej – pomyślał Adam. *Dzień za dniem to samo. Nuda. Rutyna.*

– Czy on był typem marzyciela?

Prokurator nie krył zdumienia.

– Ależ, drogi panie, cóż to za pomysły? To był najbardziej przyziemny człowiek, jakiego znałem. Urzędnik idealny, powiem panu. Punktualny, rzeczowy, uprzejmy. Gdyby przyznawano medal za przeciętność, ten człowiek pewnie by go dostał!

Adam mimo woli się uśmiechnął, po czym przypomniał sobie opowieść Royera o wymyślanych w biurze przestępstwach.

– Pan Legrand oczywiście nie miał wrogów? – Westchnął. – Ani

znanych w mieście kochanek? Żona, jak rozumiem, też prowadziła się bez zarzutu?

Prokurator wzruszył ramionami.

– Nikt im do sypialni nie zaglądał – odparł, krzywiąc się lekko. – Niefortunnie to zabrzmiało, zważywszy na ostatnie okoliczności.

Adam milczał.

– Rozmawiałem z Florence po tym zniknięciu, oczywiście. – Pan Mercadier podjął wątek. – Była załamana. Tak, załamana. Rozumie pan, prawda? Gdyby on umarł, zginął, zastrzelił się... No, wdowa to wdowa, szacunek się jej należy. Ale takie zniknięcie?

Wzrok prokuratora powędrował za okno, skąd dochodziły zwykle odgłosy ulicy. Adam milczał nadal, mając nadzieję, że przedłużająca się cisza sprowokuje rozmówcę do bardziej szczerych zwierzeń.

– Pan odwiedził aresztanta? – zapytał w końcu.

Mercadier nadal spoglądał przez okno.

– Poza wyglądem nie widzi pan nic, co przeczyłoby jego pretensjom, zgadza się? – podpowiedział Adam.

– To jest oszust. Bardzo sprawny, ale oszust – oznajmił prokurator tonem, jakim sędzia ogłasza wyroki.

Adam obserwował drobne gesty człowieka, który dotychczas zachowywał całkowity spokój i był w pełni rozluźniony. Dłonie położone nieco zbyt zdecydowanie na blacie biurka. Wzrok bezwiednie wędrujący ku oknu. Ledwie wyczuwalne napięcie, kilka kropli potu tuż nad kołnierzykiem.

Przewidywalnie pan Mercadier wyciągnął chusteczkę i przetarł czoło.

– Wczesne upały – zauważył uprzejmie Adam. Odpowiedziało mu pełne wdzięczności spojrzenie.

– Mercadier...

Royer siedział na pryczy w celi, zając kanapkę z suszoną wołowiną i serem z Rocamadour, przyniesioną przez Adama.

– Zawsze uważałem go za uczciwego człowieka, choć bardzo skupionego na własnej karierze – ciągnął, przełykając kolejne kęsy. – Rozumie pan, przeraźliwie bał się wszystkiego, co mogłoby mu zaszkodzić. Jednym słowem: nudziarz. I drugim słowem: nie sędzę, żeby wdał się w romans z moją żoną.

Adam obserwował go równie uważnie, jak wcześniej prokuratora.

Royer wyglądał na opanowanego; można było odnieść wrażenie, że ani trochę nie przejmuje się własną sytuacją.

– On pana odwiedził w areszcie.

– Owszem. Zasypał mnie dziesiątkami pytań o najróżniejsze biurowe sprawy, z którymi mogłem mieć do czynienia. A także o takie, których nie miałem prawa znać. Zapewne uznał za stosowne mnie sprawdzić.

Adam prychnął.

– Dziwi to pana?

Siedzący na pryczy mężczyzna skurczył się w sobie. To zachowanie było całkowicie nietypowe dla człowieka, którego Adam poznał w Paryżu i z którym rozmawiał wczoraj. Przez krótką chwilę można było odnieść wrażenie, że spod tej fasady wyjrzał zaginiony Gilbert Legrand.

– Wie pan – powiedział cicho – z początku to nawet było zabawne...

Adam od kwadransa stał na ulicy, wpatrując się w okna mieszkania, które zajmowała pani Legrand. Nie obserwował. Po prostu tkwił w miejscu i nie mógł podjąć decyzji, żeby wejść do środka.

Dalsza opowieść Royera nie składała się w logiczną całość, choć jasno wynikało z niej jedno: Gilbert Legrand, jeśli ten człowiek nie kłamał, bardzo nie chciał być Gilbertem Legrandem, urzędnikiem w biurze prokuratora. I pewnego dnia przestał nim być.

– To zaczęło się w zwykły poranek – powiedział zmęczonym głosem aresztant. – Florence wyjechała kilka dni wcześniej do rodziny

w Tuluzie, miała wrócić w południe. Wszystko toczyło się codziennym ustalonym trybem. Śniadanie czekało na mnie w spiżarni, a odprasowane ubranie na wieszaku. Służącej dałem już wcześniej wolne przedpołudnie. Kiedy wstałem, czułem się trochę dziwnie, ale że wieczorem do samotnej kolacji wypilem nieco więcej wina niż zwykle, nie przejmowałem się tym zanadto. Spacer do biura zazwyczaj wystarczał, żeby odgonić senność.

Tamtego dnia, jak twierdził, Gilbert Legrand nie udał się do biura. Nie poszedł tam, ponieważ przestał istnieć. Tak właśnie to określił.

– Spojrzałem w lustro – wyjaśnił – i nie zobaczyłem tam siebie. Z odbicia patrzył na mnie zupełnie obcy człowiek. Ten. – Wstał i dramatycznym gestem wskazał na swoje ciało.

Usiadł z powrotem i ukrył twarz w rękach.

Konkluzja wydawała się oczywista, niemniej Adam wahał się przez chwilę, zanim zadał następne pytanie.

– Nigdy nie marzył pan o tym, żeby stać się kimś innym? – Odchrząknął, lekko zażenowany.

– Nie mogłbym powiedzieć, że takie myśli mi się nie zdarzały – przyznał Royer, nie podnosząc głowy. – Chciałem być znanym poetą albo na przykład podróżnikiem. To moje życie miało wyglądać inaczej, a nie ja sam. Nie miałem nawet odpowiednich ubrań na ten wzrost! – wybuchnął.

Jeśli wierzyć dalszej opowieści, były urzędnik w przykrótkich spodniach i zbyt ciasnym surducie, mając w kieszeni całą gotówkę, jaka była w domu, udał się na stację kolei.

– Nie mogłem iść do banku w Montauban, bo urzędnicy mnie tam znali. Zamierzałem początkowo złożyć dyspozycję wypłaty w innym mieście, ale... Skoro już zniknąłem, nie chciałem zostawiać śladów...

Kamienica zamieszkiwana przez Legrandów była jak większość domów w tym mieście – z czerwonej cegły, oświetlanej teraz przez złote promienie chylącego się ku zachodowi słońca. Lekki wiatr kołysał gałęziami rosnącego przy ulicy drzewa, tak że co jakiś czas refleksy światła odbijały się od czystych szyb.

– Pan szanowny czegoś tu szuka? – Tuż koło Adama rozległy się słowa uprzejme, choć wypowiedziane dość obcesowym tonem.

Adam odwrócił się i zobaczył przed sobą niskiego mężczyznę w ubraniu typowym dla konsjerża.

– Przyszedłem do pani Legrand – odpowiedział.

Tamten rzucił mu spojrzenie spode łba.

– Nie wygląda mi pan na następnego kandydata na męża – oznajmił z przekąsem, przypatrując się uważnie ubraniu nieznajomego. – Na policję też nie...

– Poniekąd jestem z policji – odparował Adam.

– Taki z pana policjant jak z tamtego jej mąż – zawyrokował niezrażony stróż. – Niech pan idzie. Pierwsze piętro po lewej.

Otworzyła niemłoda służąca. Zanim Adam zdążył się przedstawić i wyłuszczyć sprawę, w drzwiach na prawo stanęła kobieta w podobnym wieku.

– Pan jest tym baronem z policji. – Zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie pytanie.

Adam uniósł lekko brwi, zaskoczony.

– Mercadier dał mi znać, że przysłali kogoś z Paryża. Niech pan wejdzie. Francine, podaj herbatę. Chyba że woli pan kawę. Czekolada się skończyła, nie spodziewałam się gości.

Zwyczajność salonu doskonale korespondowała ze wszystkim, z czym dotychczas Adam zetknął się w tej sprawie – z wyjątkiem aresztanta. Meble sprzed kilku dekad, zapewne z czasu, kiedy państwo Legrand się pobrali. Na kominku równy rząddek fotografii oprawionych w niezbyt drogie i niezbyt ozdobne ramki. Jedna pusta – zapewne po zdjęciu, które Adam oglądał w aktach. Ususzony bukiet ślubny pod szklanym kloszem. Olejny pejzaż na ścianie. Wnętrze niewiele się różniące od dziesiątków mieszczańskich domów w tym mieście i w mnóstwie podobnych miast we Francji, a może i w Europie.



Nuda. Rutyna. W głowie Adama zadźwięczały wcześniejsze myśli.

– Pan oczywiście chce posłuchać o tym nieszczęsnym zdarzeniu sprzed dziesięciu dni.

– Nie – odparł, z pewną satysfakcją zauważając zdumienie w jej oczach. – Bardziej interesuje mnie to, co zdarzyło się przed czterema laty. Wtedy, kiedy wróciła pani do domu, a męża nie było.

Uniosła brwi.

– A co się miało wtedy zdarzyć? – zapytała chłodno. – Gilbert zazwyczaj wracał koło siedemnastej, potem siadaliśmy do obiadu...

– Czyli zorientowała się pani, że coś jest nie tak, dopiero wieczorem?

Pani Legrand mieszła w zamyśleniu herbatę, choć cukier musiał się już dawno rozpuścić.

– W zasadzie tak, aczkolwiek zdarzało się, że Gilbert wyjeżdżał do Tuluzy, Cahors, Agen albo którejś mniejszej miejscowości w sprawach biurowych. Zazwyczaj oczywiście wiedziałam o takich planach, tylko że tym razem nie było mnie w domu kilka dni, więc założyłam, że może zapomniał zostawić wiadomość.

Jej ton wskazywał na to, że panu Legrand nie zdarzało się zapominać o takich sprawach.

– Dopiero kiedy następnego dnia przyszedł do mnie Charles Dejean zaniepokojony nieobecnością Gilberta... Dopiero wtedy dotarło do mnie, że jego nie ma.

Bardzo powolnym ruchem odłożyła łyżeczkę, lecz nie wzięła do ręki filiżanki, tylko wpatrywała się w złocisty napój.

– I wie pan co – powiedziała cicho – ja wtedy jakoś tak dziwnie poczułam, że jego naprawdę nie ma. Nieodwołalnie. Że on nigdy nie wróci.

Adam przypomniał sobie szczegóły opowieści Royera.

– Czy z domu coś zniknęło?

Pokręciła głową.

– Gdyby tak było, pewnie podejrzewałabym rabunek. Wie pan, że Gilbertowi coś się stało podczas napadu... On czasem przy kolacji opowiadał trochę o tych procesach, które przygotowywał, mógł się

komuś narazić. No więc pewnie bym tak pomyślała, ale nie, nie zginęło nic, co bym zauważyła.

Być może Legrand trzymał w domu gotówkę, o której nie wiedziała żona. Miał powód czy po prostu nie ufał bankom?

Urzędnik Legrand nie sprawiał wrażenia człowieka posiadającego mroczne tajemnice. Niemniej Royer to zupełnie inna sprawa. Który z nich był prawdziwy? I dlaczego tym wszystkim tak bardzo przejmował się prokurator, dawny przełożony Legranda?

Odpowiedź na ostatnie pytanie wydawała się oczywista: skoro pan Mercadier tak bardzo dbał o swoją opinię, potencjalny skandal związany z jednym z jego wzorowych urzędników musiał spędzać mu sen z powiek. Czy jednak można było przyjąć to za pewnik? Florence Legrand bardzo łatwo uwierzyła, że mąż nie wróci. A prokurator był wyraźnie zaniepokojony pojawieniem się Royera.

– Wiem, że następne pytanie może wydać się niezbyt uprzejme – powiedział Adam jak najspokojniejszym tonem. – Czy czuła się pani kiedykolwiek źle w małżeństwie? – Niemal natychmiast pokręciła głową, Adam jednak nie dał jej dojść do głosu, zanim nie skończył. – Nie chodzi mi o kłótnie czy zdrady... – Spojrzała na niego z oburzeniem. – Raczej coś takiego jak znudzenie. A może on się tak czuł?

Przez moment rozmówczyni miała minę taką, jakby zamierzała wyrzucić go za drzwi, nie zważając na tytuły i powiązania z policją. Potem jednak jej rysy złagodniały. Lekko nerwowym ruchem wygładziła suknię.

– Jak się pan zapewne domyśla, to nie było małżeństwo z miłości. – Zaśmiała się krótko, chrapliwie. – Byłam najmłodszą z trzech sióstr, więc ojciec chciał mnie w miarę dobrze wydać za kogoś, kto nie będzie miał wielkich oczekiwań co do posagu. A Gilbert chyba liczył na pomoc w karierze. Kiedy Juliette, nasza córka, dorosła i wyszła za mąż, żyliśmy właściwie obok siebie, choć żadnemu z nas nie przyszłoby do głowy rozstanie.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Po tylu latach? Jak miałabym sobie ułożyć życie?

Z Mercadierem? – przemknęło przez myśl Adamowi. Gdzieś na dnie tej opowieści czaiło się coś, czego nie był w stanie na razie uchwycić.

– Czy prokurator jest żonaty? – zapytał na wszelki wypadek.

– Owdowiał kilka lat temu.

To by pasowało, ale Adam coraz mniej wierzył w to, że pani Legend wraz z prokuratorem uknuli zniknięcie urzędnika. W takiej sytuacji naturalne byłoby, żeby kochankowie się pobrali, załatwiwszy uprzednio uznanie męża za zmarłego. Przez cztery lata mieli na to dość czasu. Hipoteza, jakkolwiek atrakcyjna i pasująca do niepokoju Mercadiera, wydawała się zbyt banalna.

Chyba że prokurator tak bardzo bał się o swoją opinię...

Nie, to nie miało sensu. Ktoś, kto tak dba o reputację, nie zaryzykuje wysoce niezgodnego z prawem posunięcia dla romansu, który najwyraźniej nie był dość ognisty. Jeśli w ogóle istniał.

No i ta dziwna opowieść Royera o przebudzeniu w innym ciele.

– Wybacz mi pani, jeśli zadam jej to oczywiste, niedyskretne pytanie...?

– Czy miałam kochanka? – przerwała, nawet się nie rumieniąc.

Adam potaknął.

Zaśmiała się, tym razem nieco weselej niż poprzednio.

– Dalibóg, są chwile, kiedy żałuję, że nie miałam. – Wbiła w niego wzrok. – Niech pan się nie da zwieść pozorom zwykłego, ułożonego mieszczańskiego życia. My też miewamy uczucia, więc nie powiem, moje serce niejednokrotnie uderzało żywiej na widok przystojnego mężczyzny. Jako że w młodości lubiłam czytać powieści, to zadowalałam się imaginacją.

Wstała i podeszła do okna, przez które do pokoju wpadało złote światło słońca przefiltrowane przez kołyszące się na wietrze liście.

– Wie pan – powiedziała bardzo cicho – zanim wyszłam za mąż, marzyłam o tym, że zdąży zjawić się rycerz w lśniącej zbroi albo romantyczny poeta, który porwie mnie do krainy cudów. – Odwróciła

się z powrotem do Adama. – Ale życie nie jest powieścią, panie baronie. Przekonałam się o tym, a nawet z tym pogodziłam. Naprawdę.

Komisarz Gaillard spoglądał na Adama znad grzybów i boczku w winie, specjalności tutejszej kuchni, którą obaj zamówili w „najlepszej brasserie w mieście”.

– Żadne z tej trójki nie wydaje mi się kandydatem na ponure historie ze zdradą małżeńską w tle – oznajmił w końcu policjant, kiedy już przetrwał wszystko, co Adam miał mu do powiedzenia. – Natomiast Royer to podejrzana persona, za przeproszeniem pańskim.

Adam zastanawiał się, jak bardzo otwarty umysł ma komisarz. I czy jest gotów wysłuchać teorii, która w tej chwili narzucała się jako oczywista – pod warunkiem że miało się doświadczenie z biurem do spraw specjalnych.

A teoria była następująca: w panu Legrand, człowieku bez właściwości, obudził się dziwny talent magiczny, pozwalający mu przekształcać własne marzenia – czy rojenia, bo sumienny urzędnik wymiaru sprawiedliwości raczej nie marzył o zwiększeniu przestępczości w departamencie – w rzeczywistość. W pewnym momencie musiał pomarzyć o jeden raz za dużo – albo zbyt zuchwale. Pomarzyć zbyt mocno o tym innym życiu, jakie chciałby prowadzić. O byciu *kimś innym*. A złośliwy los zrozumiał to życzenie opacznie.

Przypuszczenie niestety zbyt wkraczało w obszary szaleństwa, by przedstawić je w tej formie twardo stąpającemu po ziemi policjantowi. Adam zerknął z ukosa na Gaillarda.

– Czy w pańskiej karierze zdarzyły się jakieś sprawy, których nie był pan w stanie wyjaśnić racjonalnie? – zapytał niewinnie, badając teren.

Policjant wzruszył ramionami.

– No, jakieś drobiazgi pewnie tak, ale żeby coś takiego jak to... Wie pan, ja myślę, że ten Royer spotkał się gdzieś z Legrandem i poznał jego historię...

– A zadał sobie pan pytanie, po co to wszystko? – przerwał mu Adam. Gaillard rozłożył bezradnie ręce.

– Ludzie różne dziwne rzeczy wymyślają. – Jego mina wskazywała, że sam nie bardzo wierzy w tak proste wyjaśnienie.

Adam postanowił zejść go z drugiej flanki.

– Inspektor Vidocq kieruje biurem do spraw specjalnych, prawda? Komisarz potaknął, przyglądając się rozmówcy nieco podejrzliwie.

– Zastanawiał się pan kiedykolwiek, jakie to są sprawy?

Gaillard podrapał się nerwowo po brodzie.

– Spiski, zamachy, jakieś tajne państwowe kwestie – zaczął niepewnie.

Adam z trudem powstrzymał parsknięcie.

– To też, choć nie tylko. To również te sprawy, które trudno wyjaśnić racjonalnie. Wymagające nieco innej perspektywy, przyjęcia, że nie wszystko w świecie dzieje się zgodnie z rozumem.

Czuł na sobie wzrok człowieka, który nie do końca wierzy w to, co właśnie usłyszał. Nagle twarz Gaillarda rozjaśniła się, a policjant uderzył dłonią w blat, aż talerze podskoczyły.

– Pan uważa, że oni się jakoś zamienili, znaczy, że Royer naprawdę pamięta życie Legranda?

– Tak – odparł Adam. Nie było to bardzo dalekie od jego podejrzeń. – Tak mniej więcej myślę.

Policjant zasępił się i skinąwszy na kelnera, zażądał więcej wina.

– Jak to wyjaśnić ludziom? – zapytał, kiedy garçon napełniał kieliszki.

– Nie wiem – przyznał szczerze Adam. – I nie wiem, co z tą całą sytuacją zrobić.

– A ten Royer, on jest niebezpieczny?

– Nie sądzę.

W każdym razie nie tak, jak zapewne pan myśli.

Jeśli teoria była prawdziwa, pozostawało jeszcze jedno pytanie: „po co Legrand wrócił do domu po czterech latach”.

Rano Adam odwiedził raz jeszcze aresztanta, ale nie dowiedział się wiele więcej. Początkowo Royer-Legrand żył z zabranych z domu

pieniędzy, chwilami przymierając głodem na wynajmowanych poddaszach. Czasem zarobił kilka franków na pomocy w pisaniu podań. Prawie nie spotykał się z ludźmi, cały czas poświęcał literaturze. Po dwóch latach powieść była gotowa i wtedy ruszył na podbój Paryża.

Życie bardzo szybko zweryfikowało jego nadzieje i marzenia. Redakcje gazet drukujących powieści w odcinkach nie zachwyciły się jego dziełem. Wydawcy popatrywali podejrzliwie na powieść napisaną poetyckim językiem i częściowo rymowaną. „To się nie sprzedaje” – słyszał niemal co dzień. W końcu jeden człowiek wzruszył ramionami i oznajmił, że jeśli klient zapłaci, to on wydrukuje wszystko.

– Dwa tygodnie później stałem na ulicy z paczką książek i ostatnimi sou w kieszeni. Udało mi się przekonać kilku księgarzy, żeby wzięli te egzemplarze, które potem wykupiłem przez podstawionych uliczników. I wtedy wpadłem na genialny pomysł...

Genialny pomysł polegał na zatrudnieniu się – pod kolejnym nazwiskiem – w jednej z ważnych redakcji.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak się czułem, kiedy dotykałem recenzji i listów tych wszystkich wielkich pisarzy – powiedział z rozmarzeniem. – Byłem tylko gońcem, ale cała korespondencja przechodziła przez moje ręce. Czasami zostawiałem po godzinach pracy, żeby głaskać te podpisy. Czułem się tak, jakby ich moc przepływała do mnie, dodawała mi siły.

A potem do redakcji zaczęły przychodzić listy chwające arcydzieło pióra nikomu dotychczas nieznanego autora. Royer zaś w wolnym czasie obchodził paryskie księgarnie, dopytując o własną powieść, pokazując recenzje i dziwiąc się, że nikt o niej nie słyszał. W kilku miejscach powiedziano mu, że było coś takiego, niemniej sprzedawało się na pniu.

– Bo pan to wykupił? – przypomniał sobie Adam.

Royer potaknął żałośnie.

– Zdołałem zainteresować sobą elegancki świat, choć nadal tylko ja posiadałem tę powieść, więc marzyłem wciąż głównie o tym, żeby zaprezentować dzieło.

Oczywiście i to marzenie się spełniło, o czym Adam wiedział aż za dobrze.

– Panie baronie? – Głos Gaillarda wyrwał go z zamyślenia. – Wszystko w porządku?

– Miał pan sobie darować tytuły – mruknął Adam w zamyśleniu. Coś nie dawało mu spokoju. Coś w tej historii się nie zgadzało. I nie miało to bynajmniej związku z powodami, dla których Royer postanowił z powrotem zostać Legrandem, choć te również pozostawały tajemnicą. – Nic z tego nie rozumiem – dodał. – Jeśli mam rację, to on przecież mógł mieć wszystko!

Komisarz wpatrywał się w niego z lekkim niepokojem.

– Wie pan – powiedział – ta sprawa chyba za bardzo pana pochłania, a nie wiem, czy jest tego warta.

– Każda zagadka jest warta rozwiązania – odparł sentencjonalnie Adam. – Tylko czasami ma się wrażenie, jakby nie dało się ich rozwiązać, nie będąc w skórze...

Kogo? – zapytał sam siebie. Royer nie był w świetle prawa przestępcą. No, może groziła mu grzywna za rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji w prasie. Dobry adwokat wybroniłby go jednak, utrzymując, że zrobił to dla żartu. O ile Adam zdołał się zorientować, Royer jedynie nakręcił modę na swoją powieść, dalsze dyskusje dotyczyły się już bez jego udziału. A po prawdzie kilku nadętym osobistościom z artystycznej socjety należał się taki żart.

– On mógł mieć wszystko – powtórzył. – Czego tylko zapragnął.

Gaillard sprawiał wrażenie, jakby nadal nic nie rozumiał. Adam czuł się podobnie.

Po powrocie do hotelu jak zwykle usiłował wszystko poukładać, spisując na kartkach powiązania pomiędzy poszczególnymi aktorami tego dramatu – a może farsy. Małżeństwo Legrandów trudno było uznać za nieudane – było po prostu zwyczajne. Prokurator niewątpliwie miał coś

do ukrycia, chociaż mogło to się nijak nie łączyć ze sprawą. Może co najwyżej tak, że gdyby Royer istotnie posiadał wiedzę Legranda, mógłby przypomnieć światu o czymś, o czym Mercadier wolał zapomnieć.

Jeśli coś takiego istniało – napomniał sam siebie Adam. *To tylko domysły.*

Gdyby w tym wszystkim był trup Legranda, pierwsza nasuwająca się hipoteza byłaby taka, że prokurator usunął niewygodnego pracownika. Gdyby w tym wszystkim był romans między przełożonym a całkiem atrakcyjną żoną podwładnego – hipoteza byłaby podobna. Ale najwyraźniej żadnej z tych dwóch rzeczy nie było.

Adam kładł się spać przekonany, że powinien wrócić do Paryża i powiadomić inspektora o istnieniu spraw, których wyjaśnić się nie da. Nie bez znalezienia się w głowach zaangażowanych w nie osób. A może i z nim.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył po przebudzeniu, okazało się dojmujące poczucie nieodpowiedniości.

Lustro potwierdziło to poczucie. Z jego taflí spoglądał na Adama dobrze znany mu z fotografii człowiek, Gilbert Legrand.

Zaskoczenie było tak ogromne, że nawet panika torowała sobie drogę do myśli powoli. Myśli, które – jak skonstatował z ulgą – należały do Adama Cardellego. Obecnie uwięzionego w obcym ciele starszawego, korpulentnego urzędnika.

W pierwszej chwili chciał założyć na siebie cokolwiek, wymknąć się z hotelu i zaszyć w jakimś miejscu, gdzie nikt go nie zobaczy. Kiedy to sobie uświadomił, zrozumiał, co musiało dziać się w głowie Gilberta Legranda cztery lata temu na widok własnego odbicia w lustrze. Jakkolwiek urzędnik prokuratorski mógł nie lubić swojej nijakiej powierzchowności (*mojej powierzchowności* – pomyślał z goryczą), przemiana w przystojnego Royera musiała go najpierw przerazić. Dopiero potem zauważył w niej okazję do zmiany życia.

W przeciwieństwie do Legrand'a Adam jednak nie zamierzał pozostać w tym ciele. Nie chciał nic zmieniać w swoim życiu, które było wygodne i zadowalające.

Następna myśl była jak uderzenie obuchem.

Skoro on zamienił się w oryginalnego Legrand'a, to co stało się z jego własnym ciałem? Zapewne fałszywy baron Cardelli rozmawiał teraz z komisarzem Gaillardem i wychodził na wolność, żegnany przeprosinami i zapewnieniami, że nikt nie ma pojęcia, jak temu oszustowi Royerowi udało się wymknąć, zamykając równocześnie w areszcie znakomitego gościa...

Był zły. Zły, że dał się tak łatwo omotać.

Wiedział, że nie może opuścić pokoju, ponieważ nawet jeśli zdoła się wymknąć niedostrzeżony, nikt nie wyda mu z powrotem klucza. Hotelarze mają dobrą pamięć do twarzy. Pożałował, że nie zabrał z sobą własnego służącego... Nie, to byłoby jeszcze gorsze. Jacques uparcie odmawiał zauważania czegokolwiek niezwykłego w świecie. W rozwiązaniu tej niezręcznej sytuacji mógł Adamowi pomóc tylko jeden człowiek.

Napisał na kartce parę słów, zadzwonił po obsługę i wymawiając się bólem głowy, zawołał z sypialni, że telegram do wysłania leży na stoliku, a śniadanie mają mu przynieść do apartamentu.

Pozostawało mu jedynie czekać, aż Vidocq przyjedzie do Montauban. Co oznaczało – do następnego dnia. Adam zjadł bułkę i wypił pyszną czekoladę, po czym z braku innych pomysłów wrócił do sypialni, gdzie zakopał się w pierzynie, usiłując zapomnieć o dziwnym poczuciu przebywania w cudzym ciele.

Obudziły go głosy na korytarzu. I nagły łomot do drzwi.

W pierwszej chwili myślał, że oto przybyła odsiecz w postaci inspektora, uświadomił sobie jednak, że nie przespał raczej całej doby. Nie czuł głodu.

Owinął się za długim szlafrokiem i wyszedł do salonu, skąd mógł usłyszeć, co się dzieje za drzwiami.

– Pan baron wyraźnie powiedział, że nie życzy sobie żadnych gości za wyjątkiem... – mówił błagalnym tonem ten sam człowiek z obsługi hotelowej, z którym Adam wcześniej rozmawiał.

– Niech pan nas zaliczy do wyjątków – odparł niewątpliwie komisarz Gaillard. – To pilna sprawa.

Brakuje mi tylko aresztowania przez policję – pomyślał prawdziwy Cardelli.

– Nie mogę... – W głosie pracownika hotelu słysząc było przerażenie. Adam otworzył drzwi i skrył się za nimi.

– Proszę wejść, panie komisarzu – powiedział.

Uświadomił sobie, że nie ma się czego obawiać: jeśli wyprowadzą go stąd w kajdankach, to reputacja pana Cardellego nie ucierpi – w gazetach zapewne ukaże się wzmianka o tym, że jakiś szaleniec włamał się do jego pokoju hotelowego...

W salonie pojawił się Gaillard w towarzystwie innego mężczyzny. Kiedy ten drugi zdjął cylinder i opuszczył kołnierz płaszcza, Adam cofnął się o krok.

Patrzył prosto w twarz samemu sobie.

Następnego popołudnia w salonie pani Florence Legrand zgromadziło się dziwaczne towarzystwo. Za stołem siedzieli wyglądający jak jej zaginiony małżonek Adam Cardelli oraz wyglądający jak Adam Gilbert Legrand, który jeszcze dzień wcześniej był Augustinem Royerem. Komisarz Gaillard stał w kącie z miną człowieka, który dowiedział się, że ziemia jest jednak płaska, przyjął to do wiadomości i nadal usiłuje poukładać sobie wszystko w głowie. Czekano na dwie ostatnie osoby.

Kiedy tu przyszli, madame wyglądała tak, jakby na widok gościa miała zostać tknięta apopleksją, wyjaśnienia przyjęła jednak nader spokojnie.

– Cóż, może życie przypomina czasem powieści – powiedziała obojętnym tonem.

Dało się wyczuć, że pod fasadą opanowania pani Legrand skrywa przerażenie i niepewność. Adam nie potrafiłby tylko zgadnąć, czego lękała się bardziej: dziwnego zdarzenia, które postawiło świat na głowie, czy perspektywy powrotu do życia sprzed czterech lat.

Nadal miał ponadto wrażenie, że coś się nie zgadza, postanowił jednak poczekać z wątpliwościami do rozmowy w pełnym gronie. Vidocq, który przyjechał pierwszym pociągiem, po wysłuchaniu dotychczasowych opowieści miał własną teorię, ale nie podzielił się nią na razie z nikim. Nie powiedział też, kogo jeszcze zamierza przyprowadzić na to spotkanie.

Kwadrans później do salonu wmaszerował nonszalanckim krokiem inspektor, a z nim przerażony pan Mercadier. Pani Legrand wydała stłumiony okrzyk. A prokurator na widok Adama zbladł jeszcze bardziej i usiadł ciężko na wolnym krześle przy stole.

Vidocq zatarł ręce.

– Doskonale, jesteśmy w komplecie – oznajmił, łypiąc na paterę z ciastkami i owocami.

– Nie rozumiem... – zaczął Mercadier.

Inspektor uciszył go ruchem ręki.

– Zaraz wszyscy zrozumiemy – odparł lekko. Sprawiał wrażenie, jakby bawił się sytuacją i paniką wszystkich pozostałych. – Taką mam w każdym razie nadzieję. Bardzo proszę – skinął na Legranda wyglądającego jak Adam – pan raczy wypowiedzieć się jako pierwszy, bo to od pana wszystko się zaczęło.

Mercadier zrobił wielkie oczy.

– Od pana barona? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie – odparł Legrand. – Ode mnie. Nazywam się Gilbert Legrand, byłem urzędnikiem w pańskim biurze.

Jego opowieść zasadniczo zawierała to wszystko, co Adam już wiedział, dla pozostałych była jednak nowością. Nikt nie przerywał, wszyscy siedzieli jak zaczarowani. Florence wachlowała się serwetką.

Legrand skończył wyznaniem, że po katastrofie, jaką okazała się prezentacja powieści, postanowił spróbować, czy życzenie powrotu do dawnego życia przyniesie pożądane skutki, i tak znalazł się znów w Montauban.

– Niestety, jak już wszyscy wiemy, to też skończyło się katastrofą.

Kiedy zamilkł, wszyscy mieli miny, jakby chcieli zacząć mówić, ale Vidocq nie dopuścił nikogo do głosu. Niczym mistrz ceremonii stanął u szczytu stołu i nadal wpatrując się w pełną paterę, oznajmił:

– Mój drogi przyjaciel i współpracownik, pan baron Cardelli, podobnie zresztą jak sam główny zainteresowany, wyciągnął z tej opowieści słuszny wniosek: pan Legrand został obdarzony dziwaczną umiejętnością. Jego pomysły literackie przyjmują realny kształt, kiedy bardzo intensywnie o nich myśli.

Adam potaknął, choć bardziej od wyводу Vidocqa intrygowało go to, że inspektor nie sięgnął jeszcze po ani jedno ciastko. Specjalnie przecież poprosił Gaillarda, żeby zapewnił niespodziewanemu gościowi ulubione przysmaki. Komisarz skądinąd rzucał co chwilę w stronę bohatera swego dzieciństwa spojrzenia pełne czci, która przy kolejnych rewelacjach tylko się pogłębiała.

– Drogi Adam – inspektor podjął przemowę – zauważył jednak również, że w tej jakże celnej hipotezie coś się nie zgadza. Po pierwsze pan Legrand marzył, owszem, o karierze i sławie pisarskiej, pragnął nawet odmiany życia, choć nie zastanawiał się przy tym nad swoim wyglądem. To, co wydarzyło się w jego życiu, nie odpowiadało jego skrytym życzeniom, za to może odpowiadało rojeniom kogoś innego?

Inspektor utkwił wzrok w pani Legrand, która poruszyła się niepewnie.

– Madame? Proszę powiedzieć, że nie zdarzało się pani marzyć o tym, że w pani... – Vidocq odchrząknął – salonie siedzi przystojny, szarmancki mężczyzna, którego nigdy nie chwyci podagra i który nie posiada szuflady pełnej szlafmyc?

Rycerze w lśniącej zbroi i romantyczni poeci – przypomniał sobie Adam.

Madame siedziała sztywno i nie odpowiadała. Mercadier miał nie-
tęą minę.

– Widzę, że trafiłem – oznajmił niewzruszony Vidocq. – A teraz niech pani spróbuje przypomnieć sobie, czy nie wyraziła takiego życzenia niedługo przed tym, jak jej małżonek zniknął?

Pani Legrand spuściła wzrok. Na jej twarz powoli wypełzał rumieniec.

– Jak państwo wiedzą, niedługo przez zniknięciem Gilberta pojechałam do Tuluzy odwiedzić rodzinę – wyszeptała. – Jednego wieczora siedziałyśmy z dwiema moimi siostrami i wtedy... – Spojrzała przepraszająco na Adama, po czym przeniosła wzrok na prawdziwego Legranda. – Wtedy pozwoliłam sobie na powrót do młodzieńczych marzeń. Clarisse owdowiała niedługo po ślubie, Marie rozważała właśnie rozwód. Żadnej z nas naprawdę nie ułożyło się w życiu tak, jak sobie wyobrażałyśmy. Zaczęłyśmy więc wspominać młode lata, czytane powieści i porywy serca na myśl o romantycznych bohaterach.

– Przyczynek do szkodliwości romansów – mruknął Vidocq. Adam był pewny, że z trudem powstrzymuje się od sięgnięcia po ciastko.

– Powiedziałam wtedy coś takiego, pamiętam to całkiem dobrze, bo Marie śmiała się, a Clarisse zganiła mnie za głupotę... Że nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym w domu zastała kogoś, kto wygląda zupełnie inaczej niż mój mąż. Najlepiej poetę, który powita mnie wierszem i płatkami róż.

Mercadier słuchał tego z półotwartymi ustami i ledwie zauważył, że inspektor wbił w niego wzrok. Wyglądający jak Adam pan Legrand upuścił z brzękiem łyżeczkę. Vidocq zgromił go wzrokiem.

– Pańska kolej, panie prokuratorze – polecił tonem sędziego podczas procesu.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – zaczął Mercadier, ale zmitygował się. – To znaczy... Nie, to niemożliwe...

– Czego pan sobie życzył w tym okresie, kiedy zniknął Gilbert Legrand?

– Wielu rzeczy – powiedział wymijająco. Inspektor zgromił go spojrzeniem. – No dobrze. – Westchnął ciężko. – Dwóch rzeczy. – Nieszczeńnik powiódł wzrokiem po zebranych, zatrzymując się na

dłużej na Florence. – Po pierwsze, żeby madame Legrand rozwiodła się z mężem i wyszła za mnie.

Rozległ się ogólny jęk zaskoczenia. Tym razem madame Legrand upuściła łyżeczkę.

– Mimo wszystko nie posunąłbym się do myśli o zniknięciu Gilberta, gdyby nie jeszcze jedna rzecz. – Tym razem spojrzał prosto w oczy Adamowi, zapominając o zamianie ról czy raczej wyglądu. – Na mniej więcej miesiąc przed tym wypadkiem udało mi się zatuszować sprawę... pewnej poważnej nieuczciwości jednego z moich bezpośrednich podwładnych. Człowieka, którego sam rekomendowałem, któremu ufałem bezgranicznie. Załatwiłem mu szybko awans do Paryża, byle ewentualna afera wybuchła z dala od mojego biura. – Umilkł.

– Obawiał się pan przy tym – odpowiedział Vidocq – że najrzetelniejszy z pańskich urzędników wysłedzi tę sprawę, nie miał pan jednak pomysłu, jak przenieść go w inne miejsce, nie budząc podejrzeń i nie tracąc przy tym z oczu jego atrakcyjnej żony?

Mercadier skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

– Zgadł pan.

Florence Legrand patrzyła na niego z nieudawanym zdumieniem. Adam powziął pewność, że wszelkie marzenia o romansie pozostawały domeną prokuratora. Ten zaś jak zwykle przede wszystkim obawiał się o reputację, więc nie podjął żadnych kroków.

– Zatem to nie życzenia pana Legranda się spełniają – oznajmił triumfalnie Vidocq – ale życzenia innych, które jakoś go dotyczą. Albo coś w tym rodzaju – mruknął. – Szczegółowe wyjaśnienie musi poczekać.

– A te przestępstwa, które prowokowałem? – Legrand odezwał się drżącym głosem, po raz pierwszy od początku rozprawy. – I burza podczas prezentacji powieści?

Vidocq machnął ręką.

– Całe rano poświęciłem na przekopanie się przez akta spraw, o których mi pan opowiedział. We wszystkich przypadkach wcześniejszy modus operandi przestępców był podobny. Pan raczej przechwytywał ich plany z czytanych dokumentów i wyobrażał sobie jako

literaturę, a potem, widząc je w aktach, powziął pan błędne pojęcie o przyczynach i skutkach.

Na twarzy Legranda malowało się lekkie rozczarowanie. Adam z zainteresowaniem obserwował jego mimikę, zastanawiając się, czy sam tak właśnie wyraża uczucia, czy też Legrand, a i Royer, kryjący się teraz za jego twarzą, nadają jej odmienny wyraz.

– Ta burza zaś... – odezwał się znów inspektor, zerkając na współ-pracownika. – Obawiam się, że wywołała ją któraś z dam, marząca o niezwykłych zdarzeniach, jakie obiecywała pańska powieść...

Adam potaknął powoli: to było wielce prawdopodobne. Twarz nie-szczęsnego autora rozjaśniła się na moment.

– Może jednak jest dla tej mojej pisaniny jakaś przyszłość?

Adam pomyślał, że ma inny pomysł na odmianę życia Gilberta Legranda czy też Augustina Royera, lecz w tej samej chwili Vidocq sięgnął wreszcie po ciasteczko. A więc jednak świat nie stanął całko-wicie na głowie.

– Pozostaje nam ostatnia zagadka – oznajmił inspektor – mianowicie nagła zamiana wyglądu między baronem Cardellim a panem Legrandem.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Nagle spod ściany dobiegło nie-śmiałe chrząknięcie. Wzrok Adama powędrował ku Gaillardowi i uświadomienie przyszło w chwili, kiedy policjant się odezwał.

– O ile mnie pamięć nie myli, pan mówił coś o niemożliwości zro-zumienia pewnych spraw, dopóki człowiek nie znajdzie się w skórze zainteresowanego. A zważywszy, jak bardzo to spełnianie życzeń tra-fia, za przeproszeniem, obok...

– Brawo! – Inspektor zaklaskał. – Niezły z pana policjant, idzie pan w ślady papy!

Pozostało jeszcze jedno zadanie.

– Myślę, że teraz wszyscy powinni się zadeklarować, czego pragną, i mieć nadzieję, że los okaże się dla tych życzeń łaskawy – oznajmił

Vidocq. Rozejrzał się po zebranych. – Choć może lepiej będzie, jeśli ja zrobię to za państwa. Adam niewątpliwie chce wrócić do swojego wyglądu.

Adam potaknął.

– Co zapewne nie jest marzeniem pana Legranda... A zatem pan Legrand musi stać się na powrót Royerem. Co pozostawia madame Florence słomianą wdową, ale nietrudno będzie sprawić, by wkrótce pojawiły się niepodważalne dowody na to, że jej mąż nie żyje. To uspokoi sumienie pana prokuratora, a pani jako wdowa będzie mogła spełnić jego marzenie, jeśli oczywiście sama nie ma nic przeciwko temu. – Na jej ustach błąkał się nieodgadniony uśmiezek. Mercadier otarł czoło chusteczką i poprawił kołnierzyk, jakby szykował się do oświadczyn. – Wszyscy zadowoleni.

Legrand odchrząknął.

– Może i wolę być Royerem, tylko że Royer przecież nie istnieje... Jego mina wyraźnie mówiła: „i nie ma grosza przy duszy”.

– Myślę, że jesteśmy w stanie temu zaradzić.

Powzięty pół godziny wcześniej pomysł nabierał właśnie kształtów. Pozostawało tylko przekonać inspektora.

Augustin Royer rozglądał się po biurze z zaciekawieniem.

– Naprawdę uważa pan, że nadaję się do tej pracy?

Vidocq zerknął na stojącego pod ścianą Adama.

– Pan baron najwyraźniej tak uważa, a i ja przyznam jedno: pański talent jest tak dziwaczny, że biuro nie może przejść obok niego obojętnie.

Royer skinął głową.

– W wolnych chwilach będę mógł dalej pisać powieść? Chciałbym naprawić wrażenie, które...

Vidocq i Adam popatrzyli po sobie i odpowiedzieli jednocześnie:

– Może lepiej nie?

Agnieszka Fulińska – buduje alternatywne historyczne światy, w których najchętniej by zamieszkała. Platonicznie zakochana w wielkich wodzach z przeszłości (od Aleksandra Wielkiego i Cezara przez Fryderyka Wielkiego do Napoleona); zawodowo zajmuje się dziewiętnastowieczną historią Francji. Jest autorką licznych opowiadań publikowanych w antologiach, a także współautorką młodzieżowej serii powieści fantastycznych *Dzieci dwóch światów* (Galeria Książki), wraz z Aleksandrą Klęczar. Kocha operę, muzea i podróże samochodowe po Europie.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22191>

Sam pomysł – znakomity przez to, że właśnie taki oldskulowy. Marzenia stające się rzeczywistością? No przecież już było... Ano było, ale nie w takiej misternej, wyczelowanej formie.

Dariusz Skrzydło (Staruch)

Świetne opowiadanie, trzyma się klimatu epoki. Intryga rozwija się z wolna, ale jednocześnie pozostawia czytelnika w niepewności.

Marek Jagiełło (MPJ 78)

Opowiadanie bardzo mi się podobało, również dlatego, że miałam wielką ochotę przeczytać coś, hmm... spokojnego. Wyjątkowo odpowiadało mi, że akcja toczy się niespiesznie, a ja mogę koncentrować się na kolejnych postaciach i powoli, stopniowo zapoznawać się z intrygą.

Alicja Mirek

Wątek fantastyczny rewelacyjny, a jego wyjątkowość tylko podbił twist w końcówce. W ogóle muszę pochwalić za zarzucanie wędki i podtrzymywanie napięcia, bo po dwóch pierwszych fragmentach byłem już kupiony i zwyczajnie chciałem wiedzieć, o co tu chodzi i jak to się skończy.

Mateusz Kędziora (MrBrightside)

Bardzo podoba mi się pomysł pokazania takiego duetu bohaterów Vidocq–Adam – ukłon w stronę licznych detektywistycznych duetów z Holmesem i Watsonem na czele.

Jerzy Rzymowski

Teatr Mistrza Tramonte

Dariusz Zasadzki

Dariusz Zasadzki

Świt dopiero nadchodził, gdy Arezio Tramonte przemykał ulicami miasta. Poprawił cylinder i szczelniej ściągnął pelerynę, by porywisty wiatr nie przewiał jego przeraźliwie chudych kończyn. Nienawidził swojego ciała. Beczkowatego tułowia i doczepionych do niego patykowatych rącek i nóżek. Nie potrafił nazwać ich inaczej. Robiąc z dwóch palców „oczko”, można było przeciągnąć wzdłuż ręką przez całe ramię lub nogę. Dokładając do tego pękata i prawie łysą głowę, szpiczasty nos i ostro zakończone zęby, jak gdyby Tramonte był drapieżnym zwierzęciem, a nie człowiekiem – miało się obraz marnej fizycznej formy, w której zamknięta została piękna dusza. Bo Arezio duszę miał piękną, a ciało? Cóż, zapewne świadczyło o zachowaniu równowagi w przyrodzie. Nie można mieć przecież wszystkiego.

– Mistrzu, Mistrzu! – dobiegł go głos zza pleców.

Obejrzał się przez ramię, nie zwalniając kroku.

– Mistrzu, zaczekaj!

Tupot drobnych nóżek sugerował, że i tak nie ucieknie, nawet gdyby chciał.

– Co tam, Furio? – Mężczyzna zerknął przelotnie na kilkuletniego chłopca.

Nie lubił na niego patrzeć, tak samo zresztą jak na siebie. Chłopak miał równie wielką głowę jak on. Co prawda nie był łysy – jeszcze – ale olbrzymie, czarne oczy przypominające monstrualne śliwki przypominały Arezio o gęsią skórę.

Nikt nie jest doskonały – powtórzył szybko w myślach.

– Już idziesz do teatru, Mistrzu? – Dzieciak pociągnął go za pelerynę. – Tak wcześniej? Ledwo zaczyna świtać.

– Idę, idę! – Zirytowany Arezio wyrwał materiał z rąk chłopca. – A ty co tak wcześniej robisz na ulicy? Znowu okradasz pijacków, którzy nie dali rady dotrzeć do domów?

Malec wydał usta.

– Phi! Nie muszę! – Złapał się rękami pod boki. – Mam pracę na targu i nikogo już nie okradam! Ale muszę być tam przed świtem.

– To leć już, leć, na co czekasz?

Chłopak zerwał się do biegu.

– Przyjdę, jak skończę robotę! – zawołał, zanim zniknął za zakrętem.

Arezio pokiwał głową i uśmiechnął się nieznacznie. Prawda była taka, że bardzo lubił małego Furio. Przypominał mu jego samego za dawnych, młodych lat.

Arezio Tramonte poprawił kukłę ułożoną na stole. Spoglądał na postać młodzieńca z zadowoleniem. To było bezsprzecznie jego największe dzieło. Idealne proporcje ciała, idealny wzrost i waga, nie-naganna skóra bez żadnej skazy. Kończył właśnie nakładać specjalną masę nadającą sztucznej materii naturalny wygląd. Recepturę sam wypracował przez lata. Zmarszczył brwi, pochylił się i poprawił dwa palce dłoni, które zaburzały ułożenie sylwetki.

Podszedł wolno do szafy stojącej w rogu teatralnego magazynu, który przerobił na swoją salę przygotowań. Przyjrzał się rzędom szpulek równo ułożonych na półkach. Wybrał mikrolinki numer cztery do tułowia, sześć do nóg i numer siedem do ramion. Ostatni spektakl, choć ogłoszony w prasie doskonałym, nie dawał mu spokoju. Doszedł do wniosku, że ruchy ramion były o milisekundy spóźnione względem reszty ciała. Winę musiały ponosić minimalnie zbyt ciężkie i grube dla rąk mikrolinki rozmiar sześć. Dlatego zamienił je na lżejsze i cieńsze siódemki.

Położył szpule na stole. Połączenie wszystkich pięćdziesięciu sześciu mikronici z niewielkimi haczykami rozmieszczonymi na manekinie trochę mu zajmie, tym bardziej że wszystko musiał robić przy użyciu soczewek. Nie martwił się jednak, był wręcz podekscytowany. Do wszystkiego doszedł ciężką i żmudną pracą, był...

– Mistrzu Tramonte!



Arezio mało nie zerwał linki, podskakując na stołku.

– Czy zawsze musisz się tak skradać, Furio?! – Zazgrzytał ostrymi zębami, zamknął jednak szybko usta, żeby nie straszyć niepotrzebnie chłopaka. – Wypadałoby najpierw zapukać.

– Pukałem trzy razy! – Malec zrobił strapioną minę. – Nie słyszał pan.

– Tak, tak... – Tramonte odłożył narzędzia i spojrzał na chłopca. – Co tam, Furio?

– Skończyłem pracę na rynku. – Dzieciak wskoczył bezceremonialnie na krzesło obok. – Czytał pan już dzisiejszą prasę? Podobno „Taniec mężczyzny bez twarzy” nazwano zjawiskowym, niespotykanym i spekta... spektu...

– Spektakularnym.

– Tak, właśnie! – Furio głośno westchnął. – Jest pan prawdziwym mistrzem, Mistrzu.

– Dziękuję, chłopcze. – Arezio Tramonte uśmiechnął się prawie niezauważalnie. – Cieszę mnie twoje słowa.

– Jejku! – Chłopak pochylił się gwałtownie nad manekinem. – To ta specjalna maść? Nic dziwnego, że widownia nie może się połapać! Nawet z bliska wygląda jak żywy!

– Odsuń się. – Poi rytowany Arezio chwycił malca za ramię i odciągnął do tyłu. – Jeszcze coś zniszczysz!

– Przepraszam, będę już uważał.

– Ja nikogo tu nie nabieram. – Mężczyzna pochylił się i tłumiąc niechęć, spojrzał w wielkie, czarne oczy Furio. – Dorośli widzą to, co chcą zobaczyć, rozumiesz? Jeśli pochwałą, a kukła zatańczy, są szczęśliwi i zadowoleni, wierząc przy tym, że jest żywa i samodzielna. Jeśli będzie jeszcze idealnie piękna, jeśli będzie uśmiechać się do wszystkich, skradnie ich serca.

– Ale przecież on do nikogo się nie uśmiecha. – Malec zmarszczył czoło. – Przecież nie ma twarzy.

– To taka przenośnia. – Tramonte wyprostował się i zebrał szpule.

– A dlaczego on jest bez twarzy? Nie umiał pan zrobić? – dopytywał chłopiec z ciekawością.

– Ha, ha! Nie, nie dlatego. – Mężczyzna podniósł się ze stołka i podszedł do szafy. – Widzisz, wkładam wszystko w jego taniec. Nie mogę mu przecież nadać własnej twarzy, a nie chcę też innej. To przecież ja, tylko taki, jakim chcą mnie widzieć inni.

– Powinien pan sam zatańczyć. On nigdy nie osiągnie pańskiego poziomu, w nim nie ma duszy, on nie ma serca. Pan robi to o niebo lepiej! Dlaczego pan dla nich nie zatańczy, Mistrzu?

Arezio Tramonte zadrżała ręka. Przymknął oczy i starał się powstrzymać napływające łzy. Maleńki pomocnik nie wiedział, jak wielką radość sprawił swojemu mistrzowi.

– Idź, proszę, Furio. Muszę jeszcze popracować. – Mężczyzna nie odwrócił się już w stronę chłopca.

Arezio usiadł przed stołem gry swoich organów ruchu. Dawno temu stworzył je dla niego wspaniały artysta. Popatrzył krytycznie na przyciski, czy na pewno każdy jest odpowiednio wysunięty lub schowany. Zlustrował szybko mikrolinki podpięte do klawiszy, wszystkie były na swoich miejscach.

Delikatnie postawił chudziutkie stopy na klawiaturze nożnej i położył cieniutkie palce na ręcznej. Od lat modyfikował instrument, przystosowując go coraz lepiej do swojej specyficznej postury. Powiększył fotel, by mieć więcej swobody dla beczkowatego ciała, i jednocześnie zwęził klawisze, zarówno górne, jak i dolne, dopasowując je do patykowatych kończyn. Teraz, w starej szerokości obu klawiatur, upchnął kilka przycisków więcej, dzięki czemu uzyskał dodatkowe ruchy dla stworzonego manekina. Mógł być doskonalszy w tańcu.

Poprawił soczewkowy okular, który zamocowany był na giętkiej nóżce tak, aby dawać dobry podgląd na scenę i kukłę. Nie musiał zerkać, czy siedzący za nim Furio jest gotowy. Chłopiec jeszcze nigdy go nie zawiódł. Włączył muzykę, nacisnął płynnymi ruchami kilkanaście

klawiszy i wyprowadził manekina na scenę. Czas zacząć przedstawienie. Czas rozpocząć „Taniec mężczyzny bez twarzy”.

Arezio ustawił tancerza w pozie *arrondi* i gdy na sali zapadła absolutna cisza, ruszył z gracją przez scenę, prezentując widowni pierwszy, romantyczny układ. Naciskał szybko klawisze, prowadząc baletmistrza płynnie po parkiecie. Wyprowadzał skoki, poczynając skromnie od *ballotté* – układając nogi w idealną literę V, by zaraz przejść do statycznej kombinacji *sur le cou de pied i retiré*. Czuł, jak sala wstrzymuje oddech, przyglądając się tanecznej precyzji i szybko stawianym na przemian miękkim i ostrym krokom. Poddał się ogarniającej euforii, przechodząc w nieplanowane *pas de chat*, i usłyszał pierwsze spontaniczne brawa.

Poczuł pierwsze krople potu, ale natychmiast, jak cień, pojawił się Furio.

– Jestem, Mistrzu – wyszeptał chłopiec, delikatnie ocierając zroszone czoło.

Arezio patrzył przez okular na scenę i chłonał uchem kolejne aplauzy na widowni. Jego wzrok był rozanielony, a uśmiech szczęścia nie opuszczał ust. Dusza grała, serce rwało się z zachwytu, by toczyć krew i pobudzać go do coraz to trudniejszych figur. Był w transie, był sobą, żył!

Z takim samym zachwytem mały Furio patrzył na swojego mistrza.

– I jak dzisiejszy występ, Furio? – zapytała mała dziewczynka z drewnianymi rączkami.

– Ech, dobrze... – Chłopiec wzruszył ramionami. – Publiczność wiwatowała na stojąco przez kwadrans.

– To dlaczego się nie cieszysz?

Malec spojrzał na koleżankę, na jej bujne, jasne loki, roześmianą buzię i drewniane ręce, z których nic sobie nie robiła.

– Wiesz, Celia, mój mistrz umie tańczyć znacznie lepiej niż jego ku... kulturalny tancerz.

– Oj, przestań, od dawna wiem, że to kukła. – Dziewczynka beztrąsko machnęła ręką. – Od dnia, w którym pokazałeś mi teatr.

– Nikomu nie wolno o tym mówić! – Furio przyłożył palec do ust i rozejrzał się nerwowo. – Rozumiesz?

– Wiem, wiem. – Celia usiadła na stopniach starego, opuszczonego domu, gdzie zawsze się spotykali. – Dlaczego nie powiesz mu, że sam tańczy lepiej od lalki?

– Mówiłem, i to dwa razy. – Chłopiec usiadł obok, zrezygnowany.

– Widocznie robiłeś to bez większego przekonania.

– Co masz na myśli? – Malec zmarszczył brwi.

– Jesteś jego przyjacielem i musisz mu powiedzieć prawdę, ale tak, żeby zrozumiał. – Celia poprawiła mimowolnie starą, lekko już zniszczoną sukienkę. – Tylko przyjaciel może powiedzieć ci coś, co tak naprawdę wiesz, ale nie chcesz dopuścić do siebie.

Furio milczał długą chwilę, patrząc to na swoje buty, to na Celię.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

– Tak samo jak ty moim, Furio.

– Pójdiesz ze mną znowu do teatru? – Chłopiec złapał dziewczynkę za rękę. – Może przy tobie będę miał więcej odwagi.

Arezio Tramonte wchodził jak najciszej po schodach kamienicy, w której mieszkał. Poprawił cylinder, spuścił go głębiej na czoło i ściągnął mocniej pelerynę. Nie chciał zostać przypadkowo zaczepiony przez jakiegoś sąsiada. Chciał znaleźć się już w mieszkaniu po udanym przedstawieniu, nacieszyć chwilą radosnego uniesienia. Wiedział przecież, jak szybko mija.

Rozebrał się i poszedł od razu do łazienki. Nie był głodny, w dzień występu mógł w ogóle nie jeść, żył tylko przedstawieniem. Zgrabnie wskoczył do wanny, co zupełnie przeczyło jego niekształtnej sylwetce,

ale nie napuścił wody. Wziął krótki prysznic, by jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Tam, leżąc i patrząc w sufit, najlepiej myślało mu się o minionym występie i planowało następny.

Naciągnął pościel wysoko, pod samą brodę. Chude ręce i nogi szybko marzły, gdy tylko odkrywał się nieznacznie.

Położył przed sobą nowy nabytek, szpule z mikrolinkami rozmiar osiem. Cekał na nie od pół roku. Wykorzysta je do podłączenia osobno każdego palca u dłoni. Zyska dodatkowe ruchy, będzie mógł w wysublimowany sposób wyrazić ulotny element ekspresji, którego brakowało mu do wymyślonemu, wyjątkowemu układowi. To będzie jego występ życia. Ostateczne spełnienie.

Poprawił przytkniętą do oka soczewkę. Musiał uważać, aby każde łączenie było niezawodne, by nie rozwiązało się w trakcie występu i jednym machnięciem bezwładnego palca nie przekreśliło bezbłędnego tańca.

– Dzień dobry, Mistrzu!

– Dzień dobry, mój chłopcze. – Tym razem Arezio nie dał się zaskoczyć i nie oderwał wzroku od pracy. – Co cię do mnie sprowadza w środku dnia? Nie powinienes być na targu?

– Chciałem panu kogoś przedstawić.

Tramonte usłyszał szuranie za plecami.

– To jest Celia – dodał malec.

Mężczyzna odwrócił się powoli, dopiero teraz dostrzegając dziewczynkę obok chłopca. Sięgnął instynktownie do głowy, ale powstrzymał się w połowie ruchu. Nie miał na niej cylindra, a zasłanianie łysog i plamistego łba nic by już teraz nie dało.

Od razu zauważył drewniane ręce malej. Kolejny dziwoląg w ich malej grupce, chyba nie mogło być inaczej.

– Dzień dobry. – Dziewczynka pięknie się uśmiechnęła i dygnęła z gracją.

Była ładna, bez dwóch zdań, jej kręcone, zapewne naturalne loki spływały luźno na ramiona, a cała sylwetka prezentowała się nienagannie. Jak u tancerki. Arezio starał się powstrzymać uśmiech. Mały miał gust.

– Dzień dobry, dzień dobry... – Poprawił się nerwowo na stołku, gdy przypomniał sobie o własnej brzydocie. – W czym wam mogę pomóc? Potrzebujecie drobnych?

– Nie, nie. – Chłopiec energicznie zaprzeczył. – Celia ma drewniane ręce.

– Widzę, dziecko, widzę. – Arezio sapnął niezadowolony. – Mógłbyś mieć więcej tactu.

– I ona tymi rękami wyczuwa wszystko, co się dzieje z drewnem, deskami i różnymi drewnianymi rzeczami. – Malec wyrzucił z siebie słowa jak z pistoletu.

– Co to znaczy: wyczuwa? – Tramonte pochylił się, by dokładnie zlustrować towarzyszkę Furio.

– Wiem, czy coś się dzieje w środku – Celia odpowiedziała już sama. – To znaczy, czy drewno nie jest wadliwe, czy nie pęknie w najbliższym czasie i takie tam...

Mała ściszyła głos, speszona baczny spojrzeniem starszego mężczyzny.

– Mogłabym sprawdzić pana organy, czy wszystko jest w porządku – dodała.

Arezio milczał. Przyglądał się w zamyśleniu dwójce dzieciaków. Chłopakowi, który wpatrywał się w niego tymi wielkimi, czarnymi oczyma. Dziewczynce, która spłotła dłonie, a te wydały przy tym dźwięk jak pionki przewracane na szachownicy. Popatrzył na swoje cienkie palce i chudziutkie nóżki.

Czy sztuka musi przyciągać samych cudaków? Czy może oni są normalni, a wokół pełno jest takich samych, nienormalnie podobnych do siebie ludzi?

– To ciekawe, bardzo ciekawe. – Uśmiechnął się, choć przez zamknięte usta.

Zauważył, jak dziewczynka szturcha chłopaka w plecy.

– I chciałbym z panem o czymś porozmawiać, Mistrzu. – Mały zrobił marsową minę. – Bardzo poważnie.

Furio wspinał się po skomplikowanym systemie rusztowań tuż nad sceną. Pełno tu było przekładni, ruchomych krążków i drążków. Wszystko turkotało ledwie słyszalnie i co chwilę zmieniało położenie. To Mistrz Tramonte za pomocą organów ruchu sterował swoją kukłą. Właśnie odbywał się spektakl.

Chłopak zacisnął usta i mocniej chwycił się nielicznych stałych belek. Mistrz zrugął go okrutnie za kolejną namowę do tańca. Zagroził wyrzuceniem z teatru, jeśli Furio kiedykolwiek powróci do tematu. Ale chłopiec miał w głowie słowa Celi: „Tylko przyjaciel może powiedzieć ci coś, czego nie chcesz dopuścić do siebie”.

Mistrz Tramonte nie dopuścił, ale chłopak znalazł sposób, by wreszcie zmusić Mistrza do wyjścia z własnego cienia. Pochylił się i puknął delikatnie jeden z ruchomych drążków.

Arezio zadrżał, widząc przez okular ledwo dostrzegalne potknięcie swego tancerza. Szybko zlustrował przyciski i klawisze, nie przestając wybijać na nich rytmu obranego układu. Wszystko wyglądało prawidłowo.

– Furio, Furio! – zawołał cicho, ale chłopca przy nim nie było.

I kolejne potknięcie. Tym razem mogło zostać dostrzeżone przez bardziej wytrawnych widzów. Pot zalał czoło Tramonte. W przebiegu myśli skierował okular na konstrukcję ponad sceną. Był tam! Ten mały, niewdzięczny gałgan siedział i grzebał przy jego przekładniach! Arezio, improwizując, błyskawicznie wykonał baletowy *enchaînement*, uciekając z tancerzem na drugi koniec sceny. Teraz musiał obserwować i scenę, i konstrukcję, bo mały zdrajca nie ustawał w wysiłkach, żeby popsuć mu występ, i starał się dotrzeć w pobliże drążków nad manekinem.



Arezio z najwyższym wysiłkiem, sapiąc i dysząc, kończył przedstawienie. Na szczęście chłopakowi nie udało się dotrzeć w porę do odpowiednich krążków, by mógł zniszczyć spektakl. Tramonte stał teraz i przez niewielką dziurkę w kurtynie przyglądał się owacji na stojąco. Z trudem ocierał pot z czoła, bo ręce nadal drżały mu ze zdenerwowania.

I wtedy zbladł, a nogi ugięły się pod nim tak, że o mało nie upadł. Na scenę dziarskim krokiem, z jego cylindrem na głowie, wszedł Furio. Staął na środku i uklonił się nisko.

– Szanowni państwo! Szanowni państwo! – Rozłożył szeroko ramiona, uspokajając owacje publiczności. – Z nieukrywaną radością chciałbym ogłosić, że stanie się to, co wyczekiwane było od dawna. W następnym spektaklu zatańczy dla państwa sam Mistrz Arezio Tramonte!

Burzy braw nie było końca.

– Ty mały łobuzie, ty zdrajco! – Arezio szarpał chłopca za koszulę. – Jak mogłeś! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem.

Malec nie stawiał oporu, stał w milczeniu, wpatrując się w swojego mistrza.

– Zniszczyłeś mnie, rozumiesz?! – krzyczał Tramonte. – Zniszczyłeś wszystko, na co tak ciężko pracowałem przez lata...

Z mężczyzny uszło powietrze. Zwiesił ramiona i ciężko opuszczył głowę.

– To nieprawda.

– Coś ty powiedział? Coś ty powiedział, smarkaczu?!

Zarzucanie nieprawdy Arezio Tramonte podziało na niego jak najgorsza potwarz. Znów mocno chwycił chłopaka.

– Czy ty nie rozumiesz, że będę teraz MUSIAŁ wystąpić?! Że wymaga tego moje dobre imię? Wiesz, że tym samym stracę wszystko, co tak ciężko przyszło mi osiągnąć? Dlaczego chcesz mnie ośmieszyć?

– Pomogłem panu, tak jak pan pomógł kiedyś mnie. – W kącikach czarnych oczu Furio pojawiły się łzy. – Czas powiedzieć ludziom prawdę, pokazać siebie, nie kukłę.

– On to ja! Wkładałem w niego całą duszę! A ty mnie zabiłeś! – Arezio Tramonte uderzył chłopca w twarz.

Mały wyrwał się z uścisku mistrza i uciekł bez słowa.

– Furio, zaczekaj! Furio! – wołał za nim. – Furio, ja nie...

Wydawało mu się, że zobaczył w cieniu jakąś postać, dziewczynkę. Mężczyzna oparł się plecami o ścianę, nogi ugięły się pod nim i bezsilny opadł na podłogę.

Ukrył twarz w małych dłoniach i zapłakał.

Długo jeszcze Arezio Tramonte siedział na podłodze swego teatru. Był tam nadal, gdy na zewnątrz dawno zapadła już noc.

Pierwszy raz korzystał z garderoby w celach, do jakich była przeznaczona. Trochę zajęło mu wyczyszczenie lustra z brudu i kurzu. Wymienił też kilka przepalonych żarówek w listwach wokół toaletki. Doskonale widział teraz wszystkie plamy na łysej głowie i poprawił garstkę włosów, które się na niej ostały. Trenował uśmiech bez otwierania ust, by nie zgorszyć widowni ostrymi zębami.

Dwie godziny zeszły mu, zanim zrobił odpowiedni makijaż. Wyraźnie wyszedł z wprawy, ale przynajmniej nie wyglądał tak błado jak zawsze. Pomalował usta czerwoną szminką i nałożył trochę koloru na policzki. Na końcu wyciągnął z szuflady perukę o złotych włosach, którą kupił lata temu, z myślą właśnie o takiej chwili. Założył ją i przyjrzał się sobie. Wyglądał inaczej, odrobinę podretuszował swój brzydki wizerunek, choć beczkowatego ciała i cienkich „odnóży” nie potrafił zmienić.

Jednak im dłużej się przyglądał, tym bardziej smutniał.

Powoli ściągnął perukę z głowy i odłożył ją z powrotem na miejsce. Sięgnął po wodę z alkoholem i watę, by zmyć makijaż.

Dosyć już miał fałszywych obrazów, sztucznych póz i nieprawdziwych słów. Dosyć.

Obejrzał się. Furio stał w drzwiach, czekając bez słowa.

– Puść muzykę dokładnie na mój sygnał. – Arezio kolejny raz otarł wilgotne czoło, jeszcze nigdy się tak nie pocił.

Słyszał ożywione rozmowy na widowni. Czekali na niego podeksytowani. Odetchnął głęboko i spojrzał na chłopca.

– Furio... – Chciał coś powiedzieć, podziękować, przeprosić, bo jeszcze tego nie zrobił, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Malec popatrzył na niego ufnie, uśmiechnął się i przytaknął głową. Mistrz Arezio Tramonte wyszedł na scenę.

Stał w pozie *en face* i poczekał, aż ucichną zdziwione rozmowy. Machnął dyskretnie ułożoną za plecami dłonią i zaraz po tym popłynęła muzyka. Przymknął oczy, poczuł przyjemne mrowienie i dreszcz emocji. Pochylił się do *soutenu*, by przygotować *pas* ustawić się do *chassé*, a gdy skoczył, gdy druga noga dogoniła pierwszą i połączył je razem w najwyższym punkcie skoku, wszystko puściło. Oddał się tańcowi bez reszty.

Płynął po scenie, przechodził z *failli* do kilku skoków *grand pas jeté*. Wirował na podłodze w *terre à terre*, by zaraz zerwać się z niej i płynnie przejść do *fouetté*. Jego dusza śpiewała, jego dusza krzyczała, a on uśmiechał się radośnie, tańcząc jak w transie, upojony miłością do muzyki, do słowa, do tańca.

W kulminacyjnym momencie skoczył w powietrze do *cabriole*. Wyrzucił nogę w górę i do przodu w pozie *arabesque*, odchylił tułów do tyłu i zawisł w powietrzu, by kilka razy uderzyć nogą o nogę. Wyładował zgrabnie i uklonił się z godnością.

Muzyka umilkła.

Mistrz Tramonte podniósł głowę i powiódł wzrokiem po wyłaniającej się z cienia widowni.

Zapanowała cisza.

Dariusz Zasadzki – pochodzi z Działdowa, ale dwadzieścia pięć lat temu powędrował do Gdańska, w którym osiadł, ożenił się i został ojcem. Kiedyś idealista, teraz pragmatyk. Od czasu do czasu coś napisze i opublikuje w Internecie. Bywalec forum fantastyka.pl, był też redaktorem prozy na portalu-pisarskim.pl. Przez jeden dzień wierzył, że może żyć z pisarstwa, lecz ten dzień już minął. Inżynier, który stara się łączyć ze sztuką. Inspiracje czerpie z malarstwa, filmu i muzyki, ale przede wszystkim z otaczającego go świata.

Fragmenty archiwalnych recenzji z portalu fantastyka.pl:

Świat przedstawiony, bohaterowie, wszystko mnie porwało. (...) Ciekawe opowiadanie o przyjaźni oraz walce ze słabościami i wstydlivością.
sy

Świetna prezentacja Mistrza Tramonte. Wspaniały, ale jednak niepozbawiony obaw. Genialny, choć przy tym chyba trochę samotny. Pozwalasz być Mistrzem. Zapraszasz do jego świata. I wszystko to odbywa się w sposób całkowicie niewymuszony.
CM

Tekst z gatunku tych, obok których trudno przejść obojętnie. Porusza, bo dotyczy kwestii odbioru sztuki i wewnętrznych lęków człowieka.
ANDO

Pięknie napisane, znakomicie uchwycony klimat. (...) Lepszego zdania na koniec nie mogłeś wymyślić, zmuszasz po prostu rozpędzoną wyobraźnię do łomotu w ścianę i rozsypania się (...) i to jest rewelacyjne.

Paulina Klimentowska (Bellatrix)

Dwa księżycy

Aleksandra Klęczar

Petent przyszedł późnym popołudniem, tuż przed zamknięciem biura. Kinga Duchacka zdążyła już wyłączyć komputer, podlać fikus resztką wody z czajnika i zostawić na tablicy wiadomość dla pana Mirka, który jak zwykle miał dziś nocny dyżur. Wpadła jeszcze biegiem do łazienki, poprawiła spięte w kucyk włosy i jak zwykle zastanowiła się, czy jako urzędniczka z kilkunastoletnim stażem nie powinna aby zafundować sobie odpowiedniejszej fryzury.

Jutro o tym pomyślę – powtórzyła sobie jak zwykle.

Już prawie wychodziła – właśnie sięgała po kurtkę, bo lipiec był chłodny i nad Krakowem nieustannie wisały deszczowe chmury – kiedy do biura zdecydowanym krokiem wszedł mężczyzna w eleganckim płaszczu.

– Pani jest kuratorem do spraw Ontologicznych Mniejszości? – zapytał tonem człowieka przywykłego do wydawania poleceń.

Kinga skinęła głową i już miała powiedzieć, że niestety pracują do piątej, a jest pięć po, ale nim zdążyła otworzyć usta, petent oświadczył:

– To dobrze, bo mam sprawę. Wiśniewski, Karol. Chyba pani jeszcze nie wychodzi?

Kinga z westchnieniem odwiesiła kurtkę i usiadła.

– Owszem, wychodziłam. Ale skoro już pan jest, może pan zgłosić problem – powiedziała. – Obawiam się jednak, że zanim zrobimy wywiad i wstępne rozpoznanie, to będzie wieczór. Najprawdopodobniej samą sprawą zajmiemy się dopiero jutro. A o co dokładnie chodzi?

– Wampir zagnieździł się nam w stawie ogrodowym – odparł petent ze śmiertelną powagą.

– Wampiry bardzo rzadko siedzą pod wodą – wyjaśniła Kinga następnego dnia. Ona i wczorajszy gość, właściciel zawampirzonego stawu, poszli obejrzyć podejrzane miejsce.

Kuratorka czuła się nieswojo. Wiśniewski ewidentnie spodziewał się po niej natychmiastowego wyjaśnienia, a ona go nie miała. Opo- wieść o wampirze w oczku wodnym nie zgadzała się z wiedzą, jaką nabyła w ciągu dwunastu lat pracy. Kiedy poprzedniego dnia wróciła do swojego zagraconego mieszkania, spędziła sporą część wieczoru na poszukiwaniu powiązań między wampiryzmem a jeziorami – bez- skutecznie. Niczego się nie dowiedziała, a na dodatek znowu była niewyspana i przeklinała w duchu swoje skłonności do popadania w pracoholizm.

– Płynąca woda w wielu tradycjach uchodzi za wyjątkowo niebez- pieczną dla wampira, niemożliwą do przekroczenia i tak dalej – kon- tynuowała, powtarzając znane z materiałów szkoleniowych fakty. – Stawek w ogrodzie to trochę co innego, oczywiście, ale generalnie nie podejrzewałabym akurat tego rodzaju istoty o ukrywanie się w zbior- niku wodnym.

– Sama pani zobaczy – powiedział Wiśniewski i poprowadził ją po starannie wypielegnowanych ścieżkach, wśród klombów z roślinami, w kierunku stawku.

Teren ogrodu obfitował w małe oczka wodne, ale to konkretne od- różniało się od reszty: nie rosły na nim nenufary, nie było mostków ani malowniczo pochyłających się nad wodą drzewek. Z wody wyła- niały się za to smukłe, nagie łodygi, ozdobione gdzieśdzwon- kami białych kwiatów.

– To tu – powiedział Wiśniewski. – Widzi pani te kwiatki? Żona chciała ściąć kilka do ozdoby... – urwał. Milczał przez moment z od- wróconą głową. Odkasznął i zanim Kinga zdążyła zapytać, kontynu- ował: – W każdym razie, Magda poszła po kwiaty. Ja byłem w pra- cy. W przerwie patrzę na telefon, a tam kilkanaście nieodebranych połączeń. Oddzwoniłem. Odebrała gospoś, prosiła, żebym jak naj- szybciej przyjechał, bo żona w złym stanie. Magda... ona ma pewne problemy ze sobą, rozumie pani. Jest pod dobrą opieką, ale czasami zdarzają się jej takie napady smutku, płaczu... – Chrząknął. – Nie zawsze spowodowane czymś dla kogoś z zewnątrz zrozumiałym.

Co miałem zrobić? Przyjechałem. Gospościa zdążyła już na szczęście zadzwonić po pielęgniarkę. Najkrócej mówiąc, okazało się, że Magda zerwała kwiaty i natychmiast poczuła, że, jak się wyraziła, krew jej cieknie po rękach. Poszedłem z nią porozmawiać. Nie mogła się uspokoić i koniecznie chciała mi pokazać, co się z tymi kwiatami dzieje. Posłała mnie nad staw, kazała ściąć kilka. Poszedłem, przekonany, że jedyne, na co się natknę, to błoto.

– I co? – zapytała Kinga.

– I krew mi się połała po rękach, jak tylko zerwałem pierwszą roślinę – powiedział głucho.

– To jakiś absurd. Wiśniewski ma swoje podejrzenia, ale szansa, że gdzieś pod stawkiem spoczywa pradawny wampir, z którego ciała wyrastają te rośliny, jest zerowa – podsumowała Kinga.

Siedzieli w biurze: ona w fotelu, a jej współpracownik, dyżurujący wyłącznie nocami pan Mirek, przy biurku, ze stosikiem książek pod ręką. Mężczyzna pokiwał głową.

– Skąd w ogóle taki pomysł? – zapytał.

– Podejrzewam, że o Ontologicznych Mniejszościach wie tyle, co z seriali. – Kinga westchnęła. – Facet jest ewidentnie zamożny i najchętniej nie wychodziłby z pracy. Wystarczy, że nikt z OM u niego nie pracuje... Sam pan wie, z edukacją bywa różnie. Skądinąd, jak pan sądzi, co tam w ogóle może być?

– Nie mam pojęcia. A nie uważa pani, szefowo, że to raczej sprawa dla policji? – Pan Mirek podniósł wzrok znad kolejnej cegły o folklorze. W jego wielkich dłoniach nawet potężne tomiszczą wyglądały jak małe książeczki.

– Dla policji? – Kinga odruchowo poprawiła związane w kucyk włosy w mysim kolorze. – Przez tę krew? Może i racja, my się zajmujemy relacjami między naszymi OM a społecznością ludzką, a nie rozwiązywaniem zagadek...



Zamilkła, przypominając sobie niedawną kłótnię z policją o przekroczenie uprawnień i zdecydowane pouczenia, jakich udzieliło jej wtedy szefostwo.

– Jutro zadzwonię do podkomisarza Krawczyka, niech mi powie, jak policja może nam w tym pomóc albo my im – powiedziała po chwili. – A pan, gdyby nie było nic lepszego do roboty, może pogrzebałby po książkach za informacją o roślinie, która krwawi?

Wprost z budynku Kinga weszła w morze mgły. Gęste opary kłębiły się na ulicach, wypełniały przestrzeń. Latarnie uliczne z trudem rozpraszały mrok. Ich światło kładło się sinymi plamami na płytach chodnika. Choć był lipiec, Kinga czuła, jak zimne i wilgotne powietrze przenika ją do szpiku kości.

Gdy tylko dotarła do domu, dorzuciła džinsy i bluzę do rosnącego w łazience stosika rzeczy do uprania. Spojrzała na zegar: zbliżała się jedenasta. Nie miała szans zdążyć jeszcze dziś z porządkami, ale trudno, może w weekend się uda. Poszła pod prysznic z mocnym postanowieniem, że po kąpieli jeszcze popracuje, ale niewiele z tego wynikło. Dzwonek telefonu wyrwał ją z drzemki nad najnowszym raportem wojewódzkiego kuratora do spraw OM.

Kinga nie rozpoznała numeru, ale wiedziała, że o tej porze na jej służbową komórkę raczej nikt nie będzie dzwonił bez powodu. Pełna złych przeczuć odebrała.

– Pani Duchacka? Koordynatorka kuratorów OM dla Starego Miasta, Podgórza i Grzegórzek? – zapytał męski głos. – Za chwilę przyjedzie po panią samochód. Jest pani wzywana na spotkanie sztabu.

– Jakiego... – Kinga kaszlnęła, usiłując strząsnąć z siebie resztki snu. – Jakiego sztabu?

– Kryzysowego. Specjalnego. U prezydenta – wyjaśnił rozmówca. – Rozumiem, że mieszka pani pod adresem, który mamy w aktach?

Światło z okien magistratu z trudem przebijało się przez gęstniejącą mgłę, gdy kierowca wysadził Kingę na parkingu obok kościoła franciszkanów. Kuląc się w wilgotnym powietrzu, szybkim krokiem przemierzyła kilkanaście metrów dzielących ją od wejścia do budynku.

– Kurator Duchacka? – zapytał młody człowiek, kiedy tylko weszła do środka. – Prosimy do gabinetu pani wiceprezydent.

Kinga podziękowała skinieniem głowy i ruszyła na piętro. Zdecydowanie odwróciła wzrok od swojego odbicia w mijanym lustrze. Wiedziała, że w porwanych pospiesznie ze stosiku w łazience dzinsach i niewyprasowanej bluzie nie wygląda odpowiednio poważnie na urzędowe spotkanie, a zebrane niedbale w kucyk włosy na pewno nie pomagają. Pocieszała się, że o północy i na zwołanym z zaskoczenia posiedzeniu ma szansę nie być jedyną mało elegancką osobą.

Jeżeli liczyła na to, że jedną z nich będzie wiceprezydent miasta, Jadwiga Król – zwana za plecami Królową Jadwigą – to się myliła. Pani prezydent wyglądała, jakby właśnie wyszła z oficjalnego spotkania.

Gabinet wiceprezydent okazał się wypełniony ludźmi. Duchacka rozpoznała część z nich: koordynatorów pozostałych dzielnic, podkomisarza Bachledę z policji, Martę Tran z biura lekarza wojewódzkiego. Nastrój w pomieszczeniu był nerwowy. Kinga nie miała wątpliwości, że nie tylko ona nie wie, dlaczego ich tu wezwano. W ciągu dwunastu lat jej pracy w urzędzie kuratora tego rodzaju alarm zdarzył się dwa razy, ale wiedziała o tym tylko z biurowych plotek, bo była wtedy jeszcze początkującą pracownicą niższego szczebla. Od kiedy trzy lata temu awansowała na koordynatorkę trzech dzielnic, nie miała jeszcze okazji uczestniczyć w żadnym kryzysowym posiedzeniu.

Na szczęście – pomyślała ponuro. Zdecydowanie nie lubiła niespodzianek.

Zastanawiała się też, co na tym spotkaniu robi wystraszony nastolatek, siedzący w kącie.

– Proszę państwa. – Kinga tak głęboko pogрузzyła się w myślach, że nie zauważyła, kiedy wiceprezydent zajęła miejsce u szczytu stołu. – Witam w tych nietypowych okolicznościach. Zapewne część z państwa zastanawia się, po co was tu sprowadziliśmy.

Dwadzieścia kilka par oczu skupiło się na niej.

– Otóż dziś wieczorem pojawił się nagły problem. – Wiceprezydent Król wzięła głęboki oddech, zanim dokończyła: – Zostaliśmy odcięci. Z miasta nie da się wyjść ani wyjechać. A ta mgła...

A ta mgła jest żywa – pomyślała nagle Kinga. *I coś paskudnego w niej siedzi.*

Nikt, jak się okazało, nie umiał wyjaśnić, co się stało i dlaczego granice Krakowa niespodziewanie zamknęły się przed światem. To właśnie opowiedział wezwany na posiedzenie wystraszony nastolatek, który usiłował tego dnia wybrać się na nocną rowerową wycieczkę za miasto. Jego relację potwierdzili strażacy – im też nie udało się wyjechać poza Kraków, gdy wezwano ich do wypadku.

– Jak państwo zapewne wiecie – powiedziała w końcu Król – prezydent pojechał wczoraj do Warszawy i chwilowo, niestety, nie może wrócić, co stawia mnie na czele samorządu. Sytuacja jest trudna: już zaczyna się panika, jako że pierwsze przypadki niemożności przekroczenia granicy Krakowa zaobserwowano pod wieczór. Na chwilę obecną nie mamy pojęcia, jaka może być przyczyna tego fenomenu. Musimy podjąć intensywne działania w celu jego wyjaśnienia, a jednocześnie rozpocząć pracę nad przywróceniem normalnej komunikacji między naszym miastem a resztą kraju. Trzeba też wziąć pod uwagę problemy społeczne. Czy mogę prosić o zabranie głosu panią koordynator wojewódzką do spraw OM, Małgorzatę Mołek?

Niewysoka, ubrana stanowczo zbyt elegancko jak na tę okazję (zapewne wyciągnięto ją wprost z wieczornej imprezy), energicznym ruchem sięgnęła po mikrofon.

– Nie mam żadnych wątpliwości – zaczęła – że wybuchy niezadowolenia społecznego będą i że mają ogromną szansę skupić się na Ontologicznych Mniejszościach. Nie jest jednak wykluczone, że ktoś ze środowiska OM stoi za całą tą sprawą. Proponuję, żeby wszyscy koordynatorzy jak najszybciej wysłali swoich pracowników do podopiecznych i do lokalnych instytucji samorządowych środowisk OM. Proszę uczulić przedstawicieli mniejszości, że powinni w obecnej sytuacji po pierwsze zadbać o własne bezpieczeństwo. Po drugie, jeżeli mają jakiegokolwiek informacje mogące rzucić światło na bieżące wydarzenia, muszą je nam natychmiast przekazać. Im szybciej zadziałamy, tym lepiej: proponuję kwadrans przerwy w obradach, żeby mogli państwo w tym czasie obdzwonić lokalnych kuratorów i przekazać im nasze ustalenia...

Kinga bardzo starała się nie przewracać oczami w czasie tej tyrady. Lubiła swoją szefową, ale doświadczenie podpowiadało jej, że przez „zadbanie o własne bezpieczeństwo” rozumie ona zabarykadowanie się w domach i udawanie, że się nie istnieje. Dwanaście lat doświadczenia w pracy – najpierw z rodziną wilkołaków, a potem z krakowskimi wampirami – nauczyło Kingę, że taka taktyka rzadko bywa skuteczna. To, co działało w przypadku duchów, z którymi najczęściej miała do czynienia jej szefowa, niekoniecznie sprawdzało się w innych grupach. Już sobie wyobrażała reakcje co bardziej dumnych podopiecznych na informację, że mają zostać w domach, czekać na rozwiązanie sprawy i jakby co, szybciotko dawać znać o wszelkich podejrzanych zachowaniach we własnym środowisku.

Zgodnie z poleceniem szefowej Kinga zadzwoniła do pana Mirka i zostawiła mu dyspozycje na następny dzień. Podziękowała w myślach losowi za fakt, że szefostwo, zgodnie z jej rekomendacją, parę lat temu jako pierwsze w kraju zatrudniło przedstawiciela Ontologicznej Mniejszości w biurze kuratora do spraw OM. Decyzja była kontrowersyjna, ale okazała się wysoce trafiona, gdyż pan Mirek, wampir z trzydziestoletnim stażem, wniósł do pracy nie tylko swoją wiedzę

o lokalnym środowisku, ale i rewelacyjne, z punktu widzenia Kingi, rozwiązanie kwestii nocnych dyżurów w biurze.

– Myśli pani, że to ma coś wspólnego z naszymi krwawymi kwiatkami? – zapytał pan Mirek.

– Nie mam pojęcia – mruknęła Kinga. – Zaraz opowiem o tym szefowej, niech no tylko uda mi się ją dopaść choć na chwilę.

– Dobrze, że pani to zgłosiła. – Inspektor Bachleda przeczesał dłonią siwiejące włosy, poprawił okulary i z zadowoleniem skinął głową, kiedy Kinga, wysłana do niego przez przełożoną, skończyła opowiadać o krwawiących kwiatkach. – W tej chwili potrzebne nam wszelkie możliwe tropy, choć to akurat nie wygląda szczególnie groźnie. Pani kolega z Bronowic doniósł o widmowych postaciach oraz odgłosach walki i kobiecych krzykach dochodzących z tej mgły. Na tym chwilowo się skupiamy. Proszę trzymać swoich podopiecznych we względnej izolacji, dobrze?

– Panie inspektorze... – zaczęła Kinga, ale Bachleda jej przerwał:

– Generalnie będziemy wdzięczni, jeżeli uda się pani utrzymać spokój wśród społeczności OM – dodał. – Proszę nie zawracać sobie głowy tą sprawą z krwią, my ją oczywiście przejmujemy.

– Oczywiście – odparła Kinga.

Wiedziała, że z dyskusji z Bachledą nie wyniknie nic dobrego, ale i tak była zła na siebie, że nie zaprotestowała. Podejrzewała, że próby utrzymania podopiecznych w, jak to ujął inspektor, względnej izolacji, skończą się niejedną awanturą.

Gdy kierowca, który miał odwieźć ją do domu, ruszył z parkingu, Kinga podjęła spontaniczną decyzję:

– Wie pan co? Zamiast do domu, proszę mnie zawieźć do biura. Ulica Przy Rondzie.

Wysiadła z samochodu w gęstą mgłę i spojrzała na zegarek. Trzecia piętnaście. Pan Mirek będzie lekko zaskoczony.

Swojego współpracownika zastała w fotelu, pogrążonego w lekturze jakiegoś folklorystycznego czasopisma.

– Dobry wieczór – powiedziała Kinga. – Coś ciekawego?

Pan Mirek, wbity w swój z lekka przyciasny garnitur z lat dwięćdziesiątych, w którym z uporem przychodził do pracy, podniósł na nią wzrok.

– Tak podejrzewałem, że pani nie wysiedzi sama w domu. – Pokiwał głową. – Nastawiłem ekspres.

Kinga sięgnęła po dzbanek i nalała kawy do obitego kubeczka.

– Szukałem tych krwawiących roślin – powiedział pan Mirek. – Jedyne, co znalazłem w repozytoriach, to mandragora. Nazwa mi się gdzieś o uszy obijała, ale nie żebym wiele wiedział na jej temat. Zacząłem czytać trochę więcej...

– Hm. – Kinga usiadła w fotelu naprzeciwko pana Mirka, obejmując dłońmi kubek. – Żadne z nas nie jest etnografem. O mandragorze wiem tyle, że według legend krwawi, kiedy wyrывa się ją z ziemi, i że ma mnóstwo magicznych zastosowań. Zaraz napiszę maila do kuratora wojewódzkiego, muszą tam mieć kogoś od wiedźm i czarów... No i to nasze zielsko nie wygląda jak mandragora.

– Raczej jak dzwoneczki – potwierdził pan Mirek, wskazując na leżące na biurku zdjęcia fatalnych roślin. – Słyszała pani o morderczych dzwoneczkach?

Kinga pokręciła głową. Odstawiła kubek i sięgnęła po laptopa.

– A my wiemy w ogóle, co to za roślina? – spytała. – Bo Wiśniewski nie wie, ktoś z rodziny im to podobno przywiózł.

– Jeszcze nie. – Pan Mirek sięgnął po atlas roślin. – Ale się dowiemy.

– Jak już piszę te maile – mruknęła – to poproszę przy okazji o konsultację z botanikiem. Rozesłał pan wiadomości do naszych kuratorów? Tak? Świetnie. Wobec tego ja rano pojedę do Wiśniewskich i spróbuję wyciągnąć z nich więcej informacji, a wieczorem zobaczymy, co dalej. Będę pod telefonem.

Pan Mirek popatrzył na nią badawczo.

– A nie powinna pani być tutaj? – zapytał. – Jakby, wie pani, coś się działo? Większości z naszych nie spodoba się ten areszt domowy...

– Przecież to wampiry. I tak nie zareagują aż do wieczora – powiedziała trzeźwo Kinga. – A wtedy już zdążę wrócić. Dzisiaj i tak było za późno, żeby wszystkich zawiadomiać; mogłabym objechać moich własnych podopiecznych, ale nie ma szans, żebym wyciągnęła z łóżka wszystkich pracowników i posłała ich w teren o tej porze.

Pan Mirek pokiwał głową, ale Kinga widziała, że nie jest przekonany.

– Koniecznie chce tam pani iść – powiedział z lekką naganą w głosie.

Kinga przytaknęła.

– Chcę czy nie chcę, pewnie jutro przyjdzie ktoś od Bachledy i pojedziemy tam razem – wyjaśniła, tłumiąc ziewanie. – Policja musi to sprawdzić.

– A teraz niech się pani zdrzemnie – stwierdził pan Mirek zdecydowanym tonem. – I tak pani nie wypila tej kawy. Proszę. – Podał jej koc, który trzymali w szafce na takie okazje. – Obudzę panią o ósmej.

Następnego poranka Kinga spotkała się na parkingu z doskonale sobie znanym podkomisarzem Krawczykiem, z którym miała wybrać się do willi Wiśniewskich.

Miasto wciąż spowijała gęsta, szara mgła. Kindze wydawało się, że teraz i ona słyszy dochodzące z niej niesamowite odgłosy, jęki i szcęk broni. Im bardziej wpatrywała się w mgłę, tym silniejsze miała wrażenie, że ktoś stamtąd, ze środka tej mgły, spogląda na nią wzrokiem pełnym szaleństwa i lęku.

Krawczyk prowadził. Jechali wolno – widoczność była fatalna, a ruch jak zwykle spory. Jeśli jednak chodziło o pieszych, widziała zdecydowanie mniej osób niż zazwyczaj o tej porze.

Nic dziwnego – pomyślała. Jest sobota rano, ale mało kto ma ochotę spacerować w tej mgle, wśród niepokojących, niezrozumiałych odgłosów.

Wiśniewski – do którego Kinga zadzwoniła wcześniej z informacją, że przyjeżdżają – czekał na nich przy bramie ogrodu. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Zapraszam, zapraszam – powiedział, kiedy tylko Kinga z Krawczykiem wygramolili się z auta. Nerwowo zaciśnięte dłonie przeczyły przyjaznemu tonowi. – Chcą państwo kawy? Mamy czas, w firmie muszą sobie dziś poradzić beze mnie.

Nie czekając na odpowiedź, poprowadził ich na taras. Usiedli. Chwilę potem gospodyni Wiśniewskich podała im napój.

Uwagi Kingi nie uszło, że gospodarz co chwilę nerwowo spoglądał na ekran telefonu.

– Jak pan myśli, długo to potrwa? – zapytał w pewnym momencie Krawczyka. – Ta blokada miasta?

– Za wcześniej, by cokolwiek się wyjaśniło – odpowiedział dyplomatycznie policjant.

Wiśniewski z westchnieniem odłożył telefon, po czym zauważył badawcze spojrzenie Kingi.

– Moja żona jest poza Krakowem – wyjaśnił. – Pojechała do... sanatorium, wczoraj przed południem. Już chyba coś się zaczynało dziać, bo kierowca do mnie dzwonił, że samochód odmawia współpracy, były jakieś problemy przy wyjeździe z miasta. No ale w końcu się wydostali. Teraz jednak nie mogę się do nich dodzwonić, a szczerze mówiąc, trochę mnie to stresuje. Państwo naprawdę nie wiecie, co się dzieje? Bo mnie się wydaje, że nasz ogród musi mieć coś z tym wspólnego.

– To niewykluczone – odpowiedział Krawczyk, ale Kinga widziała, że nie jest przekonany.

– Dobrze. – Wiśniewski wstał energicznie. – Chodźmy do tego przekłętego stawu.

Mgła spowijała ogród, tłumiła światło, napełniała powietrze paskudną, lodowatą wilgocią. Kinga miała wrażenie, że gdzieś na granicy słyszalności dociera do niej wysoki, rozpaczliwy kobiecy krzyk.

Z otoczonego oparami stawku sterczały pojedyncze, nagie, zielone pędy. Wyrastające z nich kwiaty wydawały się nienaturalnie białe jak odsłonięte stare kości. Kinga wzdrygnęła się.

– Co to za roślina? – spytał Krawczyk.

– Nie wiem. – Wiśniewski wzruszył ramionami. – Ela, nasza córka, przywiozła to kilka lat temu z wyjazdu, chyba z Białorusi: garść nasion, jakieś podwiędnięte kłącza... Często się jej zdarzało przywozić z wakacji jakieś nasiona czy cebulki. Te posadziła i wyrosły, ale nie kwitły. No, tkwiły tu te zielone badyle, gołe takie, nieładne, ale że to było córki, to żona nie pozwoliła nawet ruszyć. Dopiero w tym roku pojawiły się kwiaty, więc Magda chciała trochę ściąć, zrobić dekorację... – Urwał. Ukrył twarz w dłoniach. – Moja córka nie żyje – powiedział w końcu. – Żona zamierzała zanieść jej na grób te kwiatki, jak wreszcie zakwitły.

– Tak mi przykro – powiedziała cicho Kinga.

– Co się stało? – spytał w tej samej chwili Krawczyk.

– Wypadek – wyjaśnił Wiśniewski. – Dwa lata temu, wczesną wiosną, po roztopach. Córka biegła nad rzeką, wcześniej rano. Jakiś facet próbował jej wyrwać telefon. Jak głupia szarpała się ze złodziejem, poślizgnęła się, wpadła do Wisły. Sprawca siedzi. Jej nie znaleźli. Żona nigdy nie wróciła do siebie po tym wszystkim. A teraz jeszcze ta mgła, ta krew... Pytałem panią o tego wampira, ale cały czas się zastanawiałem, czy to nie jakaś klątwa, coś w tej ziemi, że te wszystkie nieszczęścia... – Znowu urwał i ukrył twarz w dłoniach.

– Nie ma czegoś takiego – powiedziała zdecydowanym tonem Kinga, choć wcale nie była o końca przekonana. – Proszę tak nie myśleć. Co do tej pańskiej rośliny, skontaktowałam się z botanikiem, on nam na pewno wszystko wyjaśni. Ja i moi współpracownicy podejrzewamy, że może to coś w rodzaju mandragory. Niekoniecznie gatunkowo, ale pod względem znaczenia lub mitu. W każdym razie dziś po południu powinniśmy już coś wiedzieć. A teraz proszę chwilkę poczekać, muszę wyrwać jedną roślinę, żeby nasz fachowiec miał co badać.

Położyła torbę na trawie i podeszła do brzegu. Czy się jej zdawało, czy opary zgęstniały, a to coś, co patrzyło z mgły, podeszło bliżej? Usiłując zachować spokój, Kinga złapała gładki zielony pęd i mocno pociągnęła. Przez chwilę walczyła z uparcię trzymającą się gruntu rośliną, aż w końcu udało się jej wyszarpać ją z ziemi. W tej samej chwili poczuła, jak po jej rękach spływa coś ciepłego i lepkiego. Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, co to jest.

– Mam! – zawołała do swoich towarzyszy; przez gęstniejącą mgłę ledwie widziała ich sylwetki, choć stali ledwie kilka kroków od niej. Krew na dłoniach drażniła ją, parzyła skórę. Kinga schyliła się, sięgnęła ku powierzchni wody, by opłukać ręce.

Staw – głęboki, taki głęboki, z ciemną wodą pełną gwiazd i dymu – przyciągnął jej wzrok. Miała wrażenie, że patrzy w dawną, ponurą ciemność, rozświetloną tylko czerwonym blaskiem unoszącego się w wodzie olbrzymiego księżycy. Mrugnęła, raz, potem drugi. Miała wrażenie, że z każdą chwilą widzi lepiej i że w księżycowym świetle dostrzega cienie czegoś na dnie: wieże, mury, miasto zalane krwawym światłem jak płomieniami pożaru. Schyliła się, żeby widzieć lepiej.

Jeszcze troszkę – pomyślała. Już, zaraz pójdę, tylko spróbuję się przypatrzeć jezioru...

Gwałtowne szarpnięcie wyrwało ją z transu. Kinga otrząsnęła się, rozejrzała dookoła. Stała przechylona nad stawkiem – głębokim raptem na pół metra, niewielkim, kryjącym w sobie najwyżej korzenie tych dziwacznych roślin, z których jedną ciągle trzymała w zaciśniętej, zakrwawionej dłoni. Nie wpadła do wody tylko dlatego, że Krawczyk złapał ją za łokieć.

– Wszystko w porządku? – spytał policjant. W jego głosie Kinga wyraźnie usłyszała niepokój.

– Tak, dziękuję – odpowiedziała tonem, który nawet jej samej nie wydał się przekonujący. – Zakręciło mi się w głowie, nic poważnego.

Wiśniewski stał ze schyloną głową. Kinga nagle nabrała pewności, że kiedy ich gospodarz patrzy w wodę jeziora, widzi to samo, co przed chwilą zobaczyła ona.

– Chyba już wiemy, gdzie jest źródło problemu – powiedział przez telefon Krawczyk jakieś dwie godziny później. Kinga szykowała się właśnie do wyjścia z domu; musiała przecież, zgodnie z poleceniem szefowej, objechać domy podopiecznych i poinformować ich, że nie powinni tych domów opuszczać.

– Tak? – zapytała, usiłując zabrzmieć profesjonalnie i rozsądnie.

Nie chciała się przyznać, ale od tamtej chwili na brzegu stawku czuła się nieswojo. Ciągłe jednak zostało jej sporo pracy, a po wizytach u podopiecznych czekało ją jeszcze spotkanie z przysłanym z Uniwersytetu Rolniczego botanikiem. Tymczasem czuła się niepewnie, jakby rzeczywistość wokół niej traciła kontury i rozmywała się we wszechobecnej mgle. Gdy przymykała oczy, widziała otchłań i miasto, spowite ognistym blaskiem, ukryte na dnie.

– Dostaliśmy zawiadomienie od waszego kuratora z Woli Justowskiej – wyjaśnił Krawczyk. – Był na Panieńskich Skałach. Tam się dzieją cuda, ziemia pęka, słychać śpiewy, modlitwy, bicie dzwonów... Pani kolega podejrzewa, że tam, może pod ziemią, jest jakaś grupa niezsocjalizowanych upiórów, duchów, czy jak to tam klasyfikujecie, i że to ich sprawka. Takie istoty ponoć potrafią mieć wyjątkowo znaczący wpływ na otoczenie...

– To prawda, poza tym wszystko to pasuje do legendy o Skałach – przyznała Kinga bez przekonania, po czym dodała: – A co z tym stawem u Wiśniewskich?

– Cóż, mamy wrażenie, że tu jest odwrotna relacja – odparł policjant. – Staw i jego krwawiące rośliny to skutek, nie przyczyna. Coś się zaczęło dziać tam w Skałach, z mgłą rozpełzło się po mieście i promieniuje, wywołując dziwaczne zjawiska.

Tylko dlaczego akurat tam? – pomyślała Kinga. Dlaczego w tym ogrodzie?

Nie powiedziała tego na głos – woląla najpierw przedyskutować wątpliwości z własnymi współpracownikami. Sięgnęła po torbę

i wyszła, ignorując dręczące ją poczucie, że kiedy z powrotem zanurzy się we mgłę, nie wyjdzie z niej cała.

Odwiedziny u podopiecznych przebiegły, po większej części, zgodnie z przewidywaniami. Prawo obligowało każdego przedstawiciela Ontologicznych Mniejszości – polskie przepisy zaliczały do nich wszystkich ekskludzi, którzy w wyniku metamorfozy nabrali nieznanym typowym przedstawicielom *Homo sapiens sapiens* mocy – do pozostawania w stałym kontakcie z kuratorem, pełniącym funkcje pośrednika i mediatora między mniejszościami a lokalną władzą. Sama Kinga była od lat kuratorką dla kilkunastu wampirzych domów i paru przedstawicieli innych mniejszości w centrum Krakowa, więc dobrze wiedziała, co ją czeka. Protesty, które musiała uspokoić. Opór. Nerwy spowodowane zarówno dziwaczną mgłą, jak i zachowaniem ludzkich sąsiadów, spoglądających z ukosa.

Na koniec kuratorka zostawiła sobie wizytę u najdawniejszej z regularnych podopiecznych. Hrabina (rzekoma czy nie) Kicińska uchodziła za sympatyczną i lubianą w środowisku, realizowała się głównie na polu wysoce amatorskiej poezji, a w wampirzą politykę czy intrygi się nie angażowała. Kinga nie spodziewała się z jej strony żadnych protestów.

Kiedy jednak zameldowała się na Smoczej, w domu jej ekscelencji, i poprosiła o spotkanie z plenipotentem, z którym zazwyczaj załatwiała wszystkie sprawy urzędowe, zastała chaos i źle maskowaną panikę. Siedząc w salonie, słyszała nerwowe kroki, pokrzykiwania, dalekie odgłosy kłótni. Zwykle bywało tu o wiele spokojniej.

Kiedy po pół godzinie pan Zbigniew, plenipotent hrabiny, w krzywo zawiązanej muszce i ewidentnie wczorajszej koszuli, wreszcie się pojawił, Kinga bezceremonialnie zapytała:

- Co się tu, do jasnej Anielki, dzieje? I gdzie jest pani Kicińska?
- Pani hrabina jest niedysponowana... – zaczął plenipotent i przerwał, kiedy zobaczył minę Kingi.

– Błagam – syknęła kuratorka. – Żadnych wykrętów. Nie dzisiaj. Co się stało?

Pan Zbigniew spojrzał na nią bezradnie.

– Nie możemy sobie z nią poradzić – powiedział cicho, a potem dodał zrezygnowany: – Proszę ze mną, może pani coś z tego zrozumie.

Kiedy chwilę później Kinga stanęła w drzwiach sypialni, zrozumiała, co miał na myśli.

W pomieszczeniu panował półmrok, rozświetlony tylko blaskiem ozdobnej nocnej lampki z kolorowych szkiełek. Pani Kicińska leżała na wznak, przywiązana do łóżka solidnymi sznurami. Rozsypane po całej podłodze leżały płatki białych róż – odstraszacz, o czym specjaliści dobrze wiedzieli, znacznie skuteczniejszy od czosnku. Hrabina wydawała się półprzytomna: jej gałki oczne poruszały się gwałtownie pod zamkniętymi powiekami, a dłonie rozluźniały się i zaciskały szmatkownie.

– Jest taka od wczoraj – wyjaśnił pan Zbigniew. – Nie mamy pojęcia, co robić, przecież wampiry nie chorują na gorączkę i nie powinny bredzić w malignie...

– A ona bredzi? – spytała Kinga.

– Niech pani posłucha. – Plenipotent złapał kuratorkę za łokieć i doprowadził do łóżka. Dopiero wtedy Kinga usłyszała ciche, powtarzane w kółko słowa:

– Gwiazdy nad tobą... – szeptała hrabina – i gwiazdy pod tobą... Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą... Gwiazdy...

Kinga i pan Zbigniew po cichutku wycofali się z pokoju.

– Niech pan jej nie wypuszcza z domu – powtórzyła Kinga przed wyjściem. – W ogóle najlepiej niech nikt nie wychodzi. Trzymajcie ją w pokoju, a ja jeszcze dziś spróbuję dowiedzieć się, co to za choroba. Podejrzewam jednak... – przerwała i spojrzała na pana Zbigniewa badawczo – że to raczej wpływ tej mgły. I nie – dodała, uprzedzając niezadane pytanie – nie mam pojęcia, co się dzieje i ile to potrwa.

Kiedy Kinga wyszła z domu na Smoczej, mgła połknęła ją natychmiast. Ulice były ciche i nienaturalnie puste; nieliczne samochody przemykały po mieście, a odgłosy ich ruchu wydawały się stłumione przez opary. Choć było wczesne popołudnie, niebo wisiało nad miastem szare i bezświetlne, jak o zmroku deszczowego dnia.

Rozejrzała się dookoła. Przed sobą miała Wisłę, z zawieszoną nad nią sylwetką mostu Dębnickiego niemal całkowicie ukrytą we mgle. Za sobą – wąskie uliczki prowadzące w stronę Wawelu, pełne skłębionych oparów i szeptów dobiegających nie wiadomo skąd.

Kinga wzdygnęła się i poszła w stronę rzeki, nie oglądając się za siebie.

Do Wisły miała raptem parę kroków, a bulwarami wzdłuż niej z łatwością mogła dojść do przystanku, by dostać się tramwajem do biura. Otwarta przestrzeń, oświetlona przez latarnie, wydawała się mniej niepokojąca niż wąskie drogi skryte w cieniu zamkowego wzgórza.

Woda, ciemna i oleista, chlupotała o kamienne nadbrzeże. Nad nią leniwie snuły się pasma mgieł. Kinga szła szybkim krokiem, starając się nie zwracać uwagi na rzekę, dopóki jej uwagi nie przykuł nagły błysk na powierzchni. Podeszła do murku i spojrzała w dół, ku Wiśle.

W wodzie płonął ogień.

Czerwone światło księżycy i zalane nim miasto. Nie, nie światłem – pożarem. Miasto płonęło. Kinga widziała na własne oczy jego zagładę: pożary pochłaniające budynki, duszący dym na ulicach, tłumy najeźdźców o wykrzywionych wściekłością twarzach wlewające się do miasta. Starców. Dzieci. Kobiety w białych szatach. Ogień i rzeź.

Jeden z napastników nagle zamierzył się na nią mieczem. Cofnęła się. Uderzyła boleśnie o kamienny murek i dopiero to wytrąciło ją z transu.

Ignorując wilgoć i chłód, usiadła na chodniku. Przez dłuższą chwilę ciężko oddychała. Potem wstała i nie spoglądając w stronę wody, poszła w kierunku przystanku.

Przez całą drogę tramwajem do biura Kinga zastanawiała się, co właściwie zobaczyła na dnie Wisły. Im bardziej starała się poukładać elementy wizji – księżyc, ogień, miasto, dziewczyny w białych sukienkach – tym bardziej pogubiona w tym wszystkim się czuła.

W biurze zastała dwoje kolegów, którzy właśnie wrócili z obchodów swoich podopiecznych. Ich opowieści nie zaskoczyły Kingi. Wszędzie było podobnie: protesty, spory z ludzkimi sąsiadami, ledwie maskowany strach przed tym, co czaiło się we mgle. I brak jakichkolwiek odpowiedzi.

– Nikt nic nie wie – podsumowała Kinga, wysłuchawszy raportów. – Albo nikt nic nie mówi.

Spojrzała na zegarek. Trzecia piętnaście. Za pół godziny powinien zjawić się umówiony botanik. Kinga odesłała swoich pracowników do domów i zabrała się za porządkowanie notatek ze sprawy ogrodu Wiśniewskich.

Zajęła się pracą tak intensywnie, że dźwięk telefonu kompletnie ją zaskoczył. Sięgnęła po słuchawkę.

– Duchacka, biuro kuratora, słucham – powiedziała.

– Pani kurator? – To był strażnik z dołu. – Jakiś pan doktor do pani. Pan... – na chwilę zapadła cisza – doktor Voigt. Jakiś przyrodnik.

– Proszę go wpuścić. – Kinga odłożyła słuchawkę i obrzuciła wzrokiem swoje biuro. Panował w nim jak zwykle bałagan, ale trudno, gość będzie musiał jej wybaczyć.

Doktor Voigt bałagan najwyraźniej zauważył, ale grzecznie nie skomentował. Zamiast tego starannie wygładził rękawiczki, zanim schował je do kieszeni płaszcza, po czym usiadł na samej krawędzi krzesła przy biurku i otworzył aktówkę. Wyjął z niej gruby segregator i niewielki przybornik.

– Pani kurator – powiedział bez wstępów. – Obejrzałem te zdjęcia, które mi pani przesała. Nie były, szczerze mówiąc, najlepsze, ale udało mi się dojść do pewnych wniosków, które teraz chciałbym potwierdzić obserwacją samej rośliny. Ma pani dla mnie egzemplarz?

Kinga wskazała na stolik, na którym leżał wyjęty przez nią przed chwilą z lodówki plastikowy pojemnik.

– Dziękuję.

Voigt wstał i sięgnął po pudełko. Otworzył je i przez chwilę przyglądał się roślinie, analizując po kolei niemal pozbawiony liści pęd, białe, zwarzone panującym w lodówce chłodem kwiaty, krótkie i grube korzenie.

– Tak jak podejrzewałem – powiedział w końcu. – Nie ma wątpliwości, co to jest; nie potrzebuję nawet moich specjalistycznych przyborów. *Lobelia dortmanna*, proszę pani. Rzadka i w Polsce chroniona. – Znad okularów rzucił Kindze pełne potępienia spojrzenie.

– Ten egzemplarz jest z ogrodu – wyjaśniła kuratorka, usiłując nie zgrzytać zębami.

Informacja wywołała u Voigta pewne zainteresowanie.

– Naprawdę? Ktoś w Krakowie ma ją w ogrodzie? Koniecznie proszę przekazać, żeby w tym roku zebrał nasiona! Ona jest, wie pani, semelparyczna, a jak już mamy u siebie egzemplarze, warto by je było zachować do dalszej uprawy. Ta roślina...

– Jest jaka? – przerwała mu Kinga, a kiedy spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc, sprecyzowała:

– Powiedział pan, że trzeba zebrać nasiona, że to jest roślina... Jak to było?

– Semelparyczna – powtórzył Voigt powoli i wyraźnie. – Bylina, która zamiera po wydaniu nasion. Zapewne jeszcze nigdy nie kwitła. Jesienią pojawiają się owoce w postaci torebek, później zaczną pękać...

– Czy to ma jakąś polską nazwę? – spytała, przerywając botanikowi. Zaczynała powoli mieć dość jego belferskiego tonu.

– *Lobelia jeziorna* – wyjaśnił Voigt. – Zdarza się też nazwa stroiczka. Roślin z rodzaju *Lobelia* jest bardzo dużo, niektóre na pewno zna pani z ogródków, ale ta konkretna jest rzadka.

– Wie pan cokolwiek o jej znaczeniu w legendach albo folklorze? – spytała Kinga bez szczególnej nadziei na pozytywną odpowiedź. Voigt pokręcił głową.

– Nie, nigdy mnie to nie interesowało. Choć być może jakieś ma, rośliny halucynogenne często miewają – powiedział.

Kinga uniosła brwi.

– Tak, *Lobelia dortmanna* jest halucynogenna – wyjaśnił botanik. – Zawiera lobelinę, która może powodować mdłości, wymioty, omamy słuchowe i wzrokowe, splątanie...

Mózg Kingi pracował na szybkich obrotach, usiłując połączyć ze sobą wszystkie nowe informacje. Omamy. Halucynacje. Zaburzenia świadomości. Czy jest możliwe, żeby za całe dziwaczne właściwości mgły spowijającej Kraków odpowiadały cholerne halucynogenne kwiatki w ogrodzie Wiśniewskich, które w tym roku zakwitły pierwszy raz? Ale jak? Dlaczego? I co z duchami z Panieńskich Skał?

– *Lobelia dortmanna* rośnie głównie w chłodniejszych od naszego klimatach, Polska w ogóle jest granicą jej południowego zasięgu – kontynuował tymczasem Voigt. – Znajdziemy ją u nas na Pomorzu, poza tym w Europie na Wyspach Brytyjskich, w Skandynawii...

– A na Białorusi? – spytała Kinga i wyjaśniła: – Według właściciela posesji to stamtąd pochodziły cebulki.

– Raczej kłącze – sprecyzował Voigt. – Ta roślina ma kłącza. A co do Białorusi, muszę sprawdzić. Ma tu pani komputer z dostępem do sieci?

Kinga, po raz kolejny usiłując nie przewracać oczyma, wskazała na biurko.

– Proszę korzystać – powiedziała.

Podczas gdy Voigt biedził się z zalogowaniem (komputery w biurze bywały narowiste, a botanik najwyraźniej zatrzymał się gdzieś na etapie Windowsa XP), Kinga wysłała esemesa do pana Mirka, sama zaś zajęła się czymś, co dopiero teraz się jej przypomniało – słowami hrabiny.

Nabazgrała je jeszcze na Smoczej i przez chwilę nerwowo szukała karteczki z notatką. W końcu znalazła, pogniecioną i upchniętą w kieszeni. Włączyła własny komputer i wklepała w wyszukiwarkę formułę.

Chwilę później z niedowierzaniem wpatrywała się w wyniki wyszukiwania.

– Pani kurator? – powiedział Voigt. – Znalazłem. Na Białorusi nasza lobelia występuje tylko w jednym jeziorze. Jest nim...

– Świteż – powiedziała Kinga. – Mam rację?

– Świteż? – powtórzyła z niedowierzaniem wiceprezydent. – Ta od Mickiewicza?

– Ta sama – potwierdziła Kinga.

Posiedzenie sztabu kryzysowego zwołano natychmiast, kiedy tylko Kinga zadzwoniła do magistratu ze swoimi rewelacjami. Zaraz potem ona raz z Voigtem wsiedli do samochodu i popędzili na pospiesznie zwołane spotkanie. Kinga ledwie zdążyła ochlapać twarz wodą oraz przebrać się w trzymany specjalnie na takie sytuacje w biurze awaryjny zestaw ciuchów.

– Jest pani pewna? – spytała Król. Spojrzała na Krawczyka i Mołek. – A co z państwa hipotezą w sprawie Panieńskich Skał i tamtejszych upiorów?

Mołek westchnęła.

– Nie ma sprzeczności – powiedziała. – Wygląda na to, że źle oceniliśmy, co jest przyczyną, a co skutkiem. Widzą państwo, jeżeli razem z magicznie obciążonymi kwiatami z tej Białorusi przywędrował jakiś typ duchów czy zjaw, to one mają spore szanse oddziaływać na wszystko dookoła.

– Zakładam, że zbieżność między pochodzeniem kwiatów z jeziora Świteż a faktem, że jedna z ofiar sprowadzonego przez mgłę splątania powtarza formułę z ballady Mickiewicza, nie jest przypadkowa – wyjaśniła Kinga. – O ile dobrze rozumiem, o co chodzi w balladzie, te kwiaty nie są po prostu roślinami z gatunku Lobelia dortmanna. Są... – wzięła głęboki wdech, zanim dokończyła – są przedstawicielami Mniejszości Ontologicznej. To są kobiety, dzieci

i starcy ze zniszczonego miasta sprzed wielu wieków, których, że zacytuję, „Bóg przemienił w zioła”. Krew, płynąca z wyrwanych roślin, moim zdaniem to potwierdza, bo udało mi się znaleźć podobne fenomeny opisywane już od czasów starożytnego Rzymu.

Nad zamieszanie, jakie zapanowało po tym oświadczeniu, wybił się głos Jadwigi Król:

– Pani kurator? W jakim sensie pozbawione świadomości rośliny mogą być OM? Nie przesadza pani?

– To jest metamorfoza – powiedziała Kinga z przekonaniem. – Taka sama, jak przy przemianie człowieka w wampira albo w dowolny rodzaj ducha. Nie jestem pewna, czy tę poprzedziła fizyczna śmierć, ale nie każdą poprzedza. Osoba ukąszona przez wilkołaka też przecież nie umiera, ale przy odpowiednich warunkach podlega przemianie i sama staje się wilkołakiem. Nie widzę innej możliwości: te rośliny są OM.

– Każda z nich? – jęknęła Mołek.

– Niekoniecznie – powiedziała Kinga. – Podejrzewam, że raczej wszystkie jako całość, jako... Zaraz, jak pan doktor Voigt to nazwał? Zespół? W każdym razie nie sądzę, żeby było przełożenie typu „jeden kwiat, jedna osoba”. Mam raczej wrażenie, że ta konkretna roślina z tego konkretnego jeziora, i tylko ta, żadna inna tego gatunku, nie jest tak naprawdę rośliną. Jeżeli się ją przesadzi albo rozsiej, jej nadnaturalny charakter przenosi się razem z nią.

– Czyli Wiśniewski posadził sobie duchy w ogrodzie – podsumowała Mołek.

Kinga skinęła głową.

– Pani koordynator? – Bachleda spojrzał na Mołek. – Czy zutilizowanie wszystkich tych roślin mogłoby zatrzymać obecne wydarzenia?

Chyba pan zwariował, chciała krzyknąć Kinga, ale zanim zdążyła otworzyć usta, Mołek powiedziała:

– Być może warto spróbować? Nie jestem pewna, ale jeżeli to coś, co siedzi we mgle, jest jakoś powiązane z tymi roślinami...

– Pani prezydent, panie inspektorze – przerwała Kinga. – Jeżeli one są OM, to broni ich prawo. Naprawdę, nie możemy tego zrobić.

Natychmiast wszyscy zaczęli przekrzykiwać się nawzajem i kłócić.

– Spokój! Cisza, proszę państwa! – zawołała w końcu Jadwiga Król. – Zostawimy usunięcie wszystkich roślin jako środek ostateczny. Na razie spróbujemy innej metody, którą podpowiada nam sam wieszcz.

– To się nie uda – mruknęła Kinga. – Nie ma szans.

Stała razem z resztą pracowników swojego biura na Moście Dębnickim. Pod nimi, na brzegu Wisły, procesja złożona ze sporej grupy biskupów, księży, pastorów, popów, rabinów, starszych zborów oraz jedyne go obecnego w Krakowie imana. W unoszących się znad wody szarych oparach prawie nie było ich widać. Czasem tylko dochodziły spod mostu urywane fragmenty śpiewów i inwokacji, lecz większość z nich wsiąkała bez echa we mgłę.

Ponieważ Mickiewiczowskim bohaterom grzebanie w zakazanych zagadkach Świtezi uszło na sucho, bo z Bogiem zaczęli, wiceprezydent Król postanowiła z Bogiem zakończyć cały problem. Dlatego też zebrała nad rzeką duchownych ze wszystkich większych związków wyznaniowych. Mieli oni odprawiać egzorcyzmy i modły, jakie tylko uznają za stosowne, by wygnać duchy. W charakterze wiernych ściągnięto zaś wszystkich pracowników lokalnej administracji, niezależnie od ich religijnej afiliacji czy jej braku. Krakowian generalnie zachęcano, by zostali w domu; te sugestie nie powstrzymały jednak sporej grupy ciekawskich. Czaili się teraz po obu stronach barierek, którymi odgrodzono Most Dębnicki i fragmenty bulwarów nad Wisłą.

Kinga rozglądała się dookoła, usiłując rozstrzygnąć, czy mgła zaczęła rzednąć choć odrobinę, kiedy odgłosy spod mostu nagle umilkły. Nie wszyscy na górze zorientowali się, że coś się zmieniło, ale

kuratorka poczuła, jak ogarnia ją lodowate, fatalne przeczucie. Podjęła decyzję w ułamku sekundy.

– Uciekajcie! – krzyknęła. – Ewakuacja mostu, natychmiast!

Właśnie wtedy z mgły dobiegły pierwsze krzyki.

Biegnać ku barierkom, Kinga na moment odwróciła się ku rzece, akurat w porę, by zobaczyć, jak z wód Wisły, wbrew wszelkim prawom fizyki, wynurza się olbrzymi, krwawy księżyc.

Dwa zobaczysz księżycy – pomyślała – jak w wierszu, gdy spoglądasz w zakłęte wody i widzisz w nich inny świat.

Była już poza mostem, kiedy tuż przed nią wychynął upiór. Zobaczyła jego wyszczerzone zęby i zaciśnięty w szkieletowej dłoni miecz.

Już po mnie – stwierdziła w duchu, zanim krzyknęła.

Upiór spojrzał na nią. Opuścił broń i bezszelestnie cofnął się z powrotem we mgłę.

– Nie zgadzam się – powtórzyła Kinga, patrząc prosto w oczy Jadwigi Król. – Uważam, że taka akcja przyniesie więcej szkody niż pożytku. Tylko je rozwścieczymy. Za duże ryzyko, moim zdaniem. Już nie dodam, że to bezprawne i nieetyczne.

– Z całym szacunkiem – przerwał jej wściekły Bachleda. – Za duże ryzyko? Mamy wojnę na ulicach miasta, coś wyłazi z tej mgły i atakuje ludzi. Pod tym cholernym mostem zniknęło kilkanaście osób, nie wiadomo, co się z nimi stało, ale wszyscy słyszeliśmy krzyki. Naprawdę pani uważa, że wyrwanie z korzeniami przyczyny tego wszystkiego to za duże ryzyko?! Pani chyba zwariowała.

– Proszę posłuchać. – Kinga zignorowała policjanta i zwróciła się wprost do wiceprezydent. – Nie sądzę, żeby to była wina tych kwiatów czy jakichkolwiek istot, które są z nimi powiązane. Zanim pani zaprotestuje, proszę pomyśleć. One są ofiarami, prawda? Uratowanymi przez metamorfozę. Przytaczam dosłownie: „To są małżonki i córki Świtezi, które Bóg przemienił w zioła”. To nie one czają się

we mgle, one są w wodzie albo w okolicy tych kwiatów. To nie one zabijają.

– To kto wobec tego? – syknął Bachleda.

– A co słysząc z mgły? – spytała Kinga. – To, co jest w wierszu. Jak to było? „I zgiełk walczących, i wrzaski niewieście”? Jestem przekonana, że to, co nam sieje zamęt na ulicach, to nie są duchy ofiar z miasta. To są upiory najeźdźców.

To, co mnie nie zaatakowało, też – pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

– Zerwali te magiczne rośliny – kontynuowała, zerkając na ekran telefonu, gdzie miała otwarty tekst wiersza – i natychmiast dopadła ich choroba i nagła śmierć: „Tak straszna jest kwiatów władza, że go natychmiast choroba wyłamie i śmierć gwałtowna ugadza”, że zacytuję. Nie wiem, może doktor Voigt ma rację i fakt, że ta roślina jest trująca i halucynogenna, ma z tym jakiś związek, ale w sumie to mniej istotne. Ważne jest, powtórzę: to nie te duchy z roślin atakują ludzi. Nie możemy próbować ich za to zabić. Poza wszystkim sądzę, że to po pierwsze nic nie da, po drugie spowoduje zemstę wobec nas. Wtedy będziemy mieć przeciwko sobie dwie siły i dopiero będzie... problem – dokończyła, w ostatniej chwili powstrzymując przekleństwo.

– Tak? – prychnął Bachleda. – A skąd oni się tu wzięli? Ci najeźdźcy? Sami przyszli, czy może są jakoś spleceni z losami tych duchów-kwiatów? Nawet jeżeli ma pani rację – spojrzał na Kingę – niewiele to zmienia. Ciągłe jest tak, że coś, co zagraża milionowej metropolii, jest nierozdzielnie połączone z czymś potencjalnie niewinnym, ale warunkującym istnienie tego szkodliwego. Szczerze? Rozwaliłbym jedno i drugie. Za duże ryzyko dla ludności i miasta.

– Nie rozumie pan... – zaczęła Kinga, ale Bachleda jej przerwał:

– To pani nie rozumie. Po tym wszystkim, co się stało nad rzeką...

– Proszę państwa! – krzyknęła Król. – Dość tego. Panie inspektorze, macie być gotowi do wkroczenia na posesję i zniszczenia siedliska tych roślin. Pani kurator, proszę wrócić do biura i czekać na dalsze dyrektywy. Inspektorze, ile czasu zajmie panu przygotowanie do tej operacji?



Bachleda spojrział na zegarek.

– Dwie godziny? – spytał. – Biorąc pod uwagę, że nie potrzebuję antyterrorystów ani specjalnego sprzętu, za to przydałby się egzorzysta...

Kinga nawet nie próbowała ukryć, że przewraca oczami.

Kierowca wiózł ją do biura przez wyludnione, tonące we mgle ulice. Czerwony blask drugiego księżyca zalewał miasto. Nawet przez szum silnika Kinga słyszała widmowe krzyki i szcęk broni. Przez całą drogę milczała, modląc się po cichu, żeby kierowca jechał szybciej, szybciej, szybciej...

Wysiadła pod samymi drzwiami i wbiegła do budynku. Wybrała numer pana Mirka, dziękując wszystkim bóstwom, że władze zorganizowały dla jej współpracownika mieszkanko w piwnicach tego samego budynku.

– Panie Mirku! – krzyknęła, gdy tylko odebrał. – Mogę do pana wpaść? Pilna sprawa!

Kinga zdawała sobie oczywiście sprawę, że wampir obudzony w dzień może nie być do końca przytomny, ale była gotowa zaryzykować: musiała z kimś obgadać swoje podejrzenia i plan dalszego działania.

– Panie Mirku – powiedziała, kiedy tylko otworzył jej drzwi. – Dziękuję. Muszę z kimś pogadać.

– Proszę wejść. – Jej współpracownik, w dresowych spodniach i spranej koszulce z orzełkiem, wyglądał zupełnie inaczej niż na co dzień w pracy. Mimo że Kinga już kilkakrotnie spotkała się z nim na stopie prywatnej, zawsze zaskakiwało ją to domowe wcielenie. Choć wyrwała go z dziennego snu, wyglądał na gotowego do pracy.

– Czego nam brakuje? – spytała. – Co jest nie tak z naszą oceną sytuacji? Mamy kwiaty, magiczne, przywiezione przypadkiem z Białorusi, zasadzone tutaj na pewno dawniej niż dwa lata temu. Czemu dotąd nic się nie działo?

– Nie było kwiatów, dopiero w tym roku. Voigt mówił, że to się zdarza raz w życiu tej rośliny, choć lobelie są wieloletnie.

– Okej. – Kinga skinęła głową. – Zakwitły i od tego się zaczęła cała awantura; albo sprowokowała ją Wiśniewska ścinająca rośliny na grób córki. W każdym razie nasze duchy w roślinach obudziły się, a razem z nimi powstały też upiory ich wrogów, po czym zamknęły się granice miasta. Ci, którzy mieli bezpośredni kontakt z roślinami... ewidentnie Wiśniewska, zapewne jej mąż, ja... jako pierwsi zaczęli widzieć w wodzie i we mgle postacie. Potem to się rozprzestrzeniło, zaczęły się ataki...

– Ale nie na panią – powiedział pan Mirek. – Panią zostawiło w spokoju.

Kinga skrzywiła się. Od tamtej chwili nad Wisłą miała wrażenie, że jeszcze moment i uda się jej zrozumieć, co się wtedy stało i dlaczego.

– Do tego mamy Panieńskie Skały – powiedziała. – Legenda mówi, że w nich żyją duchy zakonnic, które w trzynastym wieku uciekały przed Tatarami i zostały przez Boga ukryte w skale, by mogły uniknąć gwałtu i śmierci. Tu przynajmniej podobieństwo jest oczywiste.

– Znalazłem Kicińską – wtrącił pan Mirek. – Nie było łatwo, ale w końcu wyciągnąłem to od naszych. Chyba mamy punkt zaczepienia. Została wampirzycą gdzieś w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, przemieniona po tym, jak ją ciężko raniono podczas napadu na powóz, którym jechała. Ojciec, mistyk i okultysta, musiał mieć koneksje w świecie OM.

– Hmmm... – Kinga się zamyśliła – kolejna niewinna ofiara. Ale wie pan, osób, które ktoś napadł czy zaatakował, jest w milionowym mieście, niestety, sporo; choćby córka Wiśniewskich też by pasowała do tego wzorca. Chyba że...

– To są tylko osoby po metamorfozie – mruknął pan Mirek.

– Tak właśnie podejrzewam – potwierdziła Kinga. – W jakiś sposób to, co się tu dzieje, dotyczy przede wszystkim dwóch rodzajów osób: tych, którzy mieli bezpośredni kontakt z roślinami, jak ja oraz

osób, które metamorfoza, czyli przejście na bycie OM, uratowała przed śmiercią lub krzywdą z ręki napastnika. Co nam to daje?

– Niewiele – przyznał pan Mirek.

Kinga pokręciła głową. Cały czas miała wrażenie, że coś jej umyka – i że to ma coś wspólnego z Wiśniewskim, jego żoną, jego ogrodem, jego córką... Nie mogła uchwycić tej myśli, choć przez cały czas miała poczucie, że ma ją tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki.

Poddała się.

– Dobra, to od innej strony – powiedziała. – Jak oni to rozwiązują w wierszu? Mickiewicz, jak wiemy, był doskonale świadomy istnienia OM i całkiem sporo w swojej poezji zakodował...

– Zaczęli z Bogiem – powiedział pan Mirek.

– To już przerabialiśmy. – Kinga machnęła ręką. – Co jeszcze?

– Inicjator akcji był spokrewniony z ofiarami – kontynuował pan Mirek, zerkając do tekstu. – „Lecz że to kraj był twojego pradziada, że w tobie nasza krew płynie...”

– Przekichane – westchnęła Kinga. – Nie dojdziemy do pokrewieństw z czasów starożytnej Litwy.

– No to by było na tyle – oświadczył jej współpracownik. – Nad jeziorem dzieją się dzikie cuda, potomek postanawia zbadać sprawę, mówiący namawia go, żeby sprowadzić księdza, szukają, na powierzchnię wypływa dziewczyna, żeby im opowiedzieć, okazuje się, że lobelie to kobiety i że prześladowcy po zerwaniu kwiatów poumierali. Tyle.

Dziewczyna – pomyślała Kinga. *Gdzieś w tym wszystkim była jakaś dziewczyna, która...*

Kinga nagle sobie przypomniała. „Moja córka nie żyje”. Jak ona miała na imię? Ela. Córka Wiśniewskich. Ela, która utonęła.

Ela, która, zanim utonęła, zepchnięta przypadkiem do rzeki przez złodzieja, wyrwała z jeziora na Białorusi biały kwiat.

Kinga poczuła, że w jej głowie rodzi się szalony plan.

– Moim zdaniem z duchownymi nie wyszło, bo było za późno – tłumaczyła Kinga szefowej przez telefon. – Nie zaczęli z Bogiem, jak bohaterowie w balladzie. Poza tym próbowali to egzorcyzmować, co chyba nie było dobrym pomysłem. Natomiast jeżeli bym spróbowała pogadać...

– Pogadać? – prychnęła Mołek. – Pani chyba zwariowała. Proszę w tej chwili wracać do biura, nie wychodzić... Ataki tego czegoś z mgły są coraz częstsze! I czekać na rezultaty właściwej akcji. Policja powinna być u tego Wiśniewskiego w ciągu maksymalnie godziny, a chyba wszyscy się zgodziliśmy, że skoro zagrożenie przyszło razem z tym zielskiem, to jego usunięcie...

Kinga przerwała połączenie.

– Nie – mruknęła. – Nie wszyscy się zgodziliśmy.

Wybrała kolejny numer.

– Panie Karolu? – powiedziała, kiedy Wiśniewski odebrał. – Policja do pana jedzie. Chcą zniszczyć te kwiaty. Błagam, niech ich pan nie wpuszcza. Proszę zrobić awanturę, zażądać nakazu... cokolwiek, byle ich powstrzymać i dać mi czas. Jeżeli się panu nie uda, to się może źle skończyć dla nas wszystkich.

– Tak – dodała po chwili. – Tak, mam inny pomysł.

Wisła w okolicy ulicy Tynieckiej rozlewała się szeroko. Wokół rzeki kłębiła się mgła. Kinga zaparkowała przy drodze i z zaciśniętymi zębami ruszyła w kierunku brzegu.

Bała się. Nie przyznała się do tego panu Mirkowi, ale czuła, jak zimne krople potu spływają jej po karku.

Podeszła do brzegu, nie niepokojona. Cokolwiek czaiło się we mgle – a słyszała to coś wokół siebie, raz szepczące, za moment krzyczące – nie próbowało jej złapać. Miała nadzieję, że dobrze zinterpretowała powody.

Uklękła nad wodą i spojrzała prosto w ciemną toń. Po niej, jak krew, rozlewało się światło czerwonego księżycy.

– Hej! – zawołała, czując się głupio i niepewnie. – Dziewczyny? Ludzie? Muszę z wami porozmawiać.

W głębinie, w krwawym blasku księżyca, trwała wojna: Kinga patrzyła na kobiety porywające dzieci i unoszące broń, by je pozabijać, na upiory najeźdźców i ogarniające miasto płomienie – to wszystko, co wylewało się teraz z magicznej mgły na ulice Krakowa.

– Ludzie! – zawołała Kinga, czując, jak załamuje się jej głos. – To się już stało! To wszystko! Dawno temu! Bóg was ocalił, a wyście unicestwili wrogów! Nie musicie tego teraz powtarzać na ulicach!

Co za idiotka ze mnie – pomyślała Kinga. Rozmawiać z duchami, przecież one mnie nawet nie słyszą, pogrążone w swojej krwawej baśni.

Wiedziała, co musi zrobić i że nie ma wyjścia. Podniosła się, zdjęła buty i weszła do rozświetlonej pożarem wiślanej wody. Po kostki. Po kolana. Po szyję.

Nabrała tchu i pozwoliła, by fale Wisły zamknęły się z cichym pluskiem nad jej głową.

Krok za krokiem Kinga schodziła w głąb płonącego miasta duchów. Tutaj ona sama czuła się jak zjawą: niewidzialna dla miotających się w panice kobiet Świtezi, samotna w ginącym mieście pod upiornym księżycem. Widziała przed sobą pożar i zniszczenie, za sobą – kiedy się oglądała – pustkę i ciemność. Nie widziała za to drogi powrotnej. Ze wszelkich sił odpychała od siebie myśl o tym, że nie znajdzie tego, czego szuka, że nie wróci, że będzie do końca świata snuła się, niewidziana i obca, po wiecznie płonącym mieście na dnie rzeki.

I wtedy jej wzrok nagle spotkał się ze spojrzeniem młodej kobiety. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy, a potem do Kingi dotarło, że – w odróżnieniu od pozostałych – ta dziewczyna nie miała na sobie białych szat, a spodnie do biegania i krótką, różową kurteczkę.

– Ela? – zapytała Kinga. Dziewczyna jednym płynnym ruchem uniosła się z głębin i podpłynęła ku niej. – Ela Wiśniewska? Ty mnie... widzisz?

– Jesteś z nimi – powiedziała dziewczyna. W jej głosie Kinga usłyszała ból i gniew. – Z nimi.

– Nie, nie. – Kinga zamachała rękami.

Widok młodej Wiśniewskiej – sportowy strój, wystające z kieszeni słuchawki, długie, jasne włosy, unoszące się w wodzie wokół białej, oblanej czerwonym blaskiem twarzy – w dziwaczny sposób ją przeraził.

Uspokój się – powiedziała sobie w myślach. To nic strasznego, tylko topielica, OM jak inne. Rób, co masz zrobić.

– Tak – powiedziała. – Tak, jestem z nimi. Jak oni. My też zerwaliśmy wasze kwiaty: jeden ja, inne twoi rodzice.

I módlmy się, żeby twój ojciec zadziałał skutecznie i żeby ten balwan Bachleda nie zdążył wyrwać ich więcej – pomyślała.

Topielica wpatrywała się w nią oczyma, które nie mrugały.

– Ale – kontynuowała Kinga, czując, jak zasycha jej w gardle – to nie było... celowe. Myśmy nie wiedzieli, co żyje w tych kwiatkach, co możemy obudzić. Przyszedłam tu w imieniu tych, którzy zawinili, prosić o przebaczenie.

– Moi... rodzice? – zapytała topielica.

– Tak! – potwierdziła gorączkowo Kinga. – Twoja mama, a potem ojciec. Chcieli ci je zanieść na grób. Ty sama też zerwałaś kwiat, prawda? A raczej wyrwałaś, żeby go przesadzić? Pamiętasz?

I dlatego teraz tu jesteś – pomyślała Kinga. W połowie drogi: jedna z ofiar, jedna z prześladowców, po obu stronach tej wyśnionej wojny duchów jednocześnie.

– A najeżdźcy? – spytała dziewczyna. – Są tutaj. Spalą miasto. Pozabijają...

– Nie, nie! – Kinga machnęła ręką. – Nic się nie stanie.

Wszystko już się stało – przemknęło jej przez myśl.

– Posłuchaj – powiedziała. – Wasze kwiaty... ich kwiaty, małżonek i córek Świtezi... zakwitły. Zerwaliśmy je i zbudziliśmy upiory, duchy waszych prześladowców. Ale ich już nie ma, pamiętasz? Nie ma. Pomarli, kiedy zerwali kwiaty. Ich duchy nic wam nie mogą zrobić.

Co prawda mogą zrobić mnóstwo paskudnych rzeczy nam, żywym – pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

– Nie można spalić miasta ukrytego pod wodą – powtórzyła. – To tylko złudzenie. Zły sen. Proszę, musisz mi pomóc je o tym przekonać.

Topielica sięgnęła lodowatą ręką po dłoń kuratorki i pociągnęła kobietę ze sobą.

Szły – płynęły – ulicami podwodnego miasta niewidzialna, niesłyszalna Kinga i Ela, chwytająca przebiegające kobiety, krzycząca i powtarzająca słowa kuratorki:

– Nic się nie stanie, nie da się spalić domów, jesteśmy bezpieczne, Bóg nas przemienił w zioła...

Tam, gdzie przeszły, nie było już dymu i płomieni, tylko kołyszące się asfodelowe łąki, pełne sennego kwiecia. Małżonki i córki Świtezi wracały do swojej prawdziwej postaci, a wraz z ich przemianą znikwały i prześladowające je upiory. Nad miastem powoli zachodził czerwony księżyc, roztapiając się w zieleni i błękicie.

Kinga nie wiedziała, ile to wszystko trwało. W końcu jednak zostały tylko we dwie, zawieszone w bezczasie: ona i Ela, pod nimi biała łąka kwiatów, nad nimi sklepienie wiślanej wody.

– A ty? – spytała Kinga. – Co z tobą? Też się zmienisz w jedną z tych roślin?

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową. – Przez chwilę byłam jedną z nich. Teraz... teraz jestem już tylko wiślaną topielicą.

– Jakby co – Kinga uśmiechnęła się do niej – to pamiętaj, że jesteś OM. Masz swoje prawa i gdybyś chciała z nich skorzystać, wiesz, gdzie mnie szukać.

Ela spojrzała na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Moi rodzice... – zaczęła i urwała.

– Wiesz co? Twojemu ojcu dobrze robi, jeżeli dowie się o OM więcej i to z innego źródła niż telewizja.

Dziewczyna patrzyła na nią jeszcze przez chwilę, a potem bez słowa zniknęła w głębinie. W tym momencie Kinga poczuła, że już nie unosi się w pół drogi między białą łąką a szklanym niebem. Teraz po

prostu nurkowała w brudnej, zimnej Wiśle. A nurkowanie, cholera, nigdy nie wychodziło jej za dobrze.

W końcu, kaszląca, ociekająca wodą, wyczołgała się na brzeg i pół-przytomna, osunęła na ziemię. Kiedy po dłuższej chwili otworzyła oczy, zobaczyła na niebie zwyczajne, codzienne słońce.

Odetchnęła z ulgą. Podniosła się i powoli poszła w stronę samochodu. Pora wrócić do biura, wyjaśnić, co się stało, i wysłuchać awantury o telefon do Wiśniewskich. Nie miała wątpliwości, że czeka ją długi i niełatwy dzień.

Aleksandra Klęczar – zawodowo zajmuje się czytaniem książek, a w ramach hobby najchętniej czyta książki. Jest współautorką młodzieżowej serii powieści fantastycznych *Dzieci dwóch światów* (Galeria Książki), wraz z Agnieszką Fulińską. Z urodzenia Ślązaczka, mieszka w Krakowie, wykłada na UJ mitologię, języki i kulturę antyczną. Kocha koty, popkulturę i eksperymenty kulinarne.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22516>

Bardzo dobry tekst, wciągająca historia. Bogata, wielowątkowa. I jeszcze z nawiązaniem do literatury.

Sylwia „Finkla” Finklińska

Przykuwasz uwagę czytelnika od pierwszego akapitu i trzymasz tak cały czas. Podoba mi się pomysł na panią kurator. Z jednej strony wykonuje kawał porządnej detektywistycznej roboty, ryzykując przy tym życiem (...), a z drugiej nie ma trupów, krwi i pokręconych zbrodniarzy. Udało ci się wziąć to, co najlepsze z porządnego kryminału, i stworzyć opowieść fantastyczno-detektywistyczną.

Irka_Luz

Za duży atut uważam motywy odwołujące się do przeszłości, tudzież twórczości Mickiewicza, a także – jako że jedną z bohaterek była *Lobelia dortmanna* – przemycenie garści wiadomości botanicznych.

Jolanta Pawlak (regulatorzy)

Wspaniałe się bawiłam, czytając Twoje opowiadanie. Już na wstępie chwyciły mnie za serce Ontologiczne Mniejszości, a potem zapomniałam o bożym świecie, bo śledztwo i wyjaśnianie sprawy przez Kingę Duchacką duszę też porwało.

Asylum

Carski wagon

Paweł Wolski

Paweł Wolski

Grudniowa noc to była. Konkretnie pierwsza dwadzieścia, już w niedzielę. Stacja PKP w Hajnówce, gdzie dotarłem po podróży godzinnej z Białowieży, pociągiem zalodzonym, ośnieżonym, sapiącym parą, bo tym razem czarny smolście parowóz podczepili. A jechałem ten niespełna dwudziestokilometrowy puszczański odcinek trasy tunelem z niebosiężnych, pokrytych bielą świerków, których dziś już nie ma. W wagonie jeszcze carskiej proveniencji: z miękkimi pluszowymi, zachęcającymi głęboką ciemną zielenią przepastnymi kanapami w przedziałach, z mahoniowymi drewnianymi wykończeniami, lśniącem mosiądzem klamek i okiennych okuć.

Na tabliczkach w przedziale stuletnia cyrylica potwierdzała wiekowość mego tymczasowego ruchomego schronienia. Miodowo-wiśniowe drewniane obicia drzwi oraz ścian i grubo nabite morską trawą siedziska skłaniały do leniwego relaksu, może zapalenia papierosa w bursztynowej cygarnicze, wyjętego ze złotej papierośnicy, może do wysączenia lampki dwunastoletniego gruzińskiego koniaku... Sięgnięcia po świeżą prasę z Pitra, Warszawy i Moskwy, roznoszoną przez wagonowych w regulaminowych uniformach. Ot, uśmiechnąłem się lekko, powidok przeszłości nagle mi się tu zaplątał.

Wnętrze rozświecila, na stoliczku pod oknem przytwierdzona na stałe, elektryczna lampka, też mosiężna, z przypominającą kryształ półkolistą osłoną, zza której wydobywało się miękkie pomarańczowe światelko. I mimo że pociąg jechał do Hajnówki po starych, rosyjskich jeszcze torach – cisza. Taka zielonopluszcowa, omal nie wieczna, w każdym razie – nie wiedzieć czemu – uroczysta.

Już wtedy powinienem się zdziwić, że w tym archaicznym wagonie jadę sam. Chociaż – czy na pewno sam? Zza ściany dobiegło do mnie w pewnym momencie stłumione rosyjskie: „Gaspada officery Sobstwiennowo Konwoja, razrieszytie, wypijom jeszcze raz,

zdarowie Jewo Impieratorskowo Wielichestwa, gossudara wsiej Ras-siji, Nikołaja Wtorowo! Urra!”.

Wzdrygnąłem się, ocknąłem wtulony w niesłychanie miękkiej zagłówek, chyba coś mi się w przelotnej drzemce przyśniło. Znacie takie chwile zapadania się w sen, z którego wydostajemy się na powierzchnię jak pływak z głębin – odruchowym nieświadomym szarpnięciem. Lecz chwilę potem zająrzałem nawet do sąsiedniego, dziwnego, bo potrójnego przedziału, z kanapami ustawionymi wzdłuż, a nie w poprzek, z długimi i wąskimi między nimi stolikami, zamontowanymi równoległe do kierunku jazdy, ze stojakami wprawionymi w ścianę przy szerokich przesuwanych drzwiach – ani chybi na karabiny. Oczywiście nikogo. Przysiadłem na jednym z siedzisk, ale nagle poczułem się wręcz brutalnie nie na miejscu i szybko wróciłem do siebie. Uff, te stare wagony mają jednak w sobie magię.

Potem trzeba było wyładować się z wielką torbą i gigantycznym, wypchanym po alpejski „komin” plecakiem Polsportu na świszczący śniegiem pod niecierpliwymi butami peron w Hajnówce. Każdy, kto zna zimę, zwłaszcza w Białowieży czy pod Suwałkami, wie, że im większy mróz, tym śnieżny protest zgniatanej stopami bieli brzmi wyżej. Śnieg zapiszczał na krawędzi słyszalności, gdy pokonywałem drogę ze skrajnego peronu do starego drewnianego budynku, właściwie baraku dworca, by tradycyjnie, jak od lat, odtając i zanurzyć się na krótką chwilę w plakaty wiszące na ścianie poczekalni dobre już ćwierć wieku. „Zwiedzajcie Pojezierze Lubuskie” – i wpadająca w sepię fotka gościa w gumiakach i beretce z antenką, niosącego leszczynowe wędki oraz siatkę z wyszczerzonymi, potwornej wielkości szczupakami. No i druga socjalistyczna reklamówka z zamierzchłych, gomułkowskich jeszcze czasów: „Kupujcie w Pekao” – a na niej puszka Polish Ham oraz flakon perfum Soir de Paris.



Odkąd pamiętam, od wczesnych lat chłopięcych zastanawiałem się, gdzież w Polsce jest to jezioro z gigantycznymi rybiszczami niczym z kanadyjskich peregrynacji zboreznika Fiedlera, ale nigdy nie udało mi się odgadnąć, nawet sporo później, gdy już baraczek zburzono, wybudowano nowy, betonowy dworzec, pusty i zimny, sterylne biały, zaś plakaty tkwiące za szkłem zostały bezdusznie wyrzucone na śmietnik. Do dziś żałuję, że nie było mnie tam wtedy, by je schwytąć i ocalić.

Ale to miała być dopiero pieśń odległej, wręcz niewyobrażalnej wówczas przyszłości. A na razie – krótka przerwa w nadal stojącym w najlepsze stuletnim zapadniętym baraczk. Na złapanie oddechu i ogrzanie zmrożonej twarzy i dłoni. W wydzielonym bufeciku, osłonięta od niepotrzebnych intruzów masywną szklaną chłodnią – witrynką z napisem „ByFaUch”, w której brzęczącym wnętrzu na fajansowych talerzykach leżały zawsze takie same, niezidentyfikowane bliżej konserwowe rybki i coś przypominającego przechodzoną galaretę ugotowaną na stolarskim kleju – półdrzemała na swoim wytartym krześle starsza bufetowa, pani Nadia, o twarzy pomarszczonej jak zimowe jabłuszko. Ilekroć przejeżdżałem przez Hajnówkę, zamieniałem z nią kilka zdań, pijąc mocną, czarną jak smoła herbatę, którą parzono tu jak za starych przedwojennych czasów, nie szczędząc aromatycznej esencji. Nocna bufetowa, dorabiająca sobie w ten sposób do chudej emerytury, znała moją babcię i połowę białowieskich krewnych i powinowatych. Była prawie jak rodzina. Teraz też uśmiechnęła się, gdy mnie ujrzała.

– A wie pani, pani Nadieżdo, jakie dziś miałem szczęście? Carski wagon mi się trafił. Nawet nie wiedziałem, że takie jeszcze kursują. Ciekawe, że jak nowy. Ale najciekawsze miał w środku. Specjalny potrójny przedział, niby dyżurka czy stróżówka... Chyba dla wojska, bo w ścianę wprawiono uchwyty na broń.

Nie skończyłem nawet, kiedy ona podniosła powieki znad tęczywek błękitnych jak lapis-lazuuli i gwałtownie się przeżegnała.

– *Wo imia Otca i Syna, i Swiatoho Ducha! Szto ty skazał?! Szto ty, synok, baczyl?!*

Jej oczy były pełne grozy, żegnała się nieustannie, z prawa na lewo, jak należy.

– Pani Nadieżdo, spokojnie. Wagon, taki zwyczajny, tylko stary bardzo, sprzed pierwszej wojny jeszcze.

– *Zielonyj takoj unutri?* – z tego jej miękkiego „unutri”, któremu żadne „wewnątrz” nie dorówna, od razu wyzierała dusza tutejsza: białoruska, frasobliwa, najwyraźniej czymś teraz przerażona.

– No, plusz miał na siedzeniach zielony, a poza tym czerwone drewno, lśniący mosiądz... Obejrzałem całkiem dokładnie, bo sam w nim jechałem.

– *Nieszczastie, synok, wojna apiat' budiet!* – jęknęła jakoś tak żałośnie, z nagle poszarzałą twarzą.

Wojna – to zawsze było coś dla miejscowych ostatecznego, symbol krańcowej klęski i upadku, najpełniejszy synonim piekła na ziemi. Dlatego nigdy nie nadużywali tego słowa, niczym Żydzi prawdziwego imienia Boga. Zaniepokoiłem się.

– Ale o co chodzi, pani Nadiu, wagon jak wagon przecież...

I wtedy mi powiedziała. Przed pierwszą światową to się stało. W czternastym roku. Nadieżdy na świecie jeszcze nie było, ale jej młodzietka wówczas matka też pracowała wtedy w bufecie w Hajnówce, dojeżdżała tam z leśnej osady Czerlonka rowerem, codziennie osiem wiorst w jedną stronę. Dużo później opowiedziała wszystko dzieciom, lecz dopiero gdy dorosły.

Latem, kiedy jeszcze na stację końcową Pałac przyjeżdżały carskie pociągi z Petersburga, przywożące władcę Rosji wraz z rodziną do jego letniej wakacyjnej siedziby, monstrualnego i po bizantyjsku rozbuchanego pałacu w centrum gigantycznego parku w samym środku Białowieży, Mikołaj Drugi postanowił tradycyjnie zażyć nieco puszczańskich wywczasów. Tuż przed kolejną wakacyjną atrakcją: czarnomorskim rejssem flagowym jachtem Romanowów o dostojnej nazwie Wypieł. W kolejowym spekskładzie były jak zwykle luksusowa salonka carska, dwie salonki rodziny *gossudara*, no i wagony z urzędnikami, służbą, węzłem łączności, a po obu stronach salonek – z carską

bliską ochroną. Ludźmi wybranymi z tysięcy najlepszych wyłącznie w jednym celu – strzeżenia dniem i nocą władcy Wszechrusi. Służenia dynastii. Pewnymi, niezawodnymi, nie do złamania.

Lecz stała się rzecz niemożliwa: ktoś z obstawy jednak dał się złamać. Eserzy podstawili mu wiosną pannę w Petersburgu. Zakochał się na śmierć, miał się żenić. A oni w odpowiedniej chwili sfingowali jej porwanie i dali młodemu oficerowi propozycję nie do odrzucenia. Albo ona idzie pod nóż, albo... on unieszkodliwi swój przedział przed Hajnówką, środek nasenny dostarczą. Sam też może wypić, żeby nie było na niego. Ucieczka w samobójstwo nic mu nie da, narzeczonej to nie ocali. Ochrona do wszystkiego w końcu doszła, ale już po fakcie: zdrajca Boga i cara przed swą ostatnią drogą zostawił na kwaterze list. Potem służba pałacowa z Białowieży wypaplała wszystko przy wódce kilku lokalnym leśnikom, jeden z nich zalecał się do matki pani Nadii, i stąd jej wiedza. Oficjalnie bowiem wszystko skutecznie wyciszono, utajniono, końce w wodę...

Więc ów oficer z wagonu w skrajnej rozpaczycy uśpił kolegów. Domieszał jeszcze przed drogą do wódki smirnowki przekazany mu w Petersburgu narkotyk, w wyznaczonym czasie po cichu dostawił swoje butelki na stół, wznosił toasty, zachęcał do picia. Nic szczególnego, pito jak zawsze na służbie – z umiarem. Ale i tak kilkanaście osób w ten sposób zasnęło snem twardym, nieprzespanym. Nie dokończyli nawet partyjki karcianej, karty wypadły z rąk, drobny bilon rozsypał się po podłodze – nigdy nie grali wysoko, ot tak, aby zabić czas. Za Aleksandra coś takiego by nie przeszło, ale car Mikołaj nie był człowiekiem stanowczym. Nie bez powodu w końcu stracił i władzę, i życie. Pozwalał na znacznie więcej niż jego wielki ojciec i nawet nie kazał ich budzić. A niech też sobie *officery* Konwoja trochę odpoczną, w końcu zostało ledwie kilkanaście wiorst, to prawie jak na miejscu, dojadą, to szybko wytrzeźwieją. Druga połowa obstawy tkwiła przecież pod bronią kilkadziesiąt sążni dalej, w identycznym wagonie. Poza tym, cóż się stać może, gdy w trakcie wizyty monarchy wokół Puszczy pierścień wojska, a za co trzecim drzewem żandarm?



Noc była taka jak dziś ciemna, bezksiężycowa, tyle że gorąca, lipcowa, krótka. Wystarczająco jednak czarna, by na stacji w Nieznanym Borze, tuż przed Białowieżą, gdzie semafor na chwilę opuszczono, przebrany za kolejarza bojowiec od petersburskich terrorystów, niby to kontrolując osie, bez problemu podczepił pod ten jedyny wymarły wagon bombę z zapalnikiem nastawionym na dziesięć minut. Miała wybuchnąć jeszcze przed Białowieżą Towarową, na torach wśród wysokich świerków, gdzie czekała pozostała trójka zamachowców z dwiema machinami piekielnymi i szybkostrzelną bronią, by w wykolejonym roztrzaskanym pociągu znaleźć cara. I dobić.

Ale coś nie wyszło. Czy zapalnik skisł, czy dynamitardzi eserów mieli gorszy dzień, a może po prostu Pan na Niebiosach nie dopuścił (pani Nadia wymówiła to jednym tchem: „gaspodźnaniebiesiech”, z akcentem na ostatnią sylabę) – ich bomba co prawda wybuchła, ale słabo. Jak purchawka, a nie porządna bomba, pociąg się nie wykoleił, dojechał jakoś do stacji końcowej, gdzie roilo się od żołnierzy i żandarmów i gdzie cara oraz całą resztę z miejsca pod zbrojną osłoną ewakuowano. Tyle że pociąg częściowo spłonął od eksplozji pod tym feralnym wagonem, z obstawą śpiącą w środku snem ostatnim. On to bowiem zajął się pierwszy. Długo buzowało tylko wewnątrz, aż w końcu wagon, już wyczepiony, zwęglił się tak, że choć wydaje się to niemożliwe, nawet stalowe koła się spiekły. Nikt z Konwoja w nim nie ocalał, a temperatura była iście diabelska, ich kości rozwiał na popiół. Bez szans na chrześcijański pochówek. Toteż żadnego pogrzebu, choćby symbolicznego, nie odprawiono. Tym bardziej że czterech zamachowców ujęto w obławie, zanim jeszcze uciekli z Puszczy. I zastrzelono po cichu jak wściekłe psy, w jakimś leśnym uroczysku, więc nic się nie rozniosło.

A miesiąc potem, przypadek czy nie, wybuchła wojna światowa. Ta pierwsza, zwana Wielką. W ślad za nią po konającym Imperium rozpełzła się krwawą pianą rewolucja. Przyszła wojna z bolszewikami, potem Polska zaczęła gospodarować Puszczą. Białowieża stawała się stopniowo modna, przyjeżdżali do niej na polowania wszyscy ważni z kraju i Europy, w końcu znajdowała się niemal w centrum odrodzonej Rzeczypospolitej.

Miejscowi ludzie może by więc o wypadku z carem i jego zdradziecko lekkomyślną obstawą w końcu zapomnieli, ale w sierpniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego stało się coś, co pamięć podtrzymało, przekształciło ją w lokalny mit i legendę. Taki sam wagon, z pluszem, potrójnym przedziałem, mahoniami i mosiądzem na wysoki połysk, nowy i lśniący, nie wiedzieć skąd znów pojawił się znienacka w składzie nocnego pociągu PKP, tym razem z Białegostoku do Białowieży. Co ciekawe, w Hajnówce jeszcze go nie było, kolejarze potwierdzili, a tuż przed Białowieżą Towarową znikł. Któryś z nielicznych pasażerów z sąsiedniego wagonu nawet do niego przypadkowo wszedł po drodze, już na puszczańskim odcinku torów, usłyszał z zamkniętego potrójnego przedziału toasty po rosyjsku, ale nie zwrócił na nie większej uwagi i podreptał na swoje miejsce, do spać. Potem dopiero sobie przypomniał i gdzieś tak w latach pięćdziesiątych opowiedział białowieskim znajomym, cudem ocalałym po Goeringowskich okupacyjnych rzeziach lokalnej ludności. Oni zaś, wiadomo, powtórzyli innym.

Ale wtedy, w trzydziestym dziewiątym, kto by o tym myślał? Mało to zagranicznych gości wówczas do Białowieży przyjeżdżało? Ci najbogatsi pchali się nawet drogimi kolejowymi lukstordami. We wrześniu zaś znów się zaczęło. Druga światowa...

Pani Nadia wciąż nie mogła dojść do siebie, ale mnie czas gonił, pożegnałem się więc serdecznie i wyszedłem w noc. Ciekawa opowieść, będzie o czym mówić w domu, lecz pora to już była najwyższa, by zdążyć do podstawionego po drugiej stronie dworca pociągu Hajnówka – Warszawa Zachodnia. Odjechać miał kwadrans po drugiej. Siedem wagonów jak spod sztancy, z poznańskiego Cegielskiego chyba. Pamiętacie takie na pewno, do dziś można je spotkać na mniej ważnych trasach: przeszkłone przedziały, śmierdzące, niedomykające się toalety, w przedziałach firaneczki ze stylonu w jasnobrązowy rzucik z napisów

„PKP”, zakurzone brązowe siedziska, zimą zawsze duchota, specyficzny metaliczny zapach i takiż posmak w ustach po najkrótszej nawet podróży, rozregulowane ogrzewanie. Ale że mróz trzymał tęgi już od tygodnia, zima znów nadciągnęła z tych „stulecia”, w nocy spadało do ponad trzydziestu stopni poniżej zera, *lepiej takie ogrzewanie niż żadne* – pomyślałem. W Puszczy od kilku dni pękały od tych syberyjskich zamrozów dwustuletnie świerki. Ich suchy, donośny trzask słyszałem dwie godziny wcześniej i tej nocy, stojąc na wąskim peronie neomodernistycznej, gierkowskiej stacji Białowieża Pałac, co to zastąpiła dawną carską, filigranową, snycerską sztuką w drewnie rzeźbioną. Więc niech już i grzeją w kolejowych wagonach, choćby za mocno.

Zataszczyłem torbę do przedziału i z trudem umieściłem na półce. Obok wrzuciłem równie ciężki plecak. Nic dziwnego. Połówka świniaka swoje waży. Szły święta, męska część rodziny rozjechała się po Polsce za aprowizacją, bo kartki na mięso można już było sobie w buty wsadzić. W sklepach od miesięcy nagie haki i półki, w oczach matki łzy, kiedy nie miała co ugotować bliskim na obiad, a moja mała siostrzyczka bez przerwy pytała, dlaczego znów jemy pyzy, bo ma apetyt na kotleta. Ojciec pojechał więc do rodziny do Łukowa, po nabiał i hodowane specjalnie dla niego bezkarkowe kurczaki, ja zaś ruszyłem po wymarzone przez siostrzyczkę schabowe aż na kraniec Polski. Znajomi, ludzie już mocno sędziwi, dali jeszcze w listopadzie znać, że utuczyli co trzeba na sprzedaż, ale w cenę wliczyli pomoc przy nielegalnym przenoszeniu świnki do Krainy Wiecznego Koryta. Miejscowy weterynarz był już ugadany, za niewielki udział.

Cóż było robić? Osobiście, siedemnastolatek, najpierw dorwałem gdzieś, jeszcze w Warszawie, podręcznik dla masarzy i rzeźników, a potem, w Białowieży, klnąc swój los w żywy kamień, waliłem na wążutkim podwórzu maciorę w łeb siekierą, wieszałem martwym ryjem w dół na belce w stodole, wytaczałem do wielkiej emaliowanej michy juchę, pomagałem w patroszeniu i sparzaniu wrzątkiem tuszy, a potem w jej dzieleniu.

Schab i karkówka, szynka, golonki i nóżki, pół łba z wielkim uchem na głowiznę w galarecie, łopatka, boczek, słonina do sole-
nia... I na sam wierzch, rzecz jasna, świeże, pachnące przyprawami
kaszanki, grubo mielona wątrobianka uwarzona przez gospodarzy tuż
przed moim wyjazdem... W wygłodzonej Warszawie istne delicje.
Niedostępne wtedy i luksusowe. Wszystko to poupychałem w sobotę
wieczorem do torby, poowijane w gazety, część wsadziłem do ste-
lażowego rajdowego plecaka. Dopchałem prostym prowiantem na
drogę, żeby nie kusiło. Po drodze do Hajnówki, jeszcze na dworcu
w Białowieży, i tak wszystko zamarzło na kamień. Spokojnie prze-
trzyma podróż.

W pociągu z Hajnówki do Warszawy, kiedy ledwo wdrapałem się po
stromych schodkach do wnętrza wagonu, zmachany byłem tak (spró-
bujcie wędrować i wspinać się na oblodzone stopnie, mroźną nocą,
z bagażem ważącym w sumie dobre siedemdziesiąt kilo), że gdy już
uporałem się z ładunkiem, musiałem chwilę odsapnąć. O carskim wa-
gonie prawie z tego wszystkiego zapomniałem. Kiedy jednak pociąg
ruszył, zdziwiłem się nieco, że w przedziale ponownie jestem całkiem
sam. O ile na trasie z Białowieży czasem się zdarzało, to już w Haj-
nówce normalne to na pewno nie było. Zazwyczaj ledwo dawało się
znaleźć wolne miejsce.

Wyszedłem na korytarz wagonu. Pusto. Tylko światelka się tłą.
Sprawdziłem dokładniej – w całym wagonie poza mną ani jednego
człowieka. Pociąg jechał przez śnieżycę, tu i ówdzie przez szczeliny
w oknach zawiewało do wnętrza śnieżny pył, a ja czułem się coraz
bardziej nieswojo. Postanowiłem sprawdzić, najbliższa stacja – Cze-
remcha – miała zamigotać za oknami dopiero za pół godziny. Sta-
rannie zgasiłem w przedziale światło, zaciągnąłem przed wyjściem
zasłonki, by nie dawać nikomu okazji, i ruszyłem w obchód. Cztery
wagony dalej dotarłem do krańca pociągu. Żywej duszy. Za szybą

ostatnich zablokowanych drzwi stopniowo zasypywane tory uciekały w ciemność i ginęły gdzieś w mroźnej pustce.

Poszedłem z powrotem. Piąty wagon – ten mój, mój w nim przedział, na półce torba i plecak z rąbanką. Ale mnie pchało coś dalej. Nie powiem, pojawiła się pierwsza iskierka lekkiego może jeszcze nie strachu, ale z pewnością niepokoju. Nic to. Kolejne trzy wagony i nadal nikogo. Aż po zabite na głucho przejście odkrytym pomostem do spalinowozu. Rozumiecie? Nikogo, nawet konduktora! Ale zaraz, jak to TRZY?!

Ostatnim, ósmym wagonem był ten z trasy białowieskiej – carski, pluszowy, mosiężno-mahoniowy! Kiedy go doczepili? Przecież tamten pociąg, z Białowieży do Hajnówki, dawno odjechał w dalszą trasę do Bielska Podlaskiego! A w Hajnówce, kiedy wsiałem do składu idącego do Warszawy, na pewno go nie dostrzegłem! Coś błysnęło pod nogami. Podniosłem z puszystego chodnika. Srebrna rubówka, na rewersie data: „1913”. Skąd ona tutaj? Chuchnąłem z nawyku i równie odruchowo schowałem do kieszeni, jak gdyby znajdowanie na zabytkowych pulmanowskich korytarzach carskich numizmatów było czymś najzwyczajszym w świecie. Gdy zaś ponownie uniosłem wzrok, coś się zmieniło.

Drzwi do wszystkich pojedynczych przedziałów, szeroko otwarte, tchnęły litą nieprzeniknioną czernią niczym wpatrzone we mnie łapczywie, nieprzytomnie głodne źrenice. Tylko jeden, ten potrójny, zamknięty. Wewnątrz falowało niby dym trupiozielone światło, lecz ciągnięte na głucho gęste pluszowe story nie pozwalały nawet zajrzeć do środka. A ja z każdą spędzoną pod nim sekundą coraz bardziej bałem się nie tylko pociągnąć za klamkę, ale nawet głośniej odetchnąć.

I wtedy ze środka ktoś nagle, krótko, z gniewem i rozpaczą krzyknął:

– *Gaspada! Jeszczio raz?!*

– *Jeszczio!!!* – metalicznie ryknęło z wnętrza w odpowiedzi, aż echo poniosło korytarzem.

Nawet nie poczułem, jak i kiedy znalazłem się kilkadziesiąt metrów dalej, w swoim wagonie, pod półką z ubitą świnią. Drzwi prze-

działu zablokowałem od wewnątrz, firanki zaciągnąłem, światło znów wyłączyłem. Trząśłem się, strach wyczulał słuch, z zewnątrz gdzieś z oddali wciąż chyba dobiegały rwane odgłosy oficerskiej popijawy...

A za oknem – czarno. Tylko przy samych szybach, podświetlone lampami z innych przedziałów, tumany pędzących śnieżynek. Zimno jakoś, jakby wyłączyli ogrzewanie. I ja sam jeden, nie licząc zwalów zmrożonego na kość mięcha. Ale Czeremcha była już blisko, tam wysiądę, aby dalej od tego przekłętego wagonu i pociągu! Właśnie się zbliżaliśmy. I co powiecie? Mój pociąg, nie zwalniając nawet, przeleciał przez dworcowe tory i perony, na których – Boże ty mój – ciemno i również ni żywej duszy!

Gdzie ja trafiłem? Czymże jechałem? Aż taka wokół pustka? To przecież niemożliwe! Czy to jeszcze życie, czy też może gdzieś po drodze walnęliśmy w coś jadącego z naprzeciwka, a tu, nie wiedzieć dokąd, podąża jedynie mój przerażony duch, poprzedzany przez pijany, nomen omen w trupa, oddział piekielnych konwojentów? Rosnąca nieustannie desperacja, w końcu niemal panika, kazała mi się przyrzec hamulcowi bezpieczeństwa. Tak, to jest myśl! Kiedy pociąg stanie – zeskoczę w śnieg i w pole! Mróz, nie mróz, zamieć, nie zamieć!

Szarpnąłem czerwoną rękojeść przygotowany na wstrząs, ale on nie nastąpił. Nic się nie stało! I wtedy, sam nie wiem dlaczego, spojrzałem rozbieganym wzrokiem na półkę. Pakunki z rąbanką nadal na niej tkwiły. No tak, że też wcześniej na to nie wpadłem! *To musi być sen, koszmarny majak* – pomyślałem wtedy. Zmęczony jestem. Mordercze, pierwsze w życiu własnymi rękoma dokonane świniobicie też mi w kość dało, trzeba po prostu przeczekać i się w końcu obudzić. W najstraszniejszych opowiadaniach Grabińskiego nikt przecież nie przemycił w nawiedzonym pociągu połówki świniaka!

Zaraz, zaraz, co też to mówiła bufetowa Nadieżda? Że nikt ich nawet po chrześcijańsku nie pogrzebał?! Czyli – po tutejszemu – ani obowiązkowej panichidy, ani nabożeństw na trzeci, dziewiąty, nawet najważniejszy – czterdziesty dzień? Po dziś dzień żadnych, najskromniejszych rodzinnych spotkań w ich Radunicę, czyli Wszystkich

Świętych, z ofiarnym jedzeniem na grobach, by znękanie dusze miały siłę przebrnąć cały najeżony próbami szlak, aż przed oblicze Najwyższego? Albo łatwiej znosić piekielne męki? I to wszystko tylko dlatego, że jak powiedziała Nadieżda, ówczesny szef Ochrazy, czyli tajnej policji cesarstwa, lękał się opinii publicznej i zamiótł sprawę pod dywan, pod pretekstem oddalenia dalszych zamachów? Chociaż sam święty starzec Grigorij ostrzegał carycę, że to sprowadzi na wszystkich niewyobrażalne nieszczęście? Komu jak komu, ale pomazańcowi Bożemu na tej ziemi po prostu pewnych rzeczy robić pod żadnym pozorem nie wolno! Bo jakże to tak, carem być potężnym, samodzielnym, a z nędznego strachu nawet nie pochować sług swoich jak ludzi... Mszy za nich nawet nie zamówić...

I wtedy wreszcie nagle wszystko zrozumiałem. Ach, to stąd ten rubel! To dlatego tak się dziś do mnie ten piekielny wagon przyczepił! W końcu – jeśli nie ja, to kto?

To był impuls. Gorączkowo zerwałem z półki plecak, wyjąłem z niego kawał świeżo przyrządzonej jęczmiennej kaszanki, wędliny jednej, drugiej, wyrwałem z bocznej kieszeni pszenney placek z makiem dany mi przez gospodarzy na drogę, obrałem trzy gotowane jaja na twardo, żelazny element każdej wtedy podróźnej wałówki. Wyszedłem na korytarz i po cichu znów przemknąłem aż pod sam carski wagon. Przynajmniej spróbuję.

A jakże, nadal na mnie czekał. Tym razem spokojny, cichy, taki sam jak wtedy, gdy nim z Białowieży jechałem. Do trzech razy sztuka, albo jak tutejsi mawiają: „Boh Trojcu ljubit”. Ułożyłem ofiarę tuż za pomostem, na niecierpliwie falującej, niczym czułki ukwiału, zielonej wykładzinie korytarza, przeżegnałem się kilkakrotnie z lewej na prawą i na wszelki wypadek również z prawej na lewą, Wieczne odpoczywanie chyba nawet zmówiłem, Bożej Matki opiece ich dusze poleciłem, a potem równie cicho, nawet się nie oglądając, wróciłem do siebie. Widma, nie widma, mara, nie mara, coś się im przecież, do diabła, od żywych należało! Niechby i we śnie! A za poczęstunek – zapłacili!

Kiedy więc mijaliśmy Siedlce w nieprzerwanym pędzie, a ja nawet nie spostrzegłem wśród zaokiennej czerni miasta ani dworca, po prostu wtuliłem się w kąt przedziału i już tylko czekałem na kolejne senne demony albo anioły, które poniosą mnie w ten oniryczny świat dalej, kiedy być może wreszcie dotrzemy do kolejnej wymęczonej fazy REM. Z tego wszystkiego w końcu nawet szyny przestawały już rytmicznie odzywać się tym swoim zwyczajnym toto totak, toto totak, przechodząc niepostrzeżenie w stłumione i głuche dłuk, dłuuk, dłuk dłuuk, brzmiące niczym bąble pękające na powierzchni gotującej się smoły.

Płynęliśmy przez noc, Kosmos, bezludne eony – ja unieruchomiony ucichającym koszmarem oraz moja rozmrażająca się powoli wie-przowina – tak długo, że zdążyłem w tym śnie nie śnie kilkakrotnie opowiedzieć sam sobie i starannie obejrzeć całe moje życie. Jakbym się komuś mimowolnie spowiadał. Niewiele tego wtedy było, ale cóż, dobre i to! W każdym razie znacznie lepsze niż wspomnianie bez końca widmowego przedziału, w carskim wagonie. Po drodze Mińsk Mazowiecki też nawet nie mignął za szybami. Chyba w końcu z tego wszystkiego jeszcze głębiej, bo już całkiem bez snów, zasnąłem. Będzie, co ma być. Popijawa dawno ucichła. Wszystko ucichło, tylko za szybami wciąż było słyhać to mroczne, z innego świata – dłuk, dłuuk... Dłuk dłuuk... Dłuuk...

Kiedy pociąg wreszcie stanął na stacji Warszawa Wschodnia, a ja otworzyłem zdumione oczy, nagle zalane światłem słonecznego, skrzącego się śnieżną bielą poranka, ujrzałem za oknem pierwszych ludzi. Niebieskich. Prawie samych niebieskich. Choć byli i zieloni. Tych drugich z każdą chwilą pojawiało się na peronie więcej. Niedobrze, bo skrzydeł nie dostrzegłem, choć kopyt na szczęście też na razie nie. Chodzili grupami, patrzyli mi badawczo w oczy, wahali się, gdy ich, kuśtykając, mijałem, obarczony ciężkim ponad miarę ładunkiem,

aby przez perony, aby dalej za wyludniony dworzec, aby już nie widzieć tego koszmarnego pociągu. Nawet nie obejrzałem się na koniec, czy carski wagon nadal tam jest.

Na wymarłej ulicy stała jedna jedyna, samotna taksówka. Podałem adres. Kierowca pomógł mi umieścić torbę w bagażniku, potem bez słowa ruszył.

Chwilę trwało milczenie. Na Charona nie wyglądał. Na Świętego Piotra też niespecjalnie. Sam zagadał:

– I co myślisz, młody człowieku, o tej naszej wojence? Bo jak tak patrzę sobie na ciebie i twój bagaż, jestem prawie pewien, że raczej damy radę... Może choć tym razem przejdzie bokiem? Cooo, mały szmugielek przed świętami?

Wojnie? Jakiej znowu wojnie?! Dobra ze złem? Nieba z Piekłem? Snu z jawą? Kiedy dojeżdżaliśmy na moją praską Trocką, pod gazo-betonowy blok, jeden z setki podobnych, zrozumiałem, że te skojarzenia były całkiem trafne. Choć dopiero kolejne dni i miesiące pokazały, jak bardzo. Trzynastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku o dziewiątej pięć rano władowałem się z torbą i plecakiem do mieszkania, w którym matka płakała, a siostra pytała, co z *Telerankiem*.

Rąbankę, stopniowo wyjmowaną z domowej zamrażarki, poma-lutku jedliśmy aż do czerwca, choć na dzień dobry swoje dostałem za brak kilku kilogramów wędliny. Wyjaśniło się przy okazji, skąd aż tak samotna podróż z Hajnówki. Dworce kolejowe od pierwszej w nocy z soboty na niedzielę były już szczelnie otoczone przez woj-sko Wrony. Miało rozkaz wypuszczać, lecz wpuszczać już nie. Blo-kowało tak dokładnie, że nikt inny, poza pijanymi duszami w drodze z Przedpiekła do Piekła, mną oraz niekompletną świnią, już się nie przecisnął.

Niezły sen, powiecie. Może i sen. A może nie. Kiedy wieczorem w łazience wkładałem do pralki podróżne dżinsy, z kieszeni coś wypa-dło i chybotliwie potoczyło się po terakocie pod wannę. Kiedy sięgną-łem i otworzyłem dłoń, na rewersie pokrytego oksydą lat, ponad trzy-

centymetrowej średnicy krążka zapyszniał się dwugłowy orzeł, a pod nim cyrylicą wybite: „rubl”. Odwróciłem monetę. Awers przywitał mnie znanym profilem i rosyjskim podpisem: „B.M. Nikołaj II Imperator i Samodzierż...”. Reszty nie dało się odczytać, napis rozpływał się srebrną łzą po nadtopionym rancie...

Paweł Wolski (pseudonim literacki) – urodzony w Gdyni w zamierzonych latach 60. XX wieku. Absolwent Dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, z zamiłowania historyk pierwszej połowy XX wieku, tłumacz rosyjskiej poezji, wodniak i wędkarz. Choć po górach też lubi sobie powędrować. Ulubiony rodzaj fantastyki: alterhistoria. Stąd jego *Plan Basior* w numerze 9/2019 „Nowej Fantastyki”. Ulubiony bohater literacki: dawniej Ijon Tichy, obecnie Snuff (kosmonawigator znany z antologii *Fantastyczne Pióra 2018*). Ulubione książki: te przed lekturą. Najważniejsza w życiu definicja? „Wolność to swoboda czynienia tego, co należy”.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/23331>

Znalazłam tutaj chyba wszystko, co w literaturze lubię znajdować – klimat, który z miejsca mnie porywa i przenosi w miejsce akcji, prawdę – nie historyczną czy biograficzną, tylko takie spojrzenie, taki kawałek świata, który potrafię poczuć i w niego uwierzyć, emocje, które doskonale dźwięczą – ten niepokój i tę nostalgię, piękne zdania, malowanie słowem cudownych detali, angażowanie zmysłów.

Werwena

Nie mam pojęcia, jak to zrobiłeś, ale nawet nie tyle zobaczyłam carski wagon, co w nim siedziałam. Niesamowite. Jestem pod ogromnym wrażeniem Twoich umiejętności. Jestem absolutnie zachwycona.

Bogumiła Strzelec (Anet)

Dobre, mocne, klimatyczne. I najważniejsze, że czytelne – żadnych rebusów. Wspomniany Grabiński cmoka teraz zapewne z uznaniem, a może i z odcieniem zazdrości.

Tadeusz Solecki (tsole)

Przede wszystkim zwraca uwagę świetny klimat. Sporą robotę wykonują tu bardzo dokładne opisy. Dbałość o szczegóły. Pozornie to drobiazg, który może przez czytelnika nie zawsze będzie doceniany. Ale on, w tym konkretnym opowiadaniu, jest niezmiernie istotny.

CM

Świetne!!! Jakbym się w czasie cofnął... Wszak ja to wszystko przeżyłem, pamiętam – plecak Polsportu, jajka na twardo, brak *Teleranka*... A tu i mnogość wyczelowanych detali (jak te firanki w PKP), i większa opowieść za nimi schowana. No cymesik!

Dariusz Skrzydło (Staruch)

Ostatni kurs

Katarzyna Szymonik

Urodziłem się w podziemiach, byłem dzieckiem ciemności, krzyżówką człowieka z kretem; moje powieki zszywała niewidzialna nić, a dłonie miałem tak wielkie, że nie potrafiłem utrzymać długopisu. Słuch zaś swą wrażliwością znacznie przewyższał ludzki.

– Widzi pan, panie Molick... – Głos szefa, przezywanego przez tych, którzy widzieli, Wieprzem, wwierał mi się w czaszkę. – Czasy poszły do przodu, tory w podziemiach zmodernizowano. Są teraz tak wytrzymałe, że transportowce mogą osiągać...

Nie chciałem go słuchać. Nie chciałem!

– ...naprawdę zawrotne prędkości, a pański T72... – Wieprz chrząknął, po czym obrzydliwie kaszlnął, by po chwili (na szczęście odrobinę ciszej) kontynuować: – T72 są niewydajne, za stare, za wolne, zardzewiałe, zbyt rozklekotane.

Moja ukochana dżdżownica – za stara?! Jak on mógł!

Zacisnąłem pięści, wbijając zrogowaciałe paznokcie w miękką skórę dłoni. Zabolało.

– Nie są w stanie w pełni wykorzystywać możliwości naszych superszyn.

Podłoga nieprzyjemnie zaskrzypiała.

– O, przepraszam, chciałem panu pokazać zdjęcie najnowszego modelu – na ułamek sekundy zamilkł – ale pan nic nie widzi. Tak, panie Molick...

Szelest rozwijanego papieru.

– Za dwa lata przysługuje panu emerytura i...

Skrzyp, skrzyp, skrzyp – przełożony podszedł zbyt blisko. Z jego ust bił odór zgnilizny. Położył ciężką dłoń na moim ramieniu.

– W związku z tym, że byliśmy z pana pracy wyjątkowo zadowoleni... Mhm.... Przez te ostatnie... – oddalił się i ponownie zaszeleścił – ...prawie czterdzieści lat nigdy pan nas nie zawiódł, jesteśmy gotowi zapłacić za „nakrętki”, by mógł pan widzieć, panie Molick. Widzieć!

Auć. Tylko nie krzyk. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni po zatyczki.

– O, przepraszam – wyszeptał, a ja gwałtownie się podniosłem, zacisnąłem dłonie na poręczy krzesła i powiedziałem wyjątkowo jak na mnie głośno:

– Ja nie chcę, ja wam nie pozwolę. Nie możecie mi zabrać mojej dżdżownicy!

– Panie Molick, próbowałem być miły, ale tu nie chodzi o to, czego pan chce.

– Ja... ja proszę...

Nastąpiła cisza, którą zakłócał jedynie świszczący oddech Wieprza i przyspieszone bicie mojego serca. Świat się rozpadał, ogień buchający z jądra planety niszczył podziemia, szalał po korytarzach, trawił mieszkalne nory i ogromne hangary.

Moja Kore... Nie, nigdy. To jak morderstwo dziecka. Bezpodstawna eutanazja, żeby było nam wygodniej. Nie mógłbym...

Nagle w moim sercu pojawiła się nieoczekiwana nadzieja. Zaciśnąłem zęby.

– Czy mogę poprosić o ostatni kurs? Proszę – wybełkotałem.

– Ostatni kurs? – powtórzył przełożony. – Hm, jeśli tak panu zależy.

Cuchnące moczem i wysokoprocentowymi napojami hale podziemia. Dobiegające gdzieś z oddali popiskiwanie szczekolapek. Ja i moja laska.

Szedłem wolno, ostrożnie. To nie był dobry czas na spacer po jednej z najbardziej zatłoczonych dzielnic Krosidium – podziemnego miasta zamieszkiwanego głównie przez kolejarzy, recydywistów z krajów Powierzchni, podstarzałe prostytutki (rzadko kiedy stuprocentowe kobiety, zwykle krzyżówki z krocionogiem albo nicieniem) i opasłych menedżerów w typie Wieprza, którego gabinet właśnie opuściłem.

Zapach smażonego żuka gnojowego. Jeszcze dwa zakręty i będę u siebie. Zaburczało mi w brzuchu. Chyba skuszę się na...

– Panie Molick! – Mimo wetkniętych w uszy zatyczek usłyszałem sprzedawcę. – Proszę, proszę, dla pana bez kolejki. Z dodatkową porcją sosu. Ach, i jeszcze dorzucę kawałek żuczka. Palce lizać.

Wygrzebałem z kieszeni pięciopunktową monetę.

– Proszę. Bez reszty.

– Dziękuję.

Wyciągnąłem dłoń, by po chwili poczuć w niej plastikową miseczkę z dyndającym z boku widelcem, którego i tak nie mogłem użyć. Aromat rzepakowego oleju i pikantnego, paprykowego sosu przyjemnie drażnił nozdrza, ale żeby zabrać się do jedzenia, musiałbym odłożyć laskę...

Westchnąłem ciężko. Ja nie nadawałem się do tego życia. Byłem wzbudzającym współczucie ślepcem, kaleką. To nie Kore, tylko ja zasługiwałem na nieistnienie. Przełknąłem ślinę i skierowałem się w stronę windy.

Moja nora mieściła się na parterze trzypiętrowego nicienia, jednego z tych, które zagnieździły się w glebie poziomemu „minus trzy”. Gdy przekroczyłem próg klatki i zaatakował mnie smród środka do zwalczania skoczniaków, nie potrzebowałem już laski. Może mój mózg, a może ciało pamiętało drogę. Dwa małe stopnie, zakręt, dziesięć dużych kroków i byłem u siebie – w mojej klitce.

Inni, którzy cieszyli się możliwością widzenia, nieustannie narzekali na brak miejsca, a ja... Mnie było łatwiej. Moja ślepotą lubiła bliskość, a poza tym i tak większość czasu byłem w trasie, zespólny ze swoją dżdżownicą.

Z dżdżownicą, którą chcieli uśmiercić.

Wbiłem pazur w usmażonego żuka, wyobrażając sobie, że zabijam Ziemię, bo to Ziemia była matką wszelkiego cierpienia.

Rozgryzłem pancerzyk, poczułem smak mięsa, przełknąłem. To niby luksusowe dla biedoty żarcie za bardzo chrzęściło między zębami. Jedno z odnóży ukuło mnie w podniebienie.

– Cholera – przekląłem i wyrzuciłem miskę z niedojedzonymi żukami do kosza.

Tak czy inaczej, nie czułem już głodu. Zimny prysznic, miękka, flanelowa piżama i twarde łóżko. Przyłożyłem głowę do poduszki, głębiej wcisnąłem zatyczki w uszy, podkuiliem nogi i zacząłem liczyć pojawiające się przed oczami plamki, większość w różnych odcieniach czerwieni.

Jedna, druga, trzecia... sto dwudziesta siódma... Nie mogłem zasnąć. Plamki uparcie układały się w głowę Kore, w jej olbrzymie, rejestrujące najmniejszą zmianę otoczenia ślepie, w zawsze uśmiechnięty pyszczek. Uśmiechnięty, nawet gdy była smutna, bo któż by chciał podróżować transportowcem o skwaszonej minie?

Obudziłem się ze zgagą, zdrętwiałą ręką, którą zapewne parę godzin przegniatałem pokaźnych rozmiarów brzuchem, i zaślinioną brodą. Pospieszenie umyłem twarz i wstawiłem wodę na herbatę.

To pewnie przez smażone żuki mam teraz taki syf w ustach – pomyślałem, po czym nacisnąłem stojący na półce obok biurka czasomierz.

Po ułamku sekundy dotarł do moich uszu słodki, cichuteńki, elektroniczny głos:

– Piętnaście po ósmej.

Przeciągnąłem się, zalałem wrzątkiem zioła. Nie miałem czasu do stracenia. Musiałem przyszykować samego siebie, a przede wszystkim zlecić przygotowanie dżdżownicy na trzytygodniowy wояж. Nasz ostatni kurs: do Pilipolis i z powrotem. Wieprz chciał mi wcisnąć czterodniową wycieczkę do Miasta Bezsenności, ale wręcz ubłagałem go o dłuższą trasę. Gdzieś pod warstwą tłuszczu szefa chyba wciąż biło serce. Zresztą, coś mi się przecież należało – jak sam stwierdził – nigdy nie sprawiałem im żadnych kłopotów. Byłem potulny niczym baranek, zawsze dbałem o dżdżownicę i jej pasażerów.

Dopiłem herbatę, schrupałem wafla nadziewanego turkuciwatym sokiem, wcisnąłem się w roboczy kombinezon i z laską w ręce wyruszyłem do hangarów. Znałem drogę; mój kij raczej spełniał funkcję odgarniacza błakających się wszędzie mieszkańców poziomu „minus trzy”, którzy o tej porze zachowywali się wyjątkowo flegmatycznie, jakby wciąż jeszcze spali.

Gdy minąłem sklep z pieczywem, mój kombinezon nadał się od gorącego powietrza, które wylatywało z rur Zakładu Wtórnego Przetwórstwa Plastik. Lubilem to uczucie „bycia poganianym”. Specjalnie ustawiałem się na „torze”, na którym najbardziej wiało. Taka trochę dziecinna zabawa, która, niestety, dzisiaj nie sprawiła mi frajdy – za bardzo byłem zatopiony w myślach o Kore.

Czy uda się ją uratować?

Zagryzłem dolną wargę i zacisnąłem dłoń na lasce, zdeterminowany, by ocalić moją dżdżownicę.

Hangary już z daleka przywitały mnie intensywną wonią spalanego kamienia ziarnistego i konkurującym z nią odorem czerwonego oleju. Przez pierwszy rok pracy na kolei po każdym kontakcie z tymi dwoma zabójczymi zapachami cierpiałem na coś w rodzaju przewlekłego kataru alergicznego, a że kontaktu z dziadostwem miałem mało, prawie cały czas chodziłem z zasmarkanym nosem.

– Dzień dobry, panie Molick. Już otwieram. – Zachrypiły głos strażnika i skrzyp bramy.

– Dziękuję, panie Nordelck. – Wysiliłem się na smętny uśmiech, mogąc jedynie zakładać, że strażnik odpowiedział mi tym samym.

Kore stacjonowała w ósmym hangarze na prawo od wejścia. Porządny spacer, ale ja nie szedłem, lecz maszerowałem, machając rękoma i wysoko unosząc kolana. Moje buciory uderzały o chodnikowe płyty, a ich tupot odbijał się echem od otaczających mnie z każdej strony blaszanych ścian. Gdyby nie zatyczki, te grzmoty uszkodziłyby mi mózg.

Dżdżownica spała. Nie mogłem tego zobaczyć, ale wiedziałem, że ma ślepie przesłonięte gumowymi powiekami, wyłączone światła, nieruchome koła...



Miałem ochotę się do niej podłączyć, chwilę pogadać, ale mogłem to robić jedynie podczas jazdy, nie, kiedy znajdowała się w spoczynku. Taka była natura biotycznych transportowców-symbiontów – poza czasem koegzystencji znajdowały się w stanie uśpienia. Ja również należałem do organizmów symbiotycznych, ale funkcjonowałem też poza okresem współistnienia z Kore, tylko... tylko, no właśnie, jak wyglądała moja samodzielna egzystencja?

Potknąłem się o coś twardego na chodniku, chyba jakiś gruz, prawie tracąc równowagę.

– Panie Molick, ostrożnie. Wywaliło się z taczki trochę kamienia i jeszcze nie zdążyłem posprzątać. Zaprowadzić pana do transportowca? – Słowa zbyt głośne i zbyt chrzęszczące w uszach.

Wzdrygnąłem się, przełknąłem ślinę i wymamrotałem:

– Nie, wszystko w porządku. Dam sobie radę. I mógłby pan tak nie krzyczeć. – Zmarszczyłem czoło i chrząknąłem znacząco, po czym przejechałem laską po chodniku i ruszyłem do przodu.

Parę kroków i znalazłem się przy Kore. Położyłem dłoń na metalowym pysku, śliskim i chłodnym, przesunąłem palce do kontrolki awaryjnej i delikatnie ją podrapałem.

– Hej, Molick!

Odwróciłem się gwałtownie.

– Słyszałem, że jutro ostatni kurs twojej dżdżownicy. Przyszedłeś przygotować swoje małeństwo do drogi?

– Mhm.

– Taka podróż pożegnalna?

Zacisnąłem wargi, rozszerzyłem nozdrza, po czym, ignorując pytanie, powiedziałem:

– Będę potrzebował kamienia i oleju na trzy tygodnie.

– Dobra, dobra, Molick. Wypełnię brzuszysko dżdżownicy po brzegi. I porządnie ją wyszoruję. Jak ci bardzo zależy, to wymienię też szkiełko od lampki, tej z prawej strony. Pewnie nawet nie wiesz, że jest pęknięte. – Konserwator na chwilę zamilkł, by dodać o pół tonu ciszej: – A ty możesz umyć koła.

– Dzięki.

Podreptałem wzdłuż Kore do blaszanej budy, bez problemu znalazłem wszystko, czego potrzebowałem, po czym, nucąc piosenkę o tęsknocie za niebem, zabrałem się do czyszczenia kół. Z każdej strony było ich trzydzieści siedem – cztery bardzo duże, dwadzieścia pięć średnich i osiem małych. Te ostatnie należały do moich ulubionych – wręcz z namaszczeniem je wyskrobałem, nałożyłem żel o konsystencji wody adhezyjnej, a następnie zacząłem polerować. Oczywiście nie byłem w stanie zobaczyć efektu moich starań, ale dotykając opuszkami palców powierzchni kół, oczyma wyobraźni widziałem, jak lśnią w świetle hangarowych lamp.

Ku mojemu zaskoczeniu, wieczorem, dzień przed kursem, nie miałem najmniejszych problemów z zaśnięciem. Naliczyłem jedynie szesnaście czerwonych plamek i zatonąłem w morzu marzeń. Do samego rana dosiadałem dżdżownicy niczym prehistorycznego stwora i przemierzałem z nią znane jedynie z audycji radiowych stepy, zielone gaje i śnieżne pustynie. Kolory i kształty, doliny i góry, drzewa i lodowe skały. Wolność. To nie tory, a ja decydowałem, w którą stronę skręć. W moich snach pędziliśmy z Kore szybciej niż wiatr ku nieznanemu i ku przygodzie.

Melodyjny głos budzika wyrwał mnie ze snu pięć minut po siódmej. Przeciągnąłem się i po szybkim śniadaniu przerzuciłem przez ramię torbę wypełnioną puszkami z żarciem oraz butelkami z wodą, drugą taką chwytając wraz z laską w rękę, i wyruszyłem do hangarów.

Kiedy lekko zziąjany dotarłem do „ósemki”, przywitał mnie głos rozbawionego konserwatora:

– Molick, Molick, ale masz rumieńce, jakbyś właśnie z jakichś tańców wracał! Coś ty taki podekscytowany? Myślałem, że się będziesz smucił.

– Bo się smucę – odburknąłem, wyciągając wolną rękę ku Kore w poszukiwaniu drzwi do kabiny sterowniczej. Kiedy już je znalazłem, krzyknąłem: – Do widzenia, Bulliger!

– Do widzenia, szerokiej drogi.

Wszedłem do kabiny i chwyciłem zwisające z sufitu włóknotransmitory. Zbliżyłem je do skroni, a transmitory, kiedy tylko wyczuły moją obecność, same przyczepiły się do skóry i bardzo powoli, delikatnie zaczęły wkręcać się w czaszkę.

– Sadi!

– Kore!

Krzyki radości, nieuszkodzające mi uszu, bo rozlegające się jedynie w mojej głowie, a po wrzaskach rozmazany obraz.

– Dokąd jedziemy, mój dowódco? – Głos dżdżownicy był słodki, miękki, rozkosznie łaskoczący neurony.

– Do Pilipolis.

– Naprawdę?! Niesamowicie się cieszę. Trzy tygodnie życia!

Niesamowite ciepło załało moje ciało, obraz uległ wyostrzeniu; ujrzałem hangar i Bulligera powolnym krokiem oddalającego się w stronę „dziewiątki”. Barwy i kształty, które wykwitły mi przed oczami, były odrobinę przytłumione przez ekrany ochronne nałożone na ślepie dżdżownicy, ale i tak stanowiły raj dla mózgu spragnionego wrażeń wzrokowych.

Wciągnąłem powietrze głęboko w płuca i przesłałem do Kore sygnał podziękowania – uścisk bez słów. Odpowiedziała mi kolejną falą ciepła, a po chwili poczułem pierwsze drganie...

Dżdżownica przygotowywała się do startu. Powoli przetransportowywała olej i kamień ze zbiorników do połączonych z silnikami trzewi. Oddychała. Żyła. Zmieniała się z martwego mechanizmu w żywy organizm, brała ode mnie siły witalne, odwdzięczając się zmysłami – tymi wynikającymi zarówno z jej dżdżowniczej natury, jak i z genetycznych modyfikacji. Dzięki technooczom Kore nareszcie widziałem!

Poza tym emanowała z niej magiczna energia, która nadawała sens mojemu istnieniu i sprawiała, że przestawałem być człowiekiem-kretem, a przemieniałem się w wojownika.

- Gotowy?
- Oczywiście!

Wyjechaliśmy z hangaru, bardzo powoli pokonaliśmy kawałek trasy na poziomie „minus trzy” i dotarliśmy do tunelu prowadzącego do poziomu „minus cztery”. W jego wnętrznościach wyryte zostały niezliczone korytarze z torami oraz różnych rozmiarów jamy, kryjące w sobie stacje obsługi pasażerów, punkty serwisowe i sypialnio-jadłodajnie dla kolejarzy.

Przed tunelem czekała nas międzypoziomowa kontrola graniczna polegająca na prześwietleniu dżdżownicy (a przy okazji i jej kolejarza) przez ogromny laseroskaner – procedura znienawidzona zarówno przeze mnie, jak i przez Kore.

- Trzymaj się, maleństwo – wyszeptalem.
- Ty też – odpowiedziała drżącym głosem.

Poczułem wibracje, a potem coś jakby wbijanie szpilek w ogon transportowca. Zacisnąłem szczęki; zrobiło mi się niedobrze i zaczęło pisać w uszach. Przypomniałem sobie słowa Wieprza, gdy poskarżyłem mu się na bolesne prześwietlenia: „Molick, ty się za bardzo łączysz. Powinieneś się izolować, a nie integrować. To tylko pieprzony transportowiec, a nie twoje dziecko...”.

– Pieprzony transportowiec... – powtórzyła Kore tak cicho, że prawie jej nie usłyszałem.

- Przepraszam, już... już...

Ściana laserów dotarła do części środkowej. Ujrzałem, jak dżdżownica wygina się niczym rażona prądem – oczywiście to była jedynie projekcja umysłu, ale... z żalu ukłuło mnie pod lewym żebrem.

- Sadi...
- Już... już...

Lasery przepłynęły przez moje ciało, bardzo szybko, prawie niezauważalnie. Jeszcze tylko urocza mordka Kore... Auć...

Rozbłysło zielone światło i szlaban ruszył w górę.

Wypiłem porządny łyk wody, wytarłem spływający po czole pot, oblizałem wargi. Najgorsza część podróży za nami.

Kore westchnęła, po czym słodko się roześmiała. Moim oczom ukazały się prowadzące pod dosyć ostrym kątem w dół tory. Stalowe szyny delikatnie połyskiwały w przygaszonym, zielonkawym świetle podłużnych lamp umieszczonych pod sufitem. Piękny widok. Próbowalem nie myśleć, wyłącznie rozkoszować się patrzeniem.

Dżdżownica bardzo powoli ruszyła do przodu.

Kiedy tylko dotarliśmy do poziomu „minus cztery”, korytarz zrobił się szerszy. Był też znacznie lepiej oświetlony, a jego ściany dekorowały różnego rodzaju rysunki, szlaczki i napisy – w większości cytaty jakichś mądrych ludzi z Powierzchni. Z rzadka zdarzały się kolorowe malowidła, niektóre z nich tak śliczne, że aż zapierały dech w piersiach.

– Kore, patrz!

Zbliżaliśmy się do niesamowitego obrazu przedstawiającego nagą kobietę leżącą na trawie pod rozłożystym drzewem. Niestety, tuż za nią znajdowała się narysowana białą kredą podobizna świni.

Wieprz...

Nie, nie mogę o nim myśleć. Nie teraz. Stop. Blokada. Brak przesyłania impulsów do transportera. Blokada. Blokada.

Świnia zniknęła.

Zacząłem czytać połyskujące srebrno litery ciągnące się wężykiem za rysunkiem: „Życie to pociąg – pociąg do szczęścia, pociąg do prawdy...”. Dobrze, przywróć impulsy.

„*Pociąg do prawdy...*” – powtórzyłem.

– Molick, uciekłeś. Tak nagle – powiedziała dżdżownica podenerwowanym tonem. – Czy coś przede mną ukrywasz?

– Nie, ja tylko pokłóciłem się z Wieprzem.

– O mnie? – Koła Kore nieprzyjemnie zaskrzypiały.

Na szczęście zaczęliśmy wjeżdżać na pierwszą stację. Jej i moja uwaga skupiła się na pasażerach. Kore przełączyła wizję z ogromnych przednich oczu na małe ślepie boczne. Ujrzałem podróżnych

kasujących bilety przy bramce wpuszczającej na peron, przepychających się jeden przez drugiego, machających rękoma, zapewne coś krzyczących... Pośpiech, zamęt, chaos.

Kore chrząknęła, po czym otworzyła drzwi prowadzące do poszczególnych przedziałów, wysunęła schodki i pochyłe platformy, a następnie podświetliła napisy informujące o rodzaju przedziału: „Nocny”, „Kilkugodzinny”, „Ze szczególnymi udogodnieniami”, „Extra bagaże”, „Towarowy”. Były jeszcze inne, ale do nich nie prowadziły żadne drzwi z zewnątrz.

Do „Nocnego” wgramoliła się pokaźnych rozmiarów kobieta z dwójką dzieci. Wszyscy o wydłużonych twarzoczaszkach.

– A niech to! Zasyfią łóżka gumą do żucia! – Nieoczekiwanie wrzasnęła Kore.

– Skąd wiesz... – Nie dokończyłem, bo moją uwagę przykuł wyjątkowo chudy mężczyzna zmierzający do „Extra bagaży”. Z trudem ciągnął za sobą olbrzymią walizę w kolorze wścieklej pomarańczy.

– Patrz, jak ruszają ryjkami.

Ponownie spojrzałem na dzieci – rzeczywiście coś intensywnie żuły.

– Kore! – obruszyłem się, – One nie mają ryjków, tylko buzie.

– Mhm.

Dżdżownica nie cierpiała dzieciaków, bo przyczepiały gumę do siedzeń, bo brudnymi palcami zostawiały paskudne ślady na ścianach, bo hałasowały. Powodów było bardzo wiele.

Do „Nocnego” wsiadł jeszcze mężczyzna o długiej, siwej i mocno kręconej brodzie, a do „Extra bagaży” blondynka o przesadnie wymalowanych ustach, najprawdopodobniej skrzyżowana z nicieniem, targająca za sobą dwie różowe torby w kształcie serc. Większość podróżnych ulokowała się w „Kilkugodzinnym”. Dwóch bliźniaczo podobnych mężczyzn wtaszczyło pięć blaszanych beczek do „Towarowego”, a przedziału „Szczególne udogodnienia” jak na razie nikt nie zaszczylił swoją obecnością. Jako ostatni do dżdżownicy wpakowali się członkowie obsługi transportowca – kontrolerzy biletów, sprzątacze, kucharze, kelnerzy, konserwatorzy i mechanicy oraz drużyna

przeciwwąwaryjna. Wszyscy ubrani w kombinezony różniące się od siebie kolorami w zależności od wykonywanej funkcji.

Ruszyliśmy.

– Lepiej się czuję, gdy mam puste trzewia – powiedziała Kore z żalem, kiedy tylko opuściliśmy stację.

– Wiem, ja też lubię podróżować tylko z tobą – odparłem.

Podróż między stacjami trwała kilka godzin. Do drugiej dotarliśmy około południa, a do jeszcze następnej po dwudziestej. Ku mojemu zaskoczeniu Kore nie wracała do tematu kłótni z Wieprzem, a ja starałem się spychać go w najgłębsze zakamarki umysłu i po prostu cieszyć jazdą. Tak czy inaczej, gdy ostatni w tym dniu pasażer załadował się już do „Nocnego”, poczułem senność.

– Sadi?

– Tak, kochanie?

– Chcesz się przełączyć w tryb snu?

Przez chwilę się zawahałem – w sumie było jeszcze dosyć wcześnie – ale ostatecznie przytaknąłem.

Ziewnąłem dwa razy, po czym dodałem:

– Tylko koniecznie obudź mnie przed Krawis. A, i jeszcze skocz do toalety.

– Nie ma sprawy.

Włóknotransmitery były tak rozciągliwe, że umożliwiały mi spacer do małego pomieszczenia usytuowanego tuż przy kabinie sterowniczej, służącego za WC i minilazienkę. Szybko załatwiłem potrzeby fizjologiczne, umyłem się i wróciłem na fotel kolejarza, by parę sekund później zapaść w sen. Całkiem długi, ale bardzo czujny – gdyby działo się coś nieoczekiwanego i dżdżownica potrzebowała mojej pomocy, musiałem natychmiast reagować.

Mgła, przemykające po skąpanych w półmroku ulicach cienie, dźwięk metalu, odgłos kroków.

– Sadi? Sadi, słyszysz? Molick! – Cichuteńki głos dżdżownicy wyrwał mnie ze świata marzeń.

– Kore?! Czy coś się stało?!

– Spokojnie, nie, zbliżamy się do Miasta Śmierci.
„Miasto”.

To miejsce było tak małe, że nie zasługiwało nawet na miano wioski – plac otoczony kilkoma domami-kopułami, pośrodku którego znajdowała się Świątynia Hadesa. Zastanawiało mnie też, kto wydał pozwolenie na budowę panteonu na poziomie „minus cztery”, na którym powinny mieścić się jedynie obiekty związane z transportem. Bądź co bądź, gdy dostrzegłem w oddali pręgowane kolumny i osadzony na nich tympanon, krzyknąłem:

– Kore, zwolnij!

Dżdżownica powoli zaczęła hamować, prawie się zatrzymując, kiedy już znaleźliśmy się blisko świątyni. Z szeroko rozdziawionymi ustami gapilem się na siedzące na złotych schodach szczekołapki. Z pysków psopodobnych stworzeń wydobywały się opary błękitnego dymu; według legend Podziemia dusze tych, którzy zginęli w katastrofach transportowców.

– Szkoda, że nie mamy tu dłuższego postoju – powiedziałem rozżalony.

– Ja nie żałuję. Budowla i zwierzęta, i... to... to wszystko mnie przeraża. Czuję tu śmierć. – Kore nieoczekiwanie przyspieszyła.

Śmierć? No, tak, przecież właśnie minęliśmy Miasto Śmierci. Ostatkiem silnej woli powstrzymywałem się, by nie zasiać w umyśle dżdżownicy obaw o jej przyszłość.

Strach, ból, rozpacz.

Wycie szczekołapek w mrocznych korytarzach wszechogarniającego lęku.

Kolejne dni i noce, kolejne stacje, kolejni pasażerowie – którzy wsiedali, którzy kończyli podróż, którzy spali na piętrowych łózkach,

k którzy grali w karty i ci, którzy balowali do białego rana w przedziale restauracyjnym.

Mijał dziewiąty dzień naszego kursu.

– Za dwie godziny powinniśmy dotrzeć do Grimblo – oznajmiłem.

Kore stęknęła z niezadowoleniem, po czym przesłała mi projekcję swojego wykrzywionego w grymasie smutku pyszczka, który w rzeczywistości szeroko się uśmiechał.

Grimblo to minimiasteczko, w którym znajdował się między innymi największy na naszej trasie punkt serwisowy. Zatrzymywaliśmy się tam na dwanaście godzin – ja, żeby uzupełnić zapas puszek i wody, a dżdżownica, by trafić do hangaru konserwacyjnego, gdzie, odłączona ode mnie i w stanie uśpienia, podlegała rutynowej kontroli. Pasażerowie i obsługa udawali się do hotelu.

– Kore, nie możesz zwalniać. To, że się spóźnimy, w niczym ci nie pomoże.

Dżdżownica chrząknęła, po czym odrobinę przyspieszyła, wydając pomruk nieukrywanej złości.

Miasteczko widać i słyszać było już z bardzo daleka – tonące w migotliwej, seledynowej poświacie, hałasujące pracującymi non stop maszynami, ziejące gorącą parą. Zwykle pałałem do niego taką samą niechęcią jak Kore, ale tym razem było inaczej.

Po zatrzymaniu się przed hotelem i odczepieniu od dżdżownicy, od razu skierowałem kroki do Muzeum Historycznych Transportowców, które zajmowało obszar niewiele mniejszy od hangarów z Krosidium. Niestety, szedłem bardzo powoli – raz, że moje mięśnie po tylu dniach stanu „względного odrętwienia” wciąż były niemalże bezwładne, dwa – przemierzałem słabo znany mi teren, ostrożnie badając laską podłoże i kilkakrotnie pytając o drogę. Stałem przed wejściem i nie zdążyłem jeszcze nacisnąć dzwonka, gdy do moich uszu dobiegł piszczący, zdecydowanie zbyt donośny głos zarządcy muzeum – Sulo Hrogo:

– Dobry wieczór, panie Molick. Cóż to pana do nas sprowadza o tak późnej porze?



– Dobry wieczór, panie Hrogo. Kłaniam się nisko. Ja...

Zacisnąłem dłoń na lasce, przygryzłem dolną wargę.

– Tak? Proszę wejść. – Podał mi dłoń, a kiedy już znaleźliśmy się w środku pachnącego starymi papierami i wanilią pomieszczenia, dodał: – Niech pan spocznie. Tuż przed panem jest krzesło.

Ostrożnie zrobiłem krok naprzód, wyciągnąłem rękę.

– Jeszcze odrobinę. Więc? Ach! Może chce się pan czegoś napić?

– Nie, nie. Dziękuję. Ja przy... przyszedłem z ogromną prośbą – wyjąkałem, czując spływające po czole i plecach strużki potu.

Sulo stuknął dwa razy palcem, prawdopodobnie o plastikowy blat biurka. Mruknął.

– Tak, Molick? Wyduś to wreszcie z siebie.

– Chciałbym umieścić Kore w muzeum. – Odetchnąłem głęboko, jednocześnie wbijając paznokcie w uda.

Nastała kilkusekundowa cisza, po której Hrogo podszedł do mnie i poklepał po plecach.

– Oj, Molick, Molick. A po co mi twoja dżdżownica? Mam na stanie trzy egzemplarze T72. Wszystkie, hm, dużo ładniejsze, hm, ciekawsze, hm, po prostu lepsze.

Poczułem gulę w gardle i suchość w ustach. Kaszlnąłem.

– Ja zapłacę... – wybełkotałem, trzęsąc się niczym osika.

– Zapłacisz? A tak w ogóle, to czemu chcesz swoją ulubienicę umieszczać w muzeum? Masz na to zgodę przełożonych? Przecież ona nie należy do ciebie, tylko do firmy.

– Bo... bo oni chcą ją zniszczyć. Zaaa... Zabić.

– Hm, rozumiem. Planują wymienić ją na nowszy model. Hm, w sumie to nic w tym dziwnego, panie Molick. Tak czy inaczej, nie mogę umieścić jej w muzeum. Poza tym i tak potrzebne by było pozwolenie firmy.

– Oni się na pewno zgodzą, a ja panu zapłacę. Proszę.

Podniosłem się powoli.

– Molick, skąd ty niby weźmiesz pieniądze dla mnie?

– Zostały mi jeszcze dwa lata do emerytury, będę jeździł innym

transportowcem – skłamałem – a potem będę sobie jakoś dorabiał. I... i będę płacił każdego roku.

– Jak taki ślepiec jak ty może sobie na czymkolwiek dorabiać? Oj, Molick, Molick, ściemniaczu. Przecież z tymi wielkimi paluchami nawet brajlem nie możesz czytać. I co ty sobie myślisz? Że będziesz tutaj przyjeżdżał i się do niej podłączał? Z Krosidium do Grimblo? Molick, ty już całkiem zmysły postradałeś.

Uzupełniłem zapasy i ze spuszczoną głową poczłapałem do noclegowni. Pani z recepcji zaprowadziła mnie do pokoju i życzyła spokojnej nocy.

Niestety, noc nie okazała się spokojna. Wręcz przeciwnie – dręczyły mnie mrozące krew w żyłach koszmary. Tryskająca posoką szyja dżdżownicy, jej leżąca na szynach, odcięta siekierą głowa, moja połamana laska.

Kiedy ponownie podłączyłem się do Kore, nie byłem już w stanie spychać swojej rozpachy w niedostępne dla niej lochy mózgu. Zaraz po tym, jak odebraliśmy z hotelu pasażerów i członków obsługi, dżdżownica dziwnie zapiszczała i wymamrotała:

– Sadi, o co posprzeczałeś się z przełożonym?

Do moich ślepych oczu napłynęły łzy. Parę razy mrugnąłem, czując, że tracę połączenie. W głowie szumiały mi słowa:

– Nie uciekaj, Sadi, nie uciekaj. Molick, gdzie jesteś?

Musiałem wrócić, musiałem jej powiedzieć, bo nie mogłem już dłużej udawać. Chciałem myśleć, że pragnę się pożegnać, ale byłem mięczakiem.

– Kore, moja najdroższa. Oni podjęli decyzję...

– Żeby mnie unicestwić – dokończyła za mnie dżdżownica.

Grobowe, tak strasznie głośne milczenie – jej i moje. Przerażająca cisza, która krzyczała. Paradoks życia. Bez słowa, bez myśli, bez wyobrażeniowych projekcji, po pięciu martwych godzinach

zatrzymaliśmy się na stacji. Patrzyłem na pasażerów, bo oni musieli tam być, ale widziałem tylko mgłę: mlecznobiałą, zimną, wnikającą w komórki i mrozącą krew.

– Molick! Przestań! – Głos dżdżownicy wdarł się do mojego mózgu i wszczął tam niedający się ugasić siłą woli pożar. – To musiało nastąpić. Dobrze, że ja umrę pierwsza. Gdybyś to ty... Nie mogłabym się podłączyć do nikogo innego. Rozumiesz? Musimy cieszyć się czasem, który nam pozostał.

Cieszyć się czasem, który nam pozostał – powtarzałem w myślach te mądre słowa, zupełnie ich... nie, nie to, że nie rozumiejąc, ale nie czując. Staralem się zachować optymizm, ale...

– Za godzinę i piętnaście minut zaczniemy się przeprawiać przez Krwawe Jezioro. Sceneria w sam raz dla ciebie – zakomunikowała zgryźliwie Kore.

Coś, co wypełniało ogromną, podziemną jamę, z pewnością nie było krwią, ale ta intensywnie czerwona barwa, ta gęstość, ten wdzierający się do transportowców smród rozkładu nicieni i mątwików bu-rakowych kojarzył mi się ze śmiercią. Brrr. Wśród kolejarzy krążyły opowieści, że jezioro jest przeklęte i że to tutaj najczęściej zdarzają się nieoczekiwane wypadki oraz awarie.

Wolno wjechaliśmy do otoczonego ciemnoczerwoną zawiesziną tunelu, którego ściany – zupełnie nie miałem pojęcia dlaczego – były przezroczyste. Może to miała być atrakcja turystyczna? A może prowadzono tu jakieś badania?

Widok mazi udającej posokę przyprawiał mnie o mdłości. Już po paru minutach jazdy tunelem udałem się do toalety, by przemyć twarz i odrobinę ochłonić. Z cieknącą po czole i policzkach zimną wodą usiadłem na zamkniętej desce sedesowej, poprawiłem prawy włókno-transmiter, który jakoś nieprzyjemnie okręcił się wokół mojego ucha, i odciąłem się od oczu dżdżownicy. Nie chciałem patrzeć.

– Nie możesz całą przeprawę przez Krwawe Jezioro ukrywać się w toalecie! Ej, Molick!

– Idź sobie. Ja... ja chyba się przełączę w tryb spania.

– W samo południe?

– Taka malutka drzemka, dobrze?

– Dobrze, tchórze.

Westchnąłem. Nie byłem tchórzem, tylko nie lubiłem... Nieważne. Najwygodniej czas nieprzyjemny przespać. Trzecie przykazanie – nie pamiętałem czyje.

Nastała ciemność, w której po chwili rozbłysnął fioletowozielony płomień pochodni, który tańczył przed mną niczym baletnica. Młoda, zgrabna, wirująca w powietrzu... Jej stopy nie dotykały podłogi...

– Sadi!

Auć! Co się dzieje? Baletnica złamała nogę.

– Sadi!

BUM! Wróciłem. Jak oparzony podskoczyłem na sedesie i popędziłem do kabiny sterowniczej. Dopiero ułamek sekundy później włączyłem wizję, jednocześnie uświadamiając sobie, że się zatrzymaliśmy.

– Kore! – krzyknąłem.

Nic.

– Kore!

Nic.

Widziałem pysk dżdżownicy wbity w kawał czegoś szklopodobnego. Korzystając z ręcznego panelu, włączyłem podgląd na pasażerów i obsługę. Dzieci z ryjkami przytulały się do matki, mężczyzna z pomarańczową walizką siedział na podłodze z podkulonymi nogami i brodą przyciśniętą do kolan, starsza kobieta w przedziale restauracyjnym uderzała pięściami w stół. Miała bardzo czerwone policzki. Członkowie obsługi biegali po wnętrznościach dżdżownicy, uspokajając pasażerów.

– Panie Molick, proszę się odłączyć.

Uszkodzona głowa Kore na tle ciemnoczerwonej kurtyny. Teatralna scena śmierci. I ja, aktor, który za wszelką cenę chce zmienić scenariusz.

– Już się rozłączam. – Ostrożnie wykręciłem włóknotransmitory i cały się trzęsąc, po omacku wyszedłem na zewnątrz.

– Musicie ją uratować – wrzasnąłem, nie widząc, do kogo, bo przecież moje oczy już nie działały.

– Dawaj, dawaj! Teraz!

Musiałem jak najszybciej znaleźć zatyczki. Auć! Auć! Okropny pisk.

Znalazłem woskowe stożki, zmiękczyłem je odrobinę w palcach i wcisnąłem w uszy. Ci z obsługi cięli sztuczne szkło, które zapewne oderwało się od jednej ze ścian. Pracowali, by uwolnić Kore. A ja? Ja byłem ofiarą losu.

Mechanicy i przeciwawaryjni uratowali Kore. Opatrzyli rany na pysku, pospawali blachy, wymienili kable – między innymi te, dzięki którym mogłem znowu z nią rozmawiać.

– Sadi...

– Kore... ja tak strasznie się o ciebie bałem. Ja...

Kilkusekundowa cisza.

– Dlaczego? Czy nie wszystko jedno, gdybym zginęła? Tak, tak, wiem, ci biedni pasażerowie musieliby czekać na zapasowy transportowiec. A tu jest tak cholernie zimno. Nawet w moim brzuchu.

– Kore... Ja... ja jestem okropny i... ja nie martwiłem się o pasażerów...

Uśmiechnęła się, ale jakoś tak gorzko, po czym powiedziała:

– Za pół godziny będziemy w Pilipolis.

Pilipolis oznaczało, że dwie trzecie podróży za nami. Wracać mieliśmy inną, krótszą trasą, bez Świątyni Hadesa i Krwawego Jeziora... Tak czy inaczej, wymieniłbym tydzień z dżdżownicą za nieprzyjemny widok krwi. Wymieniłbym... prawie wszystko bym wymienił.

Znienacka do moich przemyśleń wtrąciła się Kore:

– Molick, ale z ciebie sentymentalista, romantyk....

– Mięczak?

– Nie... Nieważne.

Pilipolis było wielkie, oświetlone sztucznym słońcem, bogate, szalone. Na poziomie „minus cztery” mieściło się tylko wejście do tej jednej z największych pod ziemią metropolii, ale nawet te drzwi do raju zachwycały przepychem. Gdyby nie zjadał mnie wewnętrzny robal rozpacz, pewnie teraz z radością w oczach obserwowałbym ściany korytarza, na których wyświetlały się niesamowite pejzaże, piękne kobiety i zabytki Pilipolis.

Truuu tuuu tu... Truuu tuuu... tru... tu... Fanfary...

Kore zahamowała – wolno, dostojnie, z gracją. Z jej brzucha zaczęli wysiadać podróżni: kobiety, mężczyźni, dzieci z wydłużonymi ryjkami, które, wbrew obawom Kore, wszystkie przeżute gumy wyrzuciły do pojemnika na śmieci, mężczyzna, który z trudem ciągnął za sobą walizę, starcy, prostytutki, pasażerowie z laskami – ślepcy tacy jak ja. A potem członkowie obsługi.

A kiedy zostaliśmy sami... Nie mogłem w to uwierzyć, ale tym razem to nie ja, lecz Kore odcięła się ode mnie. Nastąpiła nagła, przerażająca ciemność. Mimo iż ciągle byłem podłączony do transportowca, nic nie widziałem. To nie powinno mieć miejsca, bo przecież ja dowodziłem.

– Kore! – krzyknąłem.

Odpowiedziała mi cisza, a po ułamku sekundy poczułem coś jakby falę zimnego powietrza, paraliżujący lęk, lecz nie swój. Moja dżdżownica strasznie się czegoś bała. To prawdopodobnie dlatego straciliśmy połączenie.

– Spokojnie, maleńka, spokojnie. Pokaż mi, co widzisz. Proszę... – wyszeptąłem. – Jestem tu, żeby ci pomóc.

– Pomóc. – Głos jakby zza ściany.

– Proszę – powtórzyłem.

Po chwili obraz zaczął wracać. Zamglony, rozmazany, pozbawiony kolorów. I nie byliśmy już na dworcu w Pilipolis, tylko jechaliśmy, lecz nie miałem pojęcia dokąd.

Co to za trasa? Nie było jej w mojej rozpisce. Jakiś boczny tor. To chyba droga do tunelu prowadzącego na powierzchnię.

– Kore! Stój! My nie możemy... – Nie dokończyłem, próbując siłą woli zmusić dżdżownicę do hamowania.

Zwolniła. Obraz uległ wyostreniu, odzyskał barwy. Właśnie mineliśmy rzeźbę kobiety w powłóczystej sukni trzymającej w rękach olbrzymi zegar.

– Przestań mnie, do jasnej cholery, zatrzymywać, dupku! – Nieoczekiwany wrzask niemalże zrzucił mnie z siedzenia.

– Kore, stój!

– Nieee! Przestań, bo znowu się rozłączę!

– Dobrze. – Zakreśliło mi się w głowie, przez moment znowu nic nie widziałem, a gdy odzyskałem wizję, ujrzałem majaczącą w oddali stację.

– Maleńka, zatrzymaj się, proszę!

– Nie!

Jak ona szybko jechała!

– Zatrzymaj się, w tej chwili się zatrzymaj! – Mój głos nie działał.

– Muszę zdążyć, zanim zamkną przejazd!

BUM!

Metalowa belka uderzyła ją w głowę.

– Kore!

Myślałem, że wypadnie z szyn. Nie miałem pojęcia, że potrafi tak pędzić, a Wieprz zarzucał jej, że jest powolna!

– Kore?! Kore?! Już cię nie powstrzymuję. Słyszysz?! Dokąd jedziemy?

– Na powierzchnię.

– Na powierzchnię? Oszalałaś?!

– Może.

Ryk syren goniącej nas straży, krzyki z megafonów.

Ustawili zaporę torową tuż przed nami. BUM! Kore zniszczyła ją i pruła, i pruła, i pruła do przodu, do powietrza, do wolności. Węzeł transportowy.

Nieee!

Z naprzeciwka mknął prosto w nas transportowiec. Gdy już byłem pewien, że zginiemy, skręcił.

– Molick! Patrz! Wyjazd na powierzchnię!

Zbaraniałem.

– To jakiś skrót przez trzy poziomy? Ale tu na pewno jest kontrola...

BUM! BUM! BUM!

Zamarłem. Zalał nas błękit rozświetlony mieniącą się złotem kulą.

A więc tak wyglądało niebo.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22988>

Jednym z największych atutów tego tekstu jest plastyczność przedstawionego świata. Nie opowiadasz, ale pokazujesz go poprzez dźwięki, zapachy, smaki, emocje. To sprawia, że czytelnik przenosi się do świata Molicka i razem z nim przeżywa trudną sytuację.

ANDO

Stworzyłaś osobliwy podziemny świat, więc i bohaterowie nie mogli być zwyczajni. A jednak, jakkolwiek by nie byli dziwni, okazało się, że ich uczucia nie różnią się od naszych, a i zachowanie od naszego daleko nie odbiega.

Jolanta Pawlak (regulatorzy)

Już po pierwszy zdaniu miałam przecucie, że to będzie coś niesamowitego, i nie myliłam się. Zbudowałaś wspaniały, fantastyczny świat, który ciężko pojąć, a który wyłożyłaś nam tak pięknie, że widziałam to wszystko – od opisów otoczenia po emocje bohaterów.

Sara Winter

Jest to jeden z najładniejszych tekstów, jakie ostatnio czytałam. (...) Masz fenomenalne postacie, niesamowity nastrój i właściwie ani jednego zbędnego słowa. No i zakochałam się w dżdżownicy i jej jeźdźcu, nic na to nie poradzę.

Agnieszka Fulińska (drakaina)

Krondus

Katarzyna Szymonik

Do Krondus dotarłem już po zmierzchu. Pociąg spóźnił się ponad trzy godziny, z których dwie ostatnie przespałem; wjechał na stację zbyt szybko i ostro zahamował, na tyle ostro, że na szczęście się obudziłem i pospiesznie wygramoliłem na tonący w półmroku korytarz. Konduktor wyrwał mi walizkę, po czym niemalże rzucił ją na peron. Byłem jedynym wysiadającym. Gwizd, świst, zawirowanie powietrza i pociąg zniknął w – nie miałem pojęcia dlaczego – ogrodzonym drutem kolczastym ciemnym lesie; dżdżownica połykana przez wygłodniałe pisklę kosa.

Podniosłem walizkę, pomarszczoną własność mojej jeszcze bardziej pomarszczonej babci, mrugnąłem, wysmarkałem nos i ruszyłem w kierunku błyszczących w oddali światełek. Krondus to mała wioska, nie powinienem zabłądzić. Tak czy inaczej, było mi zimno, głodno i trochę smutno. Dostałem tu niezłą fuchę, ale rodzina, pies, koledzy, oni wszyscy zostali gdzieś hen daleko i pewnie odwiedzę ich dopiero na święta, jeśli nie będzie strasznych mrozów, a jeśli będą, to nie prędzej niż na wiosnę.

Kamyki i piach chrzęściły mi pod butami, wiatr targał chude, prawie pozbawione liści gałęzie nienaturalnie wysokich drzew, a ja spoglądałem to w prawo, to w lewo. Ni żywej duszy, ni zwierzęcia, ni ptaka. Dziwnie pusto. Tylko ten wiatr. Raz poganiał, by po chwili pchać do tyłu. Doszedłem do rozwidlenia ulicy Suchej, skręciłem w prawo w Błotną. I rzeczywiście wdepnąłem w coś nieprzyjemnego, klejącego się do podeszew i śliskiego. Błoto? To chyba nie było zwyczajne błoto. Na szczęście na końcu Błotnej stał wyróżniający się wielkością na tle sąsiednich domów budynek, zapewne – a przynajmniej taką miałem nadzieję – pensjonat, w którym opłacił dla mnie pokój mój przyszły pracodawca.

Nie myliłem się; gdy wreszcie stanąłem przed pomalowanymi na jasnożółto drzwiami, ujrzałem małą, srebrną tabliczkę

z wygrawerowanym napisem: „Witaj, przybyszu spragniony miękkiego łóżka i ciepłego obiadu”. Zastukałem trzykrotnie kołatką. Odczekałem. Ponownie zastukałem, też trzy razy. Minęło parę sekund i ostrożnie nacisnąłem klamkę. Otwarte. Wylałem buty o szorstki, mocno zabłocony chodniczek, choć wycieranie niewiele im pomogło, i wszedłem do środka.

Całkiem sporych rozmiarów recepcja o ścianach obklejonych papierową tapetą, podrapaną w częściach dolnych. Podszedłem do lady i już miałem nacisnąć dzwonek, gdy moich uszu dobiegł piskliwy głosik:

– Pani Sztokins wyszła do toalety.

Odwrociłem się i ujrzałem siedzącą na skórzanej kanapie – to na pewno nie była prawdziwa skóra – dziewczynkę, dziesięć, może dwanaście lat. Obok niej leżało nieznane mi zwierzę, trochę podobne do sarny: podkulone przednie kończyny, ale nie zakończone racicami, lecz raczej czymś przypominającym królicze łapy, długa, kręta szyja i mała głowa o wielkich oczach. Patrzyło na mnie nieufnie, jednak nie wrogo, wręcz odrobinę przyjaźnie. Nigdy wcześniej nawet nie słyszałem o stworzeniu do niego podobnym. Cóż, jako pomocnik weterynarza w małej wiosce w ogóle mało co świata poznałem. Bądź co bądź, kolega podróżnik nieraz opowiadał mi o wielkich słońiach i groźnych tygrysach. Podziwiałem w książkach długoszyje żyrafy i wijące się po piachu pustynne węże. Ale to? Co to za cudaczny stwór? Plecy zaswędziały mnie od spływającego po nich potu.

– Usiądź, bo to trochę potrwa.

– Jak masz na imię? – zapytałem.

– Ma niecały rok, ale już chyba więcej nie urośnie.

– Jak masz na imię? – powtórzyłem o pół tonu głośniej.

– Nazwałam ją Biluuuba. Ładnie, prawda? Biluuuba. Akcent na pierwszą sylabę, a potem wyciągnięcie „u”. Spróbujesz?

– Biluubaa.

– Oj, za krótkie „u”, za długie „a”.

– Co to za zwierzę?

– Stridugatka. One żyją tylko w Krondus. Biluuuba lubi, kiedy drapie się ją za lewym uchem, ale tylko za lewym, gdy... Nieważne. Chcesz ją podrapać?

– Nie.

Zwierzę podniosło łeb, prychnęło i zmrużyło powieki.

– Niedobrze, niedobrze. – Dziewczynka założyła nogę na nogę i zaczęła machać prawą stopą.

Dopiero wtedy zauważyłem, że nie ma na sobie butów.

– Pan Brork? Spóźnił się pan.

Odwrociłem się z powrotem w kierunku lady. Wyjątkowo chuda, chyba ze dwie głowy niższa ode mnie kobieta wystrojona w obcisłą garsonkę w kolorze zgniłej zieleni wbijała wzrok w kieszeń mojej kurtki. Konkretniej zaś w plamę po majonezie, której dorobiłem się, wcinając przyszykowane przez matkę kanapki z żółtym serem i sałatą.

– Tak, przepraszam. To przez pociąg – wymamrotałem, czując, że się czerwienię.

– Spóźnił się pan i pana pokój został już, niestety, zajęty.

– Jak to za... zajęty? – wyjąkałem.

– Przez pana Drocka. Wyjątkowa sytuacja, ale niech się pan aż tak strasznie nie martwi. Mimo tej późnej godziny przygotuję panu inny pokój. Na strychu, za to większy i cichszy, a podejrzewam, że chce się pan dobrze wyspać przed pierwszym dniem pracy, prawda?

– Tak, tak, oczywiście. – Na moment zamilkłem, po czym dodałem: – Dziękuję.

Pani Sztokins uśmiechnęła się szeroko, odgarnęła z czoła kosmyk włosów i powiedziała:

– Proszę, panie Brork. Idę na górę, a pan może... Wikra, zrób panu trochę miejsca.

– On nie chciał pogłaskać Biluuuby.

Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że oczy kobiety rozbłyły czerwienią.

– Jeszcze jedno, panie Brork. Za te ślady, które zostawił pan na posadzce, będę musiała pana pracodawcę obciążyć dodatkowym kosztem.

Nic nie odpowiedziałem, przełknąłem tylko ślinę i ze zwieszoną głową podreptałem w stronę kanapy. Wikra najpierw rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie, zmarszczyła czoło, po czym wzięła stridugatkę na kolana i przesunęła się na lewy brzeg. Przycupnąłem na prawym, umieszczając walizkę między nogami.

– Jaka brzydka torba. Wygląda jak zdechła żaba.

– Zdechła żaba? – powtórzyłem, nie mając pojęcia, w jaki sposób moja walizka mogła komukolwiek skojarzyć się ze zdechłą żabą.

– Ja nigdy nie widziałam żaby ani żywej, ani martwej, no tak, wiesz... Tylko rysunki w książce zachlapanej... – Ponownie zawiesiła głos, uniosła lewą brew, po czym dokończyła, niemalże szepcząc: – Sosem pomidorowym.

Stridugatka wydała z siebie dźwięk będący czymś pośrednim między piskiem a jękiem. Już miałem zapytać Wikrę, jak to możliwe, że nigdy nie widziała żaby, kiedy do recepcji wtargnęła pani Sztokins.

– Pokój gotowy, tylko niechże pan wreszcie zdejmie te zabłocone buciory. Czyszczenie chodnika kosztuje fortunę.

Nie chciałem zdejmować butów, w pośpiechu przed wyjazdem założyłem dziurawe skarpety, z prawej wystawał mi mały palec, z lewej pięta, ale przecież nie miałem innego wyjścia. Ta kobieta patrzyła na mnie, jakbym wybił jej połowę rodziny. Powoli rozsznurowałem trzewiki i ponownie czując, że moje policzki płoną, wyjąłem z butów stopy. Wikra wykrzywiła usta w ironicznym uśmieszku, pani Sztokins zmarszczyła nos, a Biluba kichnęła. Raz, drugi, trzeci, a kichała prawie jak człowiek. Podniosłem się i z trzewikami w jednej ręce i walizką w drugiej pomaszerowałem w stronę schodów.

Pokój był rzeczywiście duży, ale strop miał położony tak nisko, że jedynie na środku pomieszczenia mogłem się wyprostować bez uderzania głową w sufit. Znajdowało się tu wąskie łóżko, jednodrzwiowa

szafa, biurko i dwa krzesła o metalowych nogach, a pod maleńkim oknem coś w rodzaju olbrzymiego legowiska dla psa.

Położyłem walizkę na szarym dywanie w czarne zygzaki i podszedłem do okna. Pokryta łuszczącą się żółtą farbą rama i brudna szyba. Wyjrzałem na zewnątrz. Ulica, ta, którą jeszcze – spojrzałem na zegarek – godzinę temu brodziłem w błocie, dom ogrodzony metalowym płotem, drzewo, wszystko tonące w lekko fioletowej poświacie rzucanej przez zamocowaną na drewnianym słupie lampę. Westchnąłem. Późno już. Powinienem iść spać, jutro o siódmej trzydzieści miałem stawić się w gabinecie doktora Rudriga.

Wyjąłem z walizki ręcznik oraz przybory toaletowe i poczłapałem do mieszczącej się piętro niżej łazienki. Na szczęście nikogo tam nie było, na nieszczęście z kranu leciała prawie lodowata woda. Pospiesznie się umyłem i trzęsąc się niczym osika, wróciłem na strych.

Wślizgnąłem się pod kołdrę i przytuliłem policzek do poduszki obleczonej w nadmiernie wykrochmaloną poszewkę. Nieprzyjemne uczucie. Dotyk szorstkiego materiału, który w dodatku śmierdział naftaliną. Bądź co bądź, musiałem być chyba bardzo zmęczony, bo mimo tych niedogodności po paru minutach zapadłem w głęboki sen, z którego wyrwał mnie dopiero znieciercierany dźwięk budzika.

Lecznica prowadzona przez doktora Rudriga mieściła się na równoległej do Błotnej ulicy noszącej miano alei Zdrowia. Na miejsce dotarłem w zabłoconych butach, mimo iż przed wyjściem porządnie je wyczyściłem. Po drodze, podobnie jak wczoraj wieczorem, nikogo nie spotkałem – ani człowieka, ani zwierzęcia. Sklep spożywczy, który minąłem, otwierali dopiero o ósmej trzydzieści.

– Dzień dobry, Brork. – Doktor ubrany w jasnozielony kitel wyciągnął do mnie dużą, mocno owłosioną dłoń.

– Dzień dobry – odpowiedziałem. – Przepraszam, bo... – Spojrzałem znacząco na swoje trzewiki.

– Tak, tak. – Doktor uśmiechnął się, ukazując pożółkłe zęby i brudnoróżowe górne dziąsła, po czym podał mi tekturowe pudełko. – Proszę otworzyć.

– Dziękuję. – Skinąłem głową i ostrożnie zdjąłem wieko.

Moim oczom ukazały się białe sznurowane buty, błękitny kitel i czepek w tym samym kolorze.

– Dziękuję – powtórzyłem odrobinę pewniejszym tonem.

– Proszę usiąść. Zaraz wracam.

Doktor wyszedł, a ja zacząłem rozglądać się po gabinecie. Stół do badania, szklane gabloty, a w nich różnego rodzaju sprzęt medyczny. Na ścianach plansze z budową organów – hm, nie rozpoznawałem jakich zwierząt, na pewno nie krowy ani świni, ani psa. Może kota? Słabo się znałem na kotach, w mojej wiosce nikt ich nie leczył. Poza tym w pomieszczeniu znajdowało się biurko zarzucone papierami, wieszak, a na nim szary płaszcz i dwa jasnozielone kitle, owalne lustro i umywalka.

Podrapałem się po czole, wciągnąłem powietrze głęboko w płuca, doktor zaś powrócił wreszcie do gabinetu. Dopiero teraz zauważyłem, że ma wyjątkowo pomarszczoną szyję, trochę jak jaszczurka, i nienaturalnie dużą grdykę, która zadziwiająco szybko się poruszała. Niezbyt przyjemny widok.

– To dla ciebie – powiedział, podając mi grubą, wyglądającą na ręcznie składaną książkę w skórzanej oprawie.

Napis „Anatomia stridugatki”, a pod nim rysunek zwierzęcia, oczywiście stridugatki. Rzuciłem w stronę doktora pytające spojrzenie. Zmarszczył brwi, wykrzywił usta w półuśmiechu, po czym bardzo poważnym tonem oznajmił:

– W naszej lecznicy zajmujemy się jedynie stridugatkami.

– Jak to?! – wypaliłem, na moment zamilkłem, by dodać spokojniejszym tonem: – Ja mam doświadczenie przede wszystkim z krowami i końmi, znam się trochę na psach i kozach, ale...

Poczułem, że się czerwienię, pot spływał mi po plecach, zaczynałem żałować swojego przyjazdu do Kronidus, przecież powinni zamieszczać takie informacje w ogłoszeniu. Oszukali mnie i teraz...



– Co ty taki przerażony? Stridugatki pod względem budowy anatomicznej są podobne... chyba bardziej do konia niż do krowy. Wszystkie jedno. Właśnie po to przyniosłem książkę, żebyś posiadał wymaganą wiedzę. Niech bój się, nie każę ci od razu, dzisiaj, zajmować się naszymi pacjentkami. Bez obaw.

Chrząknąłem, ale nic nie odpowiedziałem, a doktor, wbijając we mnie wzrok, kontynuował:

– Tydzień powinien ci wystarczyć. Proszę się nie fatygować i przez kolejne dni nie przychodzić do lecznicy, tylko studiować, studiować, studiować... – Zwinął wargi w śmieszny dzióbek, tym razem upodabniając się do indyka, po czym dodał: – I byłoby dobrze, gdybyś poznał stridugatki tak... tak na żywo, nie tylko z ilustracji. Biluba to bardzo miłe, młode zwierzę. Wikra na pewno pozwoli ci się z nią trochę pobawić. Jedyna uwaga: głaskać za lewym uchem, nigdy za prawym.

– Dlaczego? – zapytałem, mrużąc powieki.

Doktor zaśmiał się, po czym wstał, poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

– Idź już, Brork, idź. Mam parę spraw do załatwienia, a ty jak najszybciej powinieneś zaznajomić się z budową przyszłych pacjentek. Mój obecny pomocnik, pan Pigork, w poniedziałek udaje się w długą podróż, hm, on nigdy już tu nie wróci, więc będę cię potrzebował. Sam nie dam sobie rady. Powodzenia.

Przełknąłem ślinę, zacisnąłem dłoń na książce, pokiwałem głową i bez słowa pożegnania opuściłem gabinet.

Co za dziwne miejsce i dziwni ludzie. Dlaczego nie spotkałem tu jeszcze żadnego normalnego zwierzęcia? Nie widziałem też żadnych pól uprawnych ani sadów, ani ogrodów, ani żadnych dzieci poza Wikrą... Może, póki tak naprawdę jeszcze nie zacząłem pracować, powinienem się rozmyślić, powiedzieć, że mam chorą matkę. No tak, ona rzeczywiście była chora i między innymi po to, żeby być w stanie wesprzeć

ją finansowo, przyjąłem stanowisko pomocnika weterynarza w Kron-
dus. Tylko nie miałem pojęcia, że będę leczył jakieś cudaczne stridu-
gatki. Co to w ogóle za nazwa? Stridugatka – jak idiotycznie to brzmi.

Byłem tak głęboko zatopiony w ponurych rozmyślaniach, że pra-
wie minąłem sklep, a przecież musiałem kupić coś do jedzenia. Drzwi
w kolorze hebanu i maleńkie, zasłonięte okno, żadnych napisów poza
tabliczką z godzinami pracy. Wszedłem do środka, zastanawiając się,
czy tutaj też zostanę czymś nieprzyjemnie zaskoczony. Półki, lada
i niska, tęga pani o okrągłej niczym słoneczko twarzy.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Witamy w Krondus. – Uśmiechnęła się od ucha
do ucha, czyniąc twarz jeszcze okrąglejszą. – W czym mogę panu
pomóc?

Spojrzałem na jedną półkę – puszki, na drugą – puszki, na trzecią –
puszki...

– Ja... poproszę chleb...

Kobieta schyliła się i wyjęła spod lady coś zapakowanego w biało-
-niebieską folię.

– Ostatnia sztuka, chleb żytni, schowałam go specjalnie dla pana. –
Nacisnęła grubym palcem „chleb” i dodała radosnym tonem: – Wciąż
miękkie.

– Ja... ja... wolę normalny... – Nie dokończyłem, ponownie czu-
jąc wykwitające na policzkach rumieńce.

– Normalny chleb? To znaczy świeży? Prosto z piekarni? – Sprze-
dawczyni prychnęła śmiechem. – I co, pewnie życzyłby pan sobie
jeszcze jajka prosto od kokoszki i mleczko prosto od krówki?

Zacisnąłem wargi, po czym niewiele się zastanawiając, wypaliłem:

– Czy jest tu gdzieś jakiś inny sklep?

– Tak, po drugiej stronie wioski, niedaleko, ze dwadzieścia minut
szybkim krokiem. – Na ułamek sekundy zawiesiła głos, uniosła lewą
brew i o pół tonu ciszej dodała: – Ale tam też są tylko puszki i żarcie
w folii. Więc?

Milczałem.

– Więc bierze pan ten chleb czy nie? Próbowałam być miła. Pan Grubek o niego pytał i pani Zmynek, i...

– Tak, tak, poproszę, i jakieś mięso, i... ma pani jakiegokolwiek mleko i ser?

Obróciła się w stronę półek. Miała bardzo szerokie plecy i potężne uda, a między łopatkami dwa rozpięte guziki zbyt obcisłej sukienki w przesadnie jaskrawe kwiatki. Westchnęła ciężko, by następnie położyć na ladzie trzy puszki.

– Wołowina w galarecie, krowie mleko i ser kozi.

– Dziękuję. A czy mogłaby pani wyjaśnić, czemu nie sprzedajecie „normalnego” chleba ani mięsa?

Sprzedawczyni uśmiechnęła się ironicznie i powiedziała:

– Wszystkiego dowie się pan w swoim czasie, a teraz proszę już iść. Do widzenia.

– Do widzenia.

Siedziałem na łóżku, jadłem kanapkę złożoną z kromki żytniego chleba i odrobiny wołowiny – wołowina okazała się bardzo droga – i przeglądałem podarowaną mi przez doktora książkę. Tomisko nie tylko było ręcznie szyte, ale też ręcznie napisane, z ręcznie wykonanymi ilustracjami. Cacko. Żebym go tylko nie utłuścił. Czyżby to doktor był autorem? Ponownie spojrzałem na okładkę: Tomur Rudrig. No tak, przecież Wikra powiedziała, że stridugatki żyją tylko w Kronidus.

Pierwsza strona. Budowa głowy i szyi zwierzęcia. Czaszka, kręgosłup... Taka długa szyja, ile to miało kręgów? Tylko siedem, ale jakieś takie nienaturalnie pozawijane i na wysokości trzeciego znajdowało się coś dziwnego z dwoma wężykami. Jeden z nich przebił skórę i wychylał się na zewnątrz niczym fajka płetwonurka spod powierzchni wody. Drugi wił się pod skórą – sięgał od kręgu aż do okolic prawego ucha. Przypomniałem sobie słowa doktora: „Głaskać tylko za lewym uchem”. Nazwa podejrzanego narządu – krolyszka.

Krolyszka? Zacząłem czytać: „Krolyszka zbudowana jest z nietypowego rodzaju tkanki łącznej, odznaczającej się wyjątkową wrażliwością, w związku z czym narząd powinien być utrzymywany w czystości, regularnie myty i suszony...”. Pod tekstem ilustracja przedstawiająca rzeczywiście jakąś nieznaną mi strukturę – gąbczasta budowa, kształt gruszki i tajemnicza rurka.

Na szczęście reszta organów wydawała się zbliżona do narządów konia. Może jednak dam sobie radę i do jedzenia też się przyzwyczaję? Podrapałem się w podbródek. Chleb z folii miał konsystencję gumy, a mięso z puszki, mimo wysokiej ceny, smakowało jak trawa.

Nie bacząc na zalecenia doktora, przez cały tydzień nie zbliżałem się ani do Biluby, ani do jej właścicielki, która pałała do mnie nieukrywaniem obrzydzeniem i wrogością. Podczas obiadów serwowanych przez panią Sztokins w słabo oświetlonej, śmierdzącej stęchłą izbie Wikra, przechodząc obok mojego stolika, rzuciła mi pełne nienawiści spojrzenia, po czym napełniała porcelanową, zdobioną złoceniami miskę zieloną papką z puszki i podstawiała ją pod pysk machającej malutkim ogonem Biluby.

Oprócz niej na obiady przychodził pan Drock, który mimo obietnic, że już kolejnego dnia opuszcza „mój” pokój, wcale go nie opuszczał, a ja ciągle stacjonowałem na strychu. Samo jedzenie podawane zawsze punktualnie o siedemnastej piętnaście smakowało lepiej niż przyrządzane przeze mnie kanapki; głównie chyba za sprawą dodawanych do niego palących w język przypraw.

W międzyczasie dowiedziałem się, że zarówno pani Sztokins, jak i pan Drock, a także pozostali mieszkający dłużej niż parę miesięcy w pensjonacie goście mieli własne stridugatki, które traktowali niemalże lepiej od własnych dzieci: miękki kojec w pokoju przy oknie, głaskanie, trzymanie na kolanach, spacer, a gdy było zimno – wełniany kocyk. Nawet bogaci mieszczenie mniej dbali o swoje przebrzydłe psy miniaturki.

W poniedziałek szedłem do lecznicy z mocnym postanowieniem poinformowania doktora Rudriga o rezygnacji. Pokój na strychu, brak świeżej żywności, ale przede wszystkim te dziwaczne zwierzęta – to było dla mnie zdecydowanie za dużo. Krongus. Wioska szaleńców. Potrzebowałem pieniędzy, ale... ja... ja się zwyczajnie zacząłem bać, że stanie mi się tu coś niedobrego albo że sam zwariuję.

– Brork, nie będę ukrywał, że jestem bardzo rozczarowany. Wszyscy w wiosce zdążyli już cię polubić i nie mam najmniejszych wątpliwości, że sprawdziłbyś się doskonale w roli mojego pomocnika. Może jeszcze przemyślisz swoją decyzję?

Pokręciłem głową w prawo i w lewo, po czym wyjąłem z torby książkę o anatomii stridugatki i położyłem ręcznie wykonane tomisko na biurku.

– Więc nie zapoznałeś się z budową tego niesamowitego stworzenia?

– Zapoznałem. – Czulem występujące na czoło krople potu. Zaciśnąłem palce na kolanach.

– Nie zafascynowałeś się nim?

Nie miałem pojęcia, co miało mnie zafascynować. Jakieś nietypowe tkanki i wysuwające się z kręgosłupa rurki? Mimo zawodu wszystkie nieznane mi stworzenia nie budziły we mnie fascynacji, lecz strach. Gdzieś w głębi serca czulem, że nie powinienem się ze stridugatkami zaznajamiać, lecz przed nimi uciekać. Przełknąłem ślinę i milczałem, wbijając wzrok w drewniany blat biurka.

– Chodź za mną.

Powoli się podniosłem i opieszale ruszyłem za doktorem. Z gabinetu wyszliśmy na zbyt jaskrawo oświetlony korytarz. Zmrużyłem powieki. Skręć w prawo, w lewo, pomalowane na błękitno drzwi i znaleźliśmy się w niewielkim pomieszczeniu, w którym były dwie leżanki, a na nich małe stridugatki.

– Trzeba je nakarmić. Już wyzdrowiały, ale ciągle są bardzo słabe.

Rudrig podszedł do stojącej w rogu pomieszczenia wysokiej, wąskiej szafy i wyjął z niej butelkę, taką jak dla niemowlaków, lecz wypełnioną nie mlekiem, tylko czymś zielonkawym.

– Trzymaj.

Sięgnął po kolejną butelkę. Chrząknął.

– Obserwuj mnie uważnie.

Doktor podszedł do jednego ze zwierząt, podrapał je za lewym uchem, po czym ostrożnie włożył smoczek w lekko uchylone wargi stridugatki. Zaczęła ssać. Wyglądała... wyglądała słodko. Zbliżyłem się do bliźniaczo do niej podobnego stworzenia i drżącymi palcami dotknąłem sierści za lewym uchem. Miękka, aksamitna i ciepła. Podrapałem ją delikatnie. Stridugatka zamruczała i wysunęła pyszczek w stronę butelki. Uśmiechnąłem się, jakkolwiek wciąż trzęsły mi się ręce, a serce biło tak mocno, jakby chciało rozwalić klatkę piersiową. Piła, a ja patrzyłem na rytmicznie poruszającą się długą, krętą szyję.

– Brork, usiądź, proszę – powiedział doktor, kiedy wróciliśmy do gabinetu. – Sam widzisz... Ale dobrze. Rozumiem, że to nowe miejsce, że przywykłeś do innych obyczajów, że pewnie czujesz się tu obco. W związku z tymi wszystkimi niedogodnościami chciałbym ci zaofiarować podniesienie pensji o pięćdziesiąt procent.

– Pięćdziesiąt procent? – powtórzyłem niedowierzającym tonem, kaszlnąłem, założyłem nogę na nogę i spojrzałem pytająco na doktora.

– Tak, o połowę, i te dodatkowe pieniądze będą wysyłane bezpośrednio do twojej chorej matki. Pomyśl o niej, Brork. Pomyśl o swojej matce.

Skąd on wiedział, że moja matka jest chora? Przecież chyba nie napisałem o tym w podaniu o pracę? Strużki potu ciekące po karku, palący ból w podbrzuszu, zdrętwiałe stopy. Ja... ja... Może jednak te stridugatki nie są takie straszne?

– Do... dobrze. Zga... zgadzam się, zo... zostaję – wymamrotałem. Doktor uniósł brwi, wyprostował się, a na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

Już miałem opuścić lecznicę, kiedy do środka wparowała pulchna blondynka trzymająca za ręce chłopca i dziewczynkę. Dzieci były do siebie podobne jak dwie krople wody, tylko jedno wystrojone w sukienkę, zaś drugie w spodnie.

– Gdzie jest doktor i nasze maleństwa? – Kobieta spojrzała na mnie podejrzliwie, a ja ruchem głowy wskazałem gabinet i wyszedłem.

Kolejnego dnia obudziłem się z silnym bólem brzucha. Zbierało mi się na mdłości. Wyszedłem na korytarz w celu jak najszybszego udania się do toalety. Na schodach niemalże wpadłem na panią Sztokins.

– Co się z panem dzieje, panie Brork?

– Ja...

Wyminąłem ją, wtargnąłem do łazienki i zwymiotowałem. Praktycznie od razu poczułem się lepiej, umyłem twarz zimną wodą i wyszedłem. Pani Sztokins czekała na mnie pod drzwiami z marsową miną.

– Chyba nie zaszkodził panu mój obiad?

Przyłożyłem dłoń do brzucha i wybełkotałem:

– Nie, nie... ja... wczoraj wieczorem zjadłem mięso z puszki, ale ono chyba nie nadawało się do jedzenia bez gotowania. Miało dziwny smak.

Chciałem jeszcze dodać, że wszystko miało tutaj dziwny smak, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język.

Lepiej jej nie denerwować – pomyślałem i zrobiłem krok naprzód z zamiarem powrotu do pokoju.

– Panie Brork. Lecznica jest dzisiaj zamknięta.

– Słucham? – Obróciłem się raptownie.

– Doktor Rudrig i ja, i prawie wszyscy mieszkańcy Kronidus udają się na pogrzeb. Za półtorej godziny odbędzie się ceremonia. Ma pan jakieś czarne ubrania?

– Ja? Tak, tak. Przepraszam, ale... kto umarł?
 – Pan Pigork, pomocnik doktora.
 – Przecież on wybierał się w podróż. Co mu się stało?
 – Wylew, ale nie traćmy czasu na rozmowy. Niech się pan pośpieszy. Pójdziemy razem, bo pan nie wie, jak trafić na cmentarz, prawda?

Zacisnąłem wargi i podreptałem na strych. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, przecież nieboszczyk też był pomocnikiem w lecznicy... Zacząłem się ubierać, ale zanim zdążyłem wciągnąć odrobinę za obcisłe spodnie, rozległo się pukanie.

– Chwileczkę! – krzyknąłem.

Wciągnąłem brzuch, zasunąłem rozporek, zapiąłem guziki koszuli, po czym wrzasnąłem:

– Proszę!

Do pokoju weszła pani Sztokins wystrojona w ciemnoszarą garsonkę, z czarną woalką przesłaniającą twarz. Zmarszczyła nos i podała mi szklaną fiolkę z pigułkami.

– Niech pan łyknie ze dwie.

– Co to? – zapytałem i zamiast po fiolkę sięgnąłem po marynarkę.

– Tabletki przeciw bieguncie, powinny też zatrzymać wymioty. No wie pan...

– Dziękuję. – Tym razem wziąłem do ręki fiolkę. Połknąłem dwie tabletki, dokończyłem się ubierać i podążyłem za panią Sztokins.

– To niedaleko, piętnaście minut i będziemy na miejscu.

Gdy tylko dotarliśmy do ulicy Suchej, ujrzałem sprzedawczynię z wielobranżowego idącą pod rękę ze zdecydowanie młodszym od niej mężczyzną. Obydwoje w ciemnofioletowych strojach. Przed nimi szła jeszcze jedna para w czerni, a po drugiej stronie starszy pan w brązowym garniturze. Wszyscy zmierzaliśmy w tym samym kierunku. Na północ. Na cmentarz.

Na cmentarz, który przedzielony był na połowy. Jak poinformowała mnie pani Sztokins, w lewej części chowano ludzi, a w prawej

stridugatki. Stridugatki! Na jednym cmentarzu z ludźmi. Czy oni już zupełnie poszaleli? Budowali pomniki dla zdechłych zwierząt! Zaciśnąłem pięści, jakbym miał ochotę kogoś uderzyć. Byłem zły i znowu zaczynałem żałować, że nie złożyłem wypowiedzenia.

Sama ceremonia nie odbiegała zbyt od tych, które odbywały się w mojej rodzinnej wsi, z tym wyjątkiem, że ksiądz pod koniec wygłaszania mowy pożegnalnej uśmiechnął się pod nosem, jakby był zadowolony ze śmierci grzebanego, po czym śpiewnym tonem dodał:

– Niech stridugatki mu wybaczą. Niech wybaczą.

Zrobiłem krok w tył, zeszytywniałem i wtedy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Obróciłem się raptownie i zobaczyłem tego mężczyznę, z którym szła pod ramię sprzedawczyni.

– Wpadnę dzisiaj do pana wieczorem, dobrze? – zapytał nieznajomy, a ja jeszcze bardziej zbaraniałem. Na pewno coś było ze mną nie tak jak należy. Halucynacje słuchowe. Przemęczenie. Zatrucie pokarmowe. Przez parę sekund gapilem się w milczeniu na mężczyznę, po czym wymamrotałem:

– Do... dobrze. Za... zapraszam.

Po powrocie z cmentarza chciałem iść do lecznicy, ale pani Sztokins, jakby czytała mi w myślach, kiedy tylko przekroczyliśmy próg pensjonatu, oznajmiła:

– Doktor Rudrig dzisiaj pana nie potrzebuje. Ma pan wolne. Tylko proszę nie jeść niegotowanej wołowiny z puszek z niebieską nalepką.

Przytaknąłem.

Przez resztę dnia nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Na zewnątrz lało jak z cebra; w tak zwanej sali rozrywek dla pensjonariuszy siedział pan Drock, pani Sztokins i dwóch innych gości, których nazwisk nie pamiętałem, układali pasjanse, a na ich kolanach trzymały głowy ospałe stridugatki. Nuda. Nie miałem ochoty ponownie zagłębiać się w anatomię tych cudaczych stworzeń, a tym bardziej obcować z nimi w rzeczywistości.

Gdy o osiemnastej trzydzieści rozległo się pukanie do drzwi, podskoczyłem na łóżku jak oparzony, spodziewając się za chwilę ujrzeć wiecznie niezadowoloną panią Sztokins, ale nie, po moim „proszę” zobaczyłem tego młodego mężczyznę z cmentarza, który, no właśnie, który powiedział, że wpadnie do mnie wieczorem.

– Witam. Nazywam się Wolid Huggings. Przepraszam, że wcześniej się nie przedstawiłem, gapa ze mnie.

– Doli Brork.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Grywa pan w szachy?

– Ja? – Zrobiłem krok w tył. Spojrzałem na ściskaną pod lewym ramieniem pana Huggingsa drewnianą szachownicę i wybełkotałem:

– Ja, tak, to znaczy, kiedyś... kiedy jeszcze żył ojciec. Poza nim nikt inny we wsi nie umiał...

– Tutaj też, tylko ja i pan Stuks, ale pan Stuks odszedł poprzedniej zimy.

– Zapraszam. – Ruchem głowy wskazałem biurko.

Pan Huggings ciężko westchnął, położył szachownicę na drewnianym blacie i powiedział:

– Te podwójne pogrzeby są bardzo męczące.

– Jak to podwójne? Czy ktoś jeszcze umarł poza panem Pigorkiem?

– Jego stridugatka. No właśnie, ona miała być jego, ale odmówił...

Zmarszczyłem czoło, zastanawiając się, czy te dwa zgony w jakiś magiczny sposób były ze sobą powiązane i co miał na myśli mój gość, mówiąc, że pan Pigork odmówił. Bądź co bądź, o nic nie zapytałem, a pan Huggings w tym czasie zdążył już otworzyć szachownicę i wyjąć figury.

– Białe czy czarne?

– Białe.

Nie lubiłem czerni, kojarzyła mi się ze śmiercią.

– To pan zaczyna.

Ładne figury, polakierowane drewno, pionki – mali rycerze, koń stojący dęba, laufer – wojownik z dzidą, wieża z przepiękną basztą, a królowa i król niemalże jak żywi.

– Tracisz skoczka.

Zmrużyłem powieki. Tej partii już z pewnością nie wygram. Zatakowałem koniem króla, ale i tak nie miało to większego znaczenia. Trzy ruchy przeciwnika i królowa wraz z laufrem złapali w potrzask mojego wodza. Szach, mat.

– Rewanż?

Spojrzałem na zegarek; piętnaście po dziewiątej.

– Pewnie.

Mimo iż nie potrafiłem skoncentrować się na grze, a w mojej głowie niczym zaniepokojone ptaki skrzeczały myśli o byłym pomocniku doktora Rudriga i o stridugatkach, nie chciałem, żeby pan Huggings wychodził. Wolałem ten wieczór spędzić w którymś towarzystwie, a on... on jak do tej pory wydawał mi się najsympatyczniejszą osobą, którą spotkałem w wiosce, najsympatyczniejszą i najnormalniejszą. Znałem go zaledwie dwie godziny, a darzyłem zaufaniem dużo większym niż doktora, panią Sztokins, Wikrę czy pana Drocka, nie wspominając o sprzedawczyni, która chyba była żoną pana Huggingsa...

– Tracisz królowkę. – Nawet nie zauważyłem, w którym momencie przeszliśmy z „pana” na „ty”.

– Mhm.

Znowu przegrałem i zrobiło się już naprawdę późno. Na następny raz umówiliśmy się na piątkowy wieczór w domu pana Huggingsa. Mój gość już prawie nacisnął klamkę, gdy krzyknąłem:

– Proszę zaczekać!

– Tak? – Obrócił się w moją stronę.

– Chciałem cię o coś zapytać.

– Tak? Śmiało, jeśli tylko znam odpowiedź...

– Dlaczego nie ma tu żadnych normalnych zwierząt? Dlaczego nikt nie hoduje tu krów ani kur, ja nawet psa tu nie widziałem. – Chrząknąłem i kontynuowałem odrobinę ciszej, jakbym bał się, że ktoś, pani Sztokins albo któryś z pensjonariuszy, mnie usłyszy: – I nic tu nie rośnie, ani zboże, ani ziemniaki, ani sadów nie ma. Nic. Tylko te przekłete puszki i...

– Stridugatki? – dokończył pytająco pan Huggings.

– Tak, stridugatki.

– One... jak dłużej tu pobędziesz, to zrozumiesz. – Mój gość zmarszczył czoło i zacisnął wargi, jakby nic więcej nie zamierzał mi powiedzieć.

Złapałem go za rękaw.

– Brork, te zwierzęta to nie tylko zwierzęta, ale na to jeszcze za wcześnie. Tak czy inaczej, wydzielają one bardzo specyficzny zapach, którego nie tolerują inne stworzenia, a jeśli chodzi o uprawę roślin... Cóż, nie potrzebujemy pracować na roli, a poza tym nie mamy na to czasu. Widzisz, stridugatki to bardzo miłe, ale też wymagające dużo uwagi zwierzęta.

– To... to... to po co je trzymacie? – zapytałem drżącym głosem, po czym puściłem rękaw pana Huggingsa.

– Brork, muszę iść. Do zobaczenia w piątek. I proszę się tak strasznie nie martwić. Wszystko będzie dobrze.

Moja matka była szczęśliwa; dzięki pieniądzom, które wysyłał doktor, zapewniła sobie lepszą opiekę medyczną i jej stan zdrowia znacznie się poprawił. Tak czy inaczej, musiała codziennie łykać masę kosztujących fortunę pigułek. Ja ciągle mieszkalem na strychu, od czasu do czasu przywalając głową w sufit i z dnia na dzień tracąc nadzieję, że pan Drock kiedykolwiek wyprowadzi się z pensjonatu. Na moje pytania, czy nie mógłbym dostać pokoju po jakimś innym gościu, pani Sztokins reagowała zmarszczeniem brwi i zapewnieniem, że niedługo przeznaczone dla mnie lokum będzie puste. Ale nie było...

Mijał tydzień za tygodniem. Spadł pierwszy śnieg, lecz temperatura nawet w nocy nie schodziła poniżej zera, co owocowało nieprzyjemną pluchą. W każdym razie przyzwyczaiłem się do jedzenia z puszek i do błota na ulicy Błotnej.

Od poniedziałku do piątku pracowałem w lecznicy. Zajmowałem się głównie doglądaniem pacjentek po drobnych zabiegach i leczeniu farmakologicznym. Przeważająca część interwencji medycznych przeprowadzanych przez doktora Rudriga dotyczyła tajemniczej rurki wystającej z karku stridugatek, opisywanej w *Anatomii* jako atawizm podobny do kości ogonowej u człowieka. Zastanawiał mnie jedynie fakt, że jeśli narząd ten nie jest używany, to czemu aż tak często dochodzi do jego infekcji, jak również mechanicznych obrażeń? Cóż, moje pytania o magiczny wężyk kończyły się wzruszeniem ramionami doktora i półuśmieszkiem, który czynił jego twarz podobną do rodzyńka.

Za to w weekendy rozkwitała moja przyjaźń z panem Huggingsem. Wolid wraz z żoną – miałem rację co do jego relacji ze sprzedawczynią – mieszkał w bardzo ładnym, niewielkim, ale wyjątkowo zadbanym i przytulnym jednopiętrowym domu na skrzyżowaniu alei Zdrowia i ulicy Cmentarnej. Gdy nastała zima, to właśnie w salonie państwa Huggingsów zwykliśmy grywać w szachy i popijać na rozgrzanie robioną przez panią Huggings śliwowicę.

Podczas jednego z naszych szachowych wieczorów – wypiliśmy wtedy odrobinę za dużo aromatycznego, rozkosznie pachnącego suszoną śliwką trunku – pan Huggings wziął na kolana ubraną w wełniany sweterek stridugatkę, która zazwyczaj leżała na kanapie i z daleka obserwowała nasze poczynania na szachownicy, podrapał ją za lewym uchem i powiedział:

– Tylko samiczki... chyba zauważyłeś, że są z nami tylko samiczki?
 – Pewnie, że zauważyłem – odparłem, po czym spojrzałem na zwierzę, które podniosło uszy, jakby rozumiało, że właśnie o nim rozmawiamy.

Jednakże, niezrażony reakcją stridugatki, korzystając z okazji, zapytałem:

– Dlaczego?
 – Jeszcze po jednym. – Pan Huggings sięgnął po butelkę.
 Przytaknąłem i powtórzyłem:

- Dlaczego w Kronodus są same samice?
- Samiec jest tylko jeden i żyje w lesie.
- Podniosłem brwi i zmarszczyłem nos.
- Zdrowie!

Stuknęliśmy się kieliszkami, wypiliśmy, ale tego wieczoru mój przyjaciel nie powiedział o stridugatkach ani słowa więcej.

Jeszcze na początku grudnia kupiłem bilet na pociąg do rodzinnej wioski na dwudziestego pierwszego. Doktor nie chciał dać mi urlopu wcześniej, argumentując, że przecież jestem potrzebny w wiosce, że beze mnie nie będzie w stanie przeprowadzać poważniejszych zabiegów i stridugatki będą niepotrzebnie cierpieć. W sumie otwarcie mi oznajmił, że jego zdaniem nie powinienem w ogóle opuszczać Kronodus, nawet w święta. Ja jednak pozostawałem w tej kwestii nieugięty. Musiałem zobaczyć matkę, brata i siostry. Stęskniłem się też za psem, Rubikiem, z którym, jak by nie było, przed przyjazdem do „wioski szaleńców” chodziłem na spacer, którego zabierałem nad jezioro i do lasu. A tu co? Tylko te przekłete stridugatki.

Już trzy dni przed wyjazdem spakowałem pomarszczoną walizkę i niemalże liczyłem godziny dzielące mnie od wymarszu na peron. Kupiłem prezenty dla całej rodziny i puszkę z wołowiną w galarecie dla Rubika. Osiemnastego poszedłem do pana Hugginsa na ostatnią w tym roku partyjkę szachów, pożyczyłem mu i jego żonie wesołych świąt, po czym wróciłem do pokoju na strychu, przebrałem się w grubą flanelową piżamę, naciągnąłem na stopy wełniane skarpety, opatuliłem się kołdrą i zapadłem w sen.

O szóstej czterdzieści pięć zadzwonił budzik, a ja... prawie że nie miałem siły go uciszyć. Moja ręka była jak z waty, z wielkim trudem nacisnąłem guzik i opadłem z powrotem na poduszkę. Obudziłem się dwie godziny później zlany potem, cały się trzęsący. Bolała mnie głowa, nie mogłem swobodnie oddychać, miałem zdrętwiałe kończyny.

Przytrzymując się ścian, dotarłem do toalety i zwymiotowałem. Myślałem, że umieram. Wyszedłem na korytarz i usiadłem na podłodze, zakrywając dłońmi twarz.

W takim stanie zostałem znaleziony przez Wikrę, a właściwie nie Wikrę, lecz Bilubę. To jej pysk ujrzałem, kiedy uchyliłem powieki. Właścicielka stała tuż za nią.

– Panie Brork – powiedziała, delikatnie ruszając mnie za ramię, po czym krzyknęła: – Pani Sztokins! Pani Sztokins!

Pani Sztokins przybyła wraz z panem Drockiem. Dotknęła dłonią mojego czoła i powiedziała:

– Ma gorączkę. Pomoże mi pan, musimy zabrać go do pokoju. Wiktora, wstaw wodę.

– Już biegnę.

Tupot nóg na korytarzu. Niezadowolony syk stridugatki. Dźwięki dobiegające z innej rzeczywistości. Moje tu i teraz tonęło we mgle.

– Tak, tak, ostrożnie. Powoli. Niech go pan przytrzyma z lewej strony. Tak, dobrze, chodźmy.

Niemalże zaciągnęli mnie na strych. Zatopiłem się w łóżku, obraz najpierw zafalował, a potem pokój, meble, poduszka, ja, wszystko pogrążyło się w czerni. Nie miałem pojęcia, jak długo znajdowałem się w tym stanie – nie snu, lecz prawdopodobnie spowodowanego wysoką temperaturą zawieszenia – a gdy się wreszcie ocknąłem, ujrzałem zatroskaną twarz doktora Rudriga. Kilka kroków za nim stała pani Sztokins.

– Brork, przykro mi to mówić, ale złapał pan paskudną grypę – powiedział doktor. – Powinien pan zostać w łóżku przynajmniej przez następny tydzień.

– Ale... ale... ja jutro, po... pojutrze mam poc... pociąg... – wyjąkałem, po czym z trudem wsparłem się na łokciu.

Doktor westchnął, popatrzył na mnie ze współczuciem i powiedział:

– Przecież w takim stanie nie dasz rady nigdzie jechać. Odwiedzisz rodzinę w styczniu. Nie martw się, dam ci urlop. Niczym się teraz nie martw, tylko odpoczywaj.

– Ja... ja chciałbym, żeby przyszedł do mnie lekarz.

– Ja jestem... – Doktor chrząknął. – W Krondus jestem jedynie ja. Tak, wiem, że weterynarz to nie lekarz od ludzi, ale...

Przełknąłem ślinę, starłem rękawem piżamy pot z czoła i wybełkotałem:

– Dlaczego? Czy nikt tu nie choruje?

– Nie.

– Nie wierzę. Niemożliwe.

– Możliwe, możliwe, Brork. Pobędziesz tu dłużej, to zrozumiesz.

Zacisnąłem wargi i mimo iż kręciło mi się w głowie, zmusiłem się do zajęcia pozycji siedzącej. Wciągnąłem powietrze, kaszlnąłem i oznajmiłem stanowczym – na tyle, na ile pozwalał mi zachrypnięty głos – tonem:

– Ja muszę na święta jechać do domu.

Doktor Rudrig uśmiechnął się krzywo, a pani Sztokins podała mi coś do picia, mówiąc:

– To na zbiecie gorączki.

Wypiłem i po paru minutach zapadłem w sen.

Niestety, doktor Rudrig miał rację i nie dałem rady dwudziestego pierwszego udać się w trwającą ponad siedemnaście godzin podróż. Wciąż leżałem w łóżku półprzytomny, targany dreszczami zimna, męczony koszmarnymi wizjami kreowanymi przez umęczony umysł – krowy, konie, psy pożerane przez ogromne stridugatki, ja bawiący się z Bilubą i ona wbijająca zęby w moją szyję; krew, czerwien i żółć. Z tego okresu jak przez mgłę pamiętam kontakty z panią Sztokins i doktorem. Dawali mi coś do picia, przykładali do czoła zimne okłady, mierzyli temperaturę, zmieniali przeponą pościel.

Tak, byli dla mnie naprawdę mili. Bez ich pomocy pewnie bym umarł. Nigdy wcześniej nie przechodziłem przez tak okropną gripę. Paskudne, wredne choróbsko, które przypętało się nie wiadomo skąd.

Z łóżka o własnych siłach wstałem dopiero drugiego stycznia i mimo rad doktora i pani Sztokins, bym nie opuszczał pensjonatu, póki do końca nie wydobreję, ciepło się ubrałem i wyszedłem na zewnątrz. A tam... Białe i cholernie zimno. Ulica Błotna pozbawiona błota, drzewa w lesie zamienione w śnieżne szkielety, bezchmurne niebo koloru cyjanu. Ślisko, na szczęście chodnik został posypany solą. Przez moment wahałem się, czy nie wracać, ale przecież musiałem jechać... Czułem, że muszę jechać. Jechać i może już nigdy tu nie wracać?

Szedłem, trzęsąc się z zimna, para wodna wylatywała mi z ust, a mróz niemiłosiernie szczypał policzki, ale niestrudzenie brnąłem do przodu, aż do dworca. Jednakże jeszcze zanim dotarłem do budynku, moje serce zamarło. Szyny ginęły w górze śniegu. Zacząłem biec, dopadłem drzwi, nacisnąłem klamkę – zamknięte. Kilukrotnie uderzyłem w drzwi pięścią, dopiero po paru sekundach zauważając czerwoną kartę, a na niej napis: „Z powodu warunków pogodowych kursy pociągów wstrzymane do odwołania”. Zakryłem dłońmi twarz, zacisnąłem zęby, zamknąłem oczy. Ciemność. Strach. Ból.

Na początku drugiego tygodnia stycznia wróciłem do pracy. Pociągi wciąż nie kursowały, a ja czułem się osłabiony zarówno przebytą chorobą, jak i brakiem możliwości powrotu do domu. W środę rano zaraz po przyjeździe do lecznicy oznajmiłem doktorowi, że gdy tylko stopnieją śniegi, wyjeżdżam i nie wracam, po czym pogroziłem, żeby tym razem nie próbował mnie przekonywać do zmiany zdania, bo mu się nie uda. Uśmiechnął się ironicznie i powiedział:

– Dobrze, Brork, twoja wola. Tak czy inaczej, dzisiaj jeszcze jesteś moim pracownikiem i właśnie dzisiaj czeka nas specjalne zadanie.

- Specjalne zadanie? – Zmarszczyłem brwi.
- Mhm. Będziemy odbierać poród stridugatki.
- Poród stridugatki?

– Czy ja mówię w niezrozumiałym języku? Czemu wszystko powtarzasz? Nie odbierałeś nigdy porodu krowy albo konia? Co?

– Oczywiście, że odbierałem, wiele razy.

Doktor klepnął mnie w plecy i niemalże krzyknął:

– Nic się nie martw! Damy radę!

Przełknąłem ślinę i zabrałem się do porządkowania probówek, zlewek i innego sprzętu laboratoryjnego. Musiałem się czymś zająć, by odgonić ponure myśli, które niczym żarłoczne robale wwierały mi się w mózg. Nigdy nie spotkałem stridugatki w ciąży. I co to w ogóle znaczyło? Że ten samiec wyszedł z lasu, by ją zapłodnić, czy raczej to ona odwiedziła go w gęstych zaroślach? Czułem powoli zaciskającą się na mojej szyi pętlę.

Kiedy już prawie kończyłem układać probówki w tekturowym pudle, do lecznicy przybyła pani Krudik, przygarbiona niewiasta, trudniąca się robieniem swetrów na drutach. Pół wioski nosiło jej pulowery, golfy i kardigany. Ja sam miałem jeden rozpinany sweter w kolorze zgniłej zieleni i gdy przyszedłem po niego niecałe dwa miesiące temu, widziałem stridugatkę pani Krudik i ona rzeczywiście... ona rzeczywiście była wyjątkowo duża.

Ciężarne zwierzę patrzyło na mnie, jakby się trochę bało. Nieufnie zrobiło krok do przodu, zmrużyło powieki.

– Myślę, że to już czas – powiedziała pani Krudik.

Doktor Rudrig podszedł do stridugatki, delikatnie dotknął jej szyi, a potem włożył dłoń między tylne kończyny, zmarszczył czoło i po kiwał głową.

– Panie Brork, proszę przygotować salę operacyjną, a ja w tym czasie zmierzę pacjentce temperaturę i podam środki przeciwbólowe.

Jeszcze na moment zatrzymałem wzrok na pokaźnych rozmiarów brzuchu zwierzęcia, po czym pośpiesznie opuściłem gabinet.

Stridugatka na szczęście, podobnie do krowy i konia, rodziła na stojąco, na nieszczęście wydawała się przy tym cierpieć niczym kobieta, jęczała, stękała, niemalże krzyczała; poza tym sam proces trwał znacznie dłużej niż u zwierząt, do których przywykłem. Tak czy

inaczej, kiedy wreszcie w rękach doktora znalazło się maleńkie, hm, stridugaciątko, poczułem po pierwsze ogromną radość, a po drugie... Ono było naprawdę śliczne. Miałem ochotę je przytulić i pocałować w maleńki łebek, a doktor jakby czytał mi w myślach; owinął malucha rącznikiem, po czym zapytał:

– Mógłbyś ją potrzymać, a ja zajmę się matką? Pięć minut.

Więc to była ona. Czyżby samce w ogóle się nie rodziły? Bardzo ostrożnie wziąłem stridugatkę-bobasa na ręce i bardzo powoli usiadłem na krześle w rogu sali. Zwierzątko zapiszczało, naprężyło ciało i... To było bardzo szybkie. Z szyi stworzenia wyskoczył wężyk, który rozerwał rącznik i wbił mi się w prawe przedramię. Zesztywniałem. Gdyby nie doktor, który natychmiast do nas podbiegł, z pewnością upuściłbym noworodka na podłogę i... Tak, on, to znaczy ona, lepiej gdyby zginęła. Diabelskie nasienie. Co ona mi zrobiła? Odnosiłem wrażenie, jakbym powoli tracił przytomność.

Obraz na chwilę zniknął, a gdy wrócił, wszystkie znajdujące się w pomieszczeniu przedmioty falowały, było mi niedobrze, czułem, że moje ciało osuwa się na podłogę wraz z podtrzymywaną przez doktora stridugatką. Ponownie nastała ciemność. Odleciałem. Zimno, ciepło, gorzko i słodko.

Znalazłem się w lesie, tym, który rozciągał się za pensjonatem, tym, przez który przejeżdżał pociąg, wtedy gdy tory nie były zasypane śniegiem, tym ogrodzonym kolczastym drutem, tym, w którym mieszkał samiec stridugatek. W oddali dojrzałem światło. Z bijącym jak oszalałe sercem zacząłem powoli iść w kierunku migoczącej bieli. Do moich uszu dobiegły jakieś hałasy, chyba czyjeś śpiewy i odgłosy nieznanych mi instrumentów. Z każdym krokiem blask światła rozlewał się coraz szerzej między drzewami, a dźwięki zaczynały układać się w słowa:

– Obdarz nas zdrowiem. Zabierz precz choroby i cierpienie. O wielki stridugacie, błagamy cię, błagamy.

W oddali dostrzegłem stojących w kręgu ludzi. Trzymali się za ręce. Mieli na sobie nietypowe stroje, jakby z innej epoki. Ukryłem się za drzewem i patrzyłem. Pośrodku kręgu znajdowało się coś przy-

krytego połyskującą w świetle wbitych w ziemię pochodni tkaniną. Coś wysokiego, coś w kształcie... stridugatki.

– O wielki stridugacie! – wykrzyknął jeden z mężczyzn o długiej, czarnej, kręconej brodzie, po czym wyszedł na środek i zerwał tkaninę.

Moim oczom ukazał się posąg stridugatki, wyglądający na wykonany ze złota i srebra, z onyksami imitującymi oczy zwierzęcia. Wbiłem wzrok w kamienie i... ponownie byłem w lecznicy. Leżałem na kozetce, a obok mnie kułła się maleńka stridugatka. Wężyk powoli wysunął się z mojego prawego przedramienia, po czym zniknął w szyi zwierzątka.

– Panie Brork, jak się pan czuje? – Doktor Rudrig pochylił się nade mną i nad moim napastnikiem.

– Ja... co to było? Ja... proszę to ode mnie zabrać. – Odsunąłem się od zwierzęcia z zamiarem opuszczenia kozetki, ale zakreśliło mi się w głowie.

– Zabrać? To słodkie stworzenie stało się częścią pana. Ono należy do ciebie, Brork, a ty do niej.

Znieruchomiałem, tym razem nie znieczulony czymś, co wydostało się z szyjnej rurki stridugatki, lecz oszołomiony słowami doktora.

– Co się pan taki błady zrobił? Panie Brork, czy zdaje sobie pan sprawę, że pan już nigdy nie zachoruje? Nigdy. Przenigdy nie złapie pan grypy, która nie tak dawno prawie że pana uśmierciła, ominie pana cukrzyca i choroby krążenia, wszelkie nowotwory i inne paskudne choróbka, których ludzkość nawet jeszcze nie nazwała.

Milczałem. Może ja wciąż leżałem w łóżku na strychu i to wszystko mi się śniło? O czym bredził doktor?

– Panie Brork, proszę iść do pensjonatu i trochę odpocząć. Rozumiem, że jest pan odrobinę zaszokowany, porozmawiamy jutro.

W czwartek i w piątek doktor w lecznicy, a pani Sztokins i pan Drock podczas obiadów w pensjonacie usilnie namawiali mnie na adopcję

dwa dni temu narodzonej stridugatki, która zrobiła mi na przedramieniu brzydko gojącą się ranę. Kusili wiecznym zdrowiem, grozili, że jeśli tego nie zrobię, to umrę i ja, i ona, przypominali o pogrzebie mojego poprzednika. W piątek wieczorem z totalnym mętlikiem w głowie poczłapałem do pana Huggingsa. Zabrałem ze sobą butelkę śliwowicy, którą, jak by nie było, dostałem od samego Huggingsa.

Niestety, drzwi otworzyła jego żona, która, gdy tylko mnie zobaczyła, zmarszczyła czoło i powiedziała:

– Nieładnie, nieładnie. Biedne maleństwo ciągle w lecznicy zamiast u pana. Proszę zmądrzeć, panie Brork, pokierować się rozsądkiem, zanim będzie za późno.

– Czy zastałem męża?

Sprzedawczyni rzuciła mi groźne spojrzenie i napompowała policzki, upodabniając się do ropuchy. Na szczęście pojawił się Huggings.

– Dobry wieczór. Pójdziemy na górę? – zapytał, zupełnie ignorując żonę.

Przytaknąłem i bez słowa wyminąłem naburmuszoną panią Huggings.

– Słyszałeś, co się stało? – odezwałem się, gdy tylko znaleźliśmy się sami z Wolidem w jego tonącym w półmroku i śmierdzącym tytoniem gabinecie.

– Zagramy w szachy? – Pan Huggings sięgnął po leżącą na półce szachownicę.

Złapałem go za rękaw szlafroka i krzyknąłem:

– Nie chcę grać w szachy, chcę, żeby ktoś wreszcie powiedział mi prawdę!

Puściłem go. Wyglądał na mocno zaskoczonego i chyba trochę przestraszonego moim nieoczekiwanym wybuchem. Wciągnąłem powietrze głęboko w płuca, delikatnie kopnąłem nogę od biurka, po czym postawiłem na blacie butelkę śliwowicy.

– Mógłbyś przynieść kieliszki?

– Pewnie. – Uśmiechnął się tak jakoś krzywo i smętnie, ale tak czy inaczej sięgnął po kieliszki.

Rozlałem i wypiliśmy bez wznoszenia żadnego toastu. Znowu rozlałem i znowu w milczeniu wypiliśmy. Chrząknąłem, zmarszczyłem nos; alkohol już trochę uderzył mi do głowy. Niewiele się zastanawiając, wypaliłem:

- Dlaczego nie macie dzieci? Twoja żona już nie jest taka młoda.
- Rozlej.

Opróżniliśmy po trzecim kieliszku. Pan Huggings przetarł chusteczką pot z czoła, rozszerzył nozdrza, sapnął i powiedział:

– Obydwoje jesteśmy bezpłodni. Zresztą nie tylko my, lecz wszyscy mieszkańcy Krondus. Wikra i bliźniaki są przyjezdne, nie nasze.

Zmrużyłem powieki i odparłem:

- To przez stridugatki, prawda?

Cisza. Sięgnąłem po butelkę, rozlałem i nie zważając na milczenie kolegi, kontynuowałem:

– Myślisz, że stridugatki chcą najpierw wyeliminować ludzi, a potem się od nich uniezależnić i zacząć rozmnażać? Przecież one muszą mieć jakiś plan...

Huggings wstał i tym razem to on wrzasnął:

– Doli, ja nie wiem! Słyszysz?! Nie wiem! Ja też nie miałem wyboru...

Zdjął szlafrok i zaczął rozpinąć guziki płóciennej koszuli.

– Co robisz?! – krzyknąłem.

Ponownie nic nie odpowiedział, lecz odwrócił się do mnie plecami.

– Widzisz?

Podszedłem do niego bardzo blisko, bo w półmroku trudno mi było cokolwiek dostrzec, a gdy już się zbliżyłem, ujrzałem małą ranę, ślad jakby po grubej igle, tak gdzieś pośrodku kręgosłupa.

– Co to? – zapytałem, mimo iż znałem odpowiedź. To na pewno po tym cholernym wężyku stridugatki.

– One łączą się z nami, wstrzykują coś w rdzeń kręgowy i coś z niego zabierają, dzięki czemu nie chorujemy, ale...

– Co?

– Doli, myślę, że musisz już iść. Ja i tak za dużo ci powiedziałem, mogę mieć z tego powodu problemy, ty nie zdajesz sobie sprawy...

Nie dokończył, wcisnął mi butelkę w rękę i niemalże wypchnął za drzwi. Zacisnąłem zęby i zszedłem po schodach, gdzie zostałem zaatakowany przez panią Huggings:

– Wynocha! Wynocha! Ukradł mi pan męża! Nie będzie chlebka spod lady, nic nie będzie, niech pan idzie do pani Wilkrus. Wynocha! Wynocha!

Pospiesznie opuściłem dom państwa Huggings i ściskając pod pachą butelkę, szybkim krokiem, mimo iż wciąż niestety trzymał mróz i było całkiem ślisko, wróciłem do pensjonatu. Usiadłem na podłodze przy ścianie, otworzyłem butelkę i pijąc z gwinta, opróżniłem ją do zera. A gdy ujrzałem dno, nawet nie miałem siły się podnieść; tej nocy spałem na dywanie.

Od piątkowej wizyty w domu państwa Huggings musiałem chodzić na zakupy na drugi koniec wioski. Niecałe dwadzieścia minut, ale przy temperaturze minus dziesięć, wietrze i śliskiej nawierzchni spacer tam nie należały do przyjemności. Za to pani Wilkrus okazała się wyjątkowo sympatyczną osobą; gdy ujrzała mnie przekraczającego próg sklepu, uśmiechnęła się szeroko, ukazując idealnie białe zęby i powiedziała:

– Zapraszam, panie Brork, zapraszam. Z okazji pierwszych zakupów trzydziestoprocentowa zniżka i kawałek upieczonego przez mnie ciasta. Wiedziałam, że pan przyjdzie i upiekłam je specjalnie dla pana. Sernik z czekoladą.

Produkty, które u niej kupowałem, też wydawały mi się lepsze niż te od pani Huggings, chociaż większość niby miała takie same opakowania, no ale może były lepiej przechowywane. Niestety, nawet uroczą pani Wilkrus namawiała mnie na przygarnięcie stridugatki.

A ja? Ja codziennie rano, oczywiście poza weekendami, przy-

chodziłem do lecznicy i musiałem się zajmować z chwili na chwilę słabnącym stworzonkiem, które patrzyło na mnie w tak błagalny, przepełniony miłością, a jednocześnie wylęknięty sposób, że aż chciało mi się płakać, ale wtedy przypominałem sobie o wężyku, o mojej ranie na przedramieniu i o śladzie na plecach Wolida.

To było mniej więcej trzy tygodnie po narodzinach „mojej” stridugatki. Wróciłem do pensjonatu zmęczony i smutny, a jedyne, na co miałem ochotę, to wślizgnąć się pod kołdrę, zamknąć oczy i wyłączyć myśli. Bez słowa minąłem siedzącą w recepcji panią Sztokins i ze zwieszoną głową podreptałem na strych. Otworzyłem drzwi i... zbaraniałem. Na łóżku leżała Biluba. Powoli zdjąłem kurtkę, czapkę i szalik, po czym podszedłem do zwierzęcia i powiedziałem:

– Idź stąd.

Stridugatka prychnęła, uchyliła lekko pysk, nastawiła uszy, ale jej ciało ani drgnęło.

– Idź stąd – powtórzyłem odrobinę głośniejsze.

Zwierzę nie zareagowało. Zaciśnąłem zęby i ruszyłem do mieszczącego się dwa piętra niżej pokoju, w którym wraz z ciotką mieszkała Wikra. Zapukałem. Cisza. Nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Zszedłem do recepcji. Pusto. Zadzwoiłem. Odczekałem parę minut i wróciłem na strych z nadzieją, że może Biluba już sobie poszła, ale nie, stridugatka wciąż zajmowała moje łóżko.

– Idź sobie, proszę. Chodź, poszukamy twojej pani.

Brak reakcji.

Może ją podrapię i wtedy zacznie współpracować? Drapać tylko za jednym uchem – przypominałem sobie słowa Wikry i doktora. Ale za którym? Lewym czy prawym? Usilnie próbowałem odtworzyć w głowie ilustrację krolyszki... Nachyliłem się nad zwierzęciem i ostrożnie zbliżyłem dłoń do lekko uniesionego łba. Dotknąłem miejsca za uchem, delikatnie podrapałem i... To jednak nie było prawe ucho.

Stridugatka naprężyła ciało, syknęła, sierść na jej karku stanęła dęba, po czym zwierzę rozwarło pysk, skoczyło w moją stronę i ugryzło w lewą rękę. Wrzasnąłem i z całej siły kopnąłem je w brzuch. Biluba pisnęła i wybiegła z pokoju. Usiadłem na dywanie, ciężko dysząc; z rany kapłała krew. Musiałem to koniecznie zdezynfekować. Nie znalazłem nic odpowiedniego w łazience, a bałem się prosić o pomoc panią Sztokins. Musiałem iść do lecznicy.

Na zewnątrz padał gęsty śnieg. Szedłem, praktycznie nic nie widząc, dotarłem na miejsce tuż przed siedemnastą, niestety, doktora już nie było, a ja nie miałem klucza. Niewiele się zastanawiając, ruszyłem do sklepu pani Wilkrus.

– Panie Brork, co się panu stało? Jest pan taki blady, proszę, proszę... – Sprzedawczyni podbiegła do mnie i wzięła pod ramię. – Proszę na zaplecze.

Weszliśmy do skąpanego w zielonkawym świetle, podłużnego pomieszczenia o dwóch okratowanych oknach.

– Niech pan poczeka. Zamknę sklep. I tak już dzisiaj nikt nie przyjdzie.

– Pani Wilkrus, ma pani wodę utlenioną i kawałek bandażu?

– Tak, ale co się panu stało? – Zmarszczyła czoło i posłała mi zaniepokojone spojrzenie.

– Nic poważnego...

– Już, proszę poczekać, zaraz będę z powrotem.

Zniknęła za drzwiami, a ja delikatnie zdjąłem kurtkę i usunąłem przesiąkniętą krwią chusteczkę, którą zabezpieczyłem ranę na czas drogi. Cholerny zwierzak musiał bardzo głęboko wbić zębiska. Dwie bordowe dziury w ręce piekły, szczypały i wyglądały naprawdę pasakudnie.

– Panie Brork... – Pani Wilkrus nachyliła się nade mną, ciężko westchnęła i powiedziała: – To nie skaleczenie. Stridugatka pana ugryzła, prawda?

Przytaknąłem. Sprzedawczyni bardzo delikatnie obmyła mi wodą ranę i okręciła rękę bandażem.

– Zrobię panu herbatę – oznajmiła drżącym głosem; w jej oczach lśniły łzy.

– Dziękuję i... – Nie wiedziałem, co jeszcze powinienem powiedzieć. Czułem się zażenowany całą tą sytuacją, nie chciałem herbaty, chciałem wracać do pensjonatu.

Kiedy pani Wilkrus wyszła, wbiłem wzrok w purpurową plamę w kremowym linoleum, którym wyłożona była podłoga i zacząłem się kołysać do przodu i do tyłu, jakbym doznał nagłego ataku choroby sierocej. Z letargu wyrwał mnie dopiero miły głos sprzedawczyni:

– Panie Brork, proszę. – Kobieta podała mi parujący kubek.

Do mojego nosa dotarł intensywny zapach czarnej porzeczeki. Wysiłem się na uśmiech, a pani Wilkrus usiadła na krześle obok i wyciągnęła do mnie wyjątkowo szczupłą i zadbaną dłoń. Pomyślałem, że jest przeciwieństwem pani Huggings.

– Maren. Mam na imię Maren.

– Doli. – Ponownie się uśmiechnąłem, tym razem całkiem szczerze, po czym dodałem, sam siebie zaskakując własną odwagą: – Maren, ładne imię.

– Doli, też ładne, chociaż trochę smutne.

Wzruszyłem ramionami, rzeczywiście brzmiało jakoś płaczliwie. Wypiłem łyk herbaty; smakowała tak samo dobrze, jak pachniała.

– Doli, znajdujesz się w sytuacji bez wyjścia. – Maren spojrzała mi prosto w oczy.

Dopiero wtedy zauważyłem, że ma bardzo duże źrenice i seledynowe tęczówki.

W sytuacji bez wyjścia – powtórzyłem w myślach, po czym przejechałem opuszką palca wskazującego po bandażu. Przełknąłem ślinę.

– Musisz zaadoptować stridugatkę. Tak jak my wszyscy, nie masz innego wyboru.

– Maren, dlaczego? Dlaczego?

– Nie wiem. – Spuściła wzrok, podrapała się po szyi. – To znaczy... Przecież wiesz, że się z tobą połączyła. Doli, ja do końca nie

wiem. Nikt nie wie. Każdy z nas tylko przypuszcza. Nie jesteśmy nawet pewni, czy w lesie mieszka tylko jeden samiec.

– Maren! – krzyknąłem, po czym raptownie podniosłem się z krzesła i złapałem sprzedawczynię za ramiona. – Chodźmy do lasu!

– Nie możemy. – W oczach pani Wilkrus ponownie zabłyszczały łzy, a moich uszu dobiegło skrobienie w drzwi.

– Czy to... – Nie dokończyłem.

– Mhm, to Strunga, moja stridugatka.

– Czy ona może nas zaatakować? – Zesztywniałem i odruchowo zrobiłem krok w tył.

– Nie, jest bardzo chora, doktor Rudrig nie może jej pomóc. Doli, ona niedługo umrze, a ja wraz z nią. – Tym razem pani Wilkrus wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

Miałem ochotę wyjść i kopnąć wciąż skrobiące w drzwi zwierzę, tylko przecież... Boże, jakież to wszystko było cudaczne. Zbliżyłem się do Maren i wyszeptałem jej do ucha, mając nadzieję, że Strunga mnie nie usłyszy:

– Musimy jak najszybciej coś wymyślić.

– Co?

– Moim zdaniem powinniśmy iść do lasu, spróbować zabić samca i zobaczyć, co się stanie... – Na moment zawiesiłem głos, próbując uporządkować myśli. – Jeśli stridugatki nie pozwalają wam się rozmnażać, a wy wciąż ściągacie tu ludzi z zewnątrz, to... Musimy iść do lasu. Słyszysz? Nieważne, jak się to skończy, musimy działać.

Maren zacisnęła blade wargi, a ja chrząknąłem i odrobinę głośniejsz dodałem:

– A z czego wy tu w ogóle w Kronidus żyjecie?

Drapanie Strungi nasiliło się niemalże dwukrotnie. Jego odgłos wręcz wwierał mi się w mózg. Sprzedawczyni pokręciła głową w prawo i w lewo, po czym dotknęła palcami mojego swetra, tego zrobionego przez panią Krudik.

– Wiesz, co to jest?

Zmarszczyłem brwi.

- Zielony kardigan.
- Ale czy wiesz, z czego jest zrobiony?
- Z wełny.
- Z wełny stridugatki.

Nieprzyjemny dreszcz wstrząsnął moim ciałem. Zrobiło mi się dziwnie zimno, na chwilę zamarłem, po czym pospiesznie, nie bacząc na bandaż, ściągnąłem sweter i rzuciłem go na podłogę. Fúj. Wzdrygnąłem się z obrzydzenia, a pani Wilkrus, ignorując moje zachowanie, spokojnie kontynuowała:

– Pewnie zauważyłeś, że wraz z przyjściem zimy sierść stridugatek gęstnieje, w marcu jest jej już naprawdę dużo, golimy je pod koniec lipca, a poza tym... – Pani Wilkrus na chwilę zawiesiła głos, ciężko westchnęła. – Gdy przyjdzie ten straszny moment, no wie pan... Te wspaniałe stworzenia zostawiają nam po sobie, w kościach, cenny minerał, podobnie jak one zupełnie unikalny, coś zbliżonego do painitu. Wie pan, co to painit, panie Brork? A ten, którym obdarowują nas stridugatki, ma szczególne właściwości lecznicze i jest niezwykle piękny.

– Maren, przestań, nieważne. Musimy iść do lasu jak najszybciej. – Delikatnie nią potrząsnąłem, a ona zakryła twarz dłońmi, po czym wymamrotała:

– Doli, po co? Przecież ja i tak niedługo umrę...

Odsunąłem się od niej, włożyłem płaszcz i bez słowa wyszedłem.

Kolejnego dnia, zaraz po pracy, wybrałem się do pana Huggingsa. Na szczęście jego żona wciąż była w sklepie.

– Wolid, słuchaj. Musimy odnaleźć samca stridugatek, odnaleźć i zabić – oznajmiłem stanowczym tonem, chwilę po tym, gdy przekroczyłem próg jego domu.

– Doli, czy ty się dobrze czujesz? – Pan Huggings wykrzywił brzydko wargi i zmrużył powieki w grymasie zdziwienia graniczącego z obrzydzeniem.

- Gdzie jest teraz twój zwierzak?
- Śpi u mnie w pokoju.
- Zamknij ją na klucz.
- Doli...
- Zrób, proszę, co powiedziałem.

Wolid ciężko westchnął, zwinął wargi do środka, po czym, rzucając mi wrogie spojrzenie, poszedł na górę. Wrócił z miną wyrażającą ciągle niezadowolenie i niemalże krzyknął:

– O co ci chodzi, Doli?! Jeśli wolisz umrzeć niż przygarnąć stridugatkę, która uczyni cię na zawsze zdrowym, to twoja decyzja, ale dlaczego próbujesz mnie wciągnąć w jakieś nieczne, okropne plany? Ty już całkiem zmysły postradałeś? Ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak groźne są te stworzenia, że tak naprawdę to nie one są na naszej łasce, lecz my na ich?

Przez parę sekund patrzyłem na niego, nie będąc pewnym, co odpowiedzieć, by w końcu stwierdzić zrezygnowanym tonem:

– Wy myślicie jedynie o sobie. Ściągacie tu niewinnych ludzi... więzicie... szantażujecie... I po co? Czy te stridugatki rządzą waszym duchem?

Pan Huggings oparł się o ścianę i powiedział:

– Stridugatki są dla nas święte. I... – Zrobił dwa kroki w moją stronę. – Doli, bardzo cię proszę, nie rób nic przeciwko nim, idź, najlepiej teraz, do lecznicy i przytul do piersi to maleńkie stworzenie, bez którego... Doli, przecież ty nie chcesz umierać.

Po powrocie z domu Huggingsów zamknąłem się w pokoju na strychu, usiadłem na łóżku i wbiłem paznokcie prawej dłoni w nadgarstek lewej. Ból. Krzyk. Szaleństwo. Nie, to nie ja byłem szalony, lecz oni. Nawet jeśli wszystko, co powiedzieli, to prawda, tak czy inaczej stridugatki to nie żadne bóstwa, tylko diabeł pod postacią dziwniejszej sarny. Zrobiłem znak krzyża na czole, wargach i piersi. Wszyscy

mieszkańcy Krondus byli wyznawcami Szatana. Nikt z nich mi nie pomoże. Ja sam muszę przerwać to błędne koło, nie dla siebie, bo dla mnie jest już za późno, ale dla innych.

Tej nocy nie poszedłem spać. O pierwszej trzydzieści wślizgnąłem się do kuchni, wyjąłem z szuflady tasak, dwa noże i ogromne nożyce, zapakowałem wszystko do plecaka; do tego dołożyłem jeszcze gruby sznur i scyzoryk, po czym wróciłem na strych, narzuciłem płaszcz i najciszej jak potrafiłem, zszedłem do tonącej w mroku recepcji, by chwilę później na palcach opuścić pensjonat.

Na drodze ciągle zalegały góry śniegu, temperatura z pewnością była poniżej zera, na szczęście jednak nie wiało. Z bijącym jak oszalałe sercem dotarłem na skraj lasu. Wyjąłem nożyce i bardzo ostrożnie rozciąłem drut kolczasty. Spojrzałem na znak „Wstęp surowo wzbroniony”, po czym z trudem, torując sobie drogę plecakiem, przedostałem się przez gęste, zasypane śniegiem zarośla i znalazłem się na... Tu chyba kiedyś musiała być ścieżka.

Zrobiłem parę kroków i do moich uszu dobiegł donośny ryk. Poczułem ból na wysokości mostka, naprężyłem mięśnie twarzy, ale wciąż brodziłem do przodu, powtarzając w myślach niczym mantrę: *Muszę być silny, muszę być silny, muszę, muszę, muszę*. Kolejne ryknięcie, intensywny zapach mokrej sierści i powiew lodowatego powietrza. Moje ocieplane gumiaki zatopiły się w śniegu. Już blisko.

Wyszedłem na tonącą w księżycowej poświacie polanę, ujrzałem srebrzyste świerki, szarobłękitne jodły i... ogromnego stridugata. Zamarłem. Był naprawdę olbrzymi, co najmniej dwukrotnie większy od samicy, miał gęstą, kręconą sierść i uszy zakończone czymś w rodzaju frędzli. Patrzył na mnie groźnie wielkimi, czarnymi oczyma, miarowo ruszając nozdrzami. Sięgnąłem do plecaka. Tasak.

– Doli, bądź silny – wyszeptalem, po czym na moment zamknąłem powieki i ujrzałem ojca. Ojca, który uczył mnie, jak zabijać kury. Wystarczy jedno celne uderzenie...



Otworzyłem oczy, wziąłem zamach i rzuciłem tasakiem w kierunku zwierza. Trudno mi było w to uwierzyć, ale trafiłem w sam środek głowy. Krew bryzgnęła na boki, zabrudziła biały śnieg, stridugat stanął dęba, przeraźliwie zawył, po czym z tasakiem w głowie ruszył w moją stronę. Nawet nie próbowałem uciekać. Pazury, zęby, przygniatające cielsko. Upadłem. Czuję okropny ból przeszywający lewą łydkę, przez chwilę widziałem wirujące w zastraszającym tempie barwne plamy, czerwień, błękit, zgniła zieleń, a potem nastąpiła ciemność i cisza.

Ocknąłem się w łóżku. Mój brzuch, lewa noga i głowa zostały pieczołowicie obwiązane elastycznym bandażem. Z trudem uniosłem głowę i ujrzałem wpatrującą się we mnie panią Wilkrus. Obok Maren siedziała wyglądająca na mocno chorą stridugatka. Sprzedawczyni draapała ją za lewym uchem. Z zewnątrz dobiegały jakieś pokrzykiwania, oklaski, śpiewy.

– Co się dzieje? – zapytałem drżącym głosem.

Maren podeszła do mnie, przyłożyła dłoń do czoła i powiedziała:

– Na szczęście gorączka już minęła.

– Co to za hałasy? Co oni świętują?

– Możesz wstać? Powoli, spokojnie. Pomogę ci.

Zakręciło mi się głowie, ale jakoś dałem radę wydostać się z pokoju, a potem ze wsparciem Maren pokonać schody. Wyszliśmy na ulicę, a tam tłum ludzi, chyba wszyscy mieszkańcy Krongus zgromadzeni wokół drewnianego wozu, na którym stał... To był młody stridugat – nie mogłem się mylić – kręcona sierść i te charakterystyczne uszy z frędzlami. Tylko przecież pan Huggings powiedział, że samiec jest jeden...

Oparłem się o płot, Maren gdzieś zniknęła, a tuż obok mnie niczym spod ziemi wyrosła pani Sztokins i doktor Rudrig, obydwie z ironicznymi uśmieszkami na pomarszczonych twarzach.

– Oj, Brork, Brork... – wyszeptała pani Sztokins.

– Kolejny żalosny idealista, który wierzył, że może zmienić świat – stwierdził doktor, kiwając znacząco głową.

Odpowiedziałem im ciszą i zaciśnięciem warg. Odeszli. Po drugiej stronie dostrzegłem Wolida. Zmrużyłem powieki i zacząłem przeciskać się przez tłum.

– Panie Huggings! – krzyknąłem.

On też drwiąco się uśmiechnął, po czym popatrzył na mnie z pogardą w oczach, ale mimo to wyminął żonę i jeszcze paru innych świętujących, zbliżył się na tyle, że dało się go usłyszeć i poważnym tonem oznajmił:

– Doli, jak ty mogłeś wpaść na tak bezsensowny pomysł? I co, myślałeś, że zabicie jednego zwierzęcia jest w stanie zniszczyć nasz kult? Idź do lecznicy, póki jeszcze żyje twoja stridugatka. A stridugat, którego uśmierciłeś, on i tak był już stary i gotowy do odejścia, inaczej nie miałbyś z nim najmniejszych szans. Samiec jest tylko jeden, ale zawsze ma następcę.

Wskazał dłonią na młodego stridugata i dodał:

– To jeszcze dziecko, ale kiedy wejdzie do lasu, zamieni się w króla. „Przyjaciół” delikatnie poklepał mnie po plecach i zniknął w tłumie. Nawet się nie spostrzegłem, kiedy wszyscy świętujący ruszyli w kierunku kolczastego płotu i napisu „Wstęp surowo wzbroniony”. Po zaledwie paru minutach zostałem sam. Sam ze swoim bólem, lękiem i zimnem, które przez uchylone wargi dostawało się aż do serca. Czy to śmierć czaiła się na mnie za płotem? Czy powinienem dać się złapać w jej kościste ramiona? Czy raczej...

Nie zważając na przeszywający lewe kolano ból, ruszyłem do lecznicy. Kuśtykałem, przytrzymując się ogrodzeń, drzew, latarni; dwukrotnie straciłem równowagę, na szczęście śnieg zamortyzował upadki. Zaciskałem zęby i uparcie brnąłem dalej.

Drzwi lecznicy stały otworem, tak jakby ktoś spodziewał się mojego przybycia. Ostrożnie, co parę kroków zatrzymując się, by nie wchodzić w nadmierny kontakt z tym razem całkiem twardym podłożem, dotarłem do sali, w której na kozetce leżała umierająca

stridugatka. Stworzenie, gdy tylko przekroczyłem próg, delikatnie uniosło łebek i cichutko zapiszczało. Podeszedłem do niego i znieruchomiałem. Strach sparaliżował mi kończyny. Przez moment zawałem się, czy nie powinienem uciekać, ale nie... Ja przecież rzeczywiście nie chciałem umierać. Drżącą dłonią podrapałem stridugatkę za lewym uchem, a potem pocałowałem w szyję.

Zwierzę momentalnie ożyło, polizało mnie po twarzy i przeczołgało się pod ścianę, skąd łypało w moją stronę proszącym wzrokiem. Pozbyłem się kurtki, rozpiąłem koszulę, zdjąłem, uważając na bandaż, i położyłem się obok stridugatki. Tyłem do jej pyszczka i szyi. Minęło parę sekund i poczułem, że coś pełźnie wzdłuż mojego kręgosłupa. Zrobiło mi się zimno, ale próbowałem się nie ruszać. Słyszałem bicie serca i świst powietrza wydostającego się z nozdrzy zwierzęcia. Zamknąłem powieki i też wziąłem głęboki wdech.

Silny ból, jakby ktoś wbijał mi w rdzeń kręgowy grubą igłę, na moment sparaliżował moje ciało. Krzyknąłem. Po chwili ból minął. Otworzyłem oczy i ujrzałem ciemnoczerwoną ciecz powoli wypełniającą pokój, a potem uciekającą przez szparę między drzwiami i podłogą na zewnątrz. Było mi ciepło i przyjemnie.

Nie miałem pojęcia, jak długo znajdowałem się w tym stanie czegoś pośredniego między transem a snem, a gdy odzyskałem świadomość, wciąż leżałem na kozetce, ale sam. Moja stridugatka siedziała na środku pomieszczenia i bacznie mnie obserwowała. Sięgnąłem po koszulę i kurtkę, ubrałem się, po czym bardzo ostrożnie wstałem. Zwierzę podeszło do mojej lewej nogi i otarło się o nią jak kot. Poglaskałem stridugatkę po łebku. Zmrużyła powieki, zamruczała. Silna, radosna, w niczym nieprzypominająca zabiedzonego stworzenia, które zastałem po przyjeździe do lecznicy.

Ruszyliśmy razem na ganek. Ona szła dumnie z przodu, a ja dwa kroki za nią. Było ciepło i słonecznie. Spojrzałem na niebo, cyjan nieprzesłonięty nawet pojedynczą chmurą. Dotarliśmy do ulicy Błotnej, gdzie słońce już zdążyło roztopić śnieg. Uśmiechnięta wiosna, pełzające po drzewach szczęście. Zanurzyliśmy – stridugatka łapy, a ja zimowe buty – w przyjemnym błocie.

Katarzyna Szymonik – urodzona w 1979 roku w Ostrowcu Świętokrzyskim. Absolwentka psychologii na Uniwersytecie Warszawskim i ekonomii w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Obecnie pracująca na stanowisku technicznym, niezwiązanym z ukończonymi studiami. W życiu prywatnym żona i mama. W wolnych chwilach trochę pisze i rysuje. Poza tym interesuje się grafiką komputerową i filmem.

Fragmenty recenzji ze strony:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/23440>

Znowu trafiłam do szczególnego miejsca, zaludnionego osobliwymi mieszkańcami, a i towarzyszące im zwierzęta budziły niepokój. Spotkanie z pierwszą stridugatką jeszcze nie zapowiadało późniejszych wydarzeń, jednak tajemnicze zwierzęta zdominowały opowiadanie na tyle, że duszny klimat potęgował odczucie nienormalności tego, co działo się w Kronidus.

Jolanta Pawlak (regulatorzy)

Jest napięcie, jest wrażenie niepokoju, poczucie osaczenia, narastająca paranoja. Jednocześnie brak tanich chwytów, których wielu opatrzenie uważa za nierozdzielne z horrorem – nic nie wyskakuje, by straszyć znienacka, posoka nie leje się strumieniami, flaki nie bryzgają. To duży plus, bo psychologia może wystraszyć mocniej niż najbrzydszy obrazek.

Mateusz Kędziora (MrBrightside)

Takich opowiadań nie czyta się dla bogactwa i oryginalności świata czy pomysłów, nie dla zaskakującej, pokręconej fabuły czy nietuzinkowości bohaterów, ale dla klimatu, nastroju tajemnicy, grozy, mroku, niesamowitości, onirycznego poczucia bezradności, strachu towarzyszącego świadomości wpadania w obłąd. Wszystko to w *Kronidus* się znajdowało, we właściwych zresztą stężeniach.

thargone

Tekst oparty na znajomym schemacie fabularnym, jednak sporo zyskuje dzięki wprowadzeniu charakterystycznego elementu (stridugatki). Proporcje między akcją a opisem są dobrze wyrównane,

a żywa narracja wciąga. W każdej scenie naświetlasz najbardziej interesujące szczegóły i tkasz z nich atmosferę subtelnej grozy, która utrzymuje się do samego końca.

Kamila Regel (black_cape)

Opowiadanie z rodzaju tych, który intrygują mnie na tyle, że zaczynam myśleć, jakie zakończenie chciałbym zobaczyć, co może się stać, czy chcę, żeby bohater się uratował, czy lepiej by było, aby przegrał.

Marcin Ścibura (MaSkrol)

Lista opowiadań nagrodzonych brązowymi piórami Nowej Fantastyki, opublikowanych poza niniejszą antologią

Krzysztof Rewiuk

Elegia na śmierć ptaka dodo

Opublikowane w magazynie „Silmaris” (10/2018)

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/21880>

Radosław Puchała

Homo sapiens planifacialis

Planowana publikacja w antologii *Retrowizje*, Fantazmaty

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22056>

Kamila Regel

Siedem wrót ki-gal

Planowana publikacja w antologii *Mitologie inaczej*, Fantazmaty

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22513>

„syf.”

Kaluża pełna psów

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22555>

Tadeusz Solecki

Fideina

Opublikowane w antologii *Muzyka sfer niebieskich*, W drodze 2009

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22589>

Michał Brzozowski

Paradoks hipnotyczny

Opublikowane w magazynie „Silmaris” (12/2019)

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/21098>

Krzysztof Rewiuk

O niezwykle przypadku rośnięcia włosów po śmierci

Opublikowane w magazynie „Histeria” (30/2019)

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22823>

Tadeusz Soleccki

Nupole

Opublikowane w antologii *Muzyka sfer niebieskich*, W drodze 2009

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/22944>

Piotr Dudek

Szkodniki

Opublikowane jako dodatek do powieści Roberta J. Szmidta *Szczury Wrocławia*.

Kraty, Insignis 2019

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/23275>

Jerzy Bogusławski

A światłość w ciemności szczerwienieje

Planowana publikacja w antologii *Fantazmaty IV*, Fantazmaty

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/23277>

„Łosiot”

Gdańsk 76

Planowana publikacja w antologii *nanoFantazje 3.0*, Fantazmaty

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/23306>

Radosław Puchała

Szósty krąg szyjny

Opublikowane w magazynie „Biały Kruk” (9/2019)

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/21591>

Podziękowania

To już druga okazja, by napisać kilka słów do wszystkich, którzy poświęcili swój czas dla Fantastycznych Piór.

Na początek chciałbym podziękować całej Łoży Nowej Fantastyki. To demokratycznie wybrane gremium, które bezinteresownie czyta, recenzuje i wyróżnia najlepsze spośród setek opowiadań publikowanych rokrocznie na portalu fantastyka.pl. Drodzy lożanie, bardzo Wam za tę pracę dziękuję.

Wracając do naszego zbioru, tegoroczna edycja nie powstałaby bez wyjątkowego zaangażowania Anny Dudało i Marii Barć. Obie pomagały właściwie na każdym etapie prac poczynawszy od koordynacji po redakcję i korektę tekstów. Anna Dudało dodatkowo zajęła się również składem.

Dziękuję redakcji „Nowej Fantastyki” za objęcie antologii patronatem, a w szczególności Jerzemu Rzymowskiemu za napisanie przedmowy oraz Emilowi Wójcikowi za wsparcie online.

Ilustracje do antologii wyszły spod ręki Katarzyny Szymonik, a ich obróbką graficzną zajął się Sylwester Gdela. Sylwester wykonał również jedną z ilustracji do opowiadania swojego autorstwa oraz miał imponujący wkład w prace korektorskie.

Wstępny projekt okładki wraz z grafiką stworzył Adam Sondel, a jego finalizacją zajął się Sylwester Gdela. Prace projektowe koordynował Marek Kolenda, który również redagował i weryfikował teksty.

Dziękuję Agencji Emotion Media i Mariuszowi Gawrysiakowi za projekt layoutu i zgodę, by wykorzystać go również w tym roku.

Cieszy mnie tak duże zaangażowanie społeczności portalu fantastyka.pl w prace redakcyjno-korektorskie. Po raz kolejny mogłem liczyć na pomoc: Sylwii Finklińskiej, Pauliny Klimentowskiej,

Miki Modrzyńskiej, Kamili Regel, Dariusza Skrzydły, Bogumiły Strzelec, Magdaleny Świerczek-Gryboś i Piotra Targoniego.

Miło mi, że do zespołu Fantastycznych Piór dołączyły w tym roku nowe osoby: Lidia Gręda, Wiktor Orłowski oraz Jakub Węgrzynowski.

Kilka słów na okładkę skreślili nominowani do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla za rok 2019 – Krzysztof Matkowski i Krzysztof Rewiuk.

Wszystkim Wam, jak również autorom oraz całej społeczności portalu fantastyka.pl, jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Radosław Puchała

Redaktor prowadzący



www.fantastyka.pl/antologia

W przygotowaniu:

Fantastyczne pióra 2020
Antologia portalu fantastyka.pl